

Marian Podgóreczny
ps. Żbik

DOLINIACY

Tom II

**Niepodległa Rzeczpospolita
Kampinoska**

Warszawa 2010

Redakcja: Małgorzata Teresa Podgóreczna

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku: Małgorzata Garwacka

Projekt okładki: Ewa Wierchoła

Zdjęcia ze zbiorów archiwalnych: autora, Ryszarda Bielańskiego, Ryszarda Celmera, Macieja Downara-Zapolskiego, Witolda Grzybowskiego, Dariusza Gołębiowskiego, Szymona Józefa Krzyczkowskiego, Michała Krzywickiego, Zdzisława Nurkiewicza, Adolfa Pilcha, Eugeniusza Wawrzyniaka, Pawła Reisinga

Druk:

BMT ERIDIA Sp. z o.o.

tel. 022 771 98 66

© Copyright by Marian Podgóreczny
Sopot 2010

ISBN 978-83-930539-3-3

Wydanie okolicznościowe, nakład: 50 egzemplarzy, na zamówienie:
Rady Miejskiej w Łomiankach i Burmistrza Miasta Łomianki.

Spis treści

ZDAŻYLI NA CZAS.....	5
POSTÓJ W DZIEKANOWIE POLSKIM.....	6
POWSTANIE W KAMPINOSIE WYBUCHŁO WCZEŚNIEJ.....	13
DWUKROTNE NATARCIE NA LOTNISKO BIELAŃSKIE.....	22
UŁANI ATAKUJĄ.....	33
PSIE POLE.....	35
DEZERCJA KAPITANA DULKI.....	42
DOLINA DOWÓDCĄ „GRUPY KAMPINOS”.....	46
NA POMOC WARSZAWIE.....	53
PIERWSZA GRUPA SZTURMOWA.....	56
ZAPRZEPASZCZONA SZANSA.....	59
DRUGA GRUPA SZTURMOWA.....	63
ATAK NA DWORZEC GDAŃSKI W RELACJI PPOR. OSTROMIRA EDWARDA BONAROWSKIEGO.....	67
NATARCIE DRUGIE: NA STOS.....	76
BÓJ O DWORZEC GDAŃSKI W OCZACH NALIBOCZAN.....	90
W RZECZYPOSPOLITEJ KAMPINOSKIEJ.....	103
BÓJ POD BRZOZÓWKĄ.....	106
MAJOR OKOŃ DOWÓDCĄ „GRUPY KAMPINOS”.....	111
DO WARSZAWY DROGA ODCIĘTA.....	115
POD POCIECHĄ GRZMIĄ DZIAŁA.....	120
1 WRZEŚNIA – KIŚCINNE.....	130
WALK POD POCIECHĄ CIĄG DALSZY.....	134
OSIEMDZIESIĘCIU ZUCHWAŁYCH.....	139
DOLINA ATAKUJE!.....	143
WYPAD UŁANÓW NA MARIANÓW.....	156
DOLINA ZNÓW ATAKUJE.....	161
ODDZIAŁY Z LEGIONOWA W KAMPINOSIE.....	163
W KWATERMISTRZOSTWIE I NA PIERWSZEJ LINII.....	165
PARTYZANCKIE AMAZONKI.....	167

UŁANI – KOWBOJAMI?.....	169
DZIEŃ POWSZEDNI W PUSZCZY.....	175
Z KRONIKI PORUCZNIKA WYRWY.....	177
„STERNSCHNUPPE” – „SPADAJĄCA GWIAZDA”.....	181
RZECZPOSPOLITA KAMPINOSKA PRZESTAJE ISTNIEĆ.....	185
CZOŁGI NAD UTRATĄ.....	189
STRACENĆÓW LOS.....	195
OBRONNY CZWOROBOK.....	200
PRZEZ KORDONY NIEPRZYJACIELA.....	202
OSTATNI BÓJ SUMA – NARCYZA KULIKOWSKIEGO.....	206
PO BITWIE.....	212
Z MELDUNKÓW ABWEHRY.....	228

ZDAŻYLI NA CZAS

W 1831 roku kapitan Stanisław Paszkowski i Michał Gedroyć skrzyknęli miejscowych w leśne ostępy Puszczy Nalibockiej, pod sztandar powstańczy, do boju przeciw rosyjskiemu zaborcy. Z odległej Nowogródzkiej Ziemi w pełni umundurowani, dobrze uzbrojeni, zahartowani w bojach, partyzanci wyruszyli na pomoc szturmowanej przez wojska generała Iwana Paskiewicza Warszawie, by stanąć, przebywszy pół tysiąca wiorst, pod Modlinem.

Nie zdążyli na czas. Warszawa padła.

Ich potomkowie, ze Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego AK, powtórzyli zryw swych dziadów w latach drugiej wojny światowej. Pod sztandarem Armii Krajowej. W dniu 29 czerwca 1944 roku wymaszerowali z Puszczy Nalibockiej, gdzie bronili ludności polskiej przed represjami niemieckich i sowieckich najeźdźców, by pomóc Warszawie, która szykowałą się do dramatycznego zrywu przeciwko niemieckiemu okupantowi.

Przemierzając, w zamieszaniu i kotłowaniu pękającego frontu, Nowogródzycznę, Białostoczczyznę i Podlasie, pokonując w niebywałym tego lata upale Niemen, Szczarę i Bug, ci wyklęci przez los żołnierze, po trzydziestu dniach forsownego marszu minęli Modlin i co wydawać by się mogło nieprawdopodobne, bez wystrzału, bezczelnym przemarszem przez obsadzony Niemcami wieloprzęsłowy most w Nowym Dworze, przepawili się na lewy brzeg Wisły.

Porucznik „Góra” – Adolf Pilch, góral rodem z Wisły, cichociemny skoczek z Anglii, wyśmienity partyzancki dowódca, przeprowadził z dalekich Kresów Wschodnich w zwartej kolumnie, niemal bez strat, bez mała tysiąc świetnie wyekwipowanych, zahartowanych w bojach żołnierzy, stając w przededniu wybuchu powstania, 26 lipca 1944 roku¹ na mazowieckiej ziemi, w Dziekanowie Polskim u samych wrót Warszawy.

Zdążyli na czas.

¹ Dokładnie stan osobowy Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego AK w tym dniu wynosił 861 oficerów, podoficerów i szeregowych, w tym:

- dowództwo zgrupowania

11

- kwatermistrzostwo

14

POSTÓJ W DZIEKANOWIE POLSKIM

Po przejściu Wisły przez most w Nowym Dworze zwarta kolumna szwadronów kawalerii i kompanii piechoty, wraz z taborami i polowym szpitalem zatrzymała się w dniu 26 lipca 1944 roku w Dziekanowie Polskim.

Sforsowanie w tak osobliwy sposób Wisły okazało się możliwe dzięki śmiałej, choć wielce ryzykownej decyzji porucznika Góry, karkołomnemu fortelowi, zbiegowi okoliczności i niebывалemu szczęściu, czemu sprzyjało przede wszystkim szybkie przemieszczanie się frontu wschodniego na zachód.²

Chociaż już była późna pora, na widok żołnierzy w polskich mundurach, z orzełkami na polowych rogatywkach, piechoty i kawalerzystów śpiewających pełnym głosem „Przybyli ulani pod okienko”, mieszkańcy Dziekanowa szaleli z radości. Wybiegali z domów, ściągając za sobą sąsiadów, wołając ze łzami w oczach: „Nasi!”, „Nasi!”, Dziewczęta śmiały się zalotnie przesyłając wojakom buziaki, dzieci, które nagle zleciały się z całej wioski, widząc po raz pierwszy w życiu, na jawie, żołnierzy w takich mundurach, wrzeszczały na całe gardło: „polskie wojsko! Polskie!” Mężczyźni wnet podchwycili ten okrzyk wołając: „Niech żyje! Niech żyją!”

W mgnieniu oka przed dowódcą Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego AK porucznikiem Górą znalazła się starszyzna wioski, witając go po staropolsku chlebem i solą. Dziekanowianie, gdy tylko dowiedzieli się od żołnierzy z kwatermistrzostwa, którzy już popołudniu jako forpczta zgrupowania, wyznaczali w Dziekanowie kwatery dla pododdzia-

- I batalion 78 pp (3 kompanie)	438
- 27 pułk ułanów (4 szwadrony kawalerii)	272
- szwadron ckm 23 pułku ułanów	69
- szpital	46

Uzbrojenie Zgrupowania Nalibockiego AK według stanu na dzień 26 lipca 1944 r.

<i>ckm</i>	- 11;	<i>kb 10-strzałowe</i>	- 43;
<i>rkm i lkm</i>	- 41;	<i>kb</i>	- 627;
<i>granatniki</i>	- 7;	<i>pistolety</i>	- 137;
<i>pm</i>	- 53;	<i>granaty</i>	- 794;
<i>Amuncja</i>	- 195 500		

² Przemarsz Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego przez Wisłę w Nowym Dworze autor opisał szczegółowo w I tomie „Doliniaków”, pt. „Za Niemnem”.

łów, że wojsko zatrzyma się u nich na kilkudniowy postój, gorąco a serdecznie zapraszali żołnierzy do swoich domostw.

Radosne, triumfalne powitanie przez mieszkańców Dziekanowa, naliboczan przybyłych z dalekich Kresów, mówiących śpiewnym akcentem, wyczerpanych długim marszem do granic ludzkiej wytrzymałości, okrytych kurzem, wygłodniałych i spragnionych, wywoływało niesamowite wrażenie, wyciskało z oczu tych hardych wiarusów łzy wzruszenia. Rozpierała ich niezmierna radość i – co to ukrywać – duma, że dokonali tego, co wydawało się niemożliwe, że pokonali setki kilometrów dotarli tu, na rdzennie polską ziemię, stając przed murami okupowanej stolicy i że mieszkańcy tej ziemi przyjmowali ich z niekłamana radością, ze szczerego serca. Entuzjastyczne powitanie przyjmowali jako dowód uznania za ich tułaczkę, za fatalny los, jaki im przypadł w udziale, który sprowadził na ich rodzinną ziemię dwóch okupantów, spośród których jeden był gorszy od drugiego; za krwawe walki, bez pardonu, za żarliwy patriotyzm, niezłomność i wierność Rzeczypospolitej.

* * *

„...Dziekanów Polski – wspomina ułan Pulchny – Stefan Fedorowicz ze szwadronu cekaemów – leży nad Wisłą nieopodal jeziora. Jest to duża, zamożna wieś, której mieszkańcy powitali nas jak rodzinę. Na kwaterach otrzymaliśmy dobre jedzenie, do syta mogły się najeść również nasze konie.

Od mieszkańców Dziekanowa dowiedzieliśmy się, że w 1939 roku żołnierze Wojska Polskiego przed kapitulacją potopili w pobliskim jeziorze i w Wiśle duże ilości broni. Nasi natychmiast się tam udali i rzeczywiście wyciągnęli z wody kilka zamulonych karabinów maszynowych, które przekazali naszym rusznikarzom.

27 a może 28 lipca 1944 r. pod wieczór, dowódca szwadronu porucznik Jar – Jarosław Gąsiewski wysłał nasz drugi karabin maszynowy pod dowództwem starszego ułana Alfreda Połączańskiego z I plutonu kaprała Antoniego Zołotara do zakładu dla ociemniałych w Laskach. W zakładzie tym, prowadzonym przez siostry zakonne, mieścił się zakonspirowany szpital powstańczy VIII Rejonu AK. Kazano nam odpruć ułańskie proporczyki i założyć na ramiona biało-czerwone opaski z literami AK na czerwonym i z numerem 229 na białym tle, po czym nasz

przewodnik z konspiracji poprowadził nas do Lasek. Tam otrzymaliśmy kwatery. Siostry zaopatrzyły nas w prowiant i papierosy, jeszcze przedwojenne, „Klubowe”. Od nich dowiedzieliśmy się, że właśnie w tym zakładzie mieści się kwatera dowódcy tego rejonu AK kapitana Szymona³, wówczas nazwiska jego nie znałem. Ukrywał się tu również kapelan VIII Rejonu, ksiądz Radwan II – Stefan Wyszyński późniejszy Prymas Tysiąclecia, który nas pobłogosławił.

W Laskach staliśmy na ubezpieczeniu, wystawiając nasz ciężki karabin maszynowy „Maxim” przy bramie wjazdowej, skąd było doskonałe pole ostrzału na drogę wiodącą do zakładu, W dali przed nami widać było z pobliskiego lotniska bielańskiego niemieckie reflektory przeciwlotnicze wraz z obsługą.

W czasie postoju na ubezpieczeniu odwiedzali nas będący w cywilu żołnierze miejscowej placówki AK, których uczyliśmy obchodzenia się z cekaemem...”

Wydawało się, że pod naporem zbliżającego się frontu niemiecki okupant opuści Warszawę w popłochu, bez jednego wystrzału, a wówczas właśnie to oni, przybysze z dalekich Kresów, wkroczą triumfalnie, jako pierwszy zwarty oddział, do murów ukochanej stolicy, którą wielu z nich ujrzałoby po raz pierwszy w życiu, a gdyby nie ta wojna, być może nie ujrzałoby jej nigdy.

Tymczasem władze Polski Podziemnej, co żołnierzom Góry wydawało się wprost nieprawdopodobne, wiadomość o ich pojawieniu się pod Warszawą przyjęli nie tylko z rezerwą, lecz wręcz z wyraźną niechęcią.

Tu, wśród władz Armii Krajowej, nikt ich nie rozumiał, nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co ci ludzie przeżyli tam, za Niemnem, na Nowogródzkiej Ziemi, będąc najpierw pod nieludzką okupacją sowiecką, a po dwóch latach, wcale nie lepszą – niemiecką. Ledwie ustały walki z pierwszym okupantem, już musieli stanąć do walki z drugimi. Początkowo ramię w ramię z partyzantami sowieckimi. Nie na długo jednak. Nie minęło i pół roku, gdy „sprzymierzeńcy” podstępnie zwabili na odprawę oficerów i podoficerów oddziału polskiego, nieoczekiwanie napadając na nich i warowny obóz Polaków. Garstka ich, która wyszła cało z matni, broniąc się rozpaczliwie przed tysiącami sowieckich partyzantów, została zmuszona, znajdując się w stanie wyższej konieczności, do

³ *Józef Krzyczkowski*

pozornego zawieszenia działań zbrojnych z Niemcami, co zresztą w pełni aprobowало dowództwo Okręgu AK „Nów” (Nowogródek).

Nazajutrz, po zakwaterowaniu oddziału w Dziekanowie, o świcie, porucznik Góra udał się w cywilnym ubraniu, rowerem do Warszawy, by nawiązać przerwany w czasie przemarszu kontakt z Komendą Główną AK. Jednak bez rezultatu. Dopiero tuż przed godziną policyjną, przypadkowo spotkał swego kolegę z Anglii, również cichociemnego, kapitana Pługa – Adama Borysa, organizatora, a następnie dowódcę specjalnych oddziałów Agat, Pegaz i Parasol, który obiecał pomoc w nawiązaniu łączności z centralą.

Niejako równolegle, w tym samym dniu, do kwatery zastępcy dowódcy Zgrupowania Nalibockiego porucznika Kuli – Franciszka Rybki w Dziekanowie Polskim przybył komendant VIII Rejonu AK kapitan Szymon – Józef Krzyczkowski, który również zaoferował pomoc w nawiązaniu łączności z Komendą Główną AK za pośrednictwem komendanta warszawskiego VII Obwodu AK „Obroża”, majora Bronisława – Bronisława Krzyżaka, do którego należał obszar VIII Rejonu. Ponieważ jego propozycje, co do dalszych losów oddziału były niejasne – Szymon spotkał się następnie w tej sprawie z pułkownikiem dyplomowanym Kuczabą – Kazimierzem Plutą-Czachowskim.

Postój w Dziekanowie Polskim przedłużał się ponad granicę ryzyka. Każdy dzień, każda godzina pozostawania tam mogły przynieść katastrofalne skutki. W każdej chwili konfidenci mogli donieść Niemcom o płomiennym wystąpieniu porucznika Góry na błoniach miasteczka Dzierzby, zaraz po sforsowaniu w bród Bugu. W wystąpieniu tym Góra zagrzewał swoich żołnierzy do bezkompromisowej rozprawy z Niemcami; o rozstrzelaniu za Dzierzbami trzech niemieckich żandarmów, o rozbiciu samochodu z oficerami SS, o wcześniejszej walce z oddziałem rosyjskich kolaborantów RONA* Kamińskiego w Proście pod Połoneczką i jeszcze wcześniejszej likwidacji garnizonu niemieckiego w Rakowie i Borku. Otoczenie Zgrupowania Nalibockiego nawet przez niewielką jednostkę pancerną w otwartym terenie nie dawało żołnierzom tego zgrupowania żadnych szans. Doszłoby do masakry.

Wydawało się, że Komenda Główna AK nie zdawała sobie z tego sprawy.

Absurdalne propozycje wykupienia broni od tych, którzy już w czerwcu 1943 roku stanęli do otwartej walki z Niemcami, a zdradzeni

przez sowieckich „sojuszników”, potrafili ocalić swój oddział przed całkowitą zagładą, obrażały tych ludzi, były dotkliwym policzkiem.

Nie po to pokonali taki szmat drogi, by tu właśnie, u wrót ukochanego przez nich miasta, mieliby wyzbyć się swej broni, zdobytej na wrogach.

A już najmniej spodziewano się takiego rozkazu, jaki dotarł z Komendy Głównej do porucznika Góry, za pośrednictwem kapitana Szymona.

Nakazywał on przemarsz zgrupowaniu spod Warszawy, aż do Borów Tucholskich, na północ Polski, trasą liczącą ponad czterysta kilometrów, wzdłuż linii frontu, gdzie wszystkie miejscowości naszpikowane były niemieckim wojskiem.

Ów rozkaz oznaczał zagładę całego oddziału, a że ci żołnierze „nie przywyklszy byli” iść do niewoli, oznaczałby śmierć bez mała tysiąca ludzi.

„...Nie rozumiałem wtedy i dotychczas nie rozumiem – napisał w prowadzonych na bieżąco notatkach porucznik Góra – jak można było wyciągać konsekwencje wobec całego oddziału za jakiegokolwiek przewinienie, czy wyłamanie się spod dyscypliny. Jeżeli przyprowadziłem tutaj oddział wyszkolony, zaprawiony w boju i zgrany, jeżeli przez ten krok popełniłem jakąś niewłaściwość, złamanie rozkazu, czy przepisów (w tej chwili jest to mało ważne), to nie wolno było wydawać „wyroku”, zaocznie przed rozpatrzeniem sprawy i to w stosunku do całego oddziału. Jeżeli uznano, że jestem winien, to zawsze gotów byłem ponieść konsekwencje, nigdy bym się nie chronił przed odpowiedzialnością. Zostałem wysłany na te tereny przez Komendę Główną, otrzymywałem rozkazy i wytyczne od swych przełożonych z Komendy Okręgu Nowogródzkiego, których się trzymałem na tyle, na ile w tych warunkach było to możliwe. Więc jeżeli była czyjakolwiek wina w postępowaniu, to tylko moja, a nie kogokolwiek innego. W żadnym wypadku nie należało stosować odpowiedzialności zbiorowej...”

„...Tego niepoczytalnego rozkazu – jak go określił w swej książce pod tytułem „Rapsodia Żoliborska” Stanisław Podlewski – porucznik Góra nie mógł wykonać. Powiedział o tym kapitanowi Szymonowi proponując mu, by wcielił on Zgrupowanie Nalibockie do VIII Rejonu AK i przekonał Komendę Główną o celowości zmiany rozkazu...”

Kapitan Szymon przyrzekł uczynić wszystko, co w jego mocy, aby zatrzymać oddział na terenie Puszczy Kampinoskiej. I dotrzymał słowa, zyskując wdzięczność i pełne zaufanie kresowiaków, niemają-

cych pojęcia, dlaczego po tak ciężkich przeżyciach, nie byli chciani, tu pod Warszawą.

Szymon natychmiast udał się do stolicy, gdzie odnalazł pułkownika Kuczabę prosząc go o poparcie tej propozycji. Wzmocniłoby to – tłumaczył – siły VIII Rejonu, a jednocześnie uchroniłoby tak waleczny oddział od zniszczenia.

Te argumenty przekonały w końcu nie tylko Kuczabę – Kazimierza Pluta Czachowskiego, lecz także i dowódcę Okręgu AK Warszawa pułkownika dyplomowanego Montera – Antoniego Chruściela.

Jednak pomimo tego, że wyraził on w końcu zgodę, nadal zwlekało z wymarszem oddziału z Dziekanowa. Ową zwłokę z przemieszczeniem zgrupowania z Dziekanowa w głąb Puszczy Kampinoskiej wyjaśnił kapitan Szymon w napisanej po wojnie książce pod tytułem „Konspiracja i powstanie w Kampinosie”:

„...Chodziło o wyciągnięcie z twierdzy modlińskiej jak największej ilości broni i amunicji. Konieczne było więc swoiste przyczajenie się i udawanie, że nic się nie zmieniło. Metoda ta sprawiła, że Niemcy wydali Polakom istotnie sporo amunicji, która rychło posłużyła do tego, aby położyć pokotem pierwsze ich oddziały, które chciały przejść przez puszcę...”

Metoda ta była ze wszech miar uzasadniona. Nieskorzystanie z dozbrojenia oddziału bez jednego wystrzału i to w przededniu wybuchu powstania w Warszawie, byłoby głupotą. Dziwić się jednak należało, że gdy Zgrupowanie Nalibockie zostało zmuszone wprost do zastosowania tej samej wszakże „metody” znajdując się w sytuacji bez wyjścia, wobec zdrady sowieckiego „sojusznika” i w stanie obrony koniecznej, uznano ją za karygodną.

Po otrzymaniu meldunku, że żołnierzom z oddziału Góry, wysłanym pod dowództwem porucznika Jastrzębia – Aleksandra Wolskiego do Modlina po furaz, udało się zafasować przydział broni, amunicji, zaprowiantowania i leków, kapitan Szymon wydał rozkaz natychmiastowego wymarszu zgrupowania w stronę Kampinosu. Po drodze należało zlikwidować posterunki niemieckiej straży granicznej i żandarmerii.

Gdy tylko ten rozkaz dotarł do Góry, jego żołnierze w niespełną godzinę zwinęli swój majdan w Dziekanowie Polskim i wyruszyli długą kolumną w kierunku szosy Nowy Dwór – Warszawa. Nikt ich nie zatrzymywał. Zanim Niemcy zorientowali się, że zostali wyprowadzeni w pole,

Zgrupowanie Nalibockie zdążyło się przemieścić w głąb Puszczy Kampinoskiej.

W ciągu nocy z 29 na 30 lipca 1944 roku kompanie piechoty i szwadrony kawalerii oczyściły niemal całą puszcę ze wszystkich posterunków niemieckiej żandarmerii i straży granicznej rozmieszczonych na granicy, która przebiegała przez Puszcę Kampinoską rozdzielającą okręg Prus Wschodnich (Ostpreussen) od Generalnej Guberni rządzonej z Krakowa przez gubernatora Hansa Franka.

Od tej nocy, od dnia 29 lipca 1944 roku, aż do końca września przez cały okres trwania Powstania Warszawskiego cały rozległy teren Puszczy Kampinoskiej pozostawał wolny od okupanta. Powstała tu Niepodległa Rzeczypospolita Kampinoska.

Po raz drugi w tej wojnie kresowiaci walczący pod barwami tych samych pułków – 78 pułku piechoty strzelców śluckich i 27 pułku ułanów im. króla Stefana Batorego – stanęli do walki o Warszawę.

W swych niepublikowanych dotąd wspomnieniach „W bój bez broni” podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski warszawiak z krwi i kości, który do oddziału Zgrupowania porucznika Góry dołączył w Puszczy Kampinoskiej, a w czasie Powstania Warszawskiego będzie dowódcą jednego z nalibockich plutonów 78 pułku piechoty AK, walczącego na Żoliborzu – zanotował:

„We wrześniu 1939 r. miała swój początek jakaś przedziwna symbolika w rozlokowaniu tych dwóch pułków, której dopełnieniem będzie okres Powstania...”

Po forsownej i krwawej nocy Zgrupowanie Nalibockie rozlokowało się w puszczańskich wsiach. W Wierszach stanęło dowództwo zgrupowania z porucznikiem majorem Górą – Adolfem Pilchem na czele i jego zastępcą porucznikiem (majorem) Kulą – Franciszkiem Rybką; dowództwo batalionu 78 pułku piechoty z porucznikiem pilotem Dźwigiem – Witoldem Pełczyńskim na czele 1 kompania pod dowództwem porucznika Dana – Franciszka NN, 2 kompania pod dowództwem porucznika Strzały – Witolda Lenczewskiego i żandarmeria. W Krogulcu – dowództwo 27 pułku ułanów (wówczas zwanym jeszcze dywizjonem), z chorążym (rotmistrzem) Nocą – Zdzisławem Nurkiewiczem, 2 szwadron pod dowództwem wachmistrza (podporucznika) Szarego – Józefa Niedźwieckiego, 4 szwadron pod dowództwem porucznika Jawora – Aleksandra Pietruckiego, szwadron cekaemów 23 pułku ułanów grodzień-

skich pod dowództwem porucznika (majora) Jara – Jarosława Gąsiewskiego; pluton łączności pod dowództwem porucznika Stabrawy – Antoniego Chomicza szpital pod dowództwem lekarza kapitana Kleszczyka – Antoniego Banisa i kwatery pod dowództwem podporucznika Jastrzębia – Aleksandra Wolskiego.

Natomiast w Kiścinnem zakwaterował 3 szwadron pod dowództwem wachmistrza podchorążego (podporucznika) Suma – Narcyza Kulikowskiego, zaś w Roztoce – 1 szwadron pod dowództwem wachmistrza (podporucznika) Dęba – Jana Jakubowskiego.

Kresowa śpiewna mowa rozlegała się w całej puszczy od rana do wieczora. Ale kiedy kończono zajmowanie nowych kwater kapitan Szymon wydał rozkaz nakazujący mobilizację i ostre pogotowie wszystkich oddziałów VIII Rejonu.

POWSTANIE W KAMPINOSIE WYBUCHŁO WCZEŚNIEJ

Nad ranem 31 lipca 1944 roku do dowódcy 27 pułku ułanów chorążego Nocy – Zdzisława Nurkiewicza przycwałował goniec (łącznik) porucznika Góry ułan Niedźwiedź – Stanisław Myślicki i zameldował, że we wsi Aleksandrów nieopodal Roztoki poprzedniego dnia późnym wieczorem zatrzymało się na nocleg kilku niemieckich żołnierzy. Chorążemu nie musiał tłumaczyć, co Góra rozkazał z nimi zrobić. Niedźwiedź nie dokończył meldunku, gdy Noc już wezwał, aby niezwłocznie stawilo się w stodole, gdzie kwatrował, sześciu ochotników, którym kazał zlikwidować szkopów.

Ułani wskoczyli na koń i pocwałowali w kierunku zabudowań Aleksandrowa. W pierwszej zagrodzie dostrzegli nie kilku, lecz kilkudziesięciu niemieckich żołnierzy, zawrócili, więc w miejscu i galopem pognali z powrotem do kwatery dowódcy pułku.

Jeden z nich wszakże nie dał się ponieść emocjom, w bezpiecznej odległości zeskoczył z konia, przywiązał go do przydrożnego drzewa i kryjąc się w przydrożnym rowie, dotarł w okolicę kolejnych zagród, gdzie również było wielu żołnierzy niemieckich. Stojący na warcie żołnierz na widok konnego polskiego zwiadu nie wszczął alarmu, biorąc zapewne naszych ułanów za kolaborujących z nimi własowców.

Okazało się, że we wsi zakwaterowała cała kompania Wehrmachtu w sile około stu pięćdziesięciu żołnierzy.

Poinformowano o tym chorążego Nurkiewicza, który zarządził spieszenie pierwszego szwadronu wachmistrza Dęba – Jana Jakubowskiego i oskrzydlenie Aleksandrowa od strony wschodniej. Od północy, na rozkaz porucznika Góry rozwinął trzecią kompanię porucznik Jerzy Helski. Wkrótce na całej linii rozległy się serie karabinów maszynowych i automatów, a w chwilę później gromkie “hurra” zrywających się do ataku ułanów i strzelców. Walka trwała kilkanaście minut, może pół godziny. Całkowicie zaskoczona niespodziewanym atakiem kompania Wehrmachtu została doszczętnie rozbita. Po stronie polskiej nie tylko nikt nie zginął, ale nawet nie został ranny. Czy w ogóle zaatakowani Niemcy zdążyli w tym boju wystrzelić?

Autor „Doliniaków”, wówczas łącznik – goniec dowódcy 3 szwadronu wachmistrza podchorążego Suma – Narcyza Kulikowskiego o pseudonimie Żbik, który został na kilka dni odkomenderowany do dyspozycji dowódcy puszczańskiej kawalerii chorążego Nocy – Zdzisława Nurkiewicza i jako ochotnik wziął udział w pierwszej na terenie Puszczy Kampinoskiej walce pod Aleksandrowem, tak oto zrelacjonował przebieg tej walki w swym dzienniczku, zatytułowanym „Na koniu i pod koniem”⁴:

– Do stodoły, w której kwaterował chorąży Noc wpadł kapral Robaczek, jego luzak, wołając: – Gdzie jest dowódca dywizjonu?

Chorąży przestał chrapać chwycił swoje buty, mundur, ześlizgnął się na klepisko, wysłuchał meldunku kaprala i zawołał:

– Sześciu na ochotnika do mnie!

Było to 31 lipca 1944 roku. Znowu miałem kłopot z wciągnięciem rozmokłych butów, w końcu jakoś się z nimi uporałem.

Staliśmy w szeregu równo, sześciu, jak uciał. Ten, kto się spóźnił nie miał prawa stawać w szeregu.

– Dowódca zgrupowania – powiedział chorąży – dał znać, że w Aleksandrowie jest kilku Niemców. Macie ich zlikwidować

⁴ Marian Podgóreczny, „Na koniu i pod koniem”, Gdańsk 1972, wydanie książkowe, autorskie w nakładzie 130 egzemplarzy, wykonane społecznie przez drukarzy Gdańskiego Wydawnictwa RSW Prasa: Henryk Niedbala, Krzysztof Majewski, Benon Szary z odlewu drukowanego w odcinkach dzienniczka pod ww. tytułem w „Wieczorze Wybrzeża” czerwiec – wrzesień 1972 r.

Gnamy, co koń wyskoczy. Prowadzi dowódca poczty chorążego, kapral Stenia – Stefania Burak. Na ubezpieczeniu północno–wschodniego skrzydła zgrupowania, w kierunku Rybitwy, przy elkamie (lekki karabin maszynowy) sekcja kaprała Osy – Stanisława Borysewicza z 3 szwadronu. Stenia spytała go czy nic podejrzanego nie zauważył. Osa bez słowa dał jej lornetkę, wskazując kierunek.

– O tam, widzisz?

W odległości dwóch, dwóch i pół kilometra mała wioska z kilkoma zabudowaniami a przy pierwszej zagrodzie stał wojak Hitlera w hełmie na głowie.

Galopując, ściągnąłem karabin wprowadzając nabój do lufy. W porę zdążyłem zabezpieczyć, gdyż pocziwy „Sybirak”, małe włochate konisko, które przytargało mnie na swoim grzbiecie zza Niemna aż tu, pod Warszawę i na którym podczas tego rajdu praktycznie nauczyłem się konnej jazdy, z impetem wleciał na zad osadzonego w miejscu wierzchowca Steni.

– Zawracamy! – zawołała, więc cały zwiad zanim zorientowałem się co się dzieje, pogalopował, co tchu tam skąd przybył.

Dopiero po chwili, gdy opadł tuman pyłu wzniesiony kopytami naszych koni, dostrzegłem w zagrodzie gospodarstwa, przy którym stał wartownik dziesiątki żołnierzy, jednych w mundurach feldgrau, innych w samej bieliźnie.

Wartownik nie zorientował się w sytuacji, spoglądał na mnie, jak wół na malowane wrota, z karabinem przewieszonym przez ramię. Pokiwałem mu ręką i klusem podążyłem za swoimi. Gdy byłem już poza zasięgiem jego wzroku, osadziłem Sybiraka, zeskoczyłem z siodła, uwiązałem konia do przydrożnego drzewa, a sam zawróciłem, skradając się, jak na harcerskich podchodach rowem biegnącym wzdłuż piaszczystego traktu.

Nasz widok nie wywołał u Niemców najmniejszego poruszenia. Wartownik jak stał w miejscu, tak stał nadal gapiąc się zresztą w stronę przeciwną od tej, gdzie się znajdowałem, na drogę wiodącą do Wędziszewa. Z bliskiej odległości, niewidoczny od strony wioski obserwowałem Niemców. Jedni wylegiwali się w cieniu drzew w porozpinianych mundurach, kilku pół nagich myło się przy studni, jeszcze inni wchodzili, lub wychodzili ze stodoły, w której kwaterowali, przed „sławojką” (drewniany wychodek) na skraju obejścia ustawiała się kolejka.

W pierwszej zagrodzie naliczyłem ich z pięćdziesięciu, w drugiej i trzeciej po tyle samo. W następnych nie było wojska.

To wszystko, co chciałem ustalić. Najistotniejszym spostrzeżeniem było to, że Niemcy nie zauważyli nic podejrzanego, zaskoczenie mogło być więc całkowite, wielu z nich nie zdawało sobie sprawę z tego, że to ostatnie ich chwile ich życia. Z moim mogło być podobnie, jak w czasie każdej walki, ale o tym nigdy się nie myśli.

Cofałem się ostrożnie, czołgając się na dnie rowu, by ów wartownik na mój widok tym razem nie narobił rabanu. Harcerskie podchody z lat szkolnych wybornie mi się przydały. Jeszcze jedno spojrzenie wstecz, nic tam podejrzanego nie zauważono. Zaskoczenie będzie całkowite.

Poranek był pogodny, a postój niemieckiej kompani, która tym razem biwakowała z daleka od frontu, niczym niezmacony. Niebawem wartownik i kontury wsi znikły mi z oczu, mogłem się wyprostować.

Nie dochodząc do swego konia natknąłem się na dowódcę kawalerii. Mego wzrostu, a więc niski, krępy a właściwie grubawy, w furazercie zawadiacko przekreconą na bakier, szedł rażno i sapał. Miałem pietra, że zbeszta mnie za to, że nie wycofałem się wraz z patrolem, ale on spytał:

– Dużo tam ich jest?

Więc domyślał się, dlaczego nie wróciłem z patrolem. Zameldowałem, że według moich obliczeń jedna kompania, około stu pięćdziesięciu szkopa, rozmieszczeni są tu i tam – wskazałem na trzy zagrody. – Nic nie zauważyli, nie spodziewają się naszych odwiedzin – dodałem.

– Dobry jesteś – pochwalił dowódca, więc wyprężyłem się na baczność i wyrecytowałem jednym tchem:

– Ku chwale Ojczyzny panie chorąży!

– Możesz zostać tam gdzie byłeś – wskazał ręką tam, skąd przyszedłem. Będziesz miał dobre miejsce ostrzału.

– Mam ze sobą cały pierwszy szwadron, który odpowiednio rozstawię – mówił ni to do siebie, ni to do mnie. – Jest też I pluton Żołotara ze szwadronu cekaem; zaraz powinni nadejść zające (piechurzy) porucznika Helskiego – dodał, po czym zawrócił na pięcie i poszedł do ułanów, których stąd nie widziałem. Dobrze zamaskowali się chłopcy.

Wróciłem na swój punkt obserwacyjny. We wiosce nic się nie zmieniło. Ów sielski spokój stawał się nie do zniesienia, minęło jeszcze ze trzy kwadranse.

Wartownik stał w pełnym ekwipunku na swoim miejscu, twarzą do słońca patrząc tam gdzie do skoku czaili się ułani, czyżby się opalał? Nagle przysłonił dłonią oczy, jakby im nie dowierzał. Spojrzałem w tamtym kierunku. Z łąków zboża od strony Leszna wyłaniała się szeroko rozciągnięta tyraliera spieszonych ułanów, zmierzających wprost na gospodarstwa położone w południowej części Aleksandrowa, w których kwaterowali Niemcy, wartownik musiał ich dostrzec, bo nagle zerwał się do biegu, wrzeszcząc na całe gardło:

– Banditen!

Od dłuższej chwili trzymałem go na muszce, pociągnąłem za spust. Upadł, jakby się potknął.

Niemal w tej samej chwili wystrzeliła w górę czerwona rakietka i na całej linii rozległy się strzały. Nasi ruszyli do ataku. Wyrzuciłem pustą łuskę, wprowadzając nowy nabój do lufy.

W najbliższej zagrodzie wśród Niemców zakotłowało się, jak w ulu. Padały nerwowe rozkazy, żołnierze dopadali do ustawionej w kozły broni, próbowali odpowiedzieć chaotycznym ogniem i padali koszeni ostrą kanonadą na całej linii. Pozostali przy życiu usiłovali przebić się w kierunku gdzie stanowiska zdążył już zająć porucznik Helski ze swoją, trzecią kompanią. Gdy zaległa w życie piechota otworzyła huraganowy ogień Niemcy rzucili się do bezładnej ucieczki na Sowią Wolę.

W domu, naprzeciw mnie pękła wybita kolbą karabinu szyba. Huk wystrzałów stłumił brzęk tłuczonego szkła. Przez okno gramolił się Niemiec. Po moim strzale upadł na ziemię. Dopiero teraz zauważyłem na naramiennikach naszywki feldfebla. A jednak chybiłem. Niemiec podciągnął się na łokciach wypatrując przeciwnika. Z tej płaszczyzny byłem dlań niewidoczny. Nie dojrzał nikogo, więc dalej w nogi. Na próżno. Strzeliłem mierząc w plecy. Rozkrzyżował ramiona, opuszczając karabin, przebiegł ze dwa kroki i padł. Nie zdążyłem pomanipulować zamkiem, gdy w oknie ukazała się nowa głowa osłonięta hełmem. Niemiec szybko przerzucił nogę na zewnątrz, zeskoczył. Nacisnąłem spust w chwili, gdy odrywał się od parapetu. Co za urodzajne okno? Triumfowałem. Gdyby tak każdy Polak „załatwił” tyłu Niemców, co ja w tym jednym dniu, już dawno byłby koniec wojny.

Psia krew! Triumf okazał się przedwczesny, okazało się, że spudłowałem. Niemiec ożył. Skacząc zapewne mnie zlokalizował i cwaniak

udawał martwego. Nagle się uniósł na łokciach, już przykładał kolbę karabinu do ramienia, mierzył.

Leżącego trudniej jest dostać. Trzeba się spieszyć. Wszystko zależy od tego, kto pierwszy. Chyba nie zdążę przed nim. Nareszcie nabój mam w lufie, muszę brać go pod hełm, prosto w twarz. Dostać go, nie będzie takie proste, jestem jednak zdenerwowany. To koniec?

Leżymy naprzeciw siebie, twarzą w twarz blisko, w odległości najwyższej dwudziestu pięciu kroków. Mój przeciwnik ma rude brwi i wydłużony, garbaty nos. Jest znacznie starszy ode mnie, mógłby być moim ojcem. Zapewne myśli to samo, co ja w tej chwili, kto kogo pierwszy? Czuję kropelki potu na skroniach. A jednak mnie uprzedził. Tam gdzie leżał błysnął ogień i niemal w tej samej chwili rozległ się huk wystrzału. Czy taka była kolejność?

On też musiał być zdenerwowany. Zaprzepaścił jedyną szansę. Teraz ja. Mam chwilę przewagi, zanim tamten zarepetuje. Próbuje się opanować... mierzę spokojnie... jak na polowaniu! Do ludzi?

Wydawało się, że w takiej chwili nie ma czasu na myślenie, ale to nie prawda. Myśli przechodzą przez mózg, jak burza, kłębią się, mieszają, wybuchają...

– To wróg! Najeźdźca. Okupant! Grabieżca! Morderca! A jeśli on rąbnie mnie pierwszy?... Jak słodko umierać za Ojczyznę? Nie, żadna śmierć nie jest słodka. W tej chwili to wszystko, co wniosło nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, kto pierwszy, kto pierwszy....

Wydaje mi się, że jestem opanowany, portki mi się nie trzęsą, mam go na muszce, pociągam spust.

Ufff, co za ulga. Skoro mogę teraz o tym pisać, to znaczy, że tym razem nie spudłowałem.. Tamten uderzył głową o kolbę swego karabinu.

Czy byłem lepszym strzelcem o, czy bardziej opanowany? Po prostu miałem szczęście. To szczęście, w przeciwieństwie do Misia, który padnie na Kielecczyźnie, będzie mi towarzyszyło do końca wojny, a także dalej po wojnie. Miałem wspaniałego Anioła Stróża. On dopiero musiał się napracować...

Właściwie był to dla mnie chrzest bojowy, nie licząc nieoczekiwanego, wraz z moim serdecznym przyjacielem Niedźwiedziem – Stanisławem Myślickim, spotkania na skraju Puszczy Nalibockiej, już w czasie marszu na Warszawę, z dwoma sowieckimi partyzantami, którzy spóźnili się o ułamek sekundy. Byliśmy szybsi..

W walce pod Aleksandrowem pogrom Niemców był zdecydowany, mieliśmy od pierwszej chwili druzgocącą przewagę nad nieprzyjacielem, dzięki całkowitemu ich zaskoczeniu.

Dowódca kawalerii poderwał dwa plutony spieszonego szwadronu do koni i na koń. Ułani w galopie oskrzydłali uciekającego nieprzyjaciela z lewej flanki. Po polach rozlegał się jednak wielki krzyk: hurra – nacierających i huk wystrzałów. Ułani III spieszonego plutonu nacierali na wprost. Biegnę naprzód razem z nimi i też wrzeszczę „hurra!” dodając sobie animuszu. Przede mną wyrósł Niemiec. Trzasnąłem zamkiem i nie przykładając kolby do ramienia i pociągnąłem za spust.

– Cholera! – zakląłem w czasie tej akcji po raz drugi. Iglica stuknęła głucho. Niewypał? Ależ ze mnie gapa. Nie liczyłem wystrzelonych naboń. Pięć już poszło, a nie zmieniłem łódki z nabojami. Przez głupią nieuwagę wpadłem!

– Hände hoch! – krzyknąłem odruchowo, zanim o tym pomyślałem.

Nie do wiary! Przede mną wysoki dryblas unosił posłusznie, wraz z karabinem ręce w górę. Można było skonać ze śmiechu. Stał obok i patrzył na mnie wybałuszonymi oczyma, z których przebijał strach i zdziwienie. Sięgałem mu zaledwie do pachy. Gdyby wiedział, że nie mam naboju w lufie!

Ależ ze mnie bałwan i czegoż tak się wystraszyłem? W tej idiotycznej sytuacji zapomniałem, że mam przecież w przytroczonej do pasa kaburze pistolet, zdobyty od sowieckiego partyzanta. To karygodne! Jestem jeszcze nieopanowany w boju, a w tej śmiertelnej grze stawką jest życie!

Dryblas w prawej dłoni trzyma karabin wyciągnięty ponad głowę. Dygocze. Ciekawe, czy dostrzegł, że mój mauzer drży w dłoni, podobnie jak jego?

Gra jeszcze nieskończona. Ułani pobiegli naprzód, zostałem z nim sam na sam. Jak mu odebrać ów wysoko sterczący nad moją głową karabin? Czy nie rąbnie mnie kolbą w łeb?

Miałem jednak szczęście. Jak z pod ziemi obok mnie wyrósł dowódca kawalerii chorąży Noc. No teraz to ja gieroj! Wyrwałem Niemcowi broń, odciągnąłem zamek zdobytego karabinu. Nabój tkwił mu w lufie, wystarczyłoby tylko przechylić skrzydełko bezpiecznika i pociągnąć za spust. Byłoby po mnie. Chorąży pognał dalej zostawiając mnie z jeńcem.

Było już po walce, chociaż tu i ówdzie padały jeszcze pojedyncze strzały. Koniowodni podprowadzali konie. Dwa zdobyczne karabiny przewiesiłem przez siodło Sybiraka. Zdobytą broń – po wyjęciu zamków – dałem do taszczenia jeńcowi. Dowódca kawalerii dołożył mi jeszcze czterech jeńców, każąc wszystkich odprowadzić do porucznika Góry kwaterującego w Wierszach. To było wyróżnienie!

Jeńców mogłem konwojować z Aleksandrowa do Wiersz lasem, na przełaj. Wolałem jednak poprowadzić ich przez Kiścinnie – miejsce postoju mego, macierzystego, trzeciego szwadronu. Wiadomo!

Istotnie, w Kiścinnem wywołałem zrozumiałą sensację:

– Popatrzcie, kogo Żbik prowadzi? – Zawołał Kazik Miron z sekcji Staszka Piszczka.⁵

W okamgnieniu konwojowani jeńcy niemieccy wywołali biegiwisko. Jakiś porywczy ułan, który w czasie pacyfikacji puszczy Nalibockiej pod kryptonimem „Herman” stracił całą rodzinę chciał ich załapać na miejscu, ale obrugałem go to i dał spokój. Na Krogulcu Pulchny – Stefan Fedorowicz z Prużan spytał się gdzie mam ich broń. Przyznałem, że zabezpieczyłem ją w swoim szwadronie. W zgrupowaniu utarł się zwyczaj, który bezskutecznie zwalczał kwatermistrz podporucznik Jastrząb – Aleksander Wolski, że zdobyczna broń i amunicja stanowiły własność tego, kto ją zdobył. Zaproponował mi interesującą transakcję:

⁵ W książce Adolfa Pilcha, pt „Partyzanci trzech puszczy”, w Wykazie żołnierzy pod pozycją 831 starszy ułan Kazimierz Miron ps. „Alba” znajduje się informacja, że poległ on, jako jedyny, w dniu 31 lipca 1944 r. w Aleksandrowie. Ten sam błąd został popełniony w „Spisie żołnierzy Zgrupowania Stolpecko-Nalibockiego Armii Krajowej” (opracowanie: Witold Grzybowski konsultacje. Longin Kołosowski) pod poz. 535. W rzeczywistości Kazimierz Miron z Dzienis, pseudonim Alba w stopniu st. ulana z sekcji lkm kpr. Pogoń – Stanisława Piszczka, I plutonu plut. Plaza – Czesława Jucniewicza 3 szwadronu wachm. pchor. Narcyza Sum-Kulikowskiego 27 p.uł. chor. Nocy, Nieczaja Zdzisława Nurkiewicza zginął (na oczach swego dowódcy sekcji kpr. Stanisława Piszczka i autora Doliniaków) w dniu 2 sierpnia 1944 r. w akcji pod Pieńkowem. W Aleksandrowie ulani z 3 szwadronu (z wyjątkiem ulana Żbika – Mariana Podgórecznego – łącznika –gońca dowódcy tego szwadronu, oddelegowanego okresowo do dyspozycji dowódcy kawalerii) nie brali udziału w tej walce.. W boju pod Aleksandrowem, atakujący kompanię Wehrmachtu żołnierze porucznika Góry nie ponieśli więc żadnych strat w zabitych. Dwóch ułanów zostało rannych, a i to najprawdopodobniej nie przez Niemców. Por. Góra nie wykazał też żadnych strat własnych w meldunku o tej walce wysłanym do kpt Szymona sporządzonym w tym samym dniu. Na grobie st. ul. Alby – Kazimierza Mirona, na cmentarzu w Wierszach wypisana jest też właściwa data śmierci: 2 VIII 1944 r.

– Dasz mi mauzera, (Pulchny miał karabin rosyjski, typu mosin) za ostrogi?

Miałem wprawdzie własne ostrogi, ale były toporne, z żelastwa, kowalskiej roboty. Pulchny oferował z niklu oficerskie, błyszczące. Nie było nad czym się zastanawiać. Pasowały jak ulał do nowych butów.

Z Krogulca do Wiersz, jeleni skok. Zameldowałem się z jeńcami u dowódcy zgrupowania w zagrodzie Aleksandra Biernackiego. Chorąży Noc przybył tam wcześniej, składał właśnie Dolinie relację ze zwycięskiej akcji.

* * *

Gdy skończył, zameldowałem dowódcy zgrupowania, że na rozkaz dowódcy kawalerii przyprowadziłem pięciu jeńców wziętych do niewoli.

Chorąży Noc nie omieszkął dodać, że wyróżniłem się w boju. Spojrzałem na niego podejrzliwie. Kpił? Czyżby nie zauważył jak mi ręce drżały, gdy przyłapał mnie sam na sam z tym Niemcem dryblasem, którego też tu przyprowadziłem? Chorąży jednak wcale nie kpił, a porucznik Góra uściślił mi rękę:

– Zasłużyłeś na pochwałę⁶ – powiedział. Odpaliłem jednym tchem:

– Ku chwale Ojczyzny panie komendancie! – I trzasnąłem nowymi ostrogami na nowych butach. (...)

Dowódca Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego porucznik Góra zwolnił jeńców, po zarekwirowaniu im umundurowania wraz z obuwiem, wręczając im na drogę „przepustki” o takiej mniej więcej treści:

„Najkrótszą drogą przez Nowy Dwór i Modlin do Berlina”.

⁶ *Pochwała ta „...Za czyny bojowe, odwagę i dzielne zachowanie w obliczu nieprzyjaciela w okresie od 23 czerwca 1944 roku do 10 sierpnia 1944 roku” została istotnie udzielona rozkazem dowódcy „Grupy Kampinos” por. Doliny Adolfa Pilcha. Niezależnie od tej pochwały pierwszy dowódca Grupy Kampinos kpt/plk Szymon Józef Krzyczkowski wystąpił z wnioskiem o odznaczenie srebrnym krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari, w którym czytamy m.in.: „odznaczał się męstwem w boju, zdecydowaniem i ofiarnością. W szczególności odznaczył się w boju pod Aleksandrowem w dn. 31 lipca 1944 r. Wysłany na patrol podkrał się do środka wsi i mimo wielkiego niebezpieczeństwa dokładnie ustalił rozłożenie sił opla, dzięki temu i przy Jego udziale, udało się w pełni zaskoczenie i likwidacja całej kompani hitlerowskiej, zdobywając wiele broni i amunicji. Rozkazem D-twa Grupy Kampinos z dnia 8.IX.1944 r. Nr 6 otrzymał pochwałę dwukrotnie i awans na st. ulana za dzielność i odwagę w obliczu opla.*

Za powyższe czyny i zasługi bojowe podałem st. ulana „Żbika” Mariana Podgórecznego o nadanie orderu Virtuti Militari V klasy”

Wiara zanosiła się ze śmiechu widząc ich drałujących boso, w samej bieliźnie „nach Berlin”. Ale że było ciepło, więc nie marzli. Porucznik Jastrząb zarekwirował niemieckie mundury dla nowych partyzantów – ochotników, którzy gromadnie ściągali do nas ze wszystkich stron.

Porucznik Góra zaraz po walce wysłał do kapitana Szymona następujący meldunek: *„Melduję, że 31 lipca wpłynęła wiadomość od ludności cywilnej, że w miejscowości Aleksandrów jest nieprzyjaciel. W wyniku akcji zabito 38 Niemców, 5 wzięto do niewoli, po czym wypuszczono. Zdobył – 34 kb, 1 rkm, 1 mp, 5 tys. sztuk amunicji, 36 par butów, plecaki. Dolina”*

W rzeczywistości straty niemieckie były znacznie większe. Miejscowa ludność przez wiele dni znajdowała w lesie, na łąkach i wśród łąków niezżętego zboża trupy Niemców, znosząc na partyzanckie kwatery znalezione broń i amunicję.

DWUKROTNE NATARCIE NA LOTNISKO BIELAŃSKIE

Rozkaz alarmowy o wyznaczeniu godziny „W” na dzień 1 sierpnia 1944 r. kapitan Szymon Józef Krzyczkowski otrzymał przebywając w Opaleniu, zaledwie na dwie godziny przed rozpoczęciem powstania w Warszawie, to jest o godzinie 15.00. Żołnierze VIII Rejonu punktualnie o tej godzinie mieli, zgodnie z wcześniejszą dyrektywą, uderzyć na lotnisko Bielańskie. W tym czasie oddziały porucznika Góry znajdowały się w odległości osiemnastu kilometrów od Opalenia. Komendant Szymon miał do wyboru: albo natychmiast, zgodnie z rozkazem, uderzyć na lotnisko siłami, które miał pod ręką, albo odroczyć akcję do następnego dnia, by ściągnąć doskonale uzbrojonych partyzantów nalibockich.

Komendant Szymon postanowił uderzyć już zmobilizowanymi siłami VIII Rejonu, które znajdowały się najbliżej lotniska. Jednocześnie rozesłał rozkazy jak najspiesniejszej koncentracji na wzgórzu 103 w miejscowości Łuże, nieopodal Leśnej Dąbrowy. Rozkaz do porucznika Góry brzmiał:

„Zaczynamy uderzenie o 17 godz. 1.08.44 tj. dziś. Natychmiast batalion piechoty plus dwa szwadrony kawalerii plus szwadron cekaem maszerują w rejon Łuże, wzgórza 93, 103, 96. Pierwszy szwadron za-

mknie szosę Warszawa–Modlin na wysokości Pieńkowa, wzgórze 85. Zadanie dla szwadronu zamykającego szosę – ubezpieczyć Warszawę od Modlina. Dla reszty oddziałów dalsze rozkazy w Łużach. Moje miejsce postoju Łuże, wzgórze 103”.

Ten sam rozkaz dotyczył również kapitana Karasia.

Uderzenie na lotnisko miał wykonać batalion Janusza Langer a w sile: dwa plutony ppor. Czarnego – Józefa Snarskiego, dwa plutony z 1 kompanii por. Zetesa – Zygmunta Sokołowskiego i dwa plutony 5 kompanii podporucznika Olszy.

Porucznik Zetes i podporucznik Olsza nie skończyli jeszcze pełnej mobilizacji, wobec czego w natarciu mogło wziąć udział tylko stu dziewięćdziesięciu żołnierzy uzbrojonych w karabiny, granaty, dwa ręczne i dwa ciężkie karabiny maszynowe.

Walka o lotnisko bielańskie trwała dwie godziny. Brawura i odwaga atakujących nie szła w parze z siłą ognia. Niemcy mieli druzgocącą przewagę. Obok broni maszynowej użyli artylerii. Nie mając szans powodzenia porucznik Janusz zarządził odmarsz na punkt koncentracji. Straty własne wyniosły pięciu zabitych, dwunastu ciężko i lżej rannych.

W godzinę po północy 2 sierpnia 1944 r. w miejscu koncentracji zebrały się wszystkie miejscowe oddziały VIII Rejonu, zaś o godz. 2.30 nadeszły oddziały nalibockie porucznika Góry. Kapitan Szymon wydał szczegółowy rozkaz do wykonaniu zadania:

„1. Bataliony piechoty porucznika Janusza i porucznika Dźwiga oraz szwadron ckm dokonają natarcia na lotnisko Bielany uderzając w kierunku przerwy między Młocinami a Placówką;

2. Chorąży Noc z dwoma szwadronami przetnie szosę Warszawa – Młociny na wysokości Burakowa i ubezpieczy działania na lotnisku od strony Łomianek,

3. Uderzenie na lotnisko rozpocznie się 2 sierpnia o godz. 3.30”.

W porównaniu z oddziałami miejscowymi Zgrupowanie Nalibockie było bez porównania lepiej uzbrojone, wszyscy strzelcy i ułani, w pełni umundurowani, wyglądali jak wojsko z 1939 r.

Według raportu porucznika Wyrwy – Bogdana Jaworskiego, adiutanta dowódcy VIII Rejonu, a następnie dowódcy pułku „Palmiry – Młociny”, por. Adolfa Pilcha, który od 3 sierpnia zmienił pseudonim „Góra” na „Dolina” stan oddziałów nalibockich przedstawiał się wtedy następująco:

– Batalion piechoty nalibockiej pod dowództwem porucznika Dźwiga – Witolda Pelczyńskiego, który posiadał 6 ckm, 22 lekkie i ręczne karabiny maszynowe, 7 granatników, 22 pistolety maszynowe, 360 karabinów różnych, 41 pistoletów, 400 granatów i 4 raketnice.

– Dywizjon kawalerii chorążego Nocy – Zdzisława Nurkiewicza z uzbrojeniem: 15 lkm i rkm, 18 pm, 221 kb, 66 pistoletów, 133 granaty, 41 tysięcy sztuk amunicji,

– Szwadron cekaem, późniejszy dywizjon 23 pułku ułanów grodzieńskich: 3 ckm, 2 rkm, 2 lkm.

Zgrupowanie Nalibockie dysponowało ponadto 617 końmi, 200 wozami, 15 taczankami i 6 kuchniami polowymi.

W skład dywizjonu (przekształconego następnie w pułk) kawalerii wchodziły cztery szwadrony w składzie: 1 szwadron pod dowództwem starszego wachmistrza Dęba – Jana Jakubowskiego (78 podoficerów i szeregowych), 2 szwadron pod dowództwem wachmistrza Szarego – Józefa Niedźwieckiego, o tej samej sile, 3 szwadron pod dowództwem wachmistrza podchorążego Suma – Narcyza Kulikowskiego (78 podoficerów i szeregowych) i 4 szwadron pod dowództwem porucznika Jara – Aleksandra Pietruckiego w sile 1 oficer i 36 podoficerów i szeregowych.

Natomiast w skład batalionu 78 pułku piechoty strzelców śluckich wchodziły trzy kompanie: 1 kompania pod dowództwem ppor. Dana – Franciszka Baumgarta, 2 kompania pod dowództwem ppor. Strzały – Witolda Lenczewskiego, 3 kompania dowodzona przez ppor. Helskiego Jerzego Piestrzyńskiego o łącznym stanie liczebnym: 12 oficerów, 53 podoficerów i 360 szeregowych.

Spośród miejscowych oddziałów dokładny stan ludzi i uzbrojenia ujawnił tylko kapitan Karaś – Ignacy Jezierski. Jego kompania składała się z 2 oficerów, 40 podoficerów i 125 szeregowych z uzbrojeniem 76 karabinów, 5 cekaem, 1 rkm, 6 pistoletów i 117 granatów.

Dowództwo nad całością objął kpt. Szymon, mając przy sobie porucznika Górę – Adolfa Pilcha i wspomnianego już adiutanta porucznika Wyrwę – Bogdana Jaworskiego.

Wśród żołnierzy mówiono, że właśnie na lotnisku bielańskim mają wylądować samoloty alianckie z dywizją generała Maczka, dlatego należy je zdobyć za wszelką cenę. Zadanie to było tym razem raczej niewykonalne, gdyż po pierwszym natarciu załoga lotniska na pewno dobrze przygotowała się do obrony i na jej zaskoczenie nie można było co liczyć.

Przed akcją do pododdziałów przemówił kapitan Szymon:

– Nadeszła powszechna chwila odwetu. Za parę godzin zaczniemy śmiertelnemu i odwiecznemu wrogowi płacić za czas pohańbienia i wyniszczania nas, za czas zniewag i najstraszliwszych cierpień. Czas zemsty bliski...

Kapitan przypomniał Pawiak, Aleje Szucha, Oświęcim, Majdanek, wspominał o pobliskich Palmirach i o tym, że na tych wzgórzach, gdzie teraz stali, Niemcy rozstrzeliwali polskich zakładników. Największe wrażenie wywołało potwierdzenie wiadomości, że zdobycie bielańskiego lotniska umożliwi desant aliancki.

W kilka minut po przemówieniu oddziały ruszyły. Po przejściu około dwóch kilometrów zatrzymały się na krótki odpoczynek. Na odprawie oficerów, kapitan Szymon jeszcze raz określił zadanie:

– zdobyć bielańskie lotnisko broniące przez około 700 żołnierzy niemieckich, gniazda ckm-ów, artylerii przeciwpancernej i przeciwlotniczej, także przez samoloty.

W tym samym czasie, komendant II Obwodu AK Żoliborz, obejmującego tereny Warszawy–Północ ppłk Żywiciel – Mieczysław Niedzielski po opuszczeniu z większością swych oddziałów Żoliborza i Bielana zbliżył się do odległego o kilka kilometrów Sierakowa. Kapitan Szymon oczywiście o tym nie wiedział, a nawet takiej ewentualności nie brał pod uwagę. Wydał więc rozkaz do natarcia.

Zaczynało świtać, siąpiący dotąd deszcz w ciągu nocy przekształcił się w ulewę.

Według kapitana Szymona – Józefa Krzyczkowskiego, który szczegółową relację z tej akcji przedstawił w swej książce pt.: „Konspiracja i powstanie w Kampinosie 1944 r.” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1962) walka o lotnisko bielańskie miała następujący przebieg:

– Już było widać posuwające się o różnym stopniu sprawności dwa bataliony. Batalion porucznika Janusza szedł szybko, tu i ówdzie widać było podbiegających żołnierzy, lecz szyk nie był zbyt prawidłowy, raczej luźna masa ludzka idąca w pewnym rozproszeniu przed siebie. Ani odstępy, oni zwartość sekcji i drużyn nie przypominały tego, czego żądał regulamin. Ale mimo to z ich postawy i wyrazu twarzy łatwo rozpoznać, że spieszą im dorwać się do Niemców. Inaczej szedł batalion porucznika Dźwiga. Dał on odpowiedni rozkaz i z kolumny marszowej powstał

luźny, foremny i prawidłowy czworobok z właściwymi odstępami. Radośnie biło mi serce, bo oto jeden z oddziałów wykazywał sprawność żołnierską i obeznanie z bojem. W przeciwieństwie do drugiego, pospiesznie i chaotycznie rwącego się do walki – choć zwawo i z ogniem bojowego zapалу. (...) Nasilenie ognia świadczyło, że trafiliśmy nie na czujki czy patrole, lecz na zorganizowaną linię oporu. Wczoraj oddziały Janusza zetknęły się z Niemcami przed Placówką, atak wykonany był wtedy z zachodu. Teraz, gdy nacieraliśmy z północy okazało się, że w analogicznej odległości od lotniska rozmieszczono liczne gniazda oporu niemieckiego.

Z kilku punktów od strony Placówki i bardziej w lewo, lecą na nas roje kul. Niemcy strzelają świetlnymi pociskami, więc widać jak godzą one smugami w naszą linię. Terkocze zajadle niemiecka broń maszynowa. Bez wątplenia przeciwnik jest przygotowany do obrony lotniska. Potwierdza się moje przypuszczenie, że trzeba będzie je zdobywać w twardej, krwawym zmaganiu ... Porucznik Dźwig wydaje rozkaz posuwania się naprzód dwu swoim kompaniom z pierwszej linii. Cała linia przebywa kilkadziesiąt metrów i pada, bo ogień staje się coraz silniejszy. Teren ataku równy jak stół, gdzieniegdzie jeszcze stoją mendle zbóż, lecz nie chronią one przed kulami, są zbyt rzadkie, by można pod ich osłoną posuwać się do przodu.

Batalion prawoskrzydłowy rozpoczyna więc normalną walkę ogniową. Padają rozkazy: – cekaemy na linię!

Karabinowi wybiegają przed obsługę swojej broni i szukają odpowiednich stanowisk. Nie jest im trudno znaleźć miejsca, z których widać przedpole, lecz trudno wyszukać stanowiska dającego osłonę przed pociskami wroga. Po chwili na całej linii ruch – to obsługi cekaemów wezwane przez karabinowych biegną naprzód. Najczęściej widać jak dwu żołnierzy ciągnie za sobą na kółkach “Maximy” radzieckiej produkcji. Tu i ówdzie chłopcy niosą broń maszynową innych systemów.

Niemiecki ogień wzrasta. Wreszcie i nasze cekaemy rozpoczynają ogień. Strzelają jednak tylko “na kierunek” ogniem posiewowym, nie mogąc ustalić dokładnego położenia niemieckiej broni maszynowej i skoncentrowanym snopem ognia przytłoczyć niemieckich cekaemistów. Ogień nasz nie może więc być zbyt celny, lecz dla nacierających strzelców takie ogniowe wsparcie ma duże psychiczne znaczenie – łatwiej wtedy iść naprzód. Znowu nasza linia posuwa się skokami.

I w tym czasie nieco z prawa w skos, gdzieś blisko przed naszą linią, na wysokości prawoskrzydłowej kompanii porucznika Helskiego odzywa się nowe gniazdo niemieckiej broni maszynowej. Dwa szybkostrzelne cekaemy biją z flanki. Gwiżdżą teraz kule nie na żarty. Niemcy strzelają wytrwale i celnie. Po chwili nie tylko kule karabinowe przytłaczają naszych do ziemi. Słychać silne strzały, świst i wybuchy tuż koło naszej linii. Z tego samego punktu niemieckiego oporu, co chwila, szybkostrzelne działko wyrzuca w naszą stronę całe serie pocisków artyleryjskich. Przez pewien czas nie sposób rozpoznać, jaki rodzaj broni tak nam dokucza i uniemożliwia posuwanie się. Lecz słychać, że zarówno szybkostrzelne cekaemy, jak i działko nie strzelają stale z tego samego miejsca. Zdaje się nam, że gniazdo ognia przesuwa się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zalegająca przed nami mgła nie pozwala jednak ustalić, jaka jest tego przyczyna. Dopiero po kilku minutach stwierdzamy, że mamy przed sobą niemiecką broń pancerną. Nie słyszymy ryczących motorów czołgowych – musi to zatem być samochód pancerny. Trzeba koniecznie go zniszczyć, obejść z boków lub podkraść się z przodu i granatami albo butelkami zapalającymi zmusić do milczenia. Inaczej nie zdołamy dotrzeć do lotniska bez większych strat.

Pojedynek ogniowy między niemieckim samochodem pancernym a najbliższymi drużynami pierwszej naszej linii przybiera na sile. Po tyralierze poszedł rozkaz:

– Obejść samochód pancerny z prawo!

Nie od razu, lecz po kilku minutach ze strzałów po prawej stronie można się zorientować, że pojedynczy strzelcy wykonują rozkaz. Trwa to jednak długo, widać Niemcy skutecznie przeciwdziałają okrążeniu. Mijają minuty za minutami, sytuacja nie ulega zasadniczej zmianie...

Stałem wtedy ze swym poczem na lewym skrzydle batalionu porucznika Dźwiga. I ja starałem się rozpoznać odległość dzielącą nas od Niemców, próbowałem przebić zasłonę mgły lornetką. O sto metrów już nie było nic widać, tylko mleko mgły. Dalej o kilometr majaczyły drzewa na Placówce, lecz tuż nad ziemią wszystko zasłaniało mgła.

Poszły rozkazy, by posuwać się skokami i dalej nacierać mimo ognia nieprzyjaciela. Ciężko idzie natarcie. Gdy tylko w jakimś miejscu odebrało się po kolei kilku strzelców, ogień z dokuczliwego, jakby nowego, silnego punktu oporu przygważdża naszych do ziemi. Porucznik Dźwig

daje rozkaz, by podciągnąć bliżej linii moździerze i spróbować niszczyć gniazdo niemieckie. Po kilku minutach obsługa moździerzy znajduje odpowiednie stanowiska i melduje gotowość do rozpoczęcia ognia. Lecz można strzelać tylko w kierunku głosu i dźwięku, oczy nie na wiele się przydają, zaś skutek strzałów jest niepewny.

Czas uciekał, minęła już chyba godzina ogniowej walki, nasi mimo wielu prób posunęli się ledwie dwieście metrów i nie mieli możliwości atakowania dalej. Dałem moździerzom rozkaz rozpoczęcia ognia. Wyrzuciono kilka razy, słychać nad naszą linią charakterystyczny świst pocisku i gdzieś w liniach lub tuż obok linii niemieckich odgłos wybuchów. Licho wie, jaki dają skutek. Lecz zapewne dziwi to Niemców, że partyzanci mają ciężką broń piechoty ...

Zdecydowałem się wzmocnić atak odwodową kompanią. Dałem odpowiedni rozkaz porucznikowi Dźwigowi. Po pewnym czasie przedłużyła ona lewe skrzydło nacierających dwu kompanii Dźwiga. Kompania ta miała obejść z lewa najdokuczliwsze niemieckie gniazdo oporu i zmusić je do milczenia lub ucieczki. Prawoskrzydłowa kompania porucznika Helskiego obejdzie to samo gniazdo z prawej strony. Rozpoczęła się zatem nowa faza walki. Gdy tylko odwodowa kompania weszła do linii i poszła naprzód skokami – cały ogień broni maszynowej i artylerii skupił się na niej. Z dokuczliwego punktu oporu posypały się salwy pocisków z działek...

Z dwu stron słychać wołanie sanitariuszy. Grupki żołnierzy wyciągają z linii rannych. A strzelcy działek i broni maszynowej widzą wszystko i siekają po tych grupkach z niemiecką systematycznością. Śmiertelnie ranni zostają m.in. żołnierze Aleksander Sieńko i Stanisław Kuryłło z 3 kompanii...

Natarcie nadal trwało, lecz tempo jego ciągle się zwalniało. Wtedy zjawił się koło mnie porucznik Góra. Przybiegł z prawego skrzydła i powiadomił, że kompania Helskiego posuwa się jednak naprzód. Był to niezwykle sprawny i dzielny dowódca i można było mieć pewność, że wykona swoje zadanie. Porucznik Góra widział jak rozpoczynało się w tej kompanii obejście samochodu pancernego. Zapewniali mnie, że gdyby tylko nasi mogli wziąć na cel ten samochód, to prędko się z nim uporają, mają przecież trochę pocisków przeciwpancernych, granaty obronne i butelki zapalające. Opowiadał mi z uśmiechem jak żołnierz tej kompanii, 15-letni Mały z krótkim karabinkiem kawaleryjskim wyko-

nywał skoki, by wyprzedzić innych i dotrzeć jako pierwszy w pobliże samochodu. Porucznik Góra był dobrej myśli...

Góra w brezentowej zielonej pelerynie z dyndającym na piersiach pistoletem maszynowym zawieszonym na szyi biegnie truchcikiem na lewo. Nic sobie nie robi z gwizdzących dokoła kul. Po pewnym czasie znika mi z oczu we mgle...

Zobaczyliśmy nisko nad ziemią szare kadłuby samolotów i skrzydła z czarnymi krzyżami. Leciało ich kilkadziesiąt na wschód. Maszyny transportowe i bombowce, przemknęły też samoloty pościgowe. Ledwo przeleciały nad nami, przygniatając nas do ziemi i bijając w zaległą tyralierę, już pierwsze z nich wracały na zachód. Znowu przeleciały nad nami nisko i ciężko. Widzieliśmy ich powietrzne skoki w górę i w dół, widać trudno im było pokonywać przeciwny wiatr.

Każdy z nas przytulił się do ziemi, a chciałby wgłębić się w nią jak najbardziej, by zlać się z jej barwą i płaszczyzną. Gdyby samoloty zaczęły wtedy bombardować naszą linię i sieć z broni pokładowej – niewiele by nas zostało. Leżeliśmy na otwartym polu, kryjąc się tylko w redlinach ziemniaków, wśród których mieliśmy stanowiska. Lecząca mgła – tak nam przed chwilą doskwierająca, że kleliśmy ją każdy na swój sposób – skryła nas przed okiem obserwatorów lotniczych. Samoloty jednak odleciały, dopiero później, gdy mgła całkiem opadnie, znów kilka z nich przyleci, by razić naszych z góry.

Ważniejsze były jednak sprawy przyziemne i wnet zapomnieliśmy o tych powietrznych. Piechota i artyleria niemiecka przywróciły naszą uwagę gdzie należy. Przystąpiłem znowu do poderwania najbliższych oddziałów. Żołnierze zaczęli skokami, pojedynczo lub sekcjami przeć naprzód. Niedługo im przewodziłem. Najpierw odłamek pocisku strzaskał mi łaskę trzymaną w garści, która była moją maskotką przez cały czas wojny, a po kilku minutach dostałem w nogę pociskiem z cekaemu tak skutecznie, że piszczel została strzaskana. Skończyło się moje bezpośrednie dowodzenie, nie mogłem się już ruszać...

Zginął porucznik Helski – Jerzy Piestrzyński, ranny w twarz zostało podporucznik Nowina – Mikołaj Stecki. Okrzyki: „jestem ranny, sanitariusz!” coraz częściej dawały znać o stratach.

Na prawym skrzydle, batalion porucznika Dźwiga–Witolda Pełczyńskiego mimo wzmocnienia pierwszej linii całością odwodów i mimo wielu prób nakazanych przez porucznika Górę, nie mógł zgnieść niemieckiej

obrony. Kompanii porucznika Strzały – Witolda Lenczewskiego udało się jednak zniszczyć samochód pancerny. Odważni strzelcy tak długo się skradali, że wreszcie mgła przestała im go przesłaniać. Rozpoczęli atak pociskami przeciwpancernymi z karabinów. Nie była to zbyt skuteczna broń na pancerną osłonę samochodu, lecz wystarczająca, by osłabić ostrzał karabinu maszynowego, który siał w naszych szeregach spustoszenie. (...)

Sanitariusz Tank – Józef Kuźmiński ze szpitala polowego w Krogulcu wspomina ten fragment walki:

– Szedłem z porucznikiem Strzałą i chłopcami z jego 2 kompanii wprost na „pancerkę”. Byliśmy może w odległości około stu metrów od samochodu, gdy Strzelec Jan Dzienis z Dajnowa⁷, który wraz z obsługą granatnika dźwigał na plecach nasze „działo”, rozstawił je nie zamaskowując, w otwartym polu i ładując pocisk powiedział ni to do siebie, ni to do Strzały:

– Stąd go chyba dostanę.

Żałoga samochodu czuła się bezkarna. Pancerniacy ostentacyjnie ignorowali atakujących, wychylając się po pas poprzez właz z otwartą klapą.

I w ten właśnie otwarty właz wpadł pierwszy wystrzelony przez Dzienisa pocisk trafiając wprost w składnicę amunicji wewnątrz samochodu, roznosząc doszczętnie całą załogę i niszcząc „pancerkę”.

– Tak i doegrali się – powiedział Janek, zwijając stanowisko granatnika.

Natarcie ruszyło dalej. (...)

Już po wojnie, w 1945 roku późniejszy lekarz, pan Józef Kuźmiński oglądał w pobliżu lotniska bielańskiego pogruchotany i wypalony wrak niemieckiego samochodu pancernego rozniesiony pierwszym celnym pociskiem Janka Dzienisa.

Powróćmy jednak do relacji kapitana Szymona – Józefa Krzyczkowskiego:

– W miarę przedłużania się natarcia Niemcy powoli lecz zdecydowanie uzyskiwali przewagę nad atakującymi. Nad batalionem ppor. Dźwiga przeleciało kilka pościgowych samolotów niemieckich. Zatoczyły krąg i z koszącego lotu biły z broni pokładowej. Już więc nie tylko z ziemi,

⁷ *Strzelec Jan Dzienis z 2 kompanii 78 pp poległ w dniu 15 września 1944 r. w boju na PW Czerniaków, obsługując ten sam granatnik.*

ale i z powietrza pokrył batalion ogień cekaemów i działek. Było już po godz. 6.00. Mgła nie stanowiła teraz obrony przed nieprzyjacielem. Ranek przemienił się w dzień. Ataki z powietrza nie przyniosły wprawdzie większych strat, lecz działały – jak zawsze – deprymująco na bezbronnych piechurów. Nie mieliśmy przecież ani działek przeciwlotniczych, ani nawet broni maszynowej odpowiedniej do zwalczania lotnictwa. Na szczęście samoloty po kilkunastu atakach odleciały. Znowu więc sły-chać było tylko zaciętą walkę ogniową na lądzie. Nasze moździerz wy-puszczały od czasu do czasu swe pociski. Teraz było już widać, że nasi biją celnie w linie niemieckie. Po zrywaniu się Niemców do ucieczki z miejsc, w których wybuchały granaty moździerzowe można było są-dzić, że obsługa dobrze celuje i zadaje wrogom straty. Lecz nadal nie można było tutaj uzyskać przewagi ogniowej, a bez niej trudno liczyć na sukces.

W tym czasie z 2 kompanii polegli: wachmistrz Mieczysław Do-lecki, starszy strzelec Ochota – Stanisław Wychód i strzelec Piła – Stani-sław Piekarski.

Porucznik Góra już od pewnego czasu spoglądał w lewo w tył. Z tamtej strony dały się słyszeć odgłosy strzałów, broń maszynowa ter-kotała długimi seriami. Gruchotanie wszelkiego rodzaju lekkiej broni piechoty nie milknie, przeciwnie – nabiera mocy i widać, że toczy się tam zacięta walka. (...) Porucznik Góra musiał podjąć ostateczną decy-zję. Nie widział możliwości przełamania obrony niemieckiej, nie miał też sił, by ubezpieczyć się dodatkowo od tyłu, nie pozostawało więc nic innego, jak zarządzić odwrót. Wydał odpowiednie rozkazy. Powoli, sek-cjami oddziały wycofały się do zarośli i zagajników. Niemcy nie przeja-wiali chęci pościgu, można więc było cofać się bez zdenerwowania, tyl-ko pociski z broni maszynowej i dział długo ścigały naszych. W tym samym mniej więcej czasie rozpoczął się odwrót batalionu porucznika Janusza, choć już bez niego... On, jak wielu innych żołnierzy pozostał na polu walki. Nie mogliśmy zabrać zwłok poległych powstańców...

Do relacji kapitana (pułkownika) Szymona – Józefa Krzyczkowskie-go, ówczesny dowódca 2 kompanii, a następnie dowódca II batalionu pie-choty pułku „Palmiary–Młociny” podporucznik (pułkownik) Strzała – Witold Lenczewski, przedstawił autorowi „Doliniaków” następujące uwagi:

– Przebieg i opis walk o lotnisko bielańskie, według relacji kapita-na Szymona – Józefa Krzyczkowskiego, zawiera pewne nieścisłości

i nie zawsze trafne wnioski. I tak. Wejście na podstawy wyjściowe do natarcia było opóźnione z nieznanых przyczyn, co najmniej o pół godziny. Mgła opadła wcześniej. Kompanie pierwszego rzutu: druga, pod moim dowództwem i trzecia podporucznika Helskiego, mimo szybkiego marszu w szykach bojowych, były jeszcze w odległości 500–800 metrów od stanowisk bojowych Niemców, gdy mgła opadła i zabłysło wschodzące słońce, a więc nie doszły na odległość 100–150 metrów, by dokonać skutecznego ataku. Kompanie zmuszone były nacierać na taką odległość w odkrytym terenie, pod zmasowanym ogniem nieprzyjaciela.

Nie mieliśmy ciężkiej broni dla obezwładnienia środków ognio-
wych nieprzyjaciela i prowadzone w tych warunkach natarcie nie mogło być skuteczne. Przeprowadzenie natarcia całością sił (dwa bataliony) na jednym kierunku, umocnionego nieprzyjaciela w obronie było błędem. Na lotnisko należało nacierać jednocześnie z kilku kierunków, z wykorzystaniem zaskoczenia pod osłoną nocy i dokładniejszym rozpoznaniu rozmieszczenia środków ognio-
wych nieprzyjaciela. Tego należało oczekiwać od Komendy VIII Rejonu, której głównym zadaniem na okres „Burzy” było opanowanie lotniska bielańskiego.

Na prawym skrzydle batalionu nacierała 2 kompania, moja, a nie trzecia, jak podaje kapitan Szymon. 2 kompania, a szczególnie jej I pluton i spieszony zwiad na prawym skrzydle, od początku były wysunięte do przodu i najbardziej narażone na celny ogień kaemów, artylerii oraz niemieckich strzelców wyborowych. Został zabity dowódca zwiadu, wachmistrz Mieczysław Dolecki (łódzianin, uciekł z organizacji Todt spod Mińska do naszego zgrupowania w Puszczy Nalibockiej), a także st. strz. Ochota – Stanisław Wychód z Rakowa, został ciężko ranny mój zastępca podporucznik Nowina – Mikołaj Stecki i jeszcze kilku żołnierzy z kompanii, rozbita została pociskiem artyleryjskim taczanka ckm-u, został kontuzjowany st. strz. Grot – Jerzy Sikorski z jej obsługi.

Rzekoma mgła, o której wspomina kapitan Szymon („przebić osłonę mgły lornetką”), miała miejsce po godzinnej walce. W rzeczywistości była to gęsta mżawka z nawisłych chmur. (...)

UŁANI ATAKUJĄ

W tym samym czasie, gdy piechota prowadziła natarcie na lotnisko bielańskie, spieszone szwadrony 27 pułku ułanów ubezpieczające szosę Modlin – z powodzeniem zaatakowały niemieckie kolumny samochodowe. Pod Pieńkowem 3 szwadron pod dowództwem wachmistrza podchorążego Suma Narcyza Kulikowskiego zniszczył 12 samochodów niemieckich, zabijając 28 żołnierzy SS i Wehrmachtu, przekazując do kwatermistrzostwa 16 zdobytych karabinów, 3 pistolety maszynowe i amunicję.

Kapral z cenzusem Pogoń – Stanisław Piszczyk wspomina:

– W tym samym czasie, gdy piechota zajmowała pozycje wyjściowe do natarcia na polowe lotnisko bielańskie, nasz trzeci szwadron, pod dowództwem wachmistrza podchorążego Suma – Narcyza Kulikowskiego, dotarł około drugiej w nocy w okolice Pieńkowa, z zadaniem zamknięcia od strony Modlina szosy wiodącej do Warszawy. Mieliliśmy powstrzymać ewentualne posiłki Niemców dla atakowanych przez naszą piechotę ich kamratów na lotnisku bielańskim.

Na skraju lasu nasz szwadron został spieszony, pozostawiając swe konie przy koniowodnych w małej kotlinie przed szosą Modlin – Warszawa, na wysokości Pieńkowa. W ulewnym deszczu ułani zajmowali stanowiska ogniowe. Rozkaz dowódcy szwadronu brzmiał:

– Wstrzymać do godziny ósmej zero, zero wszystkie oddziały nieprzyjaciela zmierzające w kierunku Warszawy.

Przed świtem ulewa z wolna przechodziła w mżawkę. Niebo nieco się rozjaśniło, gdy na szosie ukazał się samochód osobowy. Dowódca sekcji LKM z II plutonu kapral Osa – Stanisław Borusewicz odczekał, aż limuzyna wjedzie w pole ostrzału jego lekkiego karabinu maszynowego i gdy to się stało, kazał otworzyć ogień po kołach pojazdu. Po krótkiej serii samochód gwałtownie skręcił, zatrzymując się w rowie. Zdezorientowani Niemcy wyskoczyli na szosę wołając:

– Nicht schissen! Nicht schissen, hier Deutsche! – Nie strzelać, nie strzelać, tu Niemcy! A jeden z nich, biorąc nas widocznie za własowców, wołał po rosyjsku:

– Nie strzelać, my Niemcy.

LKM Osy wprawdzie umilkł, ale w tej samej chwili posypały się strzały z broni maszynowej i karabinów wszystkich trzech plutonów.

Załoga samochodu: dwóch w mundurach Wehrmachtu: kapitan i kierowca oraz pozostali trzej cywile zginęli na miejscu. Nakazano nam dokładne przeszukanie samochodu i zabitych, w wyniku czego znaleźliśmy ważne, jak się później okazało, dokumenty.

Zrobiło się zupełnie jasno, gdy od Modlina nadjechały samochody, tym razem transportowe, z żołnierzami Wehrmachtu i SS, ale w niewielkich kolumnach, po kilka maszyn. W huraganowym ogniu całego szwadronu, Niemcy nie mieli szans przeżycia.

W całym szwadronie byłem jedynym, który potrafił prowadzić samochód, miałem nawet prawo jazdy, co wykorzystał wachmistrz każąc mi zabarykadować przestrzelonymi pojazdami szosę, co też uczyniłem.

Szwadron zatrzymując w walce kolejne samochody nieprzyjaciela zmuszony był przesuwać się w kierunku Modlina, zajmując nowe stanowiska ogniowe. Mój LKM był najbardziej wysunięty do przodu, z zadaniem ryglowania odwrotu ewentualnym niedobitkom. Już dawno minęła godzina ósma, dochodziła już prawie dziesiąta, gdy pojawił się pierwszy samochód pancerny, jednak ostrzelany, niebawem się wycofał. Wkrótce od strony Modlina zauważyliśmy w odległości kilometra czołg, Panterę. Szwadron wycofywał się już od kilkunastu minut. W sekcji pozostało nas dwóch, ja i taśmowy Warszawiak – Eugeniusz Marcinkiewicz. W akcji tej zginął celowniczy LKM Alba – Kazimierz Miron, ciężko ranny został II taśmowy Mieczysław Miecznikowski. Tymczasem mieliśmy do zabrania oprócz lekkiego karabinu maszynowego typu „maxim”, chłodzonego wodą, który wcale takim „lekkim” nie był, osiem skrzynek z amunicją. Do lasu, gdzie zostawiliśmy konie było około półtora kilometra. Pomógł nam w przeniesieniu sprzętu dowódca II plutonu Kaszub – Brunon Dawidowski, który, jako ostatni ze swego plutonu opuszczał stanowisko. (...)

Istotnie, w akcji pod Pieńkowem największe straty poniosła sekcja kaprala Stanisława Piszczka. Ponadto ranny został dowódca 2 sekcji I plutonu kapral Żybul – Leon Cywiński.

Podobny do 3 szwadronu sukces odnieśli też pod Burakowem, osłaniający szturm piechoty na lotnisko bielańskie, ułani ze szwadronów pierwszego, wachmistrza Dęba – Jana Jakubowskiego i czwartego porucznika Jawora – Aleksandra Pietruckiego, dowodzeni przez dowódcę 27 pułku ułanów chorążego Noc – Zdzisława Nurkiewicza. Tam zniszczono 4 samochody, zabijając ośmiu Niemców, bez własnych strat.

Po akcji na lotnisko dowódca pułku por. Góra – Adolf Pilch meldował:

„W dniu 2 VIII 44 w natarciu na lotnisko batalion poniósł następujące straty: zabitych 7, zaginionych 2, kilkunastu ciężej i lżej rannych. Zginął dowódca 3 kompanii porucznik Jerzy Helski. Ilości zabitych Niemców nie ustalono, prawdopodobnie kilkunastu, spalono samochód pancerny, zdobyto 3 KB, 1 rakietnicę i torbę z rakietami. Nastrój w oddziale bardzo dobry”.

Natarcie na lotnisko bielańskie zostało wprowadzie przez Niemców odparte, lecz nie oznaczało to, że zakończyło się ono fiaskiem. Przeciwnie. Niemcy obawiając się kolejnych ataków polskich oddziałów zlikwidowali lotnisko nazajutrz, zburzyli hangary, a pasy startowe zaorali, zabezpieczając je minami.

Była to pierwsza i jedyna akcja z udziałem „Doliniaków” w czasie ich dwumiesięcznego pobytu na odbitych Niemcom terenach w Puszczy Kampinoskiej, niewieńczona pełnym sukcesem. Przez cały ten okres, tocząc niemal dzień, w dzień walki zaczepne i obronne z niemieckim okupantem partyzanci z Puszczy Wojskiego i żołnierze miejscowej konspiracji odnosić będą same zwycięstwa.

Po walce o lotnisko bielańskie nastąpiło dalsze znaczne zmniejszenie stanu oddziałów całego VIII Rejonu. Po śmierci porucznika Janusza – Janusza Langnera, w czasie walk o lotnisko jego batalion podporządkował sobie kapitan Dulka – Mieczysław Nowosad, który w zależności od ilości ludzi uzbrojonych, miał sformować trzy lub cztery kompanie.

PSIE POLE

Noc z 2 na 3 sierpnia 1944 roku minęła spokojnie. Partyzanci bez przeszkód zjedli śniadanie, ułani przystąpili do oporzędzania koni.

Przed południem 3 sierpnia 1944 r. porucznik Góra otrzymał meldunek, że do wsi Truskawka zbliżają się Niemcy. Natychmiast zarządził alarm bojowy 1 kompanii pod dowództwem por. Dana – Franciszka Baumgarta, 3–ciej pod dowództwem sierżanta Opończy – Waleriana Żuchowicza, który przejął dowództwo po śmierci ppor. Helskiego – Jerzego Piestrzyńskiego. Jednocześnie dowódca 3 szwadronu wachm. pchor. Sum – Narcyz Kulikowski otrzymał rozkaz okrążenia Niemców w okolicach wzgó-

rza 95. O kontrataku na Niemców pod Truskawką wspomina wachm. pchor. Grom – Józef Bylewski, dowódca zwiadu konnego przy 2 kompanii:

– Znaczną część dnia 3 sierpnia 1944 roku spędziliśmy w Wierszach na czyszczeniu broni, suszeniu odzieży i wypoczywaniu po trudach dnia poprzedniego. Wieś zaległa błoga cisza i spokój. Lecz gdy było już dobrze po południu – zaczęło się coś dziać w pobliżu nas. Najpierw usłyszeliśmy pojedyncze strzały w okolicy wsi Truskawka, w której zakwaterowała część chłopaków z miejscowego batalionu. Potem wypadł z lasu jakiś ułan i jak strzała pomknął przez wieś. Następnie przygalopował konny łącznik od porucznika Góry do sierżanta Opończy. Ten natychmiast zarządził alarm. 3 kompania ze swym zwiadem konnym, lecz akurat bez koni, stanęła pod bronią, a dowódca poprowadził ją w kierunku Truskawki. W czasie marszu poinformował nas, że koło tej wsi pojawiła się kompania Niemców. Mamy ją rozbić. Usłyszeliśmy znowu kilka wystrzałów. Posuwaliśmy się w dość luźnym szyku, przez łąki i pola, przystając wreszcie na skraju lasu, na południe od Truskawki. Opończa wysłał do lasu patrole rozpoznawcze, a kompania rozwinęła się w tyralierę stojąc w miejscu. Mój zwiad tym razem znajdował się w środku kompanii. Strzały umilkły, zapanowała głęboka cisza. Po chwili ujrzelśmy przesuwającą się obok nas pierwszą kompanię. Na jej czele kroczył porucznik Dan, a za nim długim rzędem jego partyzanci. Niebawem ten ruchomy sznur zbrojnych ludzi zanurzył się w las na prawo od nas i znikł nam z oczu.

Nagle gdzieś w głębi lasu rozległy się strzały. Kompania całą tyralierą ruszyła szybkim krokiem w ich kierunku. Strzelanina wzrosła. Pojedyncze strzały przechodziły w terkot karabinów maszynowych. Kompania przeszła do biegu. Chłopcy pędzili szybko naprzód, skacząc przez krzaki jak jelenie. Byłem lekko ubrany, ale duże, ciężkie i dziurawe saperki uwierały mnie w stopy. Biegłem więc, utykając, jak kulawy koń. Ogień nieprzyjaciela wciąż wzrastał, a my byliśmy coraz bliżej Niemców. Jeszcze chwila – i kompania padła na ziemię otwierając ogień. Przystąpiliśmy do natarcia. Prawdłowo, regulaminowo. Prawe skrzydło prowadziło ogień, a lewe poderwało się mknąc do przodu. Po kilkunastu krokach padło rozpoczynając strzelanie. W tym czasie prawe skrzydło wrywało się naprzód. I tak na zmianę. Przewaga była wyraźnie po naszej stronie. Niemcy nie wytrzymali naszego parcia, wycofując się jednak bez paniki. My za nimi. Zatrzymali się i znowu wygarnęli ogniem do

nas, więc i my do nich, znów odskoczyli, znów my za nimi. Regulamin poszedł w ką. Każdy nacierał jak sam uważał za stosowne. Podniecenie walką wzrastało, chłopcy nie zwracali już uwagi na własne bezpieczeństwo. Nikt nie padał przy oddawaniu strzałów, co najwyżej przyklękał i „bił z kolana” – jak to nazywano. Wielu strzelało stojąc.

Wtem usłyszałem, jak ktoś obok mnie woła: „oberwałem!” Spojrzałem w tę stronę, był to starszy ułan Kazimierz Aszurkiewicz. Zachwiał się, wypuścił karabinek z rąk i upadł na wznak. Doskoczyło do niego dwóch zwiadowców, my popędziliśmy dalej siejąc ogniem przed siebie. Po chwili dwaj zwiadowcy dogonili nas wołając zdyszczym głosem, że Aszurkiewicz zabity. Chłopców opanowała furia, poszli dalej jak wichher. Niemcy nie byli w stanie powstrzymać takiego natarcia. Cofali się prawie bez przerwy pozostawiając na polu walki ciała poległych towarzyszy. Ich ogień wyraźnie słabł, stawał się chaotyczny. Naraz usłyszałem przejmujący jęk i o jakieś dwadzieścia kroków do tyłu dostrzegłem przy drzewie leżącego naszego piechura. Dobiegłem do niego. Dostał w pierś, kula przeszła go na wylot, silnie krwawił.

– Nie zostawiajcie mnie tutaj – błagał.

– Nie bój się, nie zostawimy...

Wśród drzew mignęły białe fartuchy sanitariuszek, spostrzegły ranego, podbiegły i zajęły się nim. Ja popędziłem tam, gdzie toczyła się walka, gdzie Niemcy cofali się już na dobre. Rzadko który z nich odwracał się jeszcze w biegu, by strzelić w naszą stronę. Naciskani z trzech stron wpadli do szerokiego i dość głębokiego jaru, którego dno miejscami porastały gęste krzaki. My byliśmy już na jego krawędzi, strzelając po tych krzakach.

Ktoś obok mnie wołał:

– Panie podchorąży! – To Chimorodo, amunicyjny. Podał magazynek z nabojami erkaemiście Janczewskiemu wskazując ręką przed siebie. Spojrzałem w tę stronę. Po przeciwnym stoku jaru, jak wąż pełzł po ziemi Niemiec usiłując skryć się za krzakami. Tak dogodnego celu jeszcze nigdy przedtem w walce nie miałem. Wziąłem go na muszkę.

Niemcy już się nie odstrzeliwali, więc przerwaliśmy ogień wołając “Hände hoch!”. Zza krzaków występowali powoli Niemcy z rękami uniesionymi do góry. Jednym skokiem dopadliśmy do nich. Byli wystraszeni i zziązani, a niektórzy krwawili. Tak rozgrywał się końcowy fragment zwycięskiego boju. Jedni otoczyli Niemców, drudzy zbierali porzuconą

przez nich lub leżącą przy zabitych broń, inni popędzili do załadowanego niemieckiego wozu stojącego o dwieście kroków od jaru, zapanował gwar i podniecenie. Pomiedzy nami znalazł się porucznik Góra, uśmiechnięty, zadowolony. Sanitariuszki opatrywały rannych i jeńców, ja zaś kręciłem się po jarze licząc zabitych nieprzyjaciół. W pewnym momencie doleciał do mnie cichy jęk przechodzący w wyraźne „Allah”... Zdziwionym brzmieniem tego dźwięku zbliżyłem się do krzaka, spod którego się wydobywał. Leżał pod nim okropnie podziurawiony żołnierz w mundurze Wehrmachtu. Jego ręka od dłoni aż powyżej łokcia stanowiła jedną krwawą mieszaninę kości i mięśni. Był nieprzytomny, dogorywał. Raz jeszcze wymówił imię swego Boga i skonał.

W głębi lasu walka trwała nadal. Niemcy, którzy bronili się przed nacierającymi żołnierzami z kompanii Dana zostali zaatakowani z okrzykami przez spieszonych ułanów 3 szwadronu. Jeszcze przed rozpoczęciem naszego natarcia trzeci szwadron wachm. pchor. Suma – Narcyza Kulikowskiego z polecenia porucznika Góry okrążył nieprzyjaciela przecinając mu jedyną drogę ucieczki. (...)

Ten fragment walki odnotował w swym dzienniczku pt. „Na koniu i pod koniem” autor „Doliniaków” który, podobnie jak wszyscy inni ułani myśleli w tym dniu nie o walce, a wysuszeniu umundurowania, a przede wszystkim o zasłużonym odpoczynku po wczorajszym boju pod Pieńkowem dla siebie i koni:

– Odpoczywałem w swoim namiocie rozbitym w sadzie państwa Natalii i Czesława Pływaczewskich w Kiścinnem, skleconym z trzech pałatek przeciwdeszczowych zdobytych w Aleksandrowie i wczoraj pod Pieńkowem. Dowódca szwadronu, który wraz z ułanami I plutonu rozlokował się w stodole żartował, że zabawiam się w harcerstwo, ale w środku nocy, nie mogąc zasnąć zgarnął swój osprzęt, wraz z kocem spod siodła i wgramolił się do mego namiotu. Nasz szwadron miał się, czym chwalić. Rozbił najwięcej niemieckich samochodów na szosie Modlin – Warszawa, mieliśmy więc być z czego dumni. W przeciwieństwie do pechowych chłopców z piechoty, którzy na lotnisku bielańskim dostali w skórę.

Dochodziła godzina trzynasta i chłopcy z menażkami podchodzili właśnie do polowej kuchni zarządzanej przez naszego kucharza Janka zwanego Kuczerą, gdy od strony Truskawki – Jałówka – Brzozówki rozległy się dalekie strzały. Nie czekając na rozkazy odstawiliśmy menażki

i siodłaliśmy konie. Jakoż niebawem drogą od Krogulca, gdzie kwaterował dowódca kawalerii, przygalopował kpr. Robaczek, luzak dowódcy kawalerii, z rozkazem od Góry:

– Szwadron ma udać się okrężną drogą przez Brzozówkę pod wzgórze 95. Tam oczekiwać dalszych rozkazów!

Dźgamy konie ostrogami, toteż biedne koniska cwałują na złamanie karku. Zdajemy sobie sprawę, że od naszego pośpiechu mogą zależeć losy walki. Dziesięć kilometrów to jednak kawał drogi. Klacz Kłosa – Józka Mioduszeńskiego ciężko sapie, mój Sybirak w tym obłądnym galopie pozostawia na drodze bryzgi białej piany. Dwa razy musimy przechodzić z galopu w wyciągnięty kłus.

Strzały broni maszynowej i pojedynczych kabeków są coraz bliższe. Trwają już dobre pół godziny. U stóp zalesionego wzgórza oczekuje nas Góra:

– Czemu tak późno? Nie zdążyliście się wyspać? — spytał Narcyza, gdy oddawaliśmy konie koniowodnym i nie spodziewając się odpowiedzi, rozkazał:

– Zajdziesz Niemców z tyłu od Łosiej Wólki. Atakują nas Niemcy, prawdopodobnie w sile kompanii. Nasze: pierwsza, Dana i druga Strzały trzymają ich pod ogniem w tym oto miejscu – wskazał punkt na mapie.

Pelzniemy między krzakami. Musimy się czołgać, chociaż ogień karabinów maszynowych i granatników nie jest skierowany w naszą stronę. Chodzi przecież o zaskoczenie. Zajmuje to nam drugie pół godziny. Dochodzimy wreszcie na płaski szczyt wzgórza, skąd Niemcy prowadzą gwałtowny ogień, w przeciwnym od nas kierunku, panując nad rozległą okolicą. Naprzeciw siebie dostrzegam leżącego pod sosną Niemca. Leży tyłem i strzela z automatu, który oparł o pień drzewa. Na kolbie swego karabinu widzę już nowy krzyżyk, którym odznaczam każdego trafionego przeciwnika. Każdy z nas ma przed sobą podobny widok, każdy odnalazł swój cel. Tamci, odwrócenii do nas plecami jeszcze nie wiedzą, co im pisane. Na znak wachmistrza, Kłosa – Józefa Mioduszeńskiego strzelił pierwszy z browninga wyrwanego wczoraj z dłoni zabitego haptmana, który mu wcześniej sprezentowałem. Wydostał się z Żoliborza dzień wcześniej bez broni. W Warszawie przechodził konspiracyjną szkolenie w zakresie podchorążówki, a tu otrzymał przydział do poczty dowódcy 3 szwadronu. W mgnieniu oka rozległa się kanonada na całej linii. Niemiec, którego trzymałem na muszce przerwał strzelanie, od-

wrócił się gwałtownie. Przygwoździłem go do ziemi, wyrwałem z rąk automat, przerzuciłem karabin na plecy. Zrywamy się do ataku gardłując: – Hurra!

Wśród Niemców wybuchła panika; osaczeni w dwa ognie, skuleni w pół próbowali wydostać się z pułapki, miotając się bezradnie wśród zarośli. Byli całkowicie zdezorientowani, nie rozumiejąc skąd wzięliśmy się na ich karkach. Na prawym skrzydle próbują zorganizować obronę. Stamtąd właśnie grzeje po nas karabin maszynowy. Wygarnąłem w jego stronę długą serię z peemu, oczywiście bez skutku. Kłós jest w lepszej sytuacji, ma przed sobą erkaemistę. Cisnął granat. Do maschin-gewehr«u dopadamy jednocześnie: Kłós, dowódca I plutonu, plutonowy Płaz – Czesław Juchniewicz i ja. Józek obraca lufę zdobytego erkaemu w stronę uciekających, ja podtrzymuję taśmę z nabojami, gdyż nie potrafię obsługiwać tej maszynki. Pociągnął serię, kładąc jednym przyciśnięciem spustu kilku przeciwników. Tymczasem z boku wyskoczył na nas Niemiec z automatem. Wywalił cały magazynek jedynie po to, by trafić plutonowego Juchniewicza w pośladek. Urwał skoszony serią pepeszy kaprala Żybula – Leona Cywińskiego. Józek zaśmiał się do rymu z akcentem na „ę”.

– Hę! hę! hę!

Plutonowy dostał

w d...ę!

Szczyściem rana jest lekka. Już nim się zajął nasz sanitariusz, poczciwy felczer plutonowy Antoni Rafalski, zakładając opatrunek osobisty na obnażony tyłek. Heniek Szpakowski prowadzi dwóch rannych jeńców. Strzały milkną.

Niemiecka kompania została zlikwidowana. Drobnie nieporozumienie. To ona miała zlikwidować nas, a nie my ją.

W naszym, trzecim szwadronie był ranny tylko jeden kawalerzysta w miejsce, którego wołał nikomu nie pokazywać. Zdobyty automat oddałem dowódcy 1 sekcji, w I plutonie kapralowi Jankowi Bryczkowskiemu, który przez kilka tygodni, zanim trafiłem do poczty dowódcy szwadronu, był moim pierwszym w zgrupowaniu przełożonym. Czuję się pewniej ze zwykłym kabekiem typu mauzer. (...)

To właśnie uderzenie 3 szwadronu na tyły niemieckiej kompanii przesądziło o jej losie. Straty Grupy Kampinos wyniosły: 7 zabitych żołnierzy z piechoty, 10 rannych. W walce tej polegli: plut. Bronisław Makaś,

st. strz.. Kazik – Kazimierz Aszurkiewicz, strzelcy: Józef Kowrygo, Mieczysław Matuszewicz, Antek – Antoni Protasewicz, Franciszek Jakubowski i Marian Mężynski. Śmiertelnie ranny został najmłodszy strzelec w 1 kompanii Mały, Orlik – Bogusław Grygorcewicz⁸ z Naliboków. Dzieścięciu partyzantów odniosło cięższe i lżejsze rany. Poległych pochowano w Wierszach, na cmentarzu partyzanckim, pod lasem.

Po stronie niemieckiej w tej walce zginęło siedemdziesięciu żołnierzy. Kilkunastu rannych przetransportowano do szpitala polowego, piętnastu jeńców zwolniono, wydając im podobnie, jak Niemcom spod Aleksandrowa, przepustki z napisem: „Nach Berlin über Modlin – Bydgoszcz – Poznań”. Wystukał je starannie, na kancelaryjnej maszynie do pisania wachm. Kula – Kazimierz Puchacewicz.

W akcji zdobyto przeszło 30 nieuszkodzonych karabinów, 4 pistolety maszynowe, erkaem, 10 pistoletów, wiele amunicji i granatów. Miejsce walki okoliczna ludność i zaniemieńscy żołnierze nazwali „Psim Polem”. I pomyśleć, że to właśnie ta jednostka miała oczyścić Puszcze Kampinoską z „polskich bandytów”.

W tym samym dniu, 3 sierpnia 1944 roku, pluton 2 szwadronu pod dowództwem Lawiny – Józefa Niedźwieckiego, w potyczce z Niemcami zdobył niemiecki samochód ciężarowy – rozbijając drugi. Spośród kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu, którzy zamierzali zarekwirować żywność, tylko kilku ocalało. Zdobyto dziesięć karabinów, dwa pistolety maszynowe, amunicję i granaty.

Odwet za wczorajsze niepowodzenie na lotnisku bielańskim był w pełni udany. Posępny nastrój naszych piechurów prysnął nieczym bańka mydlana. Zwycięska walka pod Truskawką przywróciła partyzantom wiarę we własne siły. Tym bardziej, że po różnych przekształceniach organizacyjnych dowódcą całego oddziału znowu został porucznik Góra, do którego naliboccy żołnierze mieli nieograniczone zaufanie i którego nikt nie mógł zastąpić.

Z dniem 3 sierpnia 1944 roku na podstawie rozkazu kpt. Szymona utworzona została nowa jednostka Armii Krajowej pod nazwą Pułk Pal-

⁸ Niektóre publikacje błędnie podają, że Mały – Bogusław Grygorcewicz zginął w drugim ataku na lotnisko Bielańskie, w dniu 2 sierpnia 1944 r. Śmiertelnie ranny został nazajutrz, w dniu 3 VIII 1944, w boju pod Truskawką, zmarł w szpitalu polowym w Laskach i na tamtejszym cmentarzu został pochowany.

miry – Młociny. W skład pułku wchodziły następujące pododdziały:
– I batalion kampinoski pod dowództwem kapitana Dulki – Mieczysława Nowosada, – II batalion 78 pułku piechoty, pod dowództwem ppor. pil. Dźwiga – Witolda Pełczyńskiego,
– dywizjon (cztery szwadrony) 27 pułku ułanów pod dowództwem chor. Nocy – Zdzisława Nurkiewicza,
– szwadron CKM 23 pułku ułanów pod dowództwem ppor. Jara – Jarosława Gąsiewskiego.

Pułk liczył wówczas około dwóch tysięcy żołnierzy.

Po powrocie na kwatery rozlokowane we wsiach Truskawka – Janówek – Brzozówka – Wiersze – Krogulec – Kiścinne – Roztoka, niektórzy dowódcy za namową kpt. Szymona zmienili swe pseudonimy: Por. Góra – Adolf Pilch obrał sobie pseudonim „Dolina”; ppor. Dźwig–Witold Pełczyński – „Witold”; chor. Noc – Zdzisław Nurkiewicz – Nieczaj; wachm. Dąb – Jan Jakubowski – „Wołodyjowski”, wachm. Szary – Józef Niedźwiecki – „Lawina”.

Bezpośrednie dowodzenie pułkiem w czasie akcji bojowych kpt. Szymon, leczący się z rany w szpitalu w Laskach, przekazał por. Górze – Adolfowi Pilchowi, zatrzymując dla siebie wyznaczanie zadań bojowych i ogólne kierownictwo.

Wszystkich ucieszyła wiadomość, że kapitan Szymon – Józef Krzyczkowski, przebywający w szpitalu w Laskach, przekazał dowodzenie w akcjach bojowych właśnie porucznikowi Górze, zachowując dla siebie wyznaczanie zadań bojowych i kierownictwo ogólne.⁹

DEZERCJA KAPITANA DULKI

Po zwycięskim boju pod Truskawką kapitan Szymon rozkazał przeprowadzić koncentrację oddziałów bliżej Warszawy, w rejonie Sierakowa, Truskawia i Izabelina.

Przed wieczorem 4 sierpnia 1944 r. wszystkie pododdziały były już w wyznaczonych miejscowościach. Odległość od rogatek Warszawy wynosiła stąd zaledwie kilkanaście kilometrów. Nocami widać było łuny płonącego miasta. Ułani z niecierpliwością oczekiwali rozkazu wymarszu w tamtym kierunku. Nie martwili się wcale tym, że w warszawskich parkach i na skwerach może nie starczyć karmy dla ich koni. Wszyscy

wierzyli głęboko, że gdy tylko taki rozkaz nadejdzie, to oni, przybywszy tu z dalekich kresów, położą wszystkich Niemców pokotem i wyzwolą swe ukochane, chociaż przez wielu z nich nigdy dotąd niewidziane miasto. Na razie jednak od murów Warszawy odgradzali ich Niemcy dysponujący bronią pancerną, artylerią i samolotami.

7 sierpnia 1944 r. por. Dolina przeprowadzał wszystkimi siłami działania oczyszczające z nieprzyjaciela tereny przylegające do linii komunikacyjnej Warszawa – Leszno, szczególnie na odcinku drogi Babice – Leszno, gdzie Niemcy przystąpili do budowy fortyfikacji, okopując trakt od strony puszczy.

Zanim przystąpiono do wykonania tego zadania wyznaczonego przez kpt. Szymona, doszło do tragicznego wydarzenia. W tym dniu, II pluton z 2 kompanii pod dowództwem plutonowego Polanicy w trakcie ubezpieczania miejscowości Lipków został zaatakowany od strony Stanisławowa przez kompanię Wehrmachtu, która niespostrzeżenie wysłała na tyły Lipkowa. W wyniku rażącego zaniedbania dowódcy plutonu, który nienależycie ubezpieczył pozycje swoich żołnierzy, racząc się w tym czasie alkoholem, zaprzepaszczono szansę uratowania pięciu żołnierzy, którzy zginęli w nierównej walce. Byli to plut. Edward Kowalczyk oraz strzelcy Franciszek Jakubowski, Piotr Popowicz, Tomasz Oszmiański i Melchior Anuszkiewicz.

Za jaskrawe złamanie przysięgi żołnierskiej sąd polowy skazał plutonowego Polanicę na degradację i rozstrzelanie. Wyrok wykonano.

O godzinie 16.00 pułk Palmiry–Młociny w bojowym szyku wyruszył w kierunku traktu wiodącego z Babic do Leszna, z zadaniem wyparcia Niemców z zajmowanych miejscowości i wywołania w szeregach nieprzyjaciela paniki. Przed wymarszem por. Dolina rozdzielił zadania:

I Batalion pod dowództwem kpt. Dulki miał uderzyć na odcinek drogi wiodącej od Zielonek przez Wojcieszyn do Zalesia;

II Batalion pod dowództwem ppor. pil. Witolda – Witolda Pełczyńskiego miał opanować Borzęcin Duży.

Dywizjon kawalerii pod dowództwem chor. Nieczaja – Zdzisława Nurkiewicza uderzyć na Zaborów i Zaborówek.

Zwiad konny piechoty i pluton konny szwadronu CKM – ostrzelać nieprzyjaciela w zachodniej części Starych Koczarg.

W czasie marszu na niebie ukazał się niemiecki samolot rozpoznawczy, który zataczając kręgi nad pododdziałami rozwijającymi się

do akcji latał nisko, przy samej ziemi. Dowódcy wydali zakaz otwierania w jego kierunku ognia w nadziei, że nie zostaną rozpoznani. Chodziło przecież o zaskoczenie nieprzyjaciela. Pilot być może nie zorientował się, co to za jednostka, gdyż strzelec pokładowy nie otworzył ognia, a samolot po kilku okrążeniach odleciał w kierunku Warszawy.

Ogólne natarcie pododdziałów ppor. Witolda i chor. Nieczaja ruszyło zgodnie z rozkazem Doliny punktualnie o godzinie 20.00. W pierwszym uderzeniu batalion Witolda i spieszona kawaleria Nieczaja wykonały wyznaczone im przez Dolinę zadanie i wyparły Niemców z wyznaczonych miejscowości.

Dłuższy opór, przez dwie godziny stawiali Niemcy zakwaterowani w murowanym budynku tamtejszej szkoły w Borzęcinie Dużym. Gdy wydawało się, że ich opór słabnie, poszybowała w niebo rakietą sygnalizującą wprowadzenie do walki broni pancernej, co było nakazem odwrotu.

Dolina, po wykonaniu zadania, zarządził odwrót. W zwartych szeregach kolumny marszowe pododdziałów II Batalionu i kawalerii powracały na poprzednie kwatery, pozostawiając na zagrożonych odcinkach odpowiednio wzmocnione ubezpieczenia.

II Batalion Witolda, „Nalibocki”, jak go nazywano w odróżnieniu do I Batalionu zwanego „Kampinoskim”, składającego się z miejscowych żołnierzy z terenu VIII Rejonu i kawaleria Nieczaja wykonały wyznaczone zadania.

Nazajutrz, jak wykazały meldunki zwiadu, Niemcy, po wczorajszym ataku na linię komunikacyjną Warszawa – Leszno, zrezygnowali z dalszego kopania umocnień fortyfikacyjnych na odcinku Babice – Leszno i ruch na tej drodze niemal całkowicie zamarł. Natomiast w akcji tej polegli: w Koczargach – starszy strzelec Jan Kamiński ze Stołpców i w Borzęcinie strzelec Młody – Jan Doszczeczko z Prud, z 2 kompanii ppor. Strzały.

Po niemieckiej stronie było kilkunastu zabitych i kilkudziesięciu rannych. Natomiast w ciemnościach niełatwo było odnaleźć zabitych i porzuconą broń przeciwnika. Ułani zdobyli tylko jeden pistolet maszynowy, dwa karabiny i dość sporą ilość amunicji.

Tymczasem I Batalion kpt. Dulki, wykonujący zadanie na lewym skrzydle, na rozkaz swego dowódcy przerwał operację wkrótce po ukazaniu się samolotu rozpoznawczego na horyzoncie.

Kapitan Szymon – Józef Krzyczkowski tak relacjonuje¹⁰, to niemiarygodne zdarzenie:

– I wtedy z ust kapitana Dulki pada rozkaz wycofania się. Podbiegają do niego najbliżsi oficerowie i podoficerowie, pytają o przyczynę takiego rozkazu. „Dulka odpowiada: Samolot nas wykrył. Niemcom nadzieją posiłki, nic z naszej akcji nie będzie, tylko ludzi natracimy.

Gdy porucznik „Szczupak” tłumaczył mu, że trzeba dalej nacierać, aby Niemcom przynajmniej napędzić strachu. „Dulka” z uporem powtarzał rozkaz wycofywania się. Nie posłał nawet meldunku do porucznika „Doliny”, że to czyni. Batalion kapitana „Dulki” musiał słuchać rozkazu swego dowódcy – wycofał się, mimo że na prawo toczyła się walka. Kapitan Dulka, po powrocie batalionu z akcji na linię komunikacyjną do kwater w Sierakowie, zwołał odprawę dowódców podległych sobie oddziałów. Zeszło się w domu, gdzie kwaterował „Dulka” kilkunastu naszych ludzi, a kapitan wyłożył swój pogląd na istniejącą sytuację. Ocenił on, że wszystko jest już stracone, wedle niego Niemcy mają wciąż przewagę ilościową, nie mówiąc już o technicznej. Uważał, że lada dzień zostaniemy całkowicie rozbici, a rodziny powstańców, jak i cała ludność wsi, w których kwaterujemy, jest narażona na zagładę, wywózkę lub w najlepszym razie wszelkiego rodzaju szykany.

Proponował by powstańcy z tutejszych terenów wrócili jak najszybciej do domów, a do puszczy niechaj idą ci, którzy nie mają gdzie się ukryć, a więc w pierwszym rzędzie żołnierze z Puszczy Nalibockiej. Nie zmienił swego stanowiska nawet wtedy, gdy go przekonywano, że przecież zdradzimy w ten sposób powstańców Warszawy i ułatwimy Niemcom uderzenie wszystkimi siłami na Warszawę. Dulka był twardy w swej postawie dezertera i agitatora opuszczenia towarzyszy broni, z którymi związaliśmy się jeszcze przed powstaniem. (...)

Zdaniem kpt. Szymona, skutki „dezercji Dulki oraz jego przepojonego tchórzostwem rozkazu” o rozpuszczeniu zmobilizowanych żołnierzy do domu, były groźne. Od katastrofy uratowała oddział postawa tych dawnych oficerów i podoficerów VIII Rejonu, którzy wyszli cało z dotychczasowych bojów i przeciwstawili się załamaniu wywołanemu przez Dulkę.

¹⁰ Józef Krzyczkowski „Szymon”: *Konspiracja i powstanie w Kampinosie*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1961 r.

Po rokoszu dowódcy I Batalionu, „Kampinoskiego” kapitana Dulki, z ogólnej liczby ponad 900 powstańców z terenu VIII Rejonu, którzy wzięli udział w koncentracji przed walką o lotnisko bielańskie, pozostało zaledwie około trzystu żołnierzy. Dołączyli oni do porucznika Góry, którego oddział, przed powołaniem pułku Palmiry – Młociny w ciągu kilku ostatnich dni, licząc od postoju w Dziekanowie Polskim, rozrósł się do 1 100 żołnierzy. W sumie stan osobowy pułku Palmiry–Młociny zmniejszył się z 2 000 żołnierzy do około 1 400 powstańców.

W puszczy pozostali żołnierze najbardziej ideowi, obeznani z walką i chętni do niej, co wkrótce potwierdzili w wielokrotnych bojach.

Nazajutrz, 8 sierpnia, po akcji na linii komunikacyjne Warszawa – Leszno, pozycje 2 szwadronu Lawiny – Józefa Niedźwieckiego ubezpieczającego w Budach, od strony południowo–zachodniej główne siły Pułku „Palmiry Młociny” już o świcie zaatakowały szeroką tyralierą czołgi. Ostrzeliwując się z broni maszynowej i pięcioprowadnicowych kabinów ułani, plutonami wycofali się na skraj lasu wysyłając łączników do chorążego Nieczaja i porucznika Doliny. Pancerne kolosy dotarły do Truskawia, gdzie również trafili na ogień 1 szwadronu Wołodyjowskiego. Tam czołgi przystanąły, powoli zawróciły i szybko pomknęły tam, skąd przybyły.

DOLINA DOWÓDCA „GRUPY KAMPINOS”

W tym samym dniu, 8 sierpnia 1944 roku, porucznik Dolina otrzymał od kapitana Szymona następujący rozkaz:

“Pułk Palmiary–Młociny, Mp dnia 8.08.44 r.

Do porucznika Doliny

W związku z tym, że nie mogę normalnie dowodzić oddziałami walczącymi, przekazuję Panu dowodzenie bojowe oddziałami VIII Rejonu. Poza tym zawiadamiam Pana, że na skutek rozkazu Dowództwa AK L 15/III z 07.08.44 r. godz. 20.15, wszystkie oddziały na terenie Puszczy Kampinoskiej zostały podporządkowane mnie, a tym samym Panu. Organizować je Pan będzie wedle własnego uznania. Przesyłam odpis rozkazu KG AK.¹¹

Kpt. Szymon, d–ca Pułku”.

Rozkaz Dowództwa AK doręczony porucznikowi Dolinie podpisał podpułkownik dyplomowany Filip – Józef Szostak z Komendy Głównej AK. W wyniku tego rozkazu, pod komendę porucznika Doliny, oprócz 27 pułku ułanów i 78 pułku piechoty zwanych Pułkiem Palmiry–Młociny, wraz z oddziałami Rejonu VIII weszły również oddziały: kapitana Serba – Władysława Nowakowskiego w sile około stu siedemdziesięciu ludzi (w tym około osiemdziesięciu uzbrojonych), pół batalionu z Warszawy (Boernerowo) pod dowództwem porucznika Marysia – Mariana Olszewskiego w sile około 200 ludzi, w tym dwudziestu uzbrojonych.

Tak uformowany oddział przyjął nazwę „Grupa Kampinos”.

Od 8 sierpnia do 29 września 1944 roku obsada pułku “Palmiry–Młociny” przedstawiała się następująco:

Dowódca Grupy Kampinos i zarazem dowódca pułku Pamiry–Młociny: por. Dolina – Adolf Pilch

Zastępca dowódcy: por. Wyrwa – Bohdan Jaworski

Adiutant: ppor. Zew – Stanisław Pilarski

Komendant zrzutowisk: cichociemny mjr Kurs – Bronisław Lewkiewicz

Szef zaopatrzenia dowództwa: st. sierż. Szostakowicz

¹¹ „Dowództwo AK L.15-III

Dn. 7.08.44 r. godz. 20.15

Szymon

I. Walka w Warszawie toczy się bez przerwy od 1.08.44. Npl. panuje na głównych arteriach, jak Al. Jerozolimskie, Grójecka, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i Al. Ujazdowskie. Mosty na Wiśle w rękach Niemców. W naszych rękach większość Pragi, Dw. Wschodni i Wileński, centrum miasta z Placem Napoleona i Pocztą Główną, całe Stare Miasto oraz większość Mokotowa i Żoliborza, wszystkie prawie obiekty użyteczności publicznej. Mimo siódmego dnia walki i zużycia amunicji inicjatywa wciąż jest jeszcze w naszych rękach. Zniszczono przeszło 30 czołgów, kilka zdołano już naprawić i użyć do walki. Entuzjazm wśród żołnierzy walczących i ludności cywilnej imponujący.

II. Zamierzam Was użyć do walki o Warszawę. W związku z tym – wyciągnąć najlepszy element żołnierski i dowódczy bez względu na dotychczasowe związki organizacyjne, i uformować oddział, który jak najszybciej skierować na cmentarze powązkowskie (rzymskokatolicki i żydowski). W rejonie cmentarzy powązkowskich dążyć do nawiązania łączności z podpułkownikiem Radosławem. Prowadzić dywersję na komunikację Warszawa - Modlin i na przedmieścia Warszawy od północy. Podporządkować Rejon VII-Jelsk oraz wszystkie oddziały, które znajdują się na terenie Puszczy Kampinoskiej. Rozpoznać odwrotny ruch npla ze wschodu na Modlin i na zachód. Rozkaz dla komendanta Rejonu VII-Jelsk podporządkowującego się Wam - przekazać do wykonania. Zapotrzebowanie na zrzuty zostało wysłane, szczegółowy rozkaz w załączeniu. (-) „Filip””.

Szef kancelarii: plut. Jan Orlina
Zastępca szefa kancelarii – sierż. Kula – Kazimierz Puchacewicz
Kronikarz: kpt. Krzemień – Edmund Jungowski
Łącznicy: st. uł. Franciszek Kosowicz i st. uł. Niedźwiedź – Stanisław Myślicki
Duszpasterstwo: kapelani pułku: st. kapelan ks. mjr Gwardian – Hilary Prac–Praczyński, ks. Radwan II – Jerzy Baszkiewicz
Oficer informacji: por. mgr Florian Bałta
Zastępca oficera informacji: plut. z cenz./ ppor. Kazik – Bronisław Piwowarczyk
Szef żandarmerii: plut. pchor. Marian Radziwoń
Kwaternistrzostwo:
Kwaternistrz: kpt. Wojtek – Wojciech Dwornicki
Zastępca kwaternistrza: por. Jastrzab – Aleksander Wolski
Płatnik: ppor. Drzymała – Jan August Guraro
oraz:
wachmistrz Zaremba – Aleksander Bibik, Wilk – Bronisław Bonner, Paproć – Lucyna Dwornicka
Oficer łączności: por. Stabrawa – Antoni Chomicz
Radiotelegrafiści:
szef: kapitan Franek – Aleksander Jedliński
Zastępca: por. Dębina
radiotelegrafiści: plut. pchor. Robert Gromadzki, plut. Wiatr Wiszniewski,
Plut. Wir – Krasucki, plut. Rad, pdchor. Pingwin.
Łączniczka: Teresa Berolecka
Szpital polowy pułku:
Kierownik szpitala w Laskach dr Świerk – Kazimierz Cebertowicz
Lekarz naczelny: dr Kleszczyk – Antoni Banis
Szef zaopatrzenia: ppor. Edwin Czemko
Zespół szpitala: felczer zawodowej służby WP sierż. Aleksander Dembiński, jego syn Włodzimierz Dembiński; Tank – Józef Kuźmiński, sanitariuszki: Głóg – Janina Kuźmińska, Blizna – Jadwiga Bałabuszko, Ewa – Leokadia Buszko, Ala – Halina Michalska, Wera – Weronika Mozol, Józefa Mozol, Stanisława Mejsner, Czarna Jadzia – Jadwiga Gór-ska; taboryta Kazimierz Iwanowski.
I Batalion piechoty (78 Pułku Piechoty Ziemi Słuckiej z Baranowicz)

Kolejni dowódcy:

por. Dźwig – Witold Witold Pełczyński do 15.08.44

por. Strzała – Witold Samotna Lenczewski od 16.08.43 – 29.09.44

zastępca dowódcy batalionu por. Gniew – Zbigniew Luśnia

szef pocztu batalionu st. sierż. pchor. Gwiazda – Mikołaj Gwiazdziński

dowódca zwiadu konnego batalionu ppor. „Lis” Józef Bazarowski

dowódca I plutonu zwiadu plut. Waclaw – Stanisław Baran

dowódca II plutonu zwiadu plut. pchor. Grom – Józef Bylewskim

1 kompania, kolejni dowódcy:

ppor. Dan – Franciszek Baumgart do 16.08.44

ppor. Zetes – Zygmunt Sokołowski od 17.08.44 do 29.09.44

2 kompania, kolejni dowódcy:

por. Strzała – Witold Lenczewski do 16.08.44

ppor. Nowina – Mikołaj Stecki od 17.08.44 do 29.09.44

3 kompania, kolejni dowódcy:

ppor. Helski – Jerzy Piestrzyński do 02.08.44

st. sierż. Opończa – Walerian Żuchowicz od 03.08.44 do 29.09.44¹²

Dywizjon Kawalerii, (27 Pułk Ułanów AK im. Króla Stefana Bato-
rego z Nieświeża)

dowódca: chor. Nieczaj – Zdzisław Nurkiewicz

Kolejni zastępcy:

wachm. (ppor) Wołodyjowski – Jan Jakubowski do 14.08.44

ppor. (rtm) Dąbrowa – Zygmunt Koc od 15.08.44 do 29.09.44

Poczet dowódcy pułku:

Adiutant: kpr. Kazimierz Stary

Szef pocztu: chor. Mik – Józef Samotyja – Lenczewski

Dowódca taborów: plut. Witold Sudnik

sekcji:

Poczet: dowódca: kpr. Stenia – Stefania Burakówna oraz: kpr. Władysław Grzmot, uł. Bolesław Rudowicz, uł. Piotr Łojko (luzak), uł. Roman Łojko (luzak), uł. Kazimierz Popławski, uł. Longin Karbowicz, st. uł. Stanisław Mikucki:

¹² Po bitwie pod Jaktorowem 1 kompania została odbudowana, a rozbitkowie 2 i 3 kompanii weszli w jej skład. Kompania ta, której dowódcą został starszy sierżant Opończa – Walerian Żuchowicz, weszła w skład III batalionu „Kampinos” 25 pułku piechoty A.K. Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej dowodzonego przez por. Dolineę – Adolfa Pilcha.)

1 szwadron:
Dowódca: wachm. Wołodyjowski – Jan Jakubowski
Zastępca: wachm. Wincenty Roman.
2 szwadron: wachm. (por.) Szary, Lawina – Józef Niedźwiecki
Zastępca: wachm. Ławy – Konstanty Downar
Poczet dowódcy szwadronu:
Dowódca taborów: st. uł. Józef Mikucki
Szef szwadronu: st. wachm. Aleksander Bohun
Podoficer gospodarczy: wachm. Jan Halaba
Łącznik: st. uł. Rafał Dek
Plutony:
Dowódca I plutonu: wachm. Łotysz – Jan Lewicki
Dowódca II plutonu: wachm. Świerk – Stanisław Wołosewicz
Dowódca III plutonu: – wachm. Antoni Czarny
3 szwadron:
Dowódca: wachm. pchor. (ppor.) Sum – Narcyz Kulikowski
Zastępca: wachm. Płaz – Czesław Juchniewicz
Poczet dowódcy szwadronu
Szef szwadronu: – plut. Konstanty Pietrucki
Sanitariusz: st. uł. Felczer – Antoni Rafalski
Kronikarz: uł. z cenz. Kłos – Józef Mioduszewski
Łącznik, chorąży (sztandarowy) pułku: – st. uł. Żbik – Marian Podgóreczny
Luzak: Stanisław Sadowski
Plutony:
Dowódca I plutonu: plut. Wierny–Bolesław Mostowski
Dowódca II plutonu: plut. (ppor.) Bruno, Kaszub, Bronek – Brunon Dawidowski
Dowódca III plutonu: wachm. z cenz. Wir – Antoni Burdziełowski
4 szwadron:
Dowódca: por. Jawor – Aleksander Pietrucki
Szef szwadronu: kpr. Emil Pietrucki
Podoficer rachunkowy: st. uł. Stanisław Mojko
Dowódca I plutonu: wachm. Sołtan Pereświat
Dowódca II plutonu: wachm. Stanisław Redko
Szwadron CKM, załążek 23 pułku ułanów grodzieńskich z Postaw:
Dowódca: por. Jar – Jarosław Gąsiewski

Poczet dowódcy szwadronu:

Szef szwadronu: – wachm. Paulo – Bronisław Pardo

Podoficer gospodarczy kpr. Jundi – Zenon Miłaszewski

Łącznik: st. ul. Orzechowski – Paweł Kosowicz

Plutony:

Dowódca I plutonu: plut. Paweł Woropaj

Dowódca II plutonu: plut. Szczyt – Józef Harbuz

Stan Grupy Kampinos w tym czasie według relacji kpt. Szymona–Józefa Krzyczkowskiego wynosił: 1 306 żołnierzy (819 – piechota, 309 – kawaleria), oraz 600 koni, nie licząc szpitala i powiększającej się liczby jeńców, którzy wykonywali różne czynności gospodarcze. Kwatermistrzostwo codziennie musiało dostarczyć tej ilości ludzi i koni do kuchni polowych: trzy, do czterech krów, jednego świniaka, tonę żyta i pszenicy, 8 kwintali ziemniaków, no i odpowiedniej ilości siana i owsa dla koni

10 sierpnia, około godziny szesnastej 1 kompania porucznika Dana zaatakowała przybyły do Brzozówki oddział Niemców w sile około stu ludzi. Zanim na miejsce dotarł ze wsparciem 3 szwadron wachmistrza Suma – Narcyza Kulikowskiego z zadaniem oskrzydlenia Niemców – było już po walce. Żołnierze porucznika Dana wyparli nieprzyjaciela ze wsi niszcząc zdobyte bunkry i umocnienia. Zabito osiemnastu Niemców. Po stronie polskiej polegli kapral Bolesław Cierpliwy, kapral podchorąży Bolesław Żukowski i strzelec Michał Saturn.

Nazajutrz porucznik Dolina w meldunku sytuacyjnym zawiadamił kapitana Szymona:

„11.08.44 r. wypadły dzienne w kierunku Rybitwa – Cybulice i Truskaw oraz rozpoznanie na Leoncin i Czosnów, w wyniku których wyszerowały: 2 kompania i szwadron kawalerii do akcji. Meldunków do tej chwili brak”.

Jak się później okazało, akcja na Leoncin przeprowadzona w nocy z 11 na 12 sierpnia nie dała rezultatu. W bunkrach otoczonych zasiekami znajdowało się ponad stu Niemców. Gęsta mgła uniemożliwiła skuteczny ogień nacierających. Niemcy mieli zdecydowaną przewagę. Bunkry można byłoby wprawdzie zdobyć bez broni ciężkiej piechoty, narażając się jednakże na duże straty. Porucznik Strzała – Witold Lenczewski dowodzący tą akcją, po kilkugodzinnej walce nakazał wycofanie się na kwatery. W czasie tej walki zginęli strzelcy: Edmund Kowalski, Cze-

sław Juźwik, Gołębiowski i Lew. Jednakże po tym natarciu Niemcy sami opuścili Leoncin, paląc część wioski i zabierając ze sobą ciała zabitych i rannych.

Tymczasem w nocy z 10 na 11 sierpnia 1944 roku „Grupa Kampinos” otrzymała pierwsze zrzućy alianckie – na specjalnie przygotowanym terenie między Sierakowem a Truskawiem.

Na czele 2 kompanii i 3 szwadronu na miejsce to udał się porucznik Dolina wraz ze swym kolegą „cichociemnym” majorem pilotem Kursem – Bronisławem Lewkowiczem, którego mianował komendantem zrzutowisk.

Na odgłos donożnego warkotu niewidzialnych w ciemnościach nocy alianckich samolotów zapalono ogniska ułożone w krzyż. Był to umowny znak dla pilotów, że tu właśnie należy dokonać zrzutów. Po chwili na spadochronach spadły na ziemię blaszane zasobniki o cylindrycznym kształcie. Naliczono ich aż 58, w tym 30 dużych i 28 mniejszych. W zasobnikach znajdowały się: erkaemy, włoskie pistolety maszynowe, miotacze min, a przede wszystkim tak potrzebna broń przeciwpancerna, angielskie „piaty”, wreszcie granaty, amunicja, rakiety, opatrunki, koce, bluzy, lornetki.

Następnego dnia do Wiersz przybyły nowe oddziały z sąsiedniego podokręgu „Hallerowo”, z okolic Sochaczewa. W związku z tym, Dolina wysłał pismo do dowódcy przedniego oddziału i komendanta podokręgu ppłk-a Wiktora – Ludwika Wiktora Konarskiego:

„Dowództwo pułku Palmiry–Młociny

Mp dnia 11 VIII 1944 godz. 18.20

Dowódca Przedniego Oddziału ppłk Wiktor

Zakwaterować się w m. Górki. Ubezpieczyć się z kierunków zachodniego i południowego oraz północnego. Oddziały własne zakwaterowane w Wiersze, Truskaw, Krogulec, Kiścinne, Aleksandrów i folwark Zaborów Leśny. Proszę o przybycie do mojego mp (miejsce postoju) dziś lub jutro w godzinach rannych. Hasło na dzień dzisiejszy od godz. 14.00 do godz. 14 dnia jutrzejszego Bęben–Borysław. Znak rozpoznawczy swój – rakietą biało–czerwona.

Dowódca pułku Dolina”

Pierwszym oddziałem dobrze uzbrojonym, liczącym siedemdziesięć ludzi, który dołączył do „Grupy Kampinos”, dowodził kapitan Mściśław – Wilhelm Kosiński. Koncentrację wyznaczono mu we wsi

Dachów pod Sochaczewem 5 sierpnia. Stamtąd szczęśliwie, bez walki udało im się przedrzeć do Puszczy Kampinoskiej.

Do walk z Niemcami na terenie puszczy dochodziło teraz niemal codziennie, a nawet kilka razy dziennie. Naliboczenie dwoili się i troili, aby nadrobić czas stracony wymuszonym zawieszeniem broni. Piechota z niecierpliwością oczekiwała na rozkaz wymarszu do walczącej stolicy.

13 sierpnia 1944 roku drugi szwadron kawalerii wachmistrza Lavinie dokonał wypadu w kierunku Lasek, jednak nieprzyjaciela tam nie spotkano. W tym samym czasie trzeci szwadron wachmistrza Narcyza udał się nad szosę Warszawa–Leszno, gdzie według informacji wypoczywał niemiecki oddział. Nieprzyjaciel zdążył się jednak wycofać przed rozpoczęciem akcji. Tego samego dnia po południu ubezpieczenie drugiego szwadronu ostrzelało od strony Krogulca niemiecki samochód na gaśienicach. Pojazd zdobyło wraz z czterema karabinami, jednym pistoletem maszynowym z amunicją, sprzętem telefonicznym i saperskim, czterech Niemców zabito. Z ubezpieczenia zginął ułan Kazimierz Litwinowicz, zaś ranny został ułan Ryszard Miernik. Przed wieczorem z kolei pierwszy batalion piechoty pod dowództwem porucznika Witolda Pełczyńskiego uderzył na Zaborów i Zaborówek. Straty Niemców – 4 samochody, kilku zabitych i kilku rannych.

NA POMOC WARSZAWIE

14 sierpnia kapitan Franek – Aleksander Jedliński poprzez Londyn odebrał radiotelegram od dowódcy AK generała Bora – Tadeusza Komorowskiego wysłany do wszystkich oddziałów AK:

„Nr 433 D–wo AK N 6/III z 14 VIII godz. 10.30. Walka o Warszawę przedłuża się. Prowadzimy ją przeciw wielkiej przewadze nieprzyjaciela. Położenie wymaga niezwłocznie marszu na pomoc. Nakazuję skierować natychmiast najbardziej pospieszonymi marszami wszystkie rozporządzone dobrze uzbrojone jednostki z zadaniem bicia sił nieprzyjaciela, znajdujących się na peryferiach i przedmieściach Warszawy i następnie wkroczenia do walki wewnątrz miasta”.

Nieco później kapitan Szymon otrzymał – nadany przez łączniczkę Julię (nn), a przyjęty przez telefonistkę Jankę – Janinę Kapicę–Mariko –

rozkaz – telefonogram od pułkownika Wachnowskiego – Karola Ziemskiego:

„Zgodnie z rozkazem z dnia 08 sierpnia o godzinie 12.20 od Adama do Szymona poprzez Żywiciela zarządzam:

1. Jeśli major Okoń dotarł do was, w jak najkrótszym czasie przeprowadzić oddziały i rozpocząć natarcie wg otrzymanych od majora Okonia wytycznych.

2. W razie nieobecności majora Okonia zarządzam natychmiastową gotowość bojową wszystkich zdolnych do walki oddziałów z posiadanym dotychczas uzbrojeniem, przesunięcie ich na podstawy wyjściowe do natarcia, którymi są rejony cmentarza Powązki i Żydowskiego. Kierunki natarcia:

a) z Cm. Powązki na Stawki. Cel osiągnięcia – nawiązać łączność z moim oddziałem w rejonie Muranowa. W razie obecności npla w tym rejonie opanować go i nawiązać ze mną łączność,

b) z Cmentarza Żydowskiego i ewentualnie z Ewangelickiego cel do osiągnięcia – opanować rejon ul. Okopowej od Dzielnej do Dzikiej oraz nawiązać łączność ze mną. Proponowane dojście do podstaw wyjściowych do natarcia:

– z Lasek przez Mościska, Gacie. Przy końcu Gaci podstawa do natarcia Koło (należy ominąć drogę przez Boernerowo, a przejść na tyłach radiostacji),

– z Lasek na Babice, dalej na Górcę, z Górcę podstawa wyjściowa do natarcia na Koło i cmentarze,

– z Lasek przez Mościska, Gacie, Chorniczówkę na miasteczko Powązki, pierwszy punkt natarcia – ul. Elbląska.

3. Należy pozostawić nieuzbrojone odwody w celu dalszego odbierania zrzutów.

4. Natychmiast zameldować odwrotnie przez Żywiciela godzinę przewidzianej gotowości i przewidywalnego dojścia na podstawy wyjściowe do natarcia.

5. Oficerowie łącznikowi z KG AK czekają na Was od godz. 24.00 dn. 14.08 w portierni Zakładów dla Ociemniałych w Laskach. Hasło „Kampinos”, odzew „Warszawa”.

D-ca „Grupy Północ”

ppłk Wachnowski

Wkrótce po otrzymaniu tego meldunku pognął, co koń wyskoczy z Lasek do Wiersz konny łącznik z rozkazem od Szymona, by porucznik Dolina piorunem zorganizował i wysłał pomoc dla warszawskiej Starówki. Tylko w jednym punkcie polecenie Szymona nie pokrywało się całkowicie z rozkazem podpułkownika Wachnowskiego. Wyjaśnia to – i nie bez racji – sam komendant VIII Rejonu AK kapitan Szymon – Józef Krzyczkowski, po wojnie podpułkownik LWP, w swej książce “Konspiracja i powstanie w Kampinosie”:

...Nie mogłem zostawić w puszczy ludzi nieuzbrojonych, którzy odbieraliby rzuty. Wydanie takiego rozkazu tłumaczyłem sobie wielkim zdenerwowaniem, jakie musiało panować w sztabie „Grupy Północ”. Oddziały leśne składały się nie tylko z piechoty, ale i z kawalerii. Posiadanie kawalerii było szczególnym atutem, który pozwalał na dużą ruchliwość „Grupy Kampinos” i stwarzał pozory, że mamy wielkie siły. Wskutek tego Niemcy musieli przeznaczyć wielu żołnierzy, by zabezpieczyć tyły wojsk atakujących Warszawę. Gdyby spieszyć kawalerzystów i wysłać ich do Warszawy – atut ten zostałby utracony. Odbudowanie dywizjonu kawalerii i szwadronu cekaemów nie było sprawą paru dni. Improwizacja nie na wiele by się tu zdała. Poza tym wydawało mi się, że byłaby to zbyt wielka lekkomyślność – pozostawienie w lesie nieuzbrojonych ludzi wobec obecności licznych wojsk nieprzyjacielskich, które w każdej chwili mogły przystąpić do likwidacji oddziałów leśnych. Nie należało chyba powtarzać nierozsądnych poczynań z okresu powstania w 1863 roku i dopuścić, tak jak wtedy, do wyróżnienia powstańców kampinoskich...”

W tej sytuacji rozkaz kapitana Szymona przekazany porucznikowi Dolinie brzmiał następująco:

„Rozkaz otrzymany od dowódcy Grupy Północ musi być wykonany i w tym celu zarządzam:

1. Trzy bataliony piechoty wezmą udział w akcji,
2. Dowódcą akcji mianuję porucznika Dźwiga (Witolda),
3. Akcja nastąpi w nocy z 15 na 16 sierpnia,
4. Zaraz po otrzymaniu rozkazu oddziały mające brać udział w akcji wymaszerują z dotychczasowego miejsca postoju do Sierakowa, przez jutrzejszy dzień wypoczną i zajmą pozycje wyjściowe,
5. Dywizjon Kawalerii ze szwadronem ckm pozostaje w puszczy dla dokonywania wypadów nękających nieprzyjaciela. Dywizjon zwiększyć o połowę zwiadu konnego piechoty,

6. Jako kadra do tworzenia nowych oddziałów pozostają: pan jako dowódca, porucznik Drewno, porucznik Wyrwa i pięciu innych przez pana wyznaczonych oficerów. Poza tym polecam pozostawić piętnastu podoficerów. Pozostaje też kwatermistrz i por. Bałta. Wybór innych pozostawiam panu,

7. Uzbroić oddziały idące do akcji jak najlepiej i dać im jak najwięcej amunicji. Nie liczyć się, że przez pewien czas oddziały pozostające w puszczy będą słabo zaopatrzone w broń i amunicję, zrzuć będą kontynuowane,

8. Wydać oddziałom idącym do akcji żywność na trzy dni,

9. Aby przez dzień jutrzejszy dać odpocząć oddziałom przeznaczonym do akcji – do ubezpieczenia używać ludzi z dywizjonu kawalerii,

10. Zadanie do wykonania, podstawy wyjściowe i drogi przemarszu – jak w rozkazie ppłk. Wachnowskiego,

11. Polecam wyżyć wszystkie siły, by jak najspieszniej i jak najintensywniej przygotować akcję interwencyjną,

12. Szczegóły akcji omówię na odprawie z panem i porucznikiem Dźwigiem (Witoldem) dzisiejszej nocy. Zasady przyścia do mnie i zachowanie się w Laskach – tak, jak ustaliliśmy z porucznikiem Wyrwą. Jeżeli jest kapitan Serb, to musi wziąć udział w akcji. Być może zgłosi się do pana major Okoń – wtedy akcją dowodzi on”.

Jeszcze tej nocy w Zakładzie dla Ociemniałych w Laskach, gdzie leżał z podwiązaną na trokach nogą ranny dowódca VIII Rejonu kapitan Szymon, zameldowali się łącznicy KG AK – „cichociemni” porucznik Agaton – Stanisław Jankowski i podporucznik Kubuś – Stefan Bałuk, podchorąży Wojtek – Jan Woytowicz i strzelec Jacek – Kazimierz Piechotka.

PIERWSZA GRUPA SZTURMOWA

Zgodnie z wytycznymi dowódcy batalionu porucznika Witolda Witolda Pełczyńskiego, porucznik Strzała – Witold Lenczewski i podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski zorganizowali i przygotowali do wymarszu na Warszawę kompanie szturmowe, jako ich dotychczasowi dowódcy.

15 sierpnia, w dniu święta Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej i w 24. rocznicę „Cudu nad Wisłą” odbyła się uroczysta msza świę-

ta celebrowana przez księdza kapelana Pracza – Hilarego Praczyńskiego. Na placu alarmowym w Wierszach przed ołtarzem polowym stawili się wszyscy oficerowie i dowódcy wolni od służby. Stał też w pełnym rynsztunku batalion porucznika Witolda, który wprost stąd miał udać się do Warszawy. Daleko po puszczy niesły się słowa hymnu puszczy, pieśni śpiewanej przez „Doliniaków”:

O Panie, któryś jest na niebie,
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z puszczy dziś do Ciebie
O polski dach, o polską broń...

W tym samym dniu na odprawie u kapitana Szymona o godz. 13.00 zaistniał spór o to, kto ma dowodzić całością. Obecny na niej podpułkownik Wiktor – Ludwik Konarski z oddziału sochaczewskiego, który miał do dyspozycji około stu ludzi, żądał kategorycznie, by dowództwo nad całością Szymon powierzył nie dowódcy batalionu Witoldowi, lecz jemu, jako starszemu stopniem. Przedwojenny oficer sztabowy nie mógł zrozumieć, że w warunkach partyzanckich pełne zaufanie wśród ochotników mógł zdobyć jedynie wypróbowany i osobiście znany im dowódca – bez względu na posiadany stopień wojskowy. Narzucenie jako dowódcy nieznanego im bezwzględnie zmniejszało siłę bojową tych ludzi, którzy za „swoim” dowódcą gotowi byli pójść w ogień.

Spór trwał prawie dwie godziny. Szymon w końcu ustąpił i na niechęć dowództwo powierzył podpułkownikowi Wiktorowi. Miał on całą grupę uderzeniową doprowadzić do Powązek. Tam wyznaczono oddziałom do wykonania dwa zadania. Podpułkownik Wiktor miał ze swoją grupą zdobyć Stawki, zaś porucznik Witold rejon Okopowej.

Grupa uderzeniowa składała się z trzech oddziałów. Pierwszy – wydzielony ze Zgrupowania Nalibockiego batalion pod dowództwem porucznika Witolda w sile 450 żołnierzy. Drugi – z okolic Sochaczewa pod dowództwem kapitana Mścisława w sile około 100 żołnierzy. Trzeci – pod nazwą Zgrupowanie Serba pod dowództwem kapitana Serba oraz kapitana Szkodnika– Kazimierza Nowackiego liczące około 160 żołnierzy.

Każda kompania strzelecka w batalionie Witolda liczyła po około 150 ludzi doświadczonych i zaprawionych w boju. Kompanie składały się każda z trzech plutonów i sekcji granatników. W skład plutonu wchodziły trzy drużyny wraz z obsługami przeciwpancerne „piata”. Uzbro-

jenie było doskonałe. Na każdą drużynę przypadł jeden erkaem, a na każdy pluton wspomniany „piat” z 18 pociskami (ze zrzutów), na każdą kompanię granatnik i ciężki karabin maszynowy. Wszyscy dowódcy aż do drużyny włącznie posiadali pistolety maszynowe – angielskie i polskie steny, włoskie moszczetto, rosyjskie pepesze i zdobyczne szmajse-ry. Granatów ręcznych różnych typów, przede wszystkim zrzutowych „gamonów” o wielkiej sile rażenia – było aż w nadmiarze. Każdy Doli-niak stawiał sobie za punkt honoru, by nie iść do Warszawy z pustymi rękami. Należało więc zabrać ze sobą jak największą ilość amunicji. Kilkudniowy dowódca trzeciej kompanii podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski, który szybko potrafił zjednać sobie tych nieufnych z natury ludzi – z kresów tak wspomina:

– Niektórzy z nich mieli po trzydzieści kilogramów „gościńca”, czyli swoistego prezentu dla Starówki, która już wtedy urosła do miary najwyższego bohaterstwa. Iść na pomoc Warszawie – było obowiązkiem. Iść na pomoc Starówce stanowiło najwyższy zaszczyt.

Z Kampinosu dostarczano na Starówkę broń i amunicję siłami „tra-garzy” podporucznika Kiejstera – Jerzego Rybki. Żołnierze kompanii Wara – Karola Hartfila i Grota (nn) z reguły napełniali całe kieszenie amunicją, zabierano jej też po kilka kilogramów do chlebaków i pleca-ków. Żołnierzy batalionu Witolda cechowała właściwa wschodnim rejonom kraju uczuciowość i serdeczność, co w powiązaniu z tamtejszymi obyczajami nakazywało iść do kogoś po raz pierwszy właśnie z „gościń-cem”. Uznali to za najwłaściwszy w danym momencie prezent powital-ny dla Starówki, toteż z własnej woli brali na swoje grzbiety tak znaczne ciężary. (...)

Zaraz po zakończeniu odprawy wyruszyła w kierunku Warszawy kolumna doborowych, świetnie wyposażonych w broń i amunicję, umundurowanych żołnierzy, ubezpieczona przez 3 szwadron.

Odprowadził ich, niemal aż do Powązek, sam dowódca pułku – Dolina. Za Sierakowem Dolina rozkazał porucznikowi Strzale przeka-zać dowództwo kompanii swemu zastępcy, porucznikowi Warowi, który dołączył do oddziału w Izabelinie, w dniu 6 sierpnia, a że podporucznik Nowina przebywał jeszcze po odniesionych ranach w szpitalu w Laskach, Dolina jego mianował wówczas zastępcą dowódcy kompanii.

Porucznik Strzała został wyznaczony na dowódcę organizowanego od nowa w Puszczy Kampinoskiej II batalionu pułku Palmiry Młociny.

W Sierakowie ułani Suma – Narcyza Kulikowskiego serdecznie pożegnali kolegów z piechoty, którym zazdrościli zaszczytu wymarszu do tak upragnionej, w dniach powstania, Warszawy.

Niebawem kolumna, rozciągająca się na przestrzeni około kilometra, zniknęła w ciemnościach. Szwadron zawrócił i pokłusował w kierunku swych kwater.

Nie dojeżdżając do Mościsk ułani usłyszeli warkot samochodu. Na rozkaz Narcyza II pluton pod dowództwem plutonowego (podporucznika) Bronka – Brunona Dawidowskiego zsiadł z koni i zaległ przy szosie. Kilka serii kaemów i strzały karabinów trzech sekcji zniszczyły samochód wraz z kierowcą i pasażerami, którymi okazali się Niemiecycy żandarmi.

W tym samym dniu, to jest 15 sierpnia w około godziny dziesiątej w czasie, gdy na placu alarmowym w Krogulcu odprawiano piechotę do Warszawy – placówka 2 szwadronu ubezpieczająca pułk od strony Sowiej Woli ostrzelała tabor SS–manów. Po krótkiej walce zdobyto dwa wozy, trzy konie, pięćdziesiąt krów, dwanaście karabinów z amunicją, oporządzenie dla piętnastu żołnierzy. Zginęło dwunastu Niemców „bez strat własnych” – jak meldował Dolinie chorąży Nieczaj. O godz. piętnastej inna placówka 2 szwadronu ostrzelała niemiecki wojskowy samochód terenowy. W wyniku walki zastrzelono dwóch SS–manów, zdobyło samochód, a w nim dwa pistolety z amunicją, granaty i radiostację odbiorczą.

ZAPRZEPASZCZONA SZANSA

Nazajutrz 16 sierpnia część żołnierzy skierowanych do Warszawy wróciła. Wśród nich cała kompania nalibocka pod dowództwem Prawdzica – Zygmunta Budzyńskiego, a także większość kompanii podporucznika Jaskólskiego. Tylko pierwszy pluton z tej kompanii, utrzymujący stałą łączność z pododdziałem porucznika Dana doszedł do miejsca przeznaczenia.

Plutony, które otrzymały nowych dowódców: porucznika Mata – Kazimierza Młodnickiego i Janusza – straciły w ciemnościach nocy kontakt z czołem kolumny i zawróciły do Kampinosu. Do Wiersz wróciła też cała kompania sochaczewska, jednak bez swego dowódcy, kapitana Serba.

Porucznik Agaton w notatce sporządzonej w dniu 25 sierpnia 1944 r. dla podpułkownika Wachnowskiego – Karola Ziemskiego meldował:

– Dowództwo nad całością – do czasu samodzielnych akcji bojowych – objął pułkownik Wiktor. W trakcie marszu, na skutek jego zarządzeń, część oddziałów bez kontaktu z nieprzyjacielem pogubiła się po drodze, a całość baonu została wyraźnie zdeorganizowana. 16 sierpnia, po odnalezieniu pogubionych oddziałów, o godzinie pierwszej po północy osiągnięto rejon miasteczka Powązki. Napotkany przypadkowo jeden żołnierz niemiecki spowodował zamieszanie w szpicy i uskok za najbliższe płoty. Prowadzący oddział przewodnicy albo zniknęli, albo odmówili dalszej drogi. Po opanowaniu zamieszania, oddział poprowadzony przez przygodnie napotkaną kobietę doszedł do rejonu Cmentarza Wojskowego, przed którego murem napotkano dwadzieścia zaparkowanych i nieubezpieczonych samochodów pancernych. Pomimo namów z naszej strony Wiktor nie zdecydował się na opanowanie lub zniszczenie tych wozów, lecz nakazał odwrót z zamiarem dojścia do cmentarza z innej strony. W tym momencie prowadząca oddział kobieta odmówiła dalszego marszu. Po kilku minutach pułkownik Wiktor – około godz. 2.15 – zarządził wycofanie oddziałów do podstaw wyjściowych w puszczy. Bezładny odwrót, późna godzina mogąca ujawnić oddział blisko kilometrowej długości, na odkrytych piaskach, na północny zachód od Powązek i narazić go na ewentualny ostrzał artylerii nieprzyjaciela z Burakowa i fortu Bema – a także brak przewodników – zmusił mnie wespół z moimi oficerami do samorzutnego objęcia komendy nad całością – co odbyło się bez niczyjego sprzeciwu. Zmieniłem kierunek marszu na Żoliborz. O godzinie 4.00 zameldowałem się do pułkownika Żywiciela, prosząc o przekazanie meldunku o przebiegu akcji do podpułkownika Wachnowskiego. Wskutek bezładnego wycofania, około stu pięćdziesięciu ludzi zawróciło do puszczy, reszta oddziału bez strat dotarła do Żoliborza (...)

Major Okoń, który zgodnie z zapowiedzią pułkownika Wachnowskiego miał poprowadzić oddziały szturmowe z Kampinosu do Warszawy, przedzierając się do puszczy wpadł w ręce Niemców i niemal cudem udało mu się z nich wyrwać. Dopiero 16 sierpnia po południu, dotarł do kapitana Szymona wręczając mu rozkaz dowódcy Grupy “Północ” wydany przed tygodniem tj. 8 sierpnia 1944 roku:

„Z rozkazu dowództwa AK (LZ) III a dniem 10 sierpnia godz. 11 wyznaczam pana majora wraz z ekipą dowódczą i łącznościową do obje-

cia dowództwa nad oddziałem Szymona, który jest ranny. Po zorganizowaniu oddziałów uderzyć z lasów kampinoskich na Warszawę z zadaniem odciążenia działania nieprzyjaciela na oddziały walczące w Warszawie. Uderzyć na Parysów lub Koło poprzez cmentarze powązkowskie i szukać połączenia ze zgrupowaniem podpułkownika Radosława, który walczy w rejonie ulic Stawki i Okopowa. Musi pan równocześnie szukać łączności z oddziałem podokręgu Hallerowo, którego dowódca otrzymał podobne zadanie”.

Rozkaz ten podpisał podpułkownik Wachnowski.

Dowódca VIII Rejonu AK i nowy dowódca Grupy „Kampinos” major Okoń – Alfons Kotowski uzgodnili, że zorganizowana zostanie nowa grupa uderzeniowa na pomoc Warszawie. W tym celu kapitan Szymon wysłał w teren rozkaz mobilizacji, w wyniku, której zgłosiło się ponad 360 żołnierzy (w tym około 80 niezaprzyjęzonych). Ściągali też ochotnicy z innych rejonów. Z VII Rejonu swój pluton przyprowadził podporucznik Puchała – Jerzy Dudziec, na czele plutonu przybył z Pruszkowa podporucznik Orlik – Tadeusz Nowicki. Ponadto zgłaszały się do dowództwa „Kampinosu” grupki z rozbitych oddziałów warszawskich, pojedynczy żołnierze przybywali z Pragi, spod Modlina.

18 sierpnia przybył do Wiersz pluton lotniczy pod dowództwem kolegi Doliny również „cichociemnego” porucznika Lawy – Tadeusza Gaworskiego. W godzinie „W” miał on zdobyć gmach dawnego Dowództwa Lotnictwa przy ulicy Puławskiej. W dniu wybuchu powstania zadanie zmieniono i pluton ten wyznaczono do wsparcia ataku na lotnisko Okęcie. Atak ten nie powiódł się, podobnie jak atak na lotnisko bielańskie. Lawa wycofał się do lasów sękocińskich, tam zaś dowiedział się, że w lasach chojnowskich pułkownik Grzymała zbiera oddziały warszawskie i wyrusza z odsieczą na Mokotów. Z tych wszystkich oddziałów na koncentrację w Żabieńcu przybyło zaledwie trzystu uzbrojonych ludzi. Wówczas pułkownik Grzymała zmienił decyzję dając rozkaz demobilizacji, zakopania broni i opuszczenia lasów chojnowskich w przeciągu 24 godzin. Pluton Lawy nie wykonał tego rozkazu, decydując się na marsz do Puszczy Kampinoskiej, gdzie – jak słyszał – stały silne oddziały partyzanckie i skąd łatwo było przedostać się na Żoliborz. W Wierszach Lawa spotkał się ze swym „cichociemnym” kolegą z Anglii, porucznikiem Doliną, który tak oto wspomina to spotkanie:

– Wiedzieliśmy już od kilku dni, że oddział lotniczy porucznika Lawy maszeruje do nas, gdy zawiadomił, kiedy będzie na miejscu. Poprzedniego było piękne sierpniowe popołudnie, wyszedłem naprzeciw, by go powitać. Niedaleko za chałupą kwatermistrza, zobaczyłem Tadziuma idącego na czele swego plutonu. Przywitaliśmy się serdecznie. Nie widzieliśmy się od przeszło roku.

W Wielkiej Brytani widywaliśmy się do znudzenia, nieustannie, ponieważ przez kilka miesięcy siedzieliśmy razem na stacji wyczekiwania na odlot do Polski. Później w Warszawie spotkaliśmy się kilkakrotnie. Pamiętałem dobrze jego pseudonim, którego dotychczas nie zmienił. On natomiast wiedział, że byłem „Góram”, ale nie kojarzył sobie tegoż z moim nowym pseudonimem – „Doliną”.

Idąc razem rozmawialiśmy o różnych aktualnych sprawach. Powiedzialem, że poprowadzę go na miejsce, gdzie ma już przygotowane kwatery dla swego oddziału.

– A gdzie jest ten wasz „Dolina”, bo muszę chyba pójść i zameldować się u niego? – zapytał Tadziumo.

Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem: – Nie musisz nigdzie się fatygować nie musisz nigdzie chodzić. Możesz to zrobić zaraz, tutaj.

Wytrzeszczał na mnie oczy, przystanął na chwilę, nie mogąc początkowo niczego pojąć. Obejrzał się za siebie, podumał zorientował się, wreszcie i zabrał głos na dłużej – że nie przypuszczał, że dziś nastąpi takie nadzwyczajne spotkanie. Ze przez myśl mu nie przeszło, że ten podchorąży z Wielkiej Brytanii, zawsze taki skromny, chodzący z zasady jako ostatni i niepchający się nigdy do przodu, ani też nie łakomy na pochwały, wyróżnienia i wszelkiego rodzaju odznaczenia, czy zaszczyty, został teraz „władcą” Kampinosu (...)

Poprzedniego dnia, 17 sierpnia 1944 roku „Grupa Kampinos” przyjęła trzeci z kolei, obfity zrzut aliancki. Było, więc czym dobroić odprawianych do Warszawy „leśnych”, przy okazji było też co dostarczyć walczącym tam powstańcom.

W tym dniu dowódca II plutonu w szwadronie zwiadu wachmistrz podchorąży Grom – Józef Bylewski, jadąc na rozpoznanie, na czele dwóch sekcji otrzymał wiadomość, że z Małocic wyruszył w kierunku Brzozówki oddział niemiecki o sile dwustu ludzi. Okazało się, że byli to walczący wraz z Niemcami Węgrzy, przyjaźnie usposobieni do polskiej partyzantki. Doszło do spotkania i rozmowy. Węgierski kapitan zwrócił się

o zezwolenie na przemarsz jego oddziału przez Brzozówkę i Wiersze. Grom posłał gońca do Doliny, który wyraził na to zgodę, pod warunkiem, że Węgrzy całą swą broń złożą na wozy. „Bratankowie” chętnie na to przystali.

Po przemarszu przez Wiersze około trzydziestu Węgrów nieoczekiwanie odłączyło się od macierzystego oddziału zgłaszając chęć walki z Niemcami, u boku Polaków. Uczynili to między innymi Istvan Garami, Istvan Dorrasi, Sandor Lontos, Palow Kovacs, Ferenc Vetasi, małżeństwo Milos i Milosna Jakab.

Jak ustalili partyzancki wywiad Niemcy, których przerzucono akurat z terenu Puszczy Kampinoskiej do Warszawy, postanowili odciąć puszcę od stolicy poprzez obsadzenie miejscowości Izabelin, Laski, Sieraków i Truskaw własnie węgierską dywizją, piechoty. Porucznik Dolina próbował nawiązać kontakt z dowództwem węgierskim. Do przeprowadzenia rozmów oddelegował swego zastępcę porucznika Wyrwę – Bohdana Jaworskiego i porucznika Stabrawę – Antoniego Chomicza. Misja ta nie dała rezultatu. Na kolejne rozmowy Dolina wysłał kapitana Krzemienia – Edmunda Jungowskiego wraz z porucznikiem Wyrwą i Stabrawą oraz Jastrzębiem – Aleksandrem Wolskim – celem nakłonięcia Węgrów do przejścia w całości na stronę polską, ewentualnie w celu udzielenia pomocy w broni i amunicji. W tym samym czasie także kapitan Szymon przeprowadzał podobne rozmowy z dowódcami węgierskimi w Laskach. Chociaż dowództwo węgierskie było przyjaźnie ustosunkowane do oddziałów polskich, rozmowy nie przyniosły korzyści o większym znaczeniu. Ustalono tylko, że obie strony zachowają życzliwą neutralność.

DRUGA GRUPA SZTURMOWA

W ciągu czterech dni porucznik Dolina z nowo przyjętych ludzi z VIII Rejonu zorganizował dwie stuosobowe kompanie kampinoskie pod dowództwem podporucznika Wara – Karola Hartfila i podporucznika Grota (nn); zreorganizował kompanię sochaczewską uzupełniając jej szeregi ludźmi majora Korwina – Kazimierza Wielońskiego przybyłymi z obwodu Błonia – oddając jej na miejsce, pozostałego w Warszawie kapitana Mścislawa, porucznika Mazura (nn). Przeformował też kompa-

nię Prawdźica tworząc cztery plutony i powiększając jej stan liczebny do stu żołnierzy. Bez zmiany pozostały jedynie dwa plutony poruczników Mata i Janusza oraz pluton lotniczy porucznika Lawy. W dniu 19 sierpnia, po południu gotowe były do wymarszu w drugim rzucie na pomoc Warszawie dwie nowe kompanie szturmowe (kampinoskie) i nowy samodzielny pluton Lawy, ponadto „stare” oddziały – kompania sochaczewska Mazura, kompania nalibocka Prawdźiwa, którego zastępcą został podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski i dwa plutony, łącznie około stu żołnierzy z kompanii podporucznika Jaskólskiego.

A zatem – cztery pełne kompanie plus dwa plutony z kompanii Jaskólskiego oraz pluton lotniczy Lawy, łącznie 780 żołnierzy – oto siła, jaką Dolina przekazał w dniu 19 sierpnia majorowi Okoniowi. Jeśli do tej liczby dodać ponad dwustu żołnierzy porucznika Witolda, którzy na Żoliborzu znaleźli się już 16 sierpnia, to łączna ilość spieszących na pomoc Warszawie wynosiła, co najmniej, dziewięćset osiemdziesięciu żołnierzy w tym, jak już wspomniano – siedemset osiemdziesiąt „Doliniaaków” z byłego pułku „Palmiry–Młociny”¹³

Oddzielną pozycję stanowił stuosobowy oddział kapita Serba – Władysława Nowakowskiego i nieustalonej wielkości oddział kapita Szkodnika – Kazimierza Nowackiego, które to oddziały wzmocniły siły Obwodu III. Działał również oddział „Kampinosiaków”, którego żołnierzy nazywano „tragarzami” gdyż jedynym ich zadaniem było dostarczanie broni dla warszawskiej Starówki. Broń tę przetrzucano na Żoliborz, a następnie kanałami na Stare Miasto. Oddziałem tym dowodził porucznik Kiejster – Jerzy Rybka.

Uzbrojenie wszystkich kompanii szturmowych było jednakowo silne. Ponadto, drugiemu rzutowi przydzielono po jednym ciężkim karabinie maszynowym i po jednym moździerzem na kompanię. Takiego wyposażenia bojowego nie miał żaden z oddziałów powstańczych.

Tuż przed wymarszem do Warszawy, do Puszczy Kampinoskiej powróciły „Agatony”, jak nazywano łączników Komendy Głównej AK – by znów towarzyszyć oddziałom z Kampinosu w drodze do stolicy. Żołnierzy 3 kompanii odprowadzał ich dowódca sierż. Opończa – Walerian Żuchowicz, z wachmistrzem podchorążym Narcyzem Kulikowskim

¹³ Dane te pochodzą, z dotąd nieopublikowanych, wspomnień podporucznika Ostromira - Edwarda Bonarowskiego pt. *“W bój bez broni”*.

– aż do Lasek. Opończa przez całą drogę wręcz zaklinał podporucznika Ostromira, mianowanego w ostatniej chwili zastępcą dowódcy kompanii – by nie zmarnował chłopców i dbał o nich jak o własne dzieci. Ostromir słowa dotrzymał.

W chwili wymarszu noc była ciepła i spokojna. Do Lasek szturmowcy – tak sami siebie nazywali „leśni” przeznaczeni na pomoc Warszawie – dotarli na białoruskich jednokonnych „taradajkach” z tak zwanymi duhami – pałakami w kształcie podkowy, spinającymi parę bocznych dyszli ponad końską grzywą. W Laskach przejęli na swe plecy broń, amunicję, żywność, resztę ekwipunku – i pomaszerowali długą kolumną w stronę krwawej łuny unoszącej się nad płonąca Warszawą.

Na Żoliborzu żołnierze przybyli z puszczy zajęli kwatery w blokach przy ulicy Suzina, gdzie już od czterech dni rozlokowane były pododdziały nalibockie: – kompania porucznika Dana, pluton Jaskólskiego i poczet dowódcy batalionu porucznika Witolda. Kompania Prawdzica zajęła kwatery w czworoboku bloków VIII kolonii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Sierpeckiej.

Dowództwo nad całością oddziałów przybyłych z Puszczy Kampinoskiej objął major Okoń – Alfons Kotowski. 20 sierpnia przed południem zwołał on odprawę dowódców kompanii, a wkrótce po niej odprawę wszystkich oficerów przy współudziale szefa sztabu II Obwodu majora Romana–Andrzeja Janczaka.

W tym czasie Niemcy umocnili się wzdłuż linii kolejowej od mostu na Wiśle odcinając Warszawę od Żoliborza i bazy zaopatrzeniowej ze zrzutowisk w Kampinosie. Komenda Główna postanowiła przerwać ten swoisty kordon na północnym odcinku i nawiązać stałą, bezpośrednią łączność Żoliborza z resztą lewobrzeżnej Warszawy. Plan taktyczny akcji opracowano w sztabie podpułkownika Żywiciela — Mieczysława Niedzielskiego. Zgodnie z tym planem, major Okoń dysponujący siłami sześciu kompanii z Puszczy Kampinoskiej otrzymał zadanie opanowania torów kolejowych w rejonie Dworca Gdańskiego, zdobycia tego dworca oraz remizy tramwajowej na Muranowie i Komory Celnej na ul. Stawki. Należało też przejść ukosem przez Muranów w stronę ulicy Bonifraterskiej i połączyć się z oddziałami ze Starówki.

Za kompaniami szturmowymi miały posuwać się oddziały saperkie z materiałami wybuchowymi – z zadaniem niszczenia torów kolejowych i przerwania łączności Niemców z prawym brzegiem Wisły.

Podczas odprawy dowódcy kompanii domagali się przydzielenia im przewodników, którzy znalazłyby topografię terenu pomiędzy torami kolejowymi, a Muranowem i Starówką. Taktykę uderzenia major Okoń przedstawił następująco:

1. Uderzenie nastąpi z kierunku alei Wojska Polskiego poprzez ogródki warzywne (z lewej strony bloki miejskie przy tej alei, z prawej Instytut Chemiczny),

2. Przed torami kolejowymi nie należy spodziewać się nieprzyjaciela, tylko z lewej strony, już na ulicy Generała Zajączka, w murach tak zwanych spalonych baraków. Mogą być gniazda broni maszynowej, które należy zniszczyć,

3. Uderzenie pójdzie w dwóch rzutach. Najpierw trzy kompanie, których zadaniem będzie oczyszczenie przedpola, aż do samych torów. Jedna z tych kompanii obejdzie rejon „spalonych baraków” z lewej strony wzdłuż ulicy Felińskiego i z prawej strony od ogródków działkowych. W razie napotkania tam Niemców należy ich zaatakować z obu stron. Od czoła manewr ten wspierać będą karabiny maszynowe z „Poniatówki”.

Porucznik Ostromir – Edward Bonarowski wspomina:

– Po pokonaniu torów należało wystrzelić zieloną rakietę. Na ten znak miał ruszyć do natarcia drugi rzut i saperzy z minami. W tym czasie pierwszy rzut miał się umocnić na torach, a po przejściu przez nie, kompanii drugiego rzutu – przeskoczyć w rejon Dworca Gdańskiego i Muranowa. Z tego co mówił major Okoń wydawało by się mogło, że pokonanie wyznaczonego celu rysowało się tak prosto, jak przed wojną niedzielny spacer na przepustce po lasku bielańskim... Sam major też zapewne tak myślał, bo zaraz na początku odprawy powiedział:

– Uderzenie będzie nocne, bo Niemiec w nocy to tchórz i na okrzyk “hurra!” wieje...

Rychło okazało się, że na ten okrzyk atakujących kompanii przybyłych z Puszczy Kampinoskiej nieprzyjacieli nie zwiął. Przeciwnie, dwa natarcia na Dworzec Gdański przyniosły krwawe żniwo. Pomimo wielkiej odwagi i niebywałej brawury nacierających Polaków – ani jeden żołnierz nie dotarł wyznaczoną drogą ani na Muranów, ani na Stare Miasto. (...)

ATAK NA DWORZEC GDAŃSKI W RELACJI PPOR. OSTROMIRA EDWARDA BONAROWSKIEGO

Liczne powojenne publikacje relacjonujące to dwukrotne natarcie i zarazem dwukrotny pogrom żołnierzy, którzy przybyli z Puszczy Kampinoskiej do Warszawy i w odstępie 24 godzin przypuścili dwa szaleńcze ataki na wyznaczony cel – nie oddają prawdy, a niektóre są ze sobą wręcz sprzeczne. Potwierdzają to zdecydowanie ci żołnierze, którzy przeżyli to podwójne piekło.

Najbardziej wiernie przedstawia ten bój, bez mała tysiąca walecznych z Kampinosu, ówczesny zastępca dowódcy 3 kompanii podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski we wspomnianej już, a niestety, niepublikowanej relacji „W bój bez broni”. Sam warszawiak, początkowo traktowany przez „Doliniaków” jako obcy, szybko zjednał sobie ich zaufanie stając się jakby jednym z nich. Jego relacja wydaje się obiektywna, zadał bowiem sobie wiele trudu, by skonfrontować swoje spostrzeżenia ze wspomnieniami niemal każdego żołnierza ze swej kompanii, który zapamiętał koszmar tamtych dwu nocy.

Oto obszernie fragmenty tej relacji, przedstawione tu, na prośbę nieodżałowanego podporucznika Ostromira – Edwarda Ponarowskiego, który „Doliniaków” czytał w maszynopisie:

– Kompania Dana rozmieszczona została na terenie Gimnazjum im. księcia Józefa Poniatowskiego, tak zwanej „Poniatówki” i Bloków Miejskich, by z dwu stron zaatakować tzw. spalone baraki – jednym plutonem od ulicy Felińskiego, a dwoma (na styku z prawej) ze skraju ogródków warzywnych.

Kompanie Wara i Grota zajęły podstawę wyjściową po parzystej stronie domów przy alei Wojska Polskiego, by poprzez ogródki warzywne ruszyć ku torom kolejowym. Kiedy o zmierzchu kompania Prawdzica znalazła się na alei Wojska Polskiego, róg ulicy Rokitnej (obecnie Szenwalda) kompanie pierwszego rzutu już tkwiły na swych stanowiskach wyjściowych, a kompania Jaskólskiego stała na ulicy Rokitnej wzdłuż bloków miejskich, aż do „Poniatówki”. Stanowisko dowodzenia całym natarciem mieściło się w gmachu gimnazjum. Pięć kompanii stało już gotowych do natarcia. Nie wiadomo było tylko gdzie została umieszcza-

na kompania sochaczewska. Skoro jednak miała ona być prawoskrzydłową w drugim rzucie – zapewne tkwiła gdzieś w pobliżu ulicy Stołecznej.

Z nastaniem nocy miało ruszyć natarcie. Major Roman przewidywał pełne zaskoczenie nieprzyjaciela. Wszelkie przeszkody miały być pokonywane bronią palną, granatami oraz nożycami do cięcia drutu, których sporą ilość otrzymał pierwszy rzut. Każdą kompanię wyposażono również w rakiетnicę z zielonymi rakiетami. Sygnał zielonej rakiety miał oznaczać osiągnięcie torów kolejowych i być sygnałem dla kompanii drugiego rzutu do natychmiastowego natarcia...

Wraz z pierwszym rzutem miały wyruszyć drużyny sanitarne ze zgrupowań żoliborskich. Do ich zadań należało znoszenie rannych na punkt opatrunkowy w „Poniatówce”, a stamtąd do szpitali. Również z „Poniatówki” dwa cekaemy plutonu 202 miały udzielać wsparcia ogniowego w kierunku torów kolejowych i „spalonych baraków” między ulicą Gen. Zajączka a torami kolejowymi. Dwa inne cekaemy dostarczone z puszczy miały nas wspierać z narożników tej ulicy i ulicy Felińskiego.

Oddziały zgrupowania „Żyrafa” miały pozorować natarcie na Instytut Chemiczny, a zgrupowanie „Żniwiarz” na Dworzec Gdański od strony ulicy Mickiewicza i Zajączka wzdłuż wiaduktu kolejowego. Tej nocy jednak atak „Żniwiarza” nie nastąpił.

Wkrótce po godz. 22.00 wieczorem trzystudwudziestoosobowy oddział powstańców Wara i Grota ruszył luźnym szykiem – poszczególne plutony tworzyły jak gdyby małe „roje” między Blokami Miejskimi a ulicą Stołeczną. Miały one szybkim marszem przejść około trzysta metrów przez ogródki warzywne, dwieście metrów dalej niewielkim wzniesieniem, na którym stało kilkadziesiąt luźno rosnących drzew i zająć stanowiska na skarpie, nad torami kolejowymi. Jednocześnie stu pięćdziesięcioosobowa kompania Dana wyruszyła, aby zaatakować z dwóch stron „spalone baraki”.

Z lewego narożnika „Poniatówki”, wzdłuż ulicy Felińskiego, ruszył 225 pluton porucznika Andrzeja i od razu na ulicy Zajączka natrafił na gniazdo niemieckiej broni maszynowej. Wywiązała się walka wręcz.

Na czele dwóch plutonów nalibockich wyruszył z Bloków Miejskich skrajem ogródków działkowych porucznik Dan, a przy nim sierżant Kola – Mikołaj Zienkiewicz. Tuż obok szedł porucznik Witold wraz ze swym „luzakiem” Mieczysławem Zadrejko. Oba plutony wyruszyły dwójkami. W czołówce tuż za dowódcą szedł jakiś warszawiak z noży-

cami do cięcia drutu, a obok niego siedemnastoletni chłopak z erkaemem Czesław Dzudzewicz. Kiedy z baraków, spoza kominów i fundamentów posypały się serie karabinów maszynowych, erkaemista odpowiedział na osłep ze swego Diegtiarewa, a sierżant Kola uspokoił granatem najbliższe niemieckie stanowisko. Szyk dwójkowy rozsypał się i rozpoczęła się normalna walka. W ciemnościach i różnego rodzaju nierównościach terenu najbardziej skuteczne okazały się granaty. Już pierwsze grupy powstańców posuwały się w głąb terenu baraków, gdy nagle nastąpiła nawała ognia artyleryjskiego skierowana na teren ogródków warzywnych, na kompanie Grota i Wara, lecz pociski padały również w pobliżu baraków.

Przewidywane przez Żywiciela zaskoczenie nie udało się. Na terenie “spalonych baraków” czekała niemiecka piechota, a na ogródki warzywne poszedł ogień artylerii z Cytadeli, Burakowa, Słodowca, Instytutu Chemicznego i ulicy Inflanckiej. Na tych, którzy przeskoczyli pas ostrzału artyleryjskiego – w barakach i na skarpie przy torach czekały nierozpoznane dotychczas gniazda karabinów maszynowych.

Wszystko to było zaskoczeniem, ale ze strony Niemców. Pierwszy rzut został jak gdyby uderzony silną pięścią w środku nocy. Rakiet świetlnych nie było. Tylko tysiące świetlnych pocisków karabinowych sprawiło, że całe pole było pokryte ogniem niemieckiej broni maszynowej, która nie pozwoliła dojść do nieprzyjacielskich stanowisk ogniowych. Jeden pocisk padł obok grupy dowódczej i zabił luzaka Waldemara Zadreckę, a sam Witold został podmuchem rzucony na ziemię. Walka na skraju baraków toczyła się dalej (Ostromir powołuje się tu na wspomnienia Czesława Dzudzewicza).

Tymczasem na terenie ogródków warzywnych artyleria niemiecka zbierała obfite żniwo wśród kompanii kampsoskich. O stratach powstańczych świadczyły krążące biegiem między ogródkami warzywnymi, a „Poniatówką” patrole sanitarne zabierające rannych. Żaden z obserwatorów, a chyba i dowódców nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wysokie straty od ognia artyleryjskiego poniosą właśnie drużyny sanitarne. Coraz mniej sanitariuszek będzie wracać z ogródków warzywnych do “Poniatówki”. Wyginą całe patrole. Straty wśród żoliborskich sanitariuszek, jak się okazało, były znacznie większe, niż wśród żołnierzy kampsoskich i nalibockich. Już w dniu następnym miało ich zabraknąć na polu walki.

Odgłosy toczącej się walki świadczyły o tym, że pierwszy rzut nie dotarł jeszcze do torów. Nie słychać było nic innego, tylko artylerię. Nieprzerwany huk! Tymczasem my w napięciu czekamy na sygnał zielonej rakiety. Po upływie około pół godziny walki stojąca naprzeciw „Poniatówki” kompania Prawdzica przesunięta została w kierunku Bloków Miejskich, zaś wkrótce potem padł rozkaz, by przesunąć się pod ściany i dać przejście. Niestety, pierwszy rzut nie wytrzymał i wycofał się nieparzystą stroną al. Wojska Polskiego w kierunku ulicy Felińskiego.

Jesteśmy tym zaskoczeni. Zamiast zielonej rakiety widzimy przesuwających się obok nas żołnierzy pierwszego rzutu. Witold mijając mnie rzucił krotko: jestem kontuzjowany... Miał szczęście, bo przecież od wybuchu tego samego pocisku zginał Zadrejko.

Natychmiast pada nowy rozkaz: drugi rzut wyrusza, by wykonać zadanie pierwszego rzutu, przez ten czas kompanie pierwszego rzutu uporządkują się i na sygnał naszej zielonej rakiety ponownie ruszą, by zdobyć teren poza torami.

W miejsce wycofanego 225 plutonu, który poniósł przed torami znaczne straty, Żywiciel rzuca całą kompanię nalibocką Jaskólskiego, która pospiesznie wyrusza z rejonu „Poniatówki”, by tuż za ulicą Zajączka zaatakować z lewej strony „spalone baraki”. Od ulicy Rokitny wzdłuż al. Wojska Polskiego posuwa się kompania Prawdzica i tuż za ogrodzeniem Bloków Miejskich (obecnie ulica Or–Ota) skręca na ogródki, by dalej prawym skrzydłem na styku z kompanią sochaczewską zlikwidować stanowiska niemieckie nad torami – a lewym uderzyć na „spalone baraki”.

Uzgodniliśmy z Prawdzicem, że on jako dowódca poprowadzi kompanię prawym skrzydłem na styku z kompanią sochaczewską wprost ku torom, ja zaś jako zastępca będę dowodził lewym skrzydłem, czyli połową kompanii wspólnie z Jaskólskim zajmę się tymi właśnie barakami. Ułatwi nam to wspomniany już podporucznik Żytomirski.

Nie znając terenu nie orientowałem się gdzie rozciągają się ogrodzenia zabudowań i działek warzywnych. Naprzeciw „spalonych baraków”, w odległości ok. 300 metrów napotkałem ogrodzenie z siatki drucianej – już na alei Wojska Polskiego, tuż za blokami. Nie wiedziałem jeszcze w tym czasie skąd i jak wyruszyła na „spalone baraki” kompania Dana. Nie wiedziałem też, że najprościej było całe to ogrodzenie obejść. Przystąpiłem, więc do wycinania otworu w siatce. Nie wiem, czy nożyce

były za tępe, czy drut za twardy, czy żołnierz zbyt zdenerwowany, dość, że otwór powiększał się za wolno. A z naprzeciwka karabiny maszynowe były wściekle i na oślep. Tysiące „świelików” przelatywało nad głowami, przyczajonych pod płótem powstańców.

Niecierpliwę się. Tam w prawo Prawdzic już chyba jest w przedzie, a ja tu cały czas mitręzę. Chwytam nożyce z rąk Boruty i tnę siatkę unosząc się do pozycji kłęczącej. Zapominam o tym, że tamci strzelają. Nie zwracam uwagi na ostrzegawcze głosy najbliższych żołnierzy. Aby prędzej! Ja tnę, a dłonie leżących żołnierzy odciągają siatkę w przeciwnym kierunku.

Są chwile w życiu człowieka, kiedy w ułamku sekundy przychodzą jakieś wspomnienia z dawnych lat. W pewnym momencie skojarzyłem sobie coś sprzed 20 lat na wsi: coś mnie musnęło po głowie – za mocno jak na chrapaszczka, za słabo jak na nietoperza. W rzeczywistości to „świelik” przejechał się po mojej mocno naciągniętej na głowę furazerce i wyciął w niej kilkunastocentymetrową dziurę, o czym w tym momencie jeszcze nie wiedziałem. Gdyby tak o centymetr niżej, przejechałby się po skórze, a gdyby o porę centymetrów – to zahaczyłby o czaszkę i dziś nie wspominałbym ani tego natarcia, ani tamtego skojarzenia z chrapaszczem i nietoperzem...

Teraz już nie ostrzeżenie, lecz krzyki żołnierzy przywołały mnie do rozsądku. Zaniechałem więc wycinania otworu w siatce. Postanowiłem ominąć całe ogrodzenie i biegiem poprowadziłem oddział przez ogródki aż do wylotu ulicy Lisa Kuli i dalej skokami do wylotu Zajączka. Ogień artylerii ustał. Jeszcze krótka walka i gniazda niemieckiego oporu zostały zlikwidowane. Niemcy wycofali się za tory.

Trudno mi ocenić, czego dokonał Jaskólski, czego nasi chłopcy, a jaki wkład w wyrzuceniu Niemców ze „spalonych baraków” miały cekaemy Żytomirskiego. Na razie nasi opanowali teren.

Niewiele przesadził major Okoń mówiąc, że Niemiec w nocy jest tchórzliwy. Ci w barakach wprawdzie nie zwiali od razu, ale jednak dość łatwo je opuścili.

A na prawo słychać jeszcze odgłosy walki bronią piechoty. Artyleria zaprzestała ognia, by nie razić stanowisk swoich żołnierzy rozmieszczonych nad torami. W pewnej chwili dwadzieścia – trzydzieści metrów w lewo na skos usłyszałem okrzyk „Hände hoch!” To porucznik Janusz wołał do uciekającego z bunkra Niemca, by się poddał. Ten jednak zdą-

żył zeskokczyć ze skarpy w kierunku torów i oddać strzał. Janusz upadł. Został trafiony w nogę w okolicy pachwiny.

Jeszcze kilkanaście minut i jesteśmy – w sile niespełna dwóch plutonów – na skarpie nad torami. Czas wystrzelić zieloną raketę, ale raketnicy brak. Ot, po prostu w pośpiechu nie otrzymaliśmy raketnicy od kompanii pierwszego rzutu. Z raketnicami było w ogóle skąpo, więc może i nie każda kompania je miała.

Jeszcze przed północą zapanowała nad torami całkowita cisza. Z braku raketnicy musiałem posłużyć się gońcem. Korzystając z sytuacji, kiedy obecny w pobliżu podchorąży Wołosiuk wraz z dwoma żołnierzami zajął się rannym Januszem, by go odprowadzić na punkt opatrunkowy – zobowiązałem go do zameldowania Okoniowi lub Romanowi o mojej obecności nad torami.

Sam rozmieściłem pozostający przy mnie oddział na skarpie w prawo i lewo od wylotu dzisiejszej ulicy Or–Ota. Znalazłem się mniej więcej tam, gdzie dziś stoi krzyż upamiętniający rozstrzelanie cywilnej ludności dnia 7 sierpnia 1944 r.

Cisza panująca z kierunku ulic Stołecznej i Felińskiego świadczyła o ustaniu boju. Tylko, dlaczego nie widać zielonej rakiety? Może Jaskólski i Prawdzic też wysłali gońców do dowództwa i przycupnęli nad torami – oczekując na powrót pierwszego rzutu?

Usiłuję nawiązać łączność z Prawdzicem. Wysłany w prawo patrol nie odnalazł go i powrócił. Prawdzic szukając łączności z Mściśławem czy Mazurem coraz bardziej oddalał się w prawo skos w i końcu znalazł się sam nad torami już w pobliżu ulicy Stołecznej. Nie wiedział, że kompania sochaczewska została wcześniej wycofana. Czekał, więc spokojnie na pierwszy rzut.

Wzdłuż torów cisza, taka jakaś dziwna, tajemnicza, wręcz niepokojąca. Jeszcze przed godziną artyleria, przed półgodziną karabiny maszynowe, granaty, hałas. A teraz kompletna cisza.

Bezchmurna noc, widoczność na terenie otwartym – na ogródkach i nad torami – na odległość kilkudziesięciu metrów. Czekamy w napięciu na Okonia, jak przed godziną czekaliśmy na zieloną raketę. Tylko czas niesamowicie się dłuży. Meldunek o dojściu do torów powinien być już dawno dotrzeć do Okonia.

Nie ma już artylerii, nie ma piechoty niemieckiej z tej strony torów. Wymarzona sytuacja do kontynuowania natarcia! Jednak pierwszego rzutu

nie widać. Już myślę o wystaniu drugiego gońca. Wreszcie daleko po północy zbliżają się jakieś pojedyncze sylwetki. To podchorąży Wołoskiuk wraca z żołnierzami, którzy odprowadzali rannego Janusza, i z rozkazem: wracać na postawę wyjściową!

Zadowoleni ze szturmów żołnierze Prawdzica ponuro wracali ze skarpy. Plutonowy Fab kłął polsko–rosyjską „łaciną” nie wiadomo, kogo. W alei Wojska Polskiego nikogo nie zostaliśmy. W „Poniatówce” jakiś oficer powiedział: wracać na kwatery i (...)

Dowództwo Żoliborza zaprzepaściło szansę zdobycia tego, co było do zdobycia za torami: szansę rozerwania pierścienia niemieckiego i połączenia północnego przedmieścia z miastem – przez dwie nalibockie kompanie Jaskólskiego i Prawdzica...

Dzisiejszej nocy była prawdziwa bitwa. Ginęli ludzie po obu stronach. Jutro będzie tylko masakra tych samych naszych kompanii. Jutro bić się i zadawać straty nieprzyjacielowi będzie tylko jedna kompania Dana oraz nieliczni ci, którzy do niej dołączyli. Taki będzie pierwszy paradoks z żołnierzami 78 pułku piechoty na Żoliborzu. Drugi – rozpocznie się za kilka dni, w obronie Żoliborza, już przez niedobitki 78 pułku piechoty (...)

W dalszej części swoich wspomnień podporucznik Ostromir — Edward Bonarowski rozważa, dlaczego nie wykorzystano w pierwszym natarciu na Dworzec Gdański dogodnej sytuacji, jaka się wytworzyła dla powstańców. Rozważania te przytaczam w tym miejscu bez komentarza.

– W historiografii powstania utrwalił się pogląd, że owo pierwsze natarcie, to było jakieś próbne, rozpoznawcze. Traktuje się je wręcz marginesowo. Pisze się o nim niewiele. Dopiero to z następnej doby miało być głównym uderzeniem, wprawdzie również nieudanym, ale to już był taki dopust Boży.

Dlaczego Żywiciel nie wystąpił do ponownego natarcia kompanii Wara, Dana i Grota? – Tego nikt do dziś nie wyjaśnił. Dlaczego tak późno, po północy, odwołano znad torów Jaskólskiego i Prawdzica – do dziś niezrozumiałe.

Daleki jestem od twierdzenia, że udane natarcie na Dworzec Gdański w zasadniczy sposób zmieniłoby sytuację powstania. Nie jestem w ogóle upoważniony do rozważań na temat jego całokształtu. Mam natomiast przekonanie, że zaistniały warunki do tego, żeby o północy 21 sierpnia 1944 r. Żywiciel mógł wydać rozkaz do ponownego natarcia

przez pierwszy rzut kompanii i że były realne szanse na dotarcie sześciu kompanii szturmowych na ulicę Bonifraterską.

Witold zapytany przeze mnie nazajutrz o przyczynę wycofania się z natarcia pierwszego rzutu powiedział, że świeżo sformowane w Puszczy Kampinoskiej kompanie Wara i Grota stanowiły zlepek rdzennych, podwarszawskich elementów ochotniczych — niewyszkolonych, nie obytych w boju. Żołnierze nie znali swoich dowódców, dowódcy ich nie znali. Nie było dyscypliny ani poczucia koleżeństwa. Były to po prostu kompanie rekruckie. Doświadczona kompania Dana przeskoczyła pas ognia artyleryjskiego, a tamte skotłowały się w tym ogniu i trzeba było je wycofać. Idąca w drugim rzucie jako prawoskrzydłowa kompania sochaczewska pod dowództwem Mściśława też została wycofana niezwłocznie po przeskoczeniu alei Wojska Polskiego tuż przy ulicy Stołecznej. Praktycznie więc 20 sierpnia wcale nie brała udziału w natarciu.

Dlaczego nie wysłano tych trzech pierwszych kompanii do ponownego natarcia? Tego Witold też nie wiedział. W późniejszych rozmowach spotkałem się z poglądem, że Żywiciel zrezygnował z kontynuowania natarcia przewidując większe siły piechoty niemieckiej za torami po stronie dworca – które mogły zniszczyć nas w trakcie przeprawy przez tory. Uważałem to jednak za wersję wykrętną, wymyśloną w sztabie Żywiciela.

Z toczących się rankiem 21 sierpnia rozmów na VIII Kolonii można było wyczuć poczucie wyższości naszych żołnierzy: oni dotarli do torów. A tamci?... Wycofanie oddziałów znad torów tłumaczono sobie chłopskim rozumem: tak, jak niedawno na lotnisku bielańskim, wczorajszej nocy też nawaliło warszawskie dowództwo. Nie obyło się bez wspominek o pierwszym nieudanym marszu do Warszawy. I tam na lotnisku, i tu nad torami kolejowymi oddziały te poniosły znaczne straty. Rozmowy te żołnierze prowadzili między sobą. Mnie krępowali się.

Wydaje się, że ten opis pierwszego natarcia na Dworzec Gdańska wymaga jeszcze uzupełnienia. Nadal są niejasne takie sprawy:

1. W jakich godzinach i jak długo ono trwało?
2. Dlaczego w walkach prowadzonych wręcz – na terenie „spalonych baraków” straty były tak niskie w stosunku do poniesionych na otwartej przestrzeni?

W odpowiedzi na powyższe pytania, oprócz własnych wspomnień, posłużę się relacjami dwóch osób: podporucznika Topora — Władysława

wa Jasińskiego oraz strzelca Czesława Dzudzewicza, których relacje wśród wielu innych uważam za najbardziej wiarygodne.

Pierwszy i nich podaje, że tego wieczora skoro tytko zapadł zmierzchu udał się z kilkuosobowym patrolem w kierunku torów – a ostrzelany, nie wdając się w walkę, zawrócił.

Wystarczy zajrzeć do kalendarza, by stwierdzić, że 20 sierpnia 1944 r. słońce zachodziło o godz. 18:51. Topór wyruszył więc o zmierzchu między godziną 20.00 a 21.00. Wyprawa jego trwała nie dłużej, niż kilkanaście minut. A na to, by raport trafił na czas do Żywiciela – było już za późno. Wkrótce ruszyło natarcie.

Natomiast 17-letni erkaemista Dzudzewicz pisze, że wyruszył w czołówce kompanii Dana z rejonu bloków czynszowych o pełnym zmierzchu około godz. 22.00, i dalej – że Niemcy byli niewidzialni, ukryci za fundamentami. Więc strzelał na oślep, zaś inni rzucali granaty, które okazały się najbardziej skuteczne.

Walka na terenie baraków trwała dopóty, dopóki Żywiciel nie zorientował się, że Grot i War nie są w stanie przeskoczyć pasa ognia artyleryjskiego. Trwało to nie dłużej, niż pół godziny. Jeśli doda się do tego drugie pół godziny na odwołanie wszystkich trzech kompanii pierwszego rzutu i wydanie drugiemu rzutowi rozkazu do natarcia, to upłynie nie więcej, niż jedna godzina. Walki drugiego rzutu na terenie baraków też nie trwały dłużej, niż pierwszego rzutu. Całkowite opanowanie przez kompanie Jaskólskiego i Prawdzica linii nad torami od ulicy Felińskiego do Stołecznej trwało nie dłużej, niż pół godziny.

Nieprzyjaciel był słaby, a przed tym natarciem Dana też zrobiło swoje – więc wycofał się z baraków i znad torów. Stwierdzić więc należy, że pierwsze natarcie na tory kolejowe rozpoczęło się około godziny 22.00, trwało około półtorej godziny i zakończyło się przed północą 20 sierpnia. Nieznaczne straty po stronie powstańczej w walce wręcz na terenie baraków należy tłumaczyć z jednej strony ciemnościami, z drugiej zaś – brakiem oporu Niemców. W prowadzonej na oślep walce Niemcy nie wytrzymali nerwowo i opuścili baraki. Należy przypuszczać, że czuli brak bliskiego zaplecza za torami. Chyba też nie ponieśli większych strat.

Na terenie otwartym, w ogródkach żadnych walk nie było. Tylko idąca „rojami” 320 osobowa grupa powstańców została zasypana gradem pocisków artyleryjskich. Niektóre plutony nie odniosły szwanku,

w innych byli zabici i ranni. W natarciu tym nikt z oficerów nie odniósł poważniejszych obrażeń. Jutro żaden z nich nie wyjdzie cało. (...)

NATARCIE DRUGIE: NA STOS...

Podporucznik Ostromir – Edward Bonarowski wraz z partyzantami z Puszczy Kampinoskiej wziął udział również w drugim natarciu na Dworzec Gdański. Z uwagi na rzetelność jego relacji, jakże odmiennej od innych publikacji, zasługuje ona na przytoczenie w całości:

„... Już przed południem 21 sierpnia dowiadujemy się, że natarcie ma być ponowione. Wydawało nam się to dziwne wobec wczorajszego zaniechania kontynuowania natarcia.

Późnym popołudniem – odprawa na “najwyższym szczeblu”. To przyszedł kanałami ze Starówki szef sztabu Komendy Głównej AK generał Grzegorz z dwoma oficerami, których pseudonimów nam nie podano (według Borkiewicza generałowi Grzegorzowi towarzyszyli dwaj majorzy – Cezas i Jaskier). Nie było już wówczas tajemnicą, że Grzegorz – to Pełczyński. Co za zbieg okoliczności? W ciągu niespełna dwóch tygodni – spotkanie z Dźwigiem – Witkiem Pełczyńskim, a teraz odprawa u samego generała.

W ślad za generałem, już wieczorem kapitan Trzaska – Eugeniusz Konopacki przyprowadził kanałami na Żoliborz parusetosobowy oddział szturmowy złożony z żołnierzy zgrupowania „Wigry” oraz innych zgrupowań ze Starówki, które miały wraz z nami brać udział w nowym natarciu, czego jednak z nieznanym mi przyczyn zaniechano.

Na dzisiejszej odprawie, podobnie jak na wczorajszej, padają głosy domagające się przesunięcia całych oddziałów leśnych kanałami na Starówkę. Ale generał Grzegorz potwierdził słuszność decyzji Żywiciela. Tonem perswazji i zachęty podniósł wagę naszego zadania do rangi „odsieczy dla Stolicy”.

– Pójdziecie górą, a nie kanałami – rozkazał. – Dojdziecie do Starówki. Okryjecie się chwałą. Nadamy to przez radio „Błyskawica”. Cała Europa dowie się, że powstańcza Warszawa nawiązała bezpośredni kontakt z terenem, że wyście to wywalczyli.

Te i inne wypowiedzi Grzegorza zostały poparte zapewnieniami Żywiciela, że nieprzyjaciel nie jest już taki silny, jakby to się niektórym

wydawało, że wczoraj utracił swoje stanowiska wzdłuż torów, że teraz już wystarczy tylko przeskoczyć pas ognia artyleryjskiego, jeśli w ogóle taki ogień będzie. Bo jeśli nieprzyjaciel nawet liczy się z nowym natarciem, to my przeczekamy tę jego czujność i uderzymy późną nocą. Plan tego natarcia został gruntownie zmieniony w stosunku do poprzedniego. Natarcie to pójdzie w trzech rzutach. W pierwszym weźmie udział kompania Jaskólskiego (nalibocka) jako lewoskrzydłowa oraz Prawdzica (również nalibocka) jako prawoskrzydłowa. Obie wyruszą z alei Wojska Polskiego na odcinku od ulicy Kozińskiego do Stołecznej i mając „spalone baraki” z lewej strony, a ulicę Stołecznią z prawej będą maszerowały ku torom. Wobec tego, że wczoraj sygnalizacja raketowa zawiodła, teraz dalsze oddziały wysyłane będą na czas – co dwadzieścia minut.

W drugim rzucie pójdzie Grot jako lewoskrzydłowy, a War jako prawoskrzydłowy. W trzecim rzucie – Dan (kompania nalibocka), tym razem w pełnym składzie to jest wraz z 225 plutonem porucznika Andrzeja plus saperzy. Mścisław uderzy z prawej strony od ulicy Stołecznej bliżej Instytutu Chemicznego, w kierunku ulicy Stawki.

Również w odróżnieniu od wczorajszego natarcia dziś nie było nawet formalnego podziału na bataliony. Całością miał dowodzić major Okoń idąc wraz z pierwszym rzutem, zaś dalsze kompanie, co dwadzieścia minut miał wysyłać major Roman. Kompanie nalibockie przeznaczone były, zatem do pierwszego i do trzeciego rzutu. Witold zdecydował wyruszyć z pierwszym rzutem.

Później od Witolda dowiedziałem się, że wraz z Danem miał iść generał Grzegorz z „Agatonami”, którzy z chwilą dojścia obu rzutów kompanii szturmowych na Żoliborz przestawali być łącznikami, gdyż od kilku godzin stanowili oddział przyboczny generała. Wsparcia ogniowego i pomocy sanitarnej miały nam udzielać miejscowe oddziały tak, jak wczorajszej nocy.

Jednocześnie z naszym natarciem o północy miało wyruszyć z południa w rejon Dworca Gdańskiego uderzenie zgrupowania Radosław. Nasze oddziały po przekroczeniu torów kolejowych miały skandować hasło „Ra–do–sław! Ra–do–sław!” co miało ułatwić ukierunkowanie natarcia tamtym oddziałom i zapobiec ewentualnemu ostrzelaniu się własnych oddziałów w ciemnościach nocy?

Słuchając tych wypowiedzi Grzegorza i żoliborskich sztabowców rodził się w naszych głowach jakiś nieuzasadniony optymizm. Z tej stro-

ny torów nie ma już Niemców, więc major Okoń poprowadzi bez walki pierwszy rzut. Major Roman pod okiem Żywiciela, Grzegorza i przybyłych z nim oficerów będzie mu dosyłał nad tory, co dwadzieścia minut następne kompanie. To, co będzie się działo między aleją Wojska Polskiego a torami będzie miało charakter marszowy z ewentualną przeszkodą artyleryjską, którą należy jak najszybciej pokonać. Właściwa walka rozpocznie się dopiero za torami, prawie o kilometr stąd.

Zarówno wczorajsze, jak i dzisiejsze zadanie i rozkazy wydawały się niejasne i nieściśle. Wyglądało na to, że w sztabie Żywiciela niezbyt dokładnie znano teren między Żoliborzem a Starówką i nie zdawano sobie sprawy z tego, jakie przeszkody i w jaki sposób mamy po drodze pokonać. Zarówno wczoraj, jak i dziś zakładano zapewne, że ręczna broń i nożyce do cięcia drutów wystarczą. Uznano widać też, że zbędni są przewodnicy, jako że w każdej kompanii znajdowali się warszawiaczy. Ogólnikowymi rozkazami pokrywano nieznajomość sytuacji po tamtej stronie torów. Rozkaz „zdobyć Komorę Celną na Stawkach” łudził, co do miejsca i łatwości jego zdobycia. Obiekt ten mieścił się przy ulicy Inflanckiej nieopodal Stawek. Aktualnie stacjonował tam sztab północnego odcinka wojsk niemieckich i bez wątplenia był on silnie umocniony. Już od pierwszego dnia powstania, artyleria tam umiejscowiona, ostrzeliwała Żoliborz. Właśnie ona miała swój wkład w niepowodzenie wczorajszego ataku.

Stawki – to nazwa ulicy na Muranowie, gdzie mieściły się magazyny, najpierw zdobyte, ale wkrótce utracone. Do tych magazynów od Dworca Gdańskiego prowadziła bocznicą kolejowa, na której Niemcy formowali transporty więźniów wywożonych z “Pawiaka” do obozów koncentracyjnych. Wprowadzenie więźniów odbywało się bramą od ulicy Dzikiej w pobliżu ulicy Stawki.

Na odcinku od Wisły aż do Powązek Komora Celna obok Cytadeli stanowiła orientacyjny punkt oporu niemieckiego. Aby zdobyć tę komorę – należało przebyć pas torów kolejowych szerokości trzystu metrów (ponad 200 torów), a jeszcze dalej dalsze czterysta metrów, mijając z prawej strony remizę tramwajową, którą też należało zdobyć. Remiza obejmowała nieforemny prostokąt o wymiarach około dwustu na sto pięćdziesiąt metrów. Wychodząc na podstawie wyjściową oddziały nic o tym wszystkim nie wiedziały.

Już o godz. 1.00 w nocy 22 sierpnia na podstawie wyjściowej znalazła się kompania Prawdzica rozmieszczona po lewej stronie od wylotu

w kierunku ulicy Wyspiańskiego w kierunku ulicy Brodzińskiego, i w prawo w kierunku ulicy Stołecznej. Zawczasu przygotowano tyralierę tak, by plutony posuwały się jednocześnie i równolegle. Odcinek szerokości trzystu metrów miała wypełnić dziś już niespełna trzystuosobowa tyraliera pierwszego rzutu – po odliczeniu strat z poprzedniej nocy. Poszczególne plutony były rozmieszczone w ciszy, na tyłach zabudowań alei Wojska Polskiego przez majora Romana. Dla utrzymania łączności pomiędzy oddziałami powycinano otwory w ogrodzeniach poszczególnych posesji. W milczeniu oczekiwaliśmy na godz. 2.00, kiedy to mieliśmy ruszyć naprzód. Czas się dłużył. Parokrotnie przesunęła się sylwetka Okonia. Trudno było w tym czasie ustalić, jaka była jego rola, a jaka Romana. Ten ostatni wykazywał raczej większe zainteresowanie ogólnym porządkiem.

Wreszcie zjawił się i Grzegorz w towarzystwie Żywiciela i kilka innych osób, które w ciemnościach trudno było rozpoznać. W milczeniu zlustrował, jeśli można użyć takiego określenia, zebrane oddziały, o czymś cicho rozmawiał ze swym otoczeniem. Nikt nam dotychczas tego nie mówił, ale w naszych oczach właśnie on uchodził za dowódcę całej akcji. Żywiciel jak gdyby mu towarzyszył, zaś Roman i Okoń wykonywali jego rozkazy. Właśnie wtedy widziałem go po raz ostatni. Chyba i nikt inny z „leśnych” nie widział go już później, gdyż nazajutrz, kiedy wracał kanałami na Starówkę, do wjazdu przy ulicy Krasieńskiego odprowadzony był przez Żywiciela i innych oficerów z miejscowych oddziałów.

Mija godzina 2.00, a my tkwimy nadal na stanowiskach wyjściowych. Dowództwo nasze jest przekonane, że Niemcom znudzi się oczekiwanie na nasz atak i pójdą sobie spać. Nie zsynchronizowano też uderzenia z pułkownikiem Radosławem, który jak się później wyjaśniło oczekiwał na hasło z północy. Wreszcie stojący na rogu ulicy Wyspiańskiego i alei Wojska Polskiego major Roman daje znak do wyruszenia. Idziemy szybkim krokiem przez nieogrodzone działki warzywne, około trzystu metrów. Co rusz, ktoś potyka się o dynie lub kołki od pomidorów. Mijamy już teren wczorajszego ostrzału artyleryjskiego. Dziś już nad torami chyba naprawdę nie będzie niemieckiej piechoty. Może zostawią pułapkę dopiero za torami? Ale tam powinien przecież czuwać Radosław.

Na razie cisza. Nagle spoza torów pada kilka pojedynczych serii z cekaemów. Strzelają z daleka i w ciemnościach, a więc na oślep. Przyspieszamy kroku, aby szybciej. Już przed nami krzaki na skarpie, gdy

wtem przed nami wzbija się w górę jedna rakietka świetlna, druga, trzecia, całe pęki raket. Robi się widno, jak w dzień.

W pierwszym odruchu piechurzy padają na ziemię w przekonaniu, że tuż przed nimi, jak wczoraj, nad torami rozlokowano gniazdo cekaemów. Ale dowódcy podrywają się niezwłocznie dając rozkaz do posuwania się szybko naprzód. W tym świetle wiszącym nad nami „lampionów” wtacza się po torach z lewej strony jakiś pociąg. Kiedy zatrzymał się naprzeciw nas i przywitał grodem szybkostrzelnych dział i karabinów maszynowych – zorientowaliśmy się, że to pociąg pancerny. Dopiero teraz stało się zrozumiałe, dlaczego stanowiska niemieckiej broni maszynowej tej nocy zostały rozmieszczone z tamtej strony torów. Dziś teren w pobliżu skarpy przeznaczony był do ostrzału z tego pociągu.

Obie kompanie zaległy na dwustumetrowym odcinku między działkami, a torami. Spoza torów w prawo od pociągu pancernego – również grad pocisków z broni maszynowej. Tylko „spalone baraki” dziś milczą. Nieprzerwany huk, rozrywających się pocisków i kotłowanina, wzbijanej w górę ziemi uniemożliwiały wydawanie rozkazów. Nawet znajdujący się najbliżej dowódców żołnierze nie mogli usłyszeć ich głosu. Tumany wzbijającego się piachu uniemożliwiały obserwację własnych stanowisk, mimo jasnego oświetlenia całego terenu. Dowodzenie kompaniami stało się praktycznie niemożliwe. Wydawane rozkazy „po linii” urywały się już na najbliższych stanowiskach. Tylko chwilami tu i tam dały się słyszeć jęki rannych i jakieś niezrozumiałe krzyki.

Nie było miejsca bardziej lub mniej bezpiecznego. Ci, którzy zdążyli doskoczyć w pobliże skarpy – narażeni byli na ogień z pociągu pancernego, zaś ci dalsi – na artylerię z odleglejszych stanowisk, która nie chcąc zniszczyć torów dziś przenosiła ogień na odcinek dla nich bezpieczny – tylko do skarpy. W tym nieopisanym rozgardiaszu dowodzenie ograniczało się do plutonów i drużyn. Każda grupa walczyła jak umiała i czym miała. Ponieważ przed nami był pociąg pancerny, więc strzelano do niego. Chyba nie popełnię błędu, jeśli powiem, że dowodzenia nie było wcale. Kilka metrów na lewo ode mnie znajdowało się stanowisko „piata” obsługiwane przez Holendra – Finodolo. Co chwila naciągał sprężynę, ładował pocisk do łoża, celował do któregoś z wagonów i bez widocznego skutku naciskał spust. Wołał do swego amunicyjnego „minę!” i znów celował, naciągał sprężynę i znów ładował. Nagle widzę, że jego najbliższy amunicyjny został trafiony, w pobliżu nie było nikogo, więc

z kolei ja stałem się amunicyjnym i podrzuciłem Finodalowi trzy spięte taśmy „min”, czyli nabojów.

Kilka metrów w prawo skos było stanowisko erkaemu z obsługą braci Rafalskich. Kapral Raf starał się uspokoić niemieckie karabiny maszynowe strzelające zza torów: Jeden jego erkaem i w odległości czterystu metrów cztery cekaemy... Bardzo nierówna walka. Ale ambicja też się liczy. Wyszli z Bielan prawie bez broni, a teraz mają aż jeden erkaem!

W pewnym momencie poczułem mocne uderzenie i zmiotło mnie do jakiegoś leja. Zorientowałem się, że to tylko podmuch wybuchu pocisku, że nic mi nie jest, tylko głowa trochę ciężka i dostałem „piaskiem w oczy”. Pistolet maszynowy też się zapiaszczył.

Kiedy się podniosłem, na prawo ode mnie była pustka. To pocisk tak dokładnie trafił w stanowisko erkaemu, że nie pozostało śladu ani po broni, ani po jej obsłudze. Nie miała rodzina Rafalskich szczęścia do artylerii... Również najstarszy z braci plutonowy Fob zostanie w tym natarciu ranny odłamkiem, a 17 września pocisk artyleryjski zerwie mu czaszkę...

Tymczasem Finodol zużył wszystkie „miny”. Czy był skutek? Nikt nie wie, chyba żaden. Może za duża odległość, może zbyt krótkie i pobieżne przeszkolenie w użytkowaniu nowej broni? Wiadomo, żałowano wtedy pocisków.

Beznadziejność. Ten jeden czasownik wystarczy: dwie kompanie „zaległy”...

Czas się nie liczy. Do ognia z przodu, z prawej i z góry przyzwyczailiśmy się, ale czujemy, że ktoś kropi do nas z tyłu. Okazało się, że to idąca w drugim rzucie kompania Wara widząc pociąg pancerny na torach zatrzymała się w ogródkach i stamtąd zaczęła okładać ten pociąg z broni maszynowej. Niejednemu z naszych, którzy znaleźli się na stanowiskach położonych wyżej, oberwało się właśnie od Wara. Wkrótce jednak kompania ta osiągnęła linię naszych stanowisk i również zaległa. War postanowił wyminąć pociąg pancerny z prawej strony i poderwał część swojej kompanii w kierunku stanowisk niemieckiej broni maszynowej za torami. Skoczył pierwszy do torów, ale natrafił na płot z siatki drucianej. Starał się go przeskoczyć i zawisł na nim trafiony serią z cekaemu. Jego kompania „zageściła” przestrzeń między ogródkami i torami, to samo uczyniła idąca w drugim rzucie lewoskrzydłowa kompania Grota. Łącznie na sześćohektarowym obszarze w czworokącie ulic Or–Ota,

Zajączka, Stołecznej i Rydygiera zaległo ponad 500 żołnierzy. Brak było tylko kompanii Dana.

Na kompanię sochaczewską nie czekamy, gdyż miała uderzyć z prawej strony od ulicy Stołecznej. Niemcy nie żalowali rakiet świetlnych i amunicji. Już mija godzina, a my trwamy na jednym miejscu. Jestem przekonany, że Prawdzic znajduje się gdzieś na lewym skrzydle kompanii, więc staram się zorientować, co się dzieje na prawo. Przechodzę się od stanowiska do stanowiska i coraz to słyszę glosy: broń zapiaszczona, broń zacięła się. Są zdrowi, ale niezdolni do walki. A zresztą – jaka tam walka?! Bić się z pociągiem pancernym, z artylerią z Cytadeli lub z ulicy Inflanckiej czy Fortu Bema?

Dziś nad ranem w pobliżu torów kolejowych powtórzyło się to, co miało miejsce wczoraj przed północą na terenie ogródków warzywnych. Tylko, że wtedy w mroku nocy dwie kompanie po natknięciu się na artylerię nie oddały ani jednego strzału – bo nie miały do kogo strzelać i wkrótce zostały wycofane. Dziś dwieście metrów dalej od alei Wojska Polskiego w blasku wolno spadających rakiet zaległy cztery kompanie. Parodia walki: erkaem przeciwko cekaemom, „piaty” przeciwko pociągowi pancernemu. Karabiny powtarzalne i sowieckie „dziesiatizaradki” (dziesięcioprzelotowe półautomaty) też strzelały, tylko, do jakiego celu? Bezmyślnie... Żeby Niemcom napędzić strachu? Którym Niemcom? Tym z pociągu pancernego, czy tym z artylerii za torami?

No i dobrze, że się broń zapiaszczyła i zacięła. Nie marnowano przynajmniej amunicji, pozostanie jej więcej na później. Natomiast szkoda, że nie zacięły się „piaty”, gdyż byłyby w przyszłości skuteczniejsze przeciw czołgom.

Przedwczoraj było zwyczajne zaskoczenie i zwyczajne straty. Dziś zaskoczenie było niezwykle, a skutki tragiczne... Nie umiem przywoływać na pamięć jęków i wołań rannych, ani opisywać widoku zabitych. Uważam to za pewnego rodzaju profanację. Każdy ranny odmiennie przeżywa swój ból. Inaczej woła o pomoc, inaczej kona. Widok poległych, zwłaszcza tych od broni ciężkiej, artylerii czy granatów – okropny. Lepiej nie wspominać. Cokolwiek by się napisało – nie odda to prawdy. Ale widok leżącej przy poległych i rannych broni pobudza jednak do refleksji...

W zasięgu mojego wzroku przewinęły się tylko dwa patrole sanitarne. Lekko ranni wycofali się o własnych siłach. Minęła jedna godzi-

na, jest już po trzeciej. Wczoraj zawiódł system raketowy, dziś system wysyłania kolejnych kompanii „na czas”. Kompanii Dana nadal w ogóle nie widać. Jeśli obyły w walkach na Woli i Powązkach major Okoń poszedł z pierwszym rzutem i dosłano mu drugi rzut, a całe cztery kompanie tkwią z tej strony torów – to jasne się staje, że Dan tam nie przejdzie. Po co więc rzucać w ogień, a więc „na stos” te resztki sił?

Dowództwo Żoliborza wraz z wysłannikami Komendy Głównej AK stoi tam, po parzystej stronie wysokich murów przy alei Wojska Polskiego i z odległości trzystu metrów obserwuje, widzi i słyszy. Chyba rozumie sytuację. Jakie więc będą dalsze rozkazy? Wydaje się, że ogień niemiecki nieco zmalął. A może to tylko złudzenie? Może już otępieliśmy w tym nieładzie i bezładzie. Lampiony raket nie dają już takiej jasności, co wcześniej. Ale Niemcy zapalają składy drewna na terenie Instytutu Chemicznego. Łuna płomieni oświetla ulicę Stołeczną i tę część torów, przez którą widać przejazd w kierunku Stawek. Spoglądam w kierunku Instytutu Chemicznego, oglądam się wstecz ku alei Wojska Polskiego i widzę majaczące na terenie ogródków sylwetki większej ilości ludzi. Wkrótce rozpoznaję Dana prowadzącego swą kompanię. Do dziś stoi mi w oczach jego drobna sylwetka, oburącz trzymany pistolet maszynowy, a po obu stronach i za nim, jak wokół matki pszczelej, rój jego żołnierzy bez widocznego podziału na plutony i drużyny. Zorientowałem tę, że Danowi potrzebne są informacje o sytuacji na przedpolu, więc zbliżyłem się w jego kierunku. Zatrzymał oddział na chwilę. Wskazałem mu pociąg pancerny, tuż w prawo płot z siatki drucianej, na której zginął War, a po drugiej stronie torów stanowisko niemieckich cekaemów. Poradziłem mu też zmianę kierunku – bardziej w prawo – bliżej Instytutu Chemicznego – by ominął pociąg i przytorowe płoty i następnie uderzył w kierunku ulicy Stawki, co zresztą miało być planowanym zadaniem prawoskrzydłowej kompanii. Zapytany, dlaczego nie idą tą trasą wyznaczone do tego kompanie, opowiedziałem o ich masakrze, o zapiaszczonej broni. Kończyliśmy rozmowę i Dan z właściwym mu uśmiechem dziękował mi za informacje, kiedy obok zjawił się kapral Wir z kompanii Jaskólskiego, który w panującym bałaganie przesunął się aż na prawe skrzydło Prawdzica. Spytał mnie czy może pójść z Danem. Dodał też, że znalazł się ze swoją drużyną w takim miejscu, gdzie pociski nie padały zbyt gęsto i dlatego jego żołnierze mają sprawną broń. Nie mogąc znaleźć swych dowódców Jaskólskiego i Lota – prosił mnie o zgodę. Nie

miałem prawa odmówić temu sympatycznemu chłopcu (miał siedemnaście lat), którego znałem jeszcze z Wiersz. Teraz on, podobnie jak przed chwilą Dan z uśmiechem dziękował mi. Pobiegnie zaraz za Danem i wraz z nim polegnie na torach bądź za torami. Patrzyłem za odchodzącymi myśląc o znacznej szerokości tych torów, o gniazdach cekaemów za torami, o śmierci Wara.

Może Dan będzie miał więcej szczęścia? Patrzyłem za nimi długo, aż wkroczyli na tory za ulicą Stołeczną. W warunkach ustawicznego ognia artyleryjskiego i broni maszynowej, w półmroku i przy rosnącej odległości nie byłem w stanie dostrzec, że część kompanii, widząc, co się dzieje na lewym skrzydle, pozostała z tej strony torów. Na tory poszły, więc tylko dwa pełne plutony – jeden nalibocki pod dowództwem plutonowego Błyskawicy – Jana Dziemianko i 225 pluton żoliborski ze składu kompanii Dana pod dowództwem podporucznika Kruka, wraz z kilkoma ludźmi z drugiego plutonu nalibockiego i drużyną kaprała Wira. Po wkroczeniu na tory idący dotychczas „rojem” oddział Dana, pod ogniem strzelającej z przeciwka broni maszynowej, rozsypał się na mniejsze grupy i skręcił w lewo skos, w kierunku Komory Celnej. Przecinając ukośnie tory wyminęło czoło pociągu pancernego, za którym część oddziału zaległa pod wpływem ognia z obu stron. W tej grupie byli między innymi Dan, Kola – Mikołaj Zienkiewicz i Błyskawica.

Pluton 225 przesunął się nieco dalej w głąb torów, lecz po śmierci Kruka (porucznik Andrzej, kontuzjowany jeszcze przed torami wycofał się) i utracie kontaktu z innymi oddziałami zaległ tam oczekując na dalsze rozkazy – aż wreszcie, już wczesnym rankiem, wycofał się w kierunku Instytutu Chemicznego. To samo uczynił plutonowy Błyskawica.

Godzinę wcześniej War chciał poprowadzić w tym samym kierunku swoją kompanię. Jego śmierć na przytorowym płocie z pewnością uratowała życie wielu jego żołnierzy, którzy wskutek tego zalegli z tej strony torów. Natomiast Dan poprowadził odważnie swój oddział na tory, jednakże bez żadnych szans. Ale poszedł, bo taki miał rozkaz. Poszedł i poległ. Obaj wykonywali swe zadanie do końca.

Było już niemal zupełnie widno, rakiety i płomień palącego się na terenie Instytutu Chemicznego stosu drewna traciły swe „światło”, ogień artylerii słabł, tylko pociąg pancerny przesuwiał się raz w lewo, raz w prawo nie zaprzestając ognia – kiedy to oddziały, już na własną rękę zaczęły wycofywać się w kierunku alei Wojska Polskiego.

Na własną rękę – to znaczy bez rozkazu!

Przedwczoraj był rozkaz wycofania – najpierw pierwszego rzutu, potem – choć z opóźnieniem – drugiego. Dziś były tylko rozkazy: iść naprzód! To nic, że pierwszy rzut zaległ, a drugi tylko zageścił przytorowe nieużytki.

Trzeba było wysłać trzeci rzut. Czyżby Grzegorz stracił głowę? Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, co dzieje się za torami, a otaczający go sztabowcy nie śmieli mu zwrócić uwagi na to, że nie ma żadnych szans, chociażby tylko na przekroczenie samych torów?

Przedwczoraj na terenie ogródków łatwiej było przeskoczyć pas ognia artyleryjskiego i iść dalej ku torom, niż dziś iść przez tory pod ogniem pociągu pancernego i gniazd broni maszynowej. Przedwczoraj przesadna ostrożność, dziś – bezmyślna determinacja... A może to wstyd było wydać drugi rozkaz wycofania?

Po wysłaniu ostatniej kompanii, w trzecim rzucie nie wypadało może ściągać znad torów czterech kompanii pierwszego i drugiego rzutu? Byłoby to przecież przyznaniem się do własnego błędu. Czyżby fałszywy wstyd kazał Grzegorzowi zaniechać ratowania tych ludzi?

Znane mi są z opowiadań i z lektury wojennej sytuacje, kiedy to nacierające oddziały nie wytrzymały kontrnatarcia i wycofywały się – zawsze jednak na rozkaz. Wydarzenie określane jako „drugie natarcie na Dworzec Gdański” nie miało precedensu: resztki pięciu kompanii szturmowych wycofywały się bez rozkazu, ale też i bez żadnej ujemy dla siebie. Towarzyszył im tylko żal do tych, którzy im wskazali „kierunek – tory” i zapomnieli o nich. Tym, którzy znajdowali się na terenie ogródków nie groził już ogień z pociągu pancernego, ani zza torów. Teraz „zajął się” nimi Instytut Chemiczny. Wśród wysokich kęp warzywnych przeczolgiwały się niedobitki znad torów. Im bliżej zabudowanej strony alei Wojska Polskiego, tym trudniej. Na dziewięćdziesięciometrowej szerokości tej ulicy Niemcy położyli płaską zapórę ogniową. Wydawało się, że warstwa powietrza ponad ziemią drga od pocisków karabinowych. Rykoszety od ulicznego bruku też robiły nieprzyjemne wrażenie... Wprawdzie to, co było tu, wydawało się błahe w porównaniu z tamtym, ale ryzyko przeskoczenia tej alei było poważne, zwłaszcza dla rannych. Niektórzy, bardziej rozsądni, a może bardziej zobojętniali woleli przeczekać, mając na dodatek w zasięgu ręki pomidory, ogórki czy marchewkę, ale i oni mogli być łatwo „wymaca-

ni” przez cekaemy z Instytutu Chemicznego, który jednak po jakimś czasie zaprzestał ognia.

Ja znalazłem się wreszcie, jak przed trzema godzinami, u wylotu ulicy Wyspiańskiego. Teraz, już bezpieczny od strony tego instytutu, zaczynam się swobodnie rozglądać i przesuwać w kierunku ulicy Kozietulskiego. Po drodze napotykam Żywiciela, Romana i Okonia. Nie wymagają meldowania się, ani raportu. Nie wydają żadnych rozkazów.

Najmniej zmienił się podpułkownik Żywiciel, jak dotychczas spokojny, tak teraz tylko jakby zawiedziony, milczący. Roman bez tej typowej dla niego energii uzewnętrzniającej się dynamicznie w ruchach i mowie. Natomiast Okoń całkiem stracił rezon, tylko pod nosem kłął swoim batiarsko–lwowskim żargonem. Pomyślałem sobie tylko: przecież miał iść z pierwszym rzutem, a jest tutaj... Czy rzeczywiście był nad torami?

Od czasu wysłania kompanii Dana żaden z pozostających na zapleczu dowódców: – Żywiciel, Roman i Okoń nie wydał żadnych rozkazów. Teraz w odległości pół kilometra od torów oczekują na powracających z tej wyprawy. Nawet nie było decyzji czy ci powracający z tej wyprawy mają na razie pozostać w alei Wojska Polskiego, czy też wracać pojedynczo na kwatery. Większość pozostawała czekając na kolegów, którzy jeszcze znajdowali się po tamtej stronie ulicy.

Z przedwczorajszego natarcia oddziały pierwszego rzutu wycofywały się w nieładzie, ale niemal w całości i ze znikomymi stratami. Drugi rzut zdołał nawet wykonać w pełni swe zadanie i dlatego powracał w ponurym nastroju, bo mogąc trwać na zdobytym terenie lub posunąć się dalej, z jakichś niezrozumiałych względów został wycofany. Dowództwo jak gdyby wcale nie zauważyło ofiarnego wysiłku i odniesionego sukcesu.

A dziś nie wycofują się kompanie ani nawet nie plutony... Wracają grupkami i pojedynczo pobici, ranni, załamani. Ich wyglądu i nastroju nie da się opisać. Nad torami jednakowo ginęli waleczni i mniej waleczni. Pozostali na zawsze kampinosiacy, kresowiaczy i warszawiaczy – w przeważającej większości z tej strony torów.

Gnębiło pytanie: , co jest z częścią kompanii Dana i drużyną Wira? Dokąd dotarli? Ponoć kilku z nich dotarło aż do barykad powstańczych na ulicy Bonifraterskiej...

Później okazało się, że obok porucznika Dana polegli i dwaj jego zastępcy – dawny współtwórca 78 pułku piechoty sierżant Kola – Mikołaj Zienkiewicz oraz przydzielony na czas natarcia porucznik Rawicz,

także podporucznik Kruk (nn), zastępca dowódcy 225 plutonu. Po tej stronie torów polegli czterej oficerowie kompanii kampinoskich – porucznicy War, Grot, Murzyn i Mat oraz porucznik Maryś – Marian Wysocki. Z natarcia powróciła zaledwie jedna trzecia część stanu osobowego pięciu leśnych kompanii. Pluton stracił około trzydzieści procent stanu. Pozorując dotarcie na Dworzec Gdański wzdłuż wiaduktu kolejowego 9 kompania dywersji bojowej „Żniwiarz” pozostawiła ponad trzydziestu zabitych i rannych. Kilka miejscowych patroli sanitarnych zostało całkowicie wybitych lub mocno zdekompletowanych. Duże straty poniosło również Zgrupowanie „Żagłowiec”, wspierające natarcie główne. Ilość zabitych żołnierzy kompanii szturmowych nie jest do dziś znana. Nikt ich nie liczył, bo też nikt nie był w stanie doliczyć się wszystkich strat. Skład poszczególnych oddziałów częstokroć był przypadkowy, nazwiska z reguły nieznanne, pseudonimy często zmienione – zwłaszcza w oddziałach nalibockich. Często te same pseudonimy używane były przez różne osoby. Wyruszający do szturm dowódcy kompanii znali tylko ilość swoich żołnierzy. Kiedy po walce zabrakło dowódców – nikt nie umiał ustalić nawet w miarę dokładnie ilości ubytków – poległych, zaginionych, odniesionych do szpitali? Najtrudniej było ustalić straty w nowo sformowanych kompaniach Wara i Grota. Były to oddziały typowo ochotnicze, organizowane pośpiesznie. Nie zostały rozpoznane nazwiska poruczników Dana, Rawicza, Grota, Kruka i Murzyna. U jednych autorów podporucznik Mat – Marian Pawłowski poległ w drugim natarciu, zaś innym autorom tenże Mat udzielał informacji w 1953 r. Czy to ten sam człowiek?

Podaje się szacunkową liczbę poległych i zaginionych w obu natarciach – 450 powstańców. Najlepiej pasują liczby okrągłe... Ja, pomijając te szacunkowe i niczym nieoparte liczby, staram się ustalić straty w obu natarciach metodą dedukcji.

- do szturm wyruszyło sześć kompanii w sile 940 ludzi,
- wieczorem 22 sierpnia porucznik Mat odprowadził do puszczy 120 ludzi z kompanii kampinoskich i nalibockich,
- 26 sierpnia 157 ludzi z nalibockich kompanii Dana, Jaskólskiego i Prawdzica zasiliło Zgrupowanie „Żagłowiec”,
- 40-osobowy pluton 225 porucznika Andrzeja z kompanii Dana zasilił Żmiję, a słaby pluton porucznika Zawiei z kompanii Grota i Wara zasilił z kolei Zgrupowanie „Żyrafa”.

Łącznie, więc z pięciu kompanii trafiło do puszczy bądź do zgrupowań żoliborskich około 320 ludzi, a wyeliminowanych zostało 480 ludzi, tj. 60 proc., do tej liczby należy dodać nieznane bliżej straty Mściława.

A więc ponad 500 ludzi po 4-godzinnej walce (1 godzina z pierwszego natarcia i 3 godziny z drugiego) przestało się liczyć dla Żoliborza i dla Kampinosu. Jeśli do tego doda się straty „Żniwiarza”, „Żagłowca” i „Żyrafy” oraz z drużyn sanitariuszek – to ogólna liczba strat w wysokości około 600 ludzi będzie najbliższą prawdą.

Kto nie przeżył bezpośrednio klęski nad torami, ten nie zrozumie i nie wyobrazi sobie nastroju, jaki od rana 22 sierpnia panował wśród żołnierzy nalibockich i na całej VIII Kolonii WSM. Chyba nikt z jej mieszkańców nie spał tej nocy czekając na ucieszenie się artylerii.

Wiadomo, że o niepowodzeniu pierwszego natarcia zadecydowała artyleria. Więc – zadawali sobie pytanie wszyscy na tej kolonii – przejdą dziś na Starówkę, czy wróca, jak wczoraj?... I tym razem nie przeszli. Nazajutrz, od szóstej rano, powracali na kwatery – wyczerpani, ranni, pojedynczo, jakby zawstydzeni. Wszak wczoraj wieczorem żegnali się ze swymi gospodarzami na zawsze, a jeśli „do widzenia” to po powstaniu. I rzeczywiście, wczorajsze pożegnanie dla większości z nich było ostatnie; dla tych, którzy pozostali na polu i dla odniesionych do szpitali w Forcie Sokolnickiego i na ulicy Krechowieckiej. Jeśli kiedyś przyjmowani byli serdecznie, to i teraz witano ich radośnie. Cieszono się, że żyją. A wśród żołnierzy, mimo zmęczenia, trwały ożywione rozmowy. Liczono „z pamięci” zabitych i rannych, tych z własnych kompanii i innych oddziałów.

Wszyscy mówią, że Dan przeszedł. Tylko, co dalej stało się z jego kompanią? Widać wracających na ulicę Suzina jego ludzi, a więc nie wszyscy z nim poszli? Do południa nie było pewności czy dotarł na Starówkę, czy zginął. Wreszcie nowa wiadomość: od strony Stawek wrócił spacerem strzelec Englert, żołnierz przydzielony do kompanii Dana jeszcze w Wierszach, który tej nocy za torami dostał się do niewoli. Teraz Niemcy zwolnili go z zadaniem przekazania dowództwu na Żoliborzu wiadomości o śmierci Dana i jego oddziału na Stawkach.

Dobrze pamiętam jeszcze z Wiersz jego wysoką, szczupłą sylwetkę, wojskową kurtkę i cywilne szare spodnie. Przy tym odkryta głowa, jasne blond włosy, krótka czupryna i okulary odróżniały go od innych.

Nie był mi znany jego przedpowstaniowy przydział organizacyjny. Jest pewne, że nie wywodził się ze środowiska nalibockiego ani kampinoskiego, a do kompanii Dana został przydzielony nie w grupie, lecz w pojedynkę, zresztą jak wielu innych w okresie formowania oddziałów szturmowych.

Teraz po powrocie z kilkugodzinnej niewoli Englert podejrzany o szpiegostwo, został aresztowany przez żandarmerię powstańczą, lecz wkrótce go zwolniono. To aresztowanie i metody śledztwa były szeroko i różnie komentowane w środowisku powstańczym, mimo to jego informacje o losach i miejscu śmierci Dana uważano powszechnie za prawdziwe. Dopóki ta wiadomość nie nadeszła, tu i ówdzie dały się słyszeć głosy, że „i my też byśmy przeszli, gdyby nie ten cholerny pociąg pancerny”. Teraz wszystkim miny zrzedły. Dan przeszedł tory i zginął, a więc gdybyśmy my przeszli, to też?...

W końcu skupiło się wszystko na dowództwie, a zwłaszcza na niezbyt lubianym Okoniu, którego nikt nie widział w walce. Niepowodzenie akcji na lotnisku bielańskim i kompletny blamaż w prowadzeniu pierwszego rzutu oddziałów do Warszawy osłabiły zaufanie partyzantów nalibockich do oficerów „warszawskich”. Wczorajsze dowodzenie zupełnie zniechęciło tych ludzi do dalszej walki, toteż w drugim natarciu nawet Dan nie zdołał porwać za sobą całej kompanii, której jedna trzecia nie poszła z nim za tory. To ostatnie natarcie dopełniło miary zniechęcenia partyzantów nalibockich do dowódców powstańczych na Żoliborzu.

Po kilku godzinach wypoczynku zarządzono zbiórkę we wszystkich kompaniach. Ogłoszono, że wszyscy ranni mogą w ciągu najbliższej nocy wycofać się z powrotem do Puszczy Kampinoskiej. Również i inni mogli odejść jednakże pod warunkiem pozostawienia broni na Żoliborzu. Najdłużej w obu natarciach przebywali pod ogniem artylerii powstańcy kampinoscy. Oni też ponieśli największe straty. Teraz, pozbawieni dowódców kompanii, plutonów i drużyn, wolni od jakichkolwiek nacisków i sugestii, w większości wybrali powrót do puszczy. Do Warszawy przybyło ich trzystu dwudziestu, na powrót zdecydowało się ponad stu, pozostało na Żoliborzu zaledwie kilkunastu. Inaczej rzecz się miała w kompaniach nalibockich. Porucznik Witold miał pozostać, by z niedobitków zorganizować oddział przeznaczony do obrony Żoliborza. Tylko nieliczni spośród zdrowych wyrazili chęć odejścia. Przeważała chęć pozostania wraz z Witoldem.

Na plac zbiórki stanęło około stu dwudziestu rannych i zniechęconych z poprzednich pięciu kompanii. Co najmniej stu z nich to były kampinoskie niedobitki z oddziałów Grota i Wara. Zdecydowali wracać do swoich. O kompanii sochaczewskiej Mściława na razie nie było nic wiadomo, widać gdzieś się zagubiła. Major Okoń i kapitan Trzaska przystąpili do odbierania broni. Obok stała grupa żołnierzy tego kapitana, która miała tę broń zabrać na Starówkę. Mimo tego, że samo zarządzenie było słuszne, ciężko było partyzantom rozstawać się z bronią, z reguły zdobyczną. Niektórzy mieli łzy w oczach.

Komendę nad tą bezbronną grupą objął porucznik Mat i odprowadził ją do Wiersz. Kilkunastu ocalałych z dawnych kompanii Dana, Strzały i Helskiego zasililo pozostały w Wierszach pluton, z czego powstała nowa kompania starszego sierżanta Opończy – Waleriana Żuchowicza. Tej nocy wymaszerowało do Kampinosu pod łącznym dowództwem Okonia około trzystu powstańców, w tym kilkudziesięcioosobowa grupa „Jerzyków”, którzy przeszli kanałami ze Starówki. (...)

Tak opisuje bez koloryzowania i upiększeń swoje doznania i żalossne – niestety – refleksje z dwukrotnych ataków na Dworzec Gdański ich uczestnik, oficer AK, podporucznik Ostromi – Edward Bonarowski, który tam, na Mazowieckiej Ziemi zetknął się po raz pierwszy z żołnierzami mówiącymi śpiewnym akcentem. Nie odbiegają od tego opisu relacje szeregowych żołnierzy ze Zgrupowania Nalibockiego, którzy z dalekich kresów wschodnich przybyli pod Warszawę, by wziąć udział w jednej z największych bitew, jakie podczas powstania dwukrotnie, noc po nocy, rozegrały się nad torami kolejowymi tego dworca. Jego cenne wspomnienia, pod znamennym tytułem „W bój bez broni” po 66 latach ciągle czekają na wydanie.

BÓJ O DWORZEC GDAŃSKI W OCZACH NALIBOCZAN

Spośród kilku istniejących relacji – poniżej wspomnienie żołnierza z tej samej 3 kompanii Prawdzica, dwiętnastoletniego wówczas strzelca Wielopolskiego – Józefa Załuckiego, pochodzącego ze wsi Łabociszek dawnego powiatu mołodeczańskiego. Jego pradziad po kądzieli ze strony matki, Stanisław Zaleciłło był uczestnikiem powstania styczniowego

w 1863 r., walczącym przeciwko rosyjskiemu zaborcy na Żmudzi i Wi-
leńszczyźnie. Ojciec Bronisław, członek konspiracji AK w obwodzie
mołodeczańskim w tym czasie, kiedy jego syn walczył na przedpolu
Dworca Gdańskiego, został w swej rodzinnej wsi aresztowany przez
NKWD. W wyniku licznych przesłuchań i zadanych mu tortur zmarł
w Mińsku w więzieniu w 1947 r.

Józef Załucki wspomina:

– Pierwsza grupa szturmowa, w tym batalion porucznika Witolda,
odmaszerowała na odsiecz do Warszawy 15 sierpnia 1944 roku w sile
ok. 450 ludzi, to jest 1 kompania porucznika Dana, 2 kompania porucz-
nika Prawdzica i 3 kompania porucznika Jaskólskiego. W skład tych
kompanii zgłosiło się najwięcej naszych kolegów z 1 kompanii porucz-
nika Dana, pewna liczba z 2 kompanii porucznika Strzały i z 3 kompanii
starszego sierżanta Opończy oraz z innych naszych oddziałów. W tym
czasie odeszło z porucznikiem Dźwigiem najwięcej naszych kolegów
z Rakowa, którzy dołączyli do nas po likwidacji posterunku policji
w końcu czerwca 1944 r. właśnie w Rakowie. Między innymi odszedł
były komendant placówki z Rakowa, starszy ogniomistrz Kola – Miko-
łaj Zienkiewicz, serdeczny przyjaciel porucznika Dana i jego zastępcą.

Po wielu przygodach w okolicach Powązek grupa szturmowa do-
tarła na Żoliborz. W czasie nocnego marszu część żołnierzy zgubiła się
i wraz z porucznikiem Prawdzicem powróciła do puszczy... Grupy sztur-
mowe idące na odsiecz Warszawie były zorganizowane w ten sposób, że
z każdej kompanii piechoty odkomenderowano pewną liczbę kadrowych
żołnierzy pozostawiając jeden – dwa szkieletowe plutony, by następnie
łatwo odtworzyć kompanię przez uzupełnienie do składu etatowego. Na
przykład w 3 kompanii do organizowanego batalionu porucznika Witolda
odkomenderowano III pluton i większość kolegów z I i II plutonów
oraz ochotników ze zwiadu konnego, a resztę, do stanu kompanii uzu-
pełniono miejscowymi ochotnikami.

Po przybyciu do puszczy Kampinoskiej majora Okonia z Pułku „Pal-
miry – Młociny” wydzielono następny batalion na tych samych zasadach.
Zgłosiłem się do niego na ochotnika i zostałem przydzielony do kompanii
Prawdzica. W tym czasie dostaliśmy dużo uzbrojenia ze zrzutów. Kompa-
nie idące do Warszawy zostały więc dobrze uzbrojone w karabiny, pistole-
ty maszynowe, erkaemy, granatniki, moździerz i cekaemy. Duże ilości
amunicji zabraliśmy na plecach dla powstańców Warszawy.

W drugim rzucie zorganizowano pośród reszty jeszcze kompanię porucznika Wara i porucznika Grota. W kompanii Prawdzica znaleźli się koledzy z 2 i 3 kompanii ze Zgrupowania Nalibockiego, także ze zwiadu i kompanii cekaemów, a także z oddziałów miejscowych. Przez kilka dni przeszkoliliśmy się celem zgrania w plutonach i drużynach. 19 sierpnia po południu, pod dowództwem Okonia, nastąpił wymarsz batalionu do Warszawy. Odwieziono nas furmankami do Lasek, a odprowadzał tę kolumnę szwadron kawalerii Narcyza. Wieczorem z Lasek odmaszerowaliśmy w kierunku Żoliborza. Po drodze, za Laskami napotkaliśmy Węgrów stojących tam całą dywizją. Mieli oni odgradzać Puszcę Kampinoską od stolicy. Po krótkich rozmowach naszej szpicy, a potem przedstawiciele dowództwa batalionu – węgierska jednostka przepuściła nas bez walki udając, że naszego oddziału w ogóle nie zauważyła.

20 sierpnia rano dotarliśmy na Żoliborz, gdzie zakwaterowano nas przy ulicy Suzina. Zastaliśmy tu również kwaterujący batalion porucznika Witolda. Warszawę widzieliśmy po raz pierwszy. Ludność witała nas z wielką radością, przyjmując nas jako żołnierzy pochodzących z desantu z Anglii. Byliśmy przecież umundurowani, a wiele z tych mundurów pochodziło właśnie ze zrzutów.

Po odpoczynku czyściliśmy broń, zaś dowództwo udało się na odprawę. Wieczorem, gdy formowano kompanię, podano nam do wiadomości, że dziś w nocy mamy zdobyć Dworzec Gdański celem połączenia Żoliborza ze Starym Miastem. Około godz. 22 wymaszerowaliśmy na pozycje wyjściowe przy ulicy Lisa Kuli. Pomimo pory nocnej wszystko oglądaliśmy z zaciekawieniem. Wiele budynków spalonych i zburzonych. Miejscami odległość wroga wynosiła tyle, ile szerokość ulicy. Wiedzieliśmy, zatem, że walkę trzeba będzie przeprowadzić na małej przestrzeni. Dla nas, mających doświadczenie w walce w otwartym terenie, wszystko wydawało się jakiejś nienaturalne. Przedstawiono nam cel ataku. Przed nami był nieduży teren wypalonych baraków, działki ogrodowe, zaś dalej zabudowania dworca i działki kolejowe. Wierzyliśmy, że łatwo ten cel osiągniemy. Przed północą dano sygnał do ataku. W pierwszym rzucie poszedł batalion porucznika Witolda na czele z kompanią Dana, złożoną prawie całkowicie z partyzantów nalibockich. My mieliśmy ruszyć po osiągnięciu torów przez ten batalion – na dany przez nich znak. Batalion Witolda pierwszy odcinek pokonał spokojnie. Nagle zostaliśmy oświetleni rakietami i zrobiło się jasno, jak

w dzień. Niemcy nie dali się zaskoczyć. Rozpoczęła się gwałtowna nawała niemieckiej artylerii.

Część pierwszych oddziałów przybliżyła się do torów wypierając przeciwnika na drugą ich stronę. Nasza kompania przesunęła się do przodu na dogodniejszą pozycję oczekując rozkazu do ostatecznego natarcia. Rozkaz ten jednak nie nadszedł. Przeczekaliśmy nawałę ognia i nie otrzymując zapowiedzianego wsparcia wycofaliśmy się na swoje kwatery.

W kompanii porucznika Dana było kilku rannych żołnierzy. Dziwne wydało się nam, że oddziały żoliborskie nie dały nam wsparcia, jak również nie nastąpił zapowiedziany atak ze Starego Miasta. Liczyliśmy na sukces, a okazało się, że po wstrzymanym natarciu cały jego wysiłek poszedł na marne. Zapanował nastrój przygnębienia. Nastrój ten poprawił się znacznie na wieść o przybyciu na Żoliborz generała Grzegorza Pełczyńskiego. Dowództwo znów udało się na odprawę. My odpoczywaliśmy, czyściliśmy broń. Wieczorem zarządzono zbiórkę i gotowość bojową. Oznajmiono, że tej nocy przy lepszej osłonie ponownie będziemy zdobywać Dworzec Gdański. Późnym wieczorem batalion porucznika Witolda zajął pozycje wyjściowe do ataku w terenie pomiędzy dzisiejszymi ulicami generała Zajączka i Lisa Kuli. W budynku za nami ustawiono na dachu cekaemy w celu udzielenia nacierającym osłony ogniowej. Natarcie ruszyło dopiero około godziny trzeciej nad ranem. Po lewej stronie naszej kompanii porucznika Prawdzica nacierała kompania porucznika Dana, za nami postępowały kompanie Jaskólskiego i Grota. Oddziały posuwały się „rojami”. My szliśmy przez ogrody działkowe, gdzie miejscami rosły warzywa. Żoliborskie oddziały na lewym skrzydle przeprowadziły pozorowany atak celem odwrócenia uwagi Niemców. Ci jednak czuwali i nie dali się zaskoczyć. Znów cały teren oświetlili rakietami. Całe pole ataku pokryli ogniem zaporowym karabinów maszynowych, artylerii, granatników. Jednak natarcie powoli posuwało się do przodu.

W niewielkiej odległości od nas widziałem porucznika Dana i starszego ogniomistrza Zienkiewicza, jak ze swoimi chłopcami dochodzili do torów. Zaatakowali bunkier zięjący ogniem niszcząc go granatami. Przeskoczyli tory kolejowe i zniknęli wśród ognia. Zapanowało istne piekło. Niemcy wzmocnili ogień. Wprowadzono na tory pociąg pancerny. Żołnierze Dana znaleźli się w samym środku tego piekła. Podobno wszyscy zginęli... Walka stawała się coraz bardziej beznadziejna, a my

nie mieliśmy dostatecznych środków do zniszczenia stanowisk ogniowych wroga. Ogień nieprzyjacielski zmuszał nas do wycofywania się. Skokami i czołgając się po ziemi, grupami i pojedynczo, wróciliśmy na pozycje wyjściowe.

Przez kilka godzin przyczołgiwali się nasi koledzy z pola walki pod ciągle szalejącym ogniem niemieckim. W polu tym pozostało wielu rannych, pomimo ofiarności sanitariuszek usiłujących ich wynieść poza zasięg strzałów. Nawałnica niemiecka nie pozwalała jednak na jakiegokolwiek ruchu.

Porucznik Witold wrócił z walki ranny, z jego batalionu zginęło wielu wypróbowanych żołnierzy, a naszych kolegów jeszcze z Iwienca, Stołpców, Rakowa, Radoszkowic, Mołodeczna – część z nich bezimiennych, gdyż nazwisk ich nikt nie znał, a tylko pseudonimy. Po obliczeniu stanów w kompaniach stwierdzono, że w dwóch atakach poległo ponad pół tysiąca ludzi. Porucznicy Witold i Prawdzic z grupą około dwustu żołnierzy pozostali na Żoliborzu, by prowadzić dalszą walkę. Nie chcieli wracać do Kampinosu. Wieczorem, po odpoczynku major Okoń zebrał grupę około 150 osób, które zgłosiły chęć powrotu do puszczy. Dołączyli do nas również żołnierze z innych formacji i kompania „Jerzyków”. Ja wolałem też wrócić do puszczy, do swoich kolegów tam pozostałych, gdyż w lesie człowiek czuł się znacznie lepiej, niż w nieznanym i zniszczonym mieście. Przykro było tylko, gdy musieliśmy, na rozkaz, posiadaną broń zostawić oddziałom żoliborskim.

Pod dowództwem Okonia nad ranem, chyba był to 24 sierpnia, bez większych przygód dotarliśmy do puszczy omijając po drodze placówki niemieckie. W Wierszach zameldowałem się u dowódcy mojej 3 kompanii starszego sierżanta Opończy – Waleriana Żuchowskiego. (...)

Józef Załucki swoją relację z walk o Dworzec Gdański, przekazywał po wielu latach, gdy emocje już ostygły, to też w jego wspomnieniach nie znalazło miejsca rozgoryczenie, z jakim nie kryli się żołnierze, którzy powrócili do Kampinosu, bez broni, którą musieli, skądinąd słusznie, pozostawić powstańcom warszawskim.

Jakże inaczej przeżywali ów dramat żołnierzy z oddziałów kampinoskich, jaki rozegrał się nad torami kolejowymi Dworca Gdańskiego, ich towarzysze broni, którzy pozostali w puszczy, odnosząc tam, w tym samym czasie, pod dowództwem porucznika Doliny same zwycięskie walki nad nieprzyjacielem. I to w sytuacji, gdy po wysłaniu do Warsza-

wy 750 żołnierzy, świetnie uzbrojonych i wyekwipowanych, w puszczy pozostała właściwie sama kawaleria, a kompanie były w szczątkowym stanie, stanowiąc załęczek reorganizowanego batalionu. Rozgoryczenie przepelniło miarę, swych kolegów powracających z Warszawy, sponiewieranych, bez broni, prowadzonych przez majora w cywilu, któremu przypisywano odpowiedzialność, za dwa nieudane ataki za śmierć około pół tysiąca ludzi, a który teraz miał zostać ich dowódcą.

Wydarzenie, jakim był powrót Doliniaków z Warszawy, nie mógł zostać pominięty przez autora Doliniaków w prowadzonym przezeń dzienniczku pt „Na koniu i pod koniem”:

– Wracają z Warszawy nasi bohaterzy! Stu pięćdziesięciu chłopca z siedmiuset pięćdziesięciu ludzi. Rachunek prosty, obliczy go nawet uczeń szkoły powszechnej. Stu włączyło się do różnych oddziałów powstańczych, dobrze. Stu pięćdziesięciu wróciło i chwala Bogu. A pół tysiąca głów?

Nie zdołaliście ściągnąć trupów spod Fortów Traugutta i Legionów, z ulicy Generała Zajęczka, z przedpola Dworca Gdańskiego?

Wracają nasi chłopcy. Stu pięćdziesięciu oberwańców w podartych, zakurzonych pyłem tynku mundurach, bez broni. Rozbroili was Niemcy?

Maszeruje oddział bez śpiewu, w ponurym milczeniu. Głowy spuszczone, chmurne oczy.

– Równaj w czwórkach! Lewa! Lewa!

Obok kolumny maszeruje oficer sztabowy w cywilnym ubraniu z furazerką na bakier. Pod orzełkiem dwa srebrne paski kaprała i gwiazdka podporucznika. To major Okoń – Alfons Kotowski, nowy dowódca Grupy Kampinos. To on prowadził owe dwa nieszczęsne ataki na Dworzec Gdański.

Coś mu się nie podoba. Ściąga brwi, wywołuje żołnierza z trzeciej czwórki, tego z ręką na temblaku. Pomylił nogę. Major go beszta i zaraz potem kazał zatrzymać kolumnę..

– Oddział stać! Czwórki w prawo zwrot!

Stu pięćdziesięciu, z siedmiuset pięćdziesięciu żołnierzy, nie zapomniało musztry. Nikt nie pomylił kroku. Nikt nie załamał szyku.

Pan major jest wściekły. Jego głos tnie powietrze jak bat.

– Będę was pędził do Warszawy jak stado baranów. Będziecie mi nosili broń jak tragarze!

Wściekły jest major za dwa nieudane ataki na Dworzec Gdański, za opeer, jaki otrzymał od samego zastępcy Bora – Komorowskiego, generała Grzegorza. Major źle poprowadził atak, żołnierze nie zdobyli wyznaczonego obiektu. Majora zbesztal generał, więc major odgrywa się na żołnierzach. W wojsku to zwykła rzecz.

Wrócili nasi chłopcy z Warszawy!

Pragniemy dowiedzieć się przyczyny tego nieszczęścia. Kto zawi- nił? Dlaczego chłopcy wrócili bez broni?

Ale nagabywani milczą. Jeden stoi przy studni bez koszuli, nalewa z wiadra wodę w rozkurczone garście, rozciera głowę, szyję, piersi.

– Koleś! Opowiedz, co tam z wami było?

Przerwał mycie, błysnął złym okiem jakby myślał, że będziemy się z nich nabijać.

– Spieprzajcie!

Inny leży na wznak w przyległym do podwórza wiśniowym sadzie. Oczy wbił w gałąź. Dojrzał nie zerwany owoc? Jedną rękę trzyma pod głową, drugą ma na temblaku.

– Może ty powiesz co było z wami w Warszawie?

Nie poruszając prawie ustami cedzi:

— Spytajcie o to majora Okonia, niech on wam opowie!

W końcu znaleźliśmy chętnego do wynurzeń. Jest w moim wieku, siedzi na ściętym pniu do rąbania drzewa i z apetytem wcina pajdę suchego, razowego chleba. Nazywają go Sokół.

– Jak było, pyta poszliśmy w pierwszym rzucie, to znaczy z porucznikiem Witoldem. To wiecie. Odprowadzaliście nas wtedy do Mościsk. Ciebie, Żbik, nawet poznaję. Jechałeś przy dowódcy szwadronu na bułanym koniu, zgrywałeś ważniaka i dłubałeś w nosie...

Idziemy wtedy, sami widzieliście, z fasonem! Do Warszawy, musowo z fasonem! Człowiek już kawałek świata w swoim życiu zwiedził, otarł się i o miasta. Byłem nie raz ja nie tylko w Iwieńcu, ale i w Stołpcach, a kiedyś pojechałem nawet nawet do samych Baranowicz. Ale w Warszawie nie byłem nigdy i chyba do końca życia bym jej nie zobaczył, gdyby nie ta wojna. Rozumiecie, więc co się kotłowało w mózgowicy podczas tego marszu do naszej stolicy? Noc była ciemna, tylko tam, gdzie idziemy – jasne niebo. Luna stawała się coraz większa, wpierv czerwona, z każdym kilometrem wystukany naszymi buciorami różowiała i bladła, jakby świat stanął na głowie i z tamtej strony, od południa,

nastawał świt, coć była dopiero godzina po północy Tak, bracie, dochodzimy do miasteczka Powązki. A tam patrzymy i oczom własnym nie wierzymy: przed nami kolumna dwudziestu samochodów pancernych, pustych, przez nikogo nie strzeżonych! No, myślę – lepszej okazji być nie może!. Warszawa potrzebuje broni jak głodny chleba, a takie samochody przydadzą się, choćby na barykady, gdy zabraknie benzyny.

Myślicie, żeśmy ich rozbroili? A gówno. Nasz porucznik nie mógł działać na własną rękę. Jego propozycja została odrzucona. Dowódca całości jest nie byle jaka szarża, dwa awanse i już generał. Widzieliście podpułkownika Wiktora? Wydał rozkaz taki, że serce ścisnęło. Zawracamy! I zachować ciszę. Największą ciszę!

Cóż bracie! Rozkaz rozkazem. Bierzemy mordy w kubel i przez podwórza, przez płoty, na palcach wychodzimy z miasta.

Podpułkownik Wiktor za tę historię, później w Warszawie został pozbawiony dowództwa. Ale co z tego? Mądry Polak po szkodzie.

Do Warszawy doszliśmy bez walki. Co za miasto bracie! A kamienie? W Iwieńcu, Stołpcach, a nawet w Baranowiczach takich nie zobaczysz. Wysokie jak w Nowym Jorku. I to całe dobro teraz się wali w gruzy. Płakać się chciało.

Po kilku dniach przychodzi z Kampinosu drugi rzut. Jest nas więc niezgorsza paczka. Siedmiuset pięćdziesięciu chłopów, to prawie pułk. Dowódcą naszym został major Okoń, nowa szarża. Tamten był podpułkownikiem, ten majorem. O stopień niższy, może o stopień lepszy?

Warszawiacy Okonia chwalą.

– Dobry dowódca!

Jak dobry, to dobrze.

Przed północą z 20 na 21 sierpnia zajmujemy pozycje wyjściowe. Cholera wie gdzie są Niemcy, gdzie nasi. Antek, mój drużynowy twierdził, że Niemcy zajmują Dworzec Gdański, Forty Traugutta, Legionów, Cytadelę, Instytut Chemiczny. Dalej, na Starówce są już nasi. Ale gdzie ta Cytadela, gdzie Forty, gdzie Starówka, gdzie ten Instytut?

Czego się martwić, dadzą nam pewno przewodników, chociaż po jednym na drużynę? Wiedzą, że nie znamy miasta.

Wechodzimy do „Poniatówki” to jest do gimnazjum imieniem księcia Józefa Poniatowskiego. Mamy stąd zaskoczyć szkopów.

Od Niemców dzieli nas czyste pole, na oko 700–800 metrów. Niecały kilometr, to nie dużo.

Przewodników nie było, natarcie ruszyło. Straszno iść na ślepo po omacku, bez przewodników, w to oświetlone raketami pole, które po chwili było jeszcze jaśniejsze wybuchami eksplodujących pocisków. Ale fason bracie trzeba trzymać. Trzeba pokazać miastowym, że my wsiowi umiemy bić się nie tylko w lesie!

Ledwie wyszliśmy, zaczęło się. Grzmot i ogień. Ogień i grzmot.

– Naprzód!

Żelazo sypie po nas. Pociski gęste jak ulewny deszcz i te ciężkie, artyleryjskie i te małe, z kulomiotów. Nikt z nas się kulom nie kłania. Kto przejdzie te osiemset metrów, temu chwała. Kto padnie, też chwała. Za Polskę przecież!

– Naprzód!

Padać na ziemię nie ma sensu. Ma zmieść, to zmiecie komu pisano. Walim bracie naprzód. Giną Antek, Józek, Tadek, Franek... nie spamiętasz wszystkich. Porucznik Czerwiec zgubił w biegu czapkę.

– Naprzód!

Padamy wreszcie, by zaczerpnąć tchu w płuca. Przed nami tuż, tuż tory i karabiny maszynowe ziejące rozżarzonymi węglkami.

– No, dalej chłopcy! – woła Czerwiec – Naprzód!

Spluwamy w garść. – Hurra!

Nie rzucamy granatów. Szkoda niszczyć szwabskiej maszynki, bo nam się przyda. Jeszcze jeden skok, drugi... Każdy skok, czyjaś śmierć, normalka. Ale my już dopadamy nasypu... Zwycięstwo!

Zwycięstwo?

– Rakiety! – woła podporucznik – Wystrzelić rakiety!

Rakieta miała być sygnałem.

– No! Teraz Okoń rzuci w bój odwody! – myślimy.

Ale nie ma przy nas raketnicy. Józek, który ją targał, padł gdzieś między gimnazjum, a torami. Zmieniamy stanowisko zdobytego karabinu maszynowego. Świetliste pociski lecą nad torami, dają znać majorowi, że jesteście już tu, że kompania podporucznika Czerwca wykonała zadanie, osiągnęła cel ataku. Niech śle do boju odwody!

Ale odwody nie nadchodzą. Na nasypie kolejowym piekło. To zagrożony dla Niemców odcinek! Wszystkie gniazda karabinów maszynowych nieprzyjaciela rąbią w nas nie żałując amunicji. Jeden wielki grzmot, jeden wielki ogień. Ktoś wali mnie dłonią w twarz. Klnę go po matuzszce, ale to nie ktoś. Przede mną leży bezwładnie ręka ucięta po łokieć.

Niemiecka czy polska? Z przedpola nasi już się wycofują. Nie możemy sami pozostać tu dłużej. Porucznik daje znak:

– Z powrotem!

– Niełatwo było dojść do torów. Tak samo niełatwo i teraz osiągnąć pozycję wyjściową.

– Z powrotem!

Ilu nas doszło do tej „Poniatówki”? Na palcach policzyć.

Tak bracie. Ale swoje zrobiliśmy. Nikt nie może powiedzieć, że źle wykonaliśmy zadanie.

Po bitwie cały dzień śpimy. Wieczorem znowu przygotowanie do ponownego natarcia. Ten krochmalony Dworzec Gdański, to podobno być lub nie być powstania. Ano, jak każą, pójdziemy

Od godziny 24.00 czekamy na rozkaz. Niemcy, jakby przeczuwali, że my znowu. Kładą zaporowy ogień.. Mija godzina pierwsza po północy, druga... Rozkaz nie nadchodzi. Paskudne uczucie, bracie. Jakbyś stał z powrozem u szyi i czekał, aż ci kat zwali spod nóg ławę. Dlaczego nas tak wcześnie wyprowadzili na pozycje wyjściowe? Nie mogli powiedzieć od razu, że atak ruszy o tej i o tej godzinie?

Wreszcie porucznik Dan mówi, że ruszymy o wpół do trzeciej. Patrzymy, ten kto ma, na zegarki. Ile jeszcze naszego życia?

Dwadzieścia minut...

Dziesięć...

Pięć...

Jakiś oddział o czterdzieści sekund wyrwał się za wcześnie. Nerwy, bracie, nie wytrzymały. Porucznik Dan uśmiechnięty wstaje, odciąga zamek automatu.

– No, trzymajcie się chłopcy!

Leci grad pocisków. Ciężki ołowiany grad. Biegniemy jak wczoraj, nie kłaniając się kulom. Im bliżej bunkra łypiącego ogniem, tym mniej ludzi w tyralierze. Jedna z kompanii puszczańskiego batalionu dociera już do rozwalonej remizy strażackiej na Muranowie. Żołnierze wejść, weszli, ale nie wyszedł stamtąd nikt. Nikt! Rozumiecie? pociągnął dłonią po gardle.

Bunkier na przejeździe łączącym ulicę Felińską z ulicą Kłopot jest z grubego żelbetu. O rozwaleniu go granatami czy nawet piątem nie ma mowy. Ot kłopot! Przeskakujemy ogniową zaporę, przyciskamy twarze do chłodnej ściany muru i łubudu granatami przez szczelinę, w środek.

... Jęczą ranni, ryczą żywi:

– Hurra!

Docieramy do Fortu Traugutta. No, tym razem zwycięstwo mur beton! Tak myślałeś bracie. Guzik prawda. Porucznik Dan przeskakuje z kilkoma nasyp kolejowy przez nasyp kolejowy, podkowy butów dzwonią o szyny ale do Starówki nie dotarł. Nazajutrz Niemcy zawiadomią, przez wziętego do niewoli żołnierza, że padł, nie przeszedł przez zapórę ognia. Dostał między oczy. Nie on jeden zresztą. To będzie nazajutrz, a teraz dowództwo objął kto inny

– Naprzód!

– Naprzód!

Atak innych oddziałów załamał się. Nadjechał pociąg pancerny, wali, myśmy torów już nie przeszli. W odwrocie oberwałem w łokieć. Odłamek wyłuskał później jakiś lekarz. Miałem szczęście. Inni dostawali taką porcyjkę w głowę.

Dwa ataki nic nie dały. Kogo za to winić? Okonia? Mówili przecież, że to dobry oficer.

Nie można go o to winić. W każdej wojnie bracie są zwycięstwa i klęski, wiadomo że tam ludzie się nie rodzą, a giną. Do niego za tę rzeź pół tysiąca głów, nie można mieć pretensji. Ale za to co się stało nazajutrz? To było znacznie gorsze niż dwa ataki na Dworzec Gdański. Ja wolałbym iść tam po raz trzeci, tylko nie to co się stało... Odpoczywamy po walce, czyścimy broń. Inni przewiązują rany, lżej ranni tak samo, jak ja, nie chcą iść do szpitala. A tu gruchnęła wieść, że chcą nas rozbroić. Nie do wiary. Jak to rozbroić?

Dowódca grupy major Okoń zarządził zbiórkę. Stajemy w dwusze-regu, ściskamy w garści karabiny, nasze żony. Znowu każą iść do ataku? Pójdziemy.

Major mówi ponuro:

– Dwa razy nacieraliście na tory kolejowe, aby przerwać zapórę oddzielającą Żoliborz od Starówki. Nic z tego nie wyszło. Teraz uderzą oddziały, które przybyły ze Starówki kanałami. Musicie im oddać swoją broń i amunicję. Wy nie będziecie brali udziału w walce, a broń nie może być beczynna. Myślę, że sami to rozumiecie.

Każde słowo jak smagnięcie biczem. Jesteśmy już niepotrzebni? Oddać broń? Ja swój karabin zdobyłem na Niemcach w pierwszej bitwie o Iwieniec! Oddać broń?

Porucznik Witold pierwszy ściągnął automat, cisnął o ziemię. Dał przykład. Zwarty dwuszereg załamał się. Rzucamy karabiny, automaty, kaemy, granaty, pasy z ładownicami, na stos...

No i tak wróciliśmy bez broni....

– A major, przy którym z oddziałów z wami atakował?

– Majora w natarciu nikt nie widział. Ani w pierwszym, ani w drugim (...)

Kapral Antoni Czujko, rodem z Pietryłowicz, ochotnik z przydziałem do 1 kompanii porucznika Dana – Franciszka Baumgarta, w batalionie porucznika Witolda Pełczyńskiego, ogniowy granatnika, zanim znalazł się w murach warszawskiej „Poniatówki”, przeszedł na Kresach pacyfikację Puszczy Nalibockiej w lipcu 1943 r. i podstępna napaść sowieckich partyzantów pułkownika Dubowa, pamiętnego poranka 1 grudnia 1943 roku, na uroczysku nad jeziorem Kromań, nie powrócił pod komendą majora Okonia do Kampinosu. Ciężko ranny w natarciu na Dworzec Gdański znalazł się w szpitalu Zmartwychwstanek na Żoliborzu. Po kapitulacji Żoliborza przemieszczono go razem z innymi rannymi do szpitala w Tworkach.

Potem przyszło „oswobodzenie” jak Czujko nazywa z sarkazmem wkroczenie wojsk Armii Czerwonej na tereny lewobrzeżnej Wisły i „oswobodziciele” wywieźli go daleko na wschód do kopalni Workuty, gdzie – jak mówi – „mrozów było 56 stopniów”.

Antoni Czujko wspomina swoją walkę na Żoliborzu w sposób beznamiętny, z dystansu, jakby to dotyczyło kogoś innego:

– Ja na Żoliborzu był ciężko ranny w prawa rękę, z działka lub granatnika. Sanitariusze zanieśli mnie wtedy do szpitala, w domu sióstr Zmartwychwstanek. Tam zrobili mnie operacje, wydlubali czternaście odłamków, a profesor Węglowicz nastawał, co by mnie omutacje zrobić, to prędzej się zagoi. No, ja nie chciałem tej omutacji. Leżeliśmy tak wtedy w szpitalu, a Niemcy z pociągu pancernego wzięli, i szpital zbombardowali. Dwanaście sióstr zakonnych w on czas zginęło. Ja koło okna leżałem, to mnie powietrze wybuchowe rzuciło pod łóżko, tylko szkła nagoniło z okna do łokcia i w rękę. Ja widzę, że kto zdrowszy i może chodzić, ten ucieka do piwnicy. To ja w on czas koc w zęby i też schodziłem do piwnicy. Tam ja poznałem tego porucznika, który nas zabierał z Piasków i wsi Laski do Warszawy. On niósł naszego podchorążego na plecach, podchorąży Wierszuł (Zbigniew, ze Zgrupowania „Żaglowiec” – M.P.)

się zwał. Potem nas przetransportowali na inny szpital, do piwnic. I tam był kłopot. Tam pocisk z tygrysa wpadł na naszą salkę, smrodu i kurzu narobił, ale nie wybuchnął, dzięki Bogu. Jak Żoliborz skapitulował, nasz szpital zajęli Niemcy, a doktorzy powiedzieli, że to szpital cywilny. Powiedzieli też, że kto może chodzić o własnych siłach, ten ma wychodzić na podwórko. A ja podszedł do doktorów i mówię, co u mnie opatrunków nie zmieniali już cały tydzień czasu i robaki zaprowadzili się w ranach. Tak mnie i opatrzyli; robaki z bandażami wszystkie wyrzucili, a potem załadowali nas w samochody ciężarowe i powieźli do Pruszków – Tworki. Tam zrobili z jednego bloku szpital i tam ja spotkał Czeška Dzudzewicza, którego był bez nogi, na amen mu ją oderwał. Leżelim my w tym szpitalu, aż do „oswobodzenia” to znaczy do 17 stycznia 1945 roku. Wtedy siostry i doktory zaczęli mówić, że z Niemcami już koniec, co ich rozbiorą tak, jak kiedyś naszą Polskę rozegrali Ruskie, Niemce i Austrijaki, a Polska będzie tak samo za Bugiem, jak i tutaj i powiedzieli, co można wracać do domu. Tak ja wziął i wrócił na swoje gospodarstwo, za Bug, do Pietryłowicz ma się rozumieć. W 1947 roku ja był się obżenił z Romana Wiencentego, też z naszego oddziału, siostrą. A w 1949 roku ruskie mnie enkawude zabrało i w Baranowiczach osądziło mnie za moju partyzantku na 25 lat, za to, co ja u Góry naszego walczył. Tak posiedział ja sobie lat siedem. A był ja wywieziony na północny biegun, 56 tam stopniów mrozu było i tundra. Tam był łagier i kopalnia węgla była, gdzie ja pracował. I tam ja napotkał z Wilna chłopców, od generała Wilka. Aż po siedmiu latach poniewierki mojej Stalin wziął i szczęśliwie pomarł. I tak mi się udało. Zwolnili mnie wtedy, ze zdjęciem spraw sondowych. No, jak mnie już zwolnili, to dowiedział się ja, co trzeba napisać do fali 49¹⁴, do Warszawy, że ja walczył o te Warszawę, w powstaniu, na Żoliborzu był. I tak się stało. Matka Boska i Fala 49 mnie pomogła. Zamieszkał ja na Ziemiach Zachodnich, wstąpił do Związku Inwalidów Wojennych i do ZBoWiD-u, nadali mi krzyżów i medalów. Ja teraz na emeryturze, człowiek zasłużony i mam dwóch synów. Jeden w 1958 roku liceum skończył i sześć lat wyższe

¹⁴ *Fala 49 – audycja propagandowa Polskiego Radia kierowana przez Leona Rawskiego, prowadzona przez aktora Polskiego Radia, Stefana Martykę i dziennikarkę propagandową Trybuny Ludu Wandę Odolską. Audycja pojawiała się nieregularnie na falach radiowych w roku 1949.*

seminarium duchowne. Już jest księdzem – Józef. A drugi, Stanisław jest na kolei. I co tu wiecej pisać. Kolega był w tym samym oddziale co i ja. Sam wiesz jak było (...)

W RZECZYPOSPOLITEJ KAMPINOSKIEJ

W tym czasie, gdy piechota leśna wykrwawiała się w walkach o Dworzec Gdański – życie partyzantów w puszczy toczyło się zwykłym torem. Żołnierze porucznika Doliny walczyli teraz równocześnie w Warszawie i na terenie Puszczy Kampinoskiej. Grupa Kampinos – jak teraz nazywano Pułk “Palmiry – Młociny” (nazwa ta od początku nie była adekwatna do składu jednostek tworzących ten pułk) pod dowództwem Doliny była w tym czasie poważnie osłabiona. Na miejscu pozostała tylko kawaleria cztery szwadrony liczące po trzy plutony każdy, a więc w pełnym składzie, 27 nieświeski Pułk Ułanów imieniem Króla Stefana Batorego dowodzony przez chorążego Nieczaję – Zdzisława Nurkiewicza, szwadron cekaemów stanowiący załążek 23 Pułku Ułanów Grodzieńskich dowodzony przez porucznika Jara – Jarosława Gąsiewskiego.

Pozostały w puszczy także grupy żołnierzy z poszczególnych kompanii, które z różnych powodów nie weszły w skład kompanii szturmowych i teraz stanowiły załążek nowo organizowanych.

Nowy dowódca batalionu porucznik Strzała – Witold Lenczewski z właściwą sobie energią przystąpił do reorganizacji swojej byłej kompanii i odtwarzania batalionu.

W pierwszym etapie połączył konne zwiady kompanijne w jeden pododdział batalionowy pod dowództwem wachmistrza podchorążego Bazara – Stanisława Bazarewskiego. Pozostałe z trzech kompanii drużyny ckm stanowiły załążek nowo organizowanej kompanii ckm i móżdżery pod dowództwem porucznika Olszy – Henryka Dobaka.

Nowe, drobne oddziały piechoty napływały z sąsiedniego podokręgu Hallerowo, z których porucznik Strzała miał zamiar utworzyć nowy batalion. Dolina musiał się liczyć z tym, że Niemcy zorientują się w znacznym osłabieniu jego zgrupowania i będą próbowali zlikwidować Niepodległą Rzeczypospolitą Kampinoską. Tym bardziej, że dowiedzieli się już o „zdradzie” Węgrów, którzy mieli odgrodzić puszcę od Warszawy, a tymczasem w wyniku porozumienia z dowództwem polskich

oddziałów, przepuścili je do Warszawy. Świadczył o tym meldunek dowództwa 9 armii niemieckiej do dowództwa wojsk „Środek”, zawierający następującą ocenę położenia:

“We wschodniej części Puszczy Kampinoskiej zebrały się silne oddziały bandyckie, których zadaniem jest popieranie powstania warszawskiego przez dopływ świeżych sił. Odgrózenie ich od Warszawy jest niemożliwe z powodu braku sił. Przewidziane w tym celu siły węgierskie trzeba było wycofać, bowiem ostro stanęła sprawa zbratania się...”.

Szczególne niebezpieczeństwo groziło oddziałom Doliny od północnego wschodu i od południa. Nieprzyjacielska załoga twierdzy modlińskiej i fortów w Kazuniu czekały tylko na okazję, by powetować sobie blamaż z przyzwoleniem na przemarsz Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego przez Wisłę mostem w Nowym Dworze. Wieść o wyprowadzeniu ich przez Dolinę (wówczas Górę) w pole rozeszła się szeroko po okupowanym kraju.. W latach okupacji dzięki niewyczerpanej pomysowości Polaków niejednokrotnie Niemcy dawali wyprowadzić się w pole. Ale żeby tak, w biały dzień przepuścić obok twierdzy modlińskiej przez miasto Nowy Dwór i most na Wiśle bez mała tysięczny oddział Armii Krajowej w mundurach Wojska Polskiego i w dodatku wyposażony go w amunicję, broń i zaprowiantowanie, która została użyta wkrótce przeciwko naiwnym darczyńcom?

Takiego wyczynu w czasie II wojny światowej, żadnemu z oddziałów AK nie udało się dokonać.

Również wzdłuż południowego skraju Puszczy Kampinoskiej we wszystkich niemal miejscowościach stacjonowały niemieckie jednostki czekające na sposobność likwidacji partyzantów puszczańskich, coraz bardziej dających się im we znaki. Należało więc wzmocnić ubezpieczenia w miejscowościach odległych od kwater zgrupowania, zamykających niemal wszystkie drogi wejściowe od południowego skraju ostępów Puszczy Kampinoskiej.

Od strony Kazunia dostępu do niej broniły placówki rozstawione na zachodnim skraju wsi Janówek, w Brzozówce i w połowie drogi z Sowiej Woli do Aleksandrowa. Natomiast od zachodu, od strony Leszna, puszcze – przed nieproszonymi gośćmi – osłaniała placówka w Roztoce.

Począwszy od najbardziej na zachód wysuniętego ubezpieczenia w Łubcu, przecinającego drogę do Leszna, dostępu do warownego tere-

nu Grupy Kampinos broniły dalej na wschód rozmieszczone placówki w Ławach ubezpieczające od strony Zaborowa i w Zaborowie Leśnym – zamykając drogę od Bud i Lipkowa oraz w stronę Pocięchy. Ta ostatnia placówka była najbardziej umocniona, tędy bowiem dwiema drogami – od strony Truskawia i od strony Sierakowa – można było dostać się do środka puszczy. Tędy też biegł trakt przez Palmiry, do Kazunia i Modlina, a Niemcy tę właśnie drogę uznali za najbardziej dla siebie dogodną, by lasami móc ominąć szosę z Modlina do Warszawy, coraz częściej atakowaną przez sowieckie lotnictwo.

Te placówki, rozsiane promieniście wokół stałego miejsca postoju zgrupowania partyzanckiego wytyczały jednocześnie granice Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej – tak nazywano ten rejon – skutecznie strzegąc jej przez cały okres Powstania Warszawskiego, by Niemcy jej nie naruszali.

Niezależnie od zagęszczenia wokół swoich kwater placówek ubezpieczających z gniazdami karabinów maszynowych – Dolina stale wysyłał na dalekie rozpoznanie patrole kawalerii, które miały przekazywać informacje o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Ponadto, co noc przynajmniej dwa szwadrony kawalerii dokonywały wypadów na niemieckie stanowiska. Dowódcy zgrupowania zależało na tym, aby Niemcy nie zorientowali się, że na terenie Puszczy Kampinoskiej siły powstańcze znalazły się w znacznym osłabieniu. Kawaleria musiała być zatem bardziej nawet ruchliwa, niż w pierwszych dniach powstania. Stąd też rano widziano ją w jednej miejscowości, w południe w drugiej, odległej o kilkanaście kilometrów, a wieczorem w trzecim miejscu, gdzie jeszcze dalej i na innym kierunku. Ta ruchliwość kawaleryjska sprawiła, że Niemcy szacowali oddziały „polskich bandytów” w puszczy, składające się z kawalerzystów, piechoty i „panienwagen” na wiele tysięcy ludzi, a agenci niemieccy rzekomo widzieli na własne oczy, że jeden z oddziałów dysponował nawet trzema działami i taką samą liczbą małych czołgów...

Było to w dużej mierze zasługą ludzi oficera informacji porucznika Floriana Bałty i jego zastępcy podchorążego Kazika – Bronisława Piwoarczyka, którzy na prawo i lewo rozpowszechniali te bałamutne wiadomości na użytek wroga.

Chociaż wydawało się, że sprawa formalnego podporządkowania Grupy Kampinos rannemu kapitanowi Szymonowi – Józefowi Krzycz-

kowskiemu, przebywającemu w Laskach, była przesądzona, przynajmniej do chwili powrotu z Warszawy majora Okonia – szczególnie kowodanci konspiracyjnych jednostek lub nawet, co wyżsi stopniem oficerowie w dalszym ciągu usiłowali podporządkować sobie partyzantów porucznika Doliny. Zmusiło to dowódcę Grupy Kampinos do przesłania drogą radiową do Komendy Głównej AK w Warszawie następującego meldunku z 21 sierpnia 1944 roku:

„Zorganizowałem i wysiałem na odsiecz Warszawie dwa oddziały piechoty w liczbie 700 i 450 ludzi w dniach 15 i 19.08. pod dowództwem inspektora Wiktora i majora Okonia. Trzeci oddział jest w stanie organizacji. Czekam zrzutów, oficera łącznikowego i zadań. Zamelduję gotowość. Otrzymuję od Romana rozkazy sprzeczne z rozkazami KG. Wykonuję rozkazy kapitana Szymona, dowódcy Rejonu VIII i dowódcy wszystkich oddziałów w Kampinosie i Rejonu VII. Kawalerią (320 koni) wykonuję wypady i ubezpieczam zrzuty. Dowódcy luźnych oddziałów bądź z tytułu starszeństwa, bądź powołując się na fragmenty swoich rejonów organizacyjnych, które zajmujemy – pragną podporządkować sobie moje oddziały. Przykładem – Roman i jego podkomendni. Melduję, że od 30 lipca stanowią jedyny zorganizowany oddział partyzancki na tym terenie i ośrodek organizacyjny Rejonu VIII, który wykonuje bezwzględnie rozkazy KG. Wszelkie rozkazy z KG przeprowadzę siłą”.

Meldunek ten podpisał adiutant Pułku „Palmiry–Młociny” porucznik Wyrwa i porucznik Dolina. W tym samym dniu, w którym przekazano powyższy meldunek – zastępca dowódcy 27 pułku ułanów porucznik Dąbrowa – Zygmunt Koc, wykonując głęboki wypad na czele czwartego szwadronu, dotarł do majątku Rochale pod Błoniem, będącego pod zarządem niemieckim z zadaniem zdobycia żywności i paszy dla koni. Niemcy uprzedzeni o zbliżającym się polskim oddziale, zdołali zbiec. Szwadron zdobył bez walki 14 koni, 2 siodła, 4 wozy.

BÓJ POD BRZOZÓWKĄ

W czasie, gdy oddziały puszczańskie przygotowywały się do natarcia na Dworzec Gdański, dowódca batalionu piechoty porucznik Strała – Witold Lenczewski wzmacniał w dniu 22 sierpnia 1944 roku ubezpieczenie w Brzozówce w sile wzmocnionej drużyny piechoty i dwóch dru-

zyn ckm. Ubezpieczenie to zauważyło po południu, dokładnie o godzinie 14.30, znaczne siły niemieckie nadciągające w ich kierunku od strony Sowiej Woli. Taki meldunek otrzymał w chwilę później dowódca batalionu porucznik Strzała – Witold Lenczewski, który natychmiast poinformował o tym przez łącznika Dolinę, zarządzając jednocześnie alarm w pododdziałach batalionu w Wierszach.

– Z luzakiem Wacławem Kosowiczem – wspomina po latach pułkownik Witold Lenczewski – udałem się natychmiast konno, na czele kilkunastoosobowej grupy żołnierzy z 80 mm moździerzem, w kierunku Brzozówki. Na skraju wsi spotkałem wycofujące się ubezpieczenie. Zatrzymałem je nakazując zająć stanowiska bojowe i kazałem oddać kilka strzałów z moździerza na ugrupowanie nieprzyjaciela, dla zademonstrowania naszej siły i powstrzymania marszu jego sił głównych.

W tym czasie weszła do wsi Brzozówka z północno–zachodniej strony grupa naszych żołnierzy pod dowództwem porucznika Doliny rozpoczynając walkę z wycofującymi się Niemcami. Dotarły tam wkrótce dalsze grupy żołnierzy z Wiersz, m.in. pod dowództwem st. sierżanta Opończy. W wyniku naszego ataku, nieprzyjaciel ponosząc znaczne straty wycofał się w kierunku na Sowią Wolę.

Nasze pododdziały, ckm–y, moździerze i drużyny piechoty zajęły stanowiska ogniowe na południowo wschodnim skraju Brzozówki, mając daleki wgląd na przedpole w kierunku Sowiej Woli, gdzie było widać grupujące się znaczne siły nieprzyjaciela.

Po pewnym czasie z Sowiej Woli ruszyła duża kolumna niemieckiej piechoty i kawalerii, kierując się w naszym kierunku. Gdy doszła na odległość pół drogi do nas, rozdzieliła się przy dwóch stogach zboża na dwie grupy, przyjmując szyki bojowe. Za zgodą porucznika Doliny wydałem rozkaz otwarcia ognia z trzech ckm–ów na rozwijającą się kolumnę nieprzyjaciela. Jeden z cekaemów zaczął się zacinać. Znałem go dobrze, bo był z mojej 2 kompanii. Zająłem, więc miejsce celowniczego i sam prowadziłem ogień. Nieprzyjaciel pod zmasowanym ostrzałem zaległ i w tym momencie z rejonu Sowiej Woli nieprzyjaciel ostrzelał nas nawałą ognia artylerii i moździerzy. Zostałem ranny odłamkiem w głowę i ramię. Został też ranny, leżący obok mnie, luzak Ciuta – Wacław Kosowicz, porucznik Wyrwa i jeszcze kilku żołnierzy.

W czasie prowadzenia tej ogniowej walki z lewego skrzydła ukazał się nasz 3 szwadron kawalerii rozwijając się w tyralierę. Nieprzyja-

cielskie kolumny zwinęły swoje szeregi, wycofując się do Sowiej Woli (...)

Zanim Dolina wyruszył z niewielką grupą żołnierzy w kierunku Brzozówki, połączył się telefonicznie z dowódcą 27 kawalerii chorążym Nieczajem, rozkazując, by skierował znajdujące się na kwaterach szwadrony trzeci i czwarty (pozostałe w tym czasie znajdowały się poza swoimi miejscami postoju) na Brzozówkę.

Ułani 3 szwadronu kończyli właśnie obiad, gdy Narcyz Kulikowski ogłosił alarm. Na bok poszły z niedokończonym jedzeniem menażki, ułani w mgnieniu oka chwycili za broń, dosiadając koni, osiedłali je i wyszli przed kwaterę dowódcy szwadronu, która znajdowała się w gospodarstwie Natalii i Czesława Pływaczewskich w Kościennem.

W ciągu pięciu minut trzy plutony: I Wiernego – Bolesława Mostowskiego, II Bronka – Brunona Dawidowskiego i III Wira – Antoniego Burdzielowskiego – ruszyły z kopyta galopując, co koń wyskoczy w kierunku Borek i Wędziszewa. W Kiściennem pozostał tylko IV pluton taborytów pod dowództwem szefa szwadronu plutonowego Konstantego Pietruckiego. W kilka minut później, zgodnie z rozkazem Doliny, na spotkanie z Niemcami pocwałował czwarty szwadron pod dowództwem podporucznika Jawora – Aleksandra Pietruckiego.

Od Brzozówki narastała kanonada. Niemcy szybko zorientowali się, że mają przed sobą nieliczną załogę placówki, a ostrzeliwują ich tylko 2 cekaemy. Uderzyli na nią całą kompanią.

Przechodząc na przemian z galopu w długi kłus i z kłusa w galop trzeci szwadron dojechał do Wędziszewa. We wsi panował popłoch. Ludzie uciekali z domów dźwigając na plecach dobytek i pędząc przed sobą do lasu, konie, bydło, trzodę chlewną i drób. Pocziwa kobiecina szarpała za wodze konia Narcyza wołając:

– Nie jedźcie dalej, tam są Niemcy. Tysiące Niemców!

Szwadron wyjechał z wioski na trakt. Strzelanina rozlegała się w szerokim półkolu od Helenówka przez Cybulice, Małocice, Łosią Wólkę, Janówek aż do Truskawki.

Od Brzozówki trzeci szwadron w marszu niespodziewanie ostrzelany został z karabinów maszynowych. Gdyby Niemcy się nie pospieszyli, byłaby masakra. Na rozkaz Narcyza szwadron natychmiast zawrócił, w bezpiecznej odległości ułani zeskoczyli z siodła i ładując broń w biegu ruszyli z impetem do ataku. Niemcy nie przyjęli walki wręcz,

lecz się wycofali. Jednak nie – jak przypuszczał dowódca szwadronu na Łosią Wólkę, lecz na Małocice – i tam się okopali. Nie było sposobu, by ułani mogli zejść nieprzyjaciela od tyłu i ulżyć walczącej pod Truskawką piechocie. Nie nadciągnął też czwarty szwadron. Ostra strzelanina rozlegała się także od Sowiej Woli, gdzie najprawdopodobniej utknęli ułani podporucznika Jawora.

Porucznik Stabrawa rozkazał wachmistrzowi Kuli – Stanisławowi Puchacewiczowi i kilku innym, by go osłaniali, a sam z pozostałymi ruszył do przeciwnatarcia. Niemcy w pierwszej chwili rzucili się do ucieczki, lecz nawoływania dowódców przywróciły porządek w ich szeregach. Tyraliera atakujących zalegała pod gęstymi seriami karabinów maszynowych. Z prawego skrzydła odezwały się nagle strzały i gromkie “hurra” na całej linii. To przybyli żołnierze porucznika Doliny, by z marszu przejść wprost do natarcia. Zdezorientowani i przerażeni Niemcy, do których strzelano teraz niemal ze wszystkich stron, ponownie rzucili się do ucieczki.

Jedynie porucznik Stabrawa nie ruszył w pościg za nimi. Leżał nadal w tym samym miejscu, w którym uprzednio zaległa tyraliera. Wachmistrz Kula zawrócił – zdziwiony tym, że porucznik się nie podniósł. A leżący Stabrawa sprawiał wrażenie jakby lustrował lornetką przedpole. Pocisk karabinowy przebił mu hełm, trafiając powyżej czoła. ...

Tymczasem na odsiecz uciekającym Niemcom ruszyła, w pełnym galopie ich kawaleria, Wachmistrz Sum – Kulikowski w pierwszej chwili sądził, że to rodzimy, czwarty szwadron. W odległości pięciuset metrów Niemcy rozdzielili się na dwie grupy. Jedna szarżowała na 3 szwadron, zaś druga usiłowała rozpołowić nacierającą piechotę batalionu porucznika Strzały. Lekkie karabiny maszynowe kaprała Stanisława Piszczka i kaprała Osy – Stanisława Borysewicza otworzyły ogień do przeciwników atakujących piechotę. Celowniczy Warszawiak – Eugeniusz Marciniak bił krótkimi, celnymi seriami. Celowniczy Waclaw Żybul długo przytrzymywał spust cekaemu nie przerywając ognia, celował uważnie i dobrze. Tylko do konnych szarżujących na 3 szwadron nikt jeszcze nie strzelał. Narcyz chciał ich doprowadzić bliżej, by zgarnąć ich konie. Wreszcie podał komendę ogniową. Już po pierwszych seriach szarża kawalerzystów załamała się. Najpierw, robiąc wielkie półkole zawrócili ci, którzy atakowali spieszonych ułanów 3 szwadronu. Po chwili, ich śladem poszli inni – którzy uprzednio usiłowali przerwać tyralierę piechoty.

Powoli zapadał zmrok. Niemcy otworzyli ogień artyleryjski, ale nie odważyli się już ruszyć do przeciwnatarcia, ani w tym dniu ani na jutro, wycofując się ostatecznie z pola walki. Więc i ten kolejny bój zakończył się zwycięstwem Doliniaków. Dla żołnierzy Pułku Palmiry–Młociny była to rzecz zwyczajna. Wszystkie ostatnie walki i potyczki miały ten sam efekt. Do zwycięstw byli już „przywyklszy” jak mawiali i nie wyobrażali sobie, że mogło być inaczej. W rzeczywistości sytuacja wyglądała w tym dniu niezwykle groźnie. W drugiej połowie sierpnia, w okresie najsilniejszego nacisku oddziałów niemieckich na Stare Miasto – według oceny por. Doliny – Adolfa Pilcha – Grupa Kampinos przeżywała dość ciężki okres. W tym czasie oddziały puszczańskie zostały poważnie uszczuplone w ludziach i uzbrojeniu, co było naturalne, w konsekwencji dwukrotnego wysłania posiłków oddziałom walczącym w murach miasta. (Dolina wysłał do Warszawy w sumie 730 doskonale uzbrojonych i wyekwipowanych żołnierzy). W tym czasie obrzeża Puszczy Kampinoskiej zostały obsadzone świeżymi siłami niemieckimi, przeważnie własowcami dysponującymi znaczną siłą ognia, łącznie z artylerią, które otrzymały zadanie oczyszczenia puszczy z „polskich bandytów”. Pierwsza próba oczyszczenia tego terenu nie powiodła się dzięki sprawnemu zorganizowaniu obrony warownego obszaru Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej, z jednoczesnym przejściem do kontrnatarcia na wielokilometrowym odcinku, wprowadzając do akcji wszystkie pozostałe w puszczy siły. Z wyjątkiem taboretów i pododdziałów pozostających na ubezpieczeniach. Dzięki temu Niemcy nie zorientowali się, że przeciwnik znajdował się w tym czasie w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Odparcie przeciwnika pozwoliło uzupełnić stan osobowy pododdziałów o nowych ochotników i przejąć kolejne zrzuty.

W wyniku walki pod Brzozówką po swojej stronie partyzanci mieli niewielkie straty. Zginęli: porucznik Stabrawa – Antoni Chomicz i strzelec Franciszek Mężyński. Czterech zostało rannych: porucznik Wyrwa – Bohdan Jaworski i porucznik Strzała – Witold Lenczewski, kapral Sep – Edward Rejowski i strzelec Ciuta – Waclaw Kosowicz. Po stronie nieprzyjaciela naliczono kilkudziesięciu zabitych i rannych. Zdobyto też dziesięć koni z siodłami, dwa wozy z prowiantem, kuchnię polową i inny przydatny sprzęt.

W tym samym czasie, gdy toczyła się walka pod Brzozówką, pluton wachmistrza Łotysza – Jana Lewickiego z 2 szwadronu ostrzelał

kompanię Wehrmachtu maszerującą z okolicy Zaborowa w kierunku Warszawy, drogą przez Leszno. Po pierwszych strzałach Niemcy zawrócili w kierunku Zaborowa uciekając w popłochu. Właściwie bez walki zdobyto 2 karabiny. Strat niemieckich nie ustalono, własnych nie było...

Nazajutrz po bitwie pod Brzozówką, 23 sierpnia 1944 r. – odbył się pogrzeb poległych. Wśród drzew na wydmuchu, za Wierszami wyrósł niewielki partyzancki cmentarz. Na trumny sklecone z nieheblowanych desek położono połówki poległych. Oficerowie wzięli na swe barki trumnę z ciałem Stabrawy, natomiast żołnierze ponieśli drugą, w której spoczął Franek Mężyński. Krótko przemówił porucznik Dolina, modły żałobne odprawił kapelan ksiądz Pracz – Praczyński. Salwa honorowa i minuta ciszy pożegnały poległych towarzyszy broni.

MAJOR OKOŃ DOWÓDCA „GRUPY KAMPINOS”

Wśród żołnierzy, którzy powrócili 24 sierpnia 1944 r. z Warszawy, pod dowództwem majora Okonia – Alfonsa Kotowskiego najliczniejszą grupę stanowił oddział „Jerzyków” pod dowództwem swego komendanta porucznika Jerzego – Jerzego Strzałkowskiego. Przybyli z nimi wyżsi oficerowie z Batalionów Chłopskich – pułkownik Linowski – Kazimierz Banach szef sztabu BCh, major Witkowski – Tadeusz Ilczuk, komendant warszawskiego okręgu BCh major Poręba – Stanisław Koter, główny inspektor BCh – z zadaniem zorganizowania dostaw żywności dla Warszawy.

Po zameldowaniu się w Wierszach „Jerzyki” zakwaterowały w wsi Truskaw. Żołnierze porucznika Jerzego walczyli wcześniej na Starówce, skąd kanałami przedostali się na Żoliborz.

Major Okoń przywiózł ze sobą rozkaz dowódcy AK mianujący go dowódcą rejonu Puszczy Kampinoskiej:

Dowództwo AK, L 1/g; dnia 23 VIII 44 godz. 18 wg rozdzielnika

1. Wyznaczam z dniem 23 VIII 44 na dowódcę rejonu Puszczy Kampinoskiej mjr. Okonia. Wszyscy komendanci i dowódcy oddziałów przebywający tam stale bądź przejściowo podlegają dowódcy rejonu Puszczy Kampinoskiej (dowódcy Kampinosu) pod względem taktycznym, dyscyplinarnym i administracyjnym.

2. Zadania dowódcy Puszczy Kampinoskiej • zorganizowanie bazy zaopatrzeniowej w zakresie materiałów, uzbrojenia, sprzętu i żywności dla walczącej Warszawy • rozszerzenie bazy odbiorczo–rzutowej • rozbudowa ośrodka radiowego gwarantującego ciągłość pracy • zorganizowanie oddziałów dyspozycyjnych dla zapewnienia obrony bazy • współdziałanie z oddziałem miejskim przy niszczeniu ośrodków niemieckich w północno–wschodniej Warszawie.

Rozkaz ten, w zastępstwie dowódcy AK podpisany przez “Robaka” otrzymali także w Komendzie Głównej jej wyżsi oficerowie “Rzecka”, “Promir” i “Żywiciel” – zaś do wykonania major Okoń.

Żołnierze kampinoscy z niezadowolaniem przyjęli ów rozkaz. Ci, którzy wrócili z Warszawy, właśnie jego obarczali odpowiedzialnością za nieudane ataki na Dworzec Gdański. Nie do przyjęcia był też jego sposób odnoszenia się do szeregowych żołnierzy, których traktował jak ekonom chłopów w czasach pańszczyźnianych. Zarówno porucznik Dolina, jak i inni podlegli mu dowódcy do swych szeregowców odnosili się przyjaźnie, jak do swych kolegów, mając ich wzajemne i pełne zaufanie. W oddziale odczuwało się swobodną, niemal rodzinną atmosferę, co wcale nie odbijało się niekorzystnie na dyscyplinie wojskowej. Przeciwnie, każdy rozkaz przełożonego, właśnie dzięki serdecznej atmosferze, był wykonywany natychmiast i dokładnie, a nade wszystko z pełnym poświęceniem. W oddziale bezwzględnie stosowano żywiolowo ukształtowaną zasadę: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Porucznik Dolina, który wyprowadził oddział z matni pamiętnego 1 grudnia 1944 r., a następnie przeprowadził go w całości; zza Niemna, aż tu pod Warszawę – był po prostu uwielbiany przez wszystkich swych podkomendnych. Takim samym szacunkiem i zaufaniem cieszył się zarówno u miejscowych żołnierzy zgłaszających się gromadnie do oddziału, jak i powstańców warszawskich, których coraz więcej przybywało do puszczy.

Dowódca oddziału, który miał za sobą doświadczenia z kampanii wrześniowej i francusko–niemieckiej z 1940 r., a na dodatek poznał dalekie od drylu stosunki w wojsku angielskim – wiedział doskonale, że wszyscy podlegli mu żołnierze, którzy przecież do walki stanęli „na ochotnika” – czynili to z patriotycznych pobudek i każdy z nich bez względu na stopień czy pełnią funkcję zasługiwał na taki szacunek. W oddziale

tym zresztą stopnie wojskowe nie miały w zasadzie znaczenia. Dowódcą pododdziału – drużyny, sekcji, plutonu, kompanii czy szwadronu, a nawet pułku zostawał nie ten, kto miał wyższy stopień, lecz ten, kto na to zasługiwał, a wcześniej udowodnił, że umie być dobrym dowódcą i zdobył zaufanie ludzi, którymi miał dowodzić.

Atmosfera panującej w tym oddziale zdawał się nie odczuwać i nie rozumieć narzucony przez dowództwo AK nowy dowódca rejonu Puszczy Kampinoskiej, podobnie jak wielu innych zawodowych oficerów sztabowych, którzy trafiali do oddziałów partyzanckich, w których starali się wprowadzić wojskowy dryl krzykiem i nieprzystęnością.

W “Rapsodii Żoliborskiej” Stanisław Podlewski zawarł trafną charakterystykę majora Okonia po jego powrocie do Kampinosu:

“Major Okoń powrócił do puszczy ogromnie rozgoryczony i zdraśnięty w ambicji, gdyż przez generała Grzegorza został zganiony za nieudolne poprowadzenie akcji przebijania się powstańców przez tory kolejowe. Teraz całą złość skierował na podwładnych uważając, że to oni są sprawcami jego niesławy. Obawiał się, że znów może mu się nie udać wykonanie kolejnych rozkazów. Chciał temu zapobiec przez wprowadzenie surowej dyscypliny i trzymanie swoich żołnierzy przysłowio-wo za mordę...”

Wielu oficerów i żołnierzy, a nawet dowódca Pułku “Palmiry – Młociny” słyszało często groźby Okonia, że ich zastrzeli jak psy za jakkolwiek objaw niesubordynacji czy też niewykonanie rozkazu. Bywało, że rozmawiając z oficerami rzeczywiście chwycił za pistolet. Wielu doświadczonych i zasłużonych oficerów, posiadaczy odznaczeń bojowych, przychodząc do kapitana Szymona meldowało mu o swych ocenach postępowania majora Okonia. Domagano się zdecydowanego ukrocenia takiego zachowania. Oburzenie na majora narastało zarówno wśród oficerów, jak i żołnierzy, gdyż do wszystkich odnosił się on jednakowo brutalnie...

Kapitan Szymon wobec docierających do niego objawów niezadowolonia wśród oficerów i szeregowych starał się doprowadzić do rozmowy z majorem Okoniem i prosił go kilkakrotnie, by ten go odwiedził, jako że sam z powodu poważnych ran nie mógł się do niego wybrać. Nie doczekał się jednak wizyty majora. Okoń zaś nadal nie zmieniał swego postępowania. W kilka dni po powrocie z Żoliborza wołał przed frontem pododdziałów:

– Będę was pędził do Warszawy jak barany, będziecie nosili na plecach broń i amunicję jak tragarze, bo nie nadajecie się, do czego innego...

Głuchy pomruk rozległ się w szeregach żołnierzy. Teraz niechęć przerodziła się wręcz w nienawiść, a majorowi poczęto przypisywać wszystkie niepowodzenia i wszelkie winy zwalano na niego. Trzeba było tłumić odruchy oburzenia, by nie dopuścić do otwartego buntu.

Na odprawie oficerów i dowódców pododdziałów nowy dowódca Grupy Kampinos omówił dokładnie poszczególne punkty przywiezionego rozkazu Komendy Głównej AK i określił zadania na najbliższą przyszłość, tj. rozszerzenie bazy zrzutowej i jej ubezpieczenia oraz dostawę żywności, broni i amunicji do Warszawy. Niestety, ani jedno z przedstawionych przez niego na tej odprawie zadań nie zostało należycie wykonane. Rozszerzenie bazy zrzutowej i wzmocnienie jej ubezpieczenia okazało się zbędne, gdyż nie było już więcej zrzutów alianckich na terenie Puszczy Kampinoskiej. Ostatni, trzeci zrzut nastąpił 21 sierpnia 1944 roku. Dalsza dostawa żywności, broni i amunicji do walczącej stolicy również wkrótce okazała się nierealna. Po wycofaniu dywizji piechoty węgierskiej, która miała zablokować partyzantom z puszczy szlaki przerzutowe do Warszawy, jej miejsce zajęły silnie uzbrojone jednostki RONA, które obsadziły okoliczne wioski: Mościska, Wawrzyszew, Łaski, Izabelin, Zaborów i Borzęcin – aż po Leszno.

Wobec pojawienia się w Puszczy Kampinoskiej innych oddziałów, m.in. z rejonu Sochaczewa, przeprowadzono kolejną reorganizację Grupy Kampinos. W skład Pułku „Palmiry – Młociny”, w dalszym ciągu dowodzonego przez porucznika Dolinę, wchodziły 2 bataliony piechoty (nalibocki i kampinoski), 27 pułk ułanów i dywizjon 23 pułku ułanów.

Kontuzjowany w czasie walk pod Brzozówką i Sowią Wolą porucznik Strzała, dzięki operatywności i pomocy swego zastępcy porucznika Gniewa – Zbigniewa Luśniaka, był w stanie dowodzić batalionem w czasie jego organizacji, nie udając się do szpitala.

Obok pułku Doliny do Grupy Kampinos wchodziły:

1. Batalion sochaczewski (30 oficerów i 451 szeregowych) pod dowództwem majora Korwina.

2. Kompania “Jerzyków” (6 oficerów i 119 szeregowych) pod dowództwem porucznika Jerzego Strzałkowskiego.

3. Kompania porucznika Znicza (15 oficerów i 170 szeregowych).

4. Kompania porucznika Porawy (6 oficerów i 115 szeregowych).

5. pluton saperów plutonowego Janowicza (1 podoficer i 11 szeregowych).

Na terenie Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej znalazł się również niewielki oddział Armii Ludowej (2 oficerów i 20 szeregowych) pod dowództwem porucznika Kufla, który nie był podporządkowany dowódcy Grupy Kampinos i nie brał udziału w walkach z Niemcami na tym terenie.

Prawie natychmiast z Grupy Kampinos major Okoń – zgodnie z dyrektywą Komendy Głównej AK – skierował, a właściwie zawrócił do Warszawy „Jerzyków” wraz z ich dowódcą porucznikiem Strzałkowskim. Radiofonogram od pułkownika Wachnowskiego jednoznacznie nakazywał temu oddziałowi powrót do Warszawy wraz z majorem Baczyńskim – Lucjanem Milewskim, przewodniczącym sądu polowego i jego zastępcą Bronisławem – Józefem Czają, którzy samowolnie opuścili walczące Stare Miasto.

DO WARSZAWY DROGA ODCIĘTA

27 sierpnia 1944 roku z Truskawia do Warszawy wyruszył oddział Jerzyków, odprowadzany przez 3 szwadron. Wraz z nimi maszerowali tak zwani „tragarze”, którzy tym razem „tragali” dla powstańców: 6 cechaemów plus 12 tys. sztuk amunicji, 24 steny i 24 tys. sztuk amunicji, 3 piaty z 48 pociskami, 2 granatniki z taką samą liczbą pocisków, 1 500 sztuk amunicji do brena i 12 włoskich peemów z 12 tys. sztuk amunicji, 3 lornetki, 140 granatów, 9 pistoletów z 216 nabojami. 140 opatrunków osobistych i 2 kompletne radiostacje AP-4. Ludzi zaprowiantowano w żywność na dwa dni.

Do Lasek żołnierze doszli bez przeszkód. Tam ułani pożegnali „Jerzyków” i zawrócili do swych kwater w Kiściennem. Tymczasem kapelan szpitala powstańczego „Radwan III” ksiądz profesor, Stefan Wyszynski, późniejszy prymas Polski poinformował dowódcę „Jerzyków” porucznika Jerzego – Jerzego Strzałkowskiego, że Niemcy wiedzą o przemarszu oddziału i urządzili na nich zasadzkę. Wysłane patrole potwierdziły informacje kapelana. W tej sytuacji porucznik Jerzy postanowił wycofać się do puszczy. W nocy jego oddział zajął pozycje na skraju lasu przed wsią Pociecha. Natomiast żołnierzy z transportem

broni i amunicji porucznik Jerzy odesłał do dyspozycji porucznika Doliny.

W tym czasie zwiad dalekiego zasięgu kierowany w VIII Rejonie przez podporucznik Sowę – Zofię Skonieczną (Kozłowską) ustalił, że nieprzyjaciel grupuje większe siły w pobliskich wsiach. Wkrótce po opuszczeniu Lasek przez „Jerzyków” do pobliskiego Izabelina wkroczyli żołnierze RONA zajmując też Hornówek i Klaudynię. Siły niemieckie szacowano na około dwa tysiące ludzi. Oprócz piechoty i kawalerii oddziały posiadały cztery baterie artylerii polowej i haubic. Najwidoczniej dowództwo niemieckie postanowiło oczyścić i opanować leśny trakt na odcinku Truskaw–Pociecha–Koluszki–Palmiry, prowadzący do Poznania – na wypadek, gdyby szosa Warszawa–Modlin została zagrożona przez zbliżającą się Armię Czerwoną. Cały dzień upłynął jednak spokojnie. Niemcy nie chcąc ujawnić swoich pozycji nie atakowali partyzantów, a i porucznik Jerzy też się przyczaił.

Porucznik Dolina zdawał sobie sprawę, że utrata tego odcinka odcięłoby jego pułk od szos Warszawa–Modlin i Warszawa–Leszno–Błonie. Postanowił za wszelką cenę miejscowość Pociecha utrzymać w swoich rękach. Gdyby, bowiem Niemcom udało się ją opanować, łatwo byłoby okrążyć polskie oddziały zajmujące kwatery w okolicy Wiersz. Przekonał więc majora Okonia, by wzmocnić pozycje zajęte przez żołnierzy porucznika Jerzego – wysyłając tam szwadron kawalerii. Okoń nie oponował, toteż nazajutrz, 28 sierpnia po południu w kierunku Pocięchy wyruszył 3 szwadron. Na miejscu dowódca szwadronu wachmistrz podchorąży Sum – Narcyz Kulikowski skontaktował się z dowódcą „Jerzyków”, by uzgodnić rozlokowanie plutonów. Część II plutonu plutonowego Bronka – Brunona Dawidowskiego z sekcją elkaemu kaprała Osy – Stanisława Borysewicza wzmocniła najbliżej od Pocięchy wysuniętą placówkę obsadzoną przez pluton „Jerzyków” pod dowództwem podporucznika Zycha – Zdzisława Pajewskiego. Obaj dowódcy szybko się dogadali, co do zasad współdziałania.

Placówka ta znajdowała się pod Pocięchą, na piaszczystej wydmie zalesionej starodrzewem. Dalej, w prawo, na piachach rzadko wyrastały karłowate sosny i pojedyncze krzaki jałowca. Wydma schodziła w dół w kierunku odległego o 2 kilometry Truskawia bezleśnymi poletkami, na których całymi zagonami rosły kartofle wśród ściernisk po zbożu.

Do pierwszej zagrody Pociechy było 20–30 metrów, zaś z wydmia-
stego wzgórza jak na dłoni rozpościerała się rozległa wieś Truskaw. Od
tego miejsca do ściany puszczy było około 800 metrów. Wejścia do niej
bronił właśnie spieszony szwadron Narcyza.

III pluton plutonowego Wira – Antoniego Burdzielowskiego ubez-
pieczał w bagnistym terenie rozwidlające się trakty leśne wiodące do
Palmir i do Sadowej, wzmocniony sekcją elkaemu kaprała Pogoń – Sta-
nisława Piszczka z I plutonu. Natomiast Narcyz wraz ze swym zastępcą
plutonowym Płazem – Czesławom Juchniewiczem i z I plutonem pluto-
nowego Wiernego – Bolesława. Mostowskiego i częścią drugiego pluto-
nu stanowiącymi odwód zajął stanowisko pośrodku, w pobliżu gajówki,
osłaniając trakt biegnący od Pociechy na południowy wschód do Palmir.

Konie szwadronu pozostały w lesie w odległości około pół kilome-
tra od stanowiska Narcyza, przy rozwidleniu drogi do Truskawia i do
Palmir. Zaś „Jerzyki” obsadziły pięćsetmetrowy skraj lasu w prawo od
placówki ubezpieczanej przez podporucznika Zycha – aż po wzgórze
oznaczone na mapach sztabowych 95,2. Stanowisko porucznika Jerzego
znajdowało się nieco głębiej w lesie między wydmą, a wzgórzem.

Jeszcze przed przybyciem szwadronu kawalerii w celu ubezpiecze-
nia przed atakiem niemieckim dróg wiodących ku Warszawie, rankiem
28 sierpnia porucznik Jerzy wysłał do Truskawia patrol pod dowódz-
twem podchorążego Żarskiego – Zbigniewa Stoka. Grasowali tam już
żołnierze RONA i miejscowa ludność wzywała pomocy. Patrol natrafił
na oddział kawalerii. Bez chwili zastanowienia „Jerzyki” otworzyli ogień
do Kozaków. Przeciwnik był jednak znacznie silniejszy. W pierwszej
chwili wprawdzie własowcy rzucili się do ucieczki, ale wnet ochłonęli
gdy otrzymali wsparcie i przeszli do kontruderzenia. Zabity został pod-
chorąży Kitajec – Janusz Siedlecki, a ciężkich ran doznali podchorążo-
wie Lord – Leon Nowicki i Mich – Grzegorz Jabłoński. Obaj zmarli
w drodze do szpitala polowego w Wierszach.

Patrol partyzancki musiał się wycofać. Zdarzenie to mogłoby za-
kończyć się jeszcze tragiczniej, gdyby wysunięte najbliżej Truskawia
placówki „Jerzyków” dowodzone przez podchorążych Jerzego Brosz-
kiewicza i Jana Żuchowskiego nie przysły patrolowi w sukurs zmusza-
jąc atakujących seriami karabinów maszynowych do przerwania ognia.

Przed wieczorem na placówkę obsadzoną przez „Jerzyków” zastępcy
por. Jerzego, podporucznika Zycha – Zdzisława Pajewskiego i ułanów

plutonowego Bronka – Brunona Dawidowskiego, wyszła spod Truskawia tyraliera około stu żołnierzy nieprzyjaciela. Gdy własowcy zbliżyli się na odległość strzału karabinowego, podporucznik Zych podał komendę ogniową i kapral Osa posłał w kierunku nacierających kilka krótkich serii. Pochylili się nad karabinami także ułani Bolesław Horoszko, Wacław Hołownia, Józef Nowak, Zygmunt Boczkowski, Antoni Mosarino, Michał Szczyt, Henryk Ryszard, Krzysztof Komorowski... Własowcy zalegli otwierając ogień w kierunku wydmy wysuniętej ku Pociosze. Cała tyraliera przeciwnika była jednak w polu ostrzału erkaemu (lekkiego karabinu maszynowego, chłodzonego wodą typu „maksym”) kaprala Osy. Nieprzyjaciel zrezygnował z natarcia i zabierając kilku zabitych i rannych ku radości Polaków wycofał się poza zasięg ich broni maszynowej.

To był początek sześciodniowej, pozycyjnej walki o Truskaw, najdłuższej walki partyzanckiej w czasie okupacji. W tym samym dniu przeciwnik próbował wdrzeć się w głąb puszczy również z innych stron. Z kolei dwa plutony zwiadu konnego dowodzonego przez wachmistrza Bazara, co najmniej dwukrotnie w ciągu dnia dokonywały wypadów w promieniu kilkunastu kilometrów.

Pierwszy pluton pod dowództwem wachmistrza Wacława – Stanisława Barana kłusował w kierunku Brzozówki, kiedy dopadł go na rowerze zziąjany chłopiec wołając, że w Małolicach niemieccy żołnierze zabierają ludziom bydło. Dowódca plutonu posłał gońca do porucznika Strzały z meldunkiem, że jego zwiadowcy atakują nieprzyjaciela od strony Janówka – i rozdzielił zadania. Cztery sekcje pod dowództwem podporucznika Adama miały zaatakować wschodni skraj Małolic. Wacław z pozostałymi dwiema sekcjami i elkaemem zachodził, z zamiarem odcięcia Niemców od strony fortu, który znajdował się o kilometr na północ od Małolic.

Zaatakowani przez ułanów podporucznika Adama żołnierze niemieccy uciekli w popłochu w kierunku tego fortu wystrzeliwując w niebo czerwone rakiety, rozpaczliwie wzywając pomocy. Tam natrafili na ogień ułanów wachmistrza Wacława. Z fortu odpowiedziano im zielonymi rakietami, co oznaczało udzielenie pomocy.

Goniec w porę dotarł do porucznika Doliny, który natychmiast połączył się z dowódcą 27 pułku ułanów, by ten rzucił do akcji drugi szwadron Józefa Niedźwieckiego. W ciągu kilku minut na placu alarmowym w Wierszach stanął także i natychmiast wyruszył pluton lotniczy poruczni-

ka Lawy; II pluton ze szwadronu zwiadowczego pod dowództwem wachmistrza podchorążego Groma – Józefa Bylewskiego; nadto pluton ze szwadronu cekaemów i moździerzy pod dowództwem porucznika Jara – Jarosława Gąsiewskiego, Ta odsiecz nadeszła w samą porę, gdyż Niemcy przez Dębinę na pomoc zaatakowanym wysłali dwa samochody pancerne i batalion piechoty. Od strony Modlina nadleciały też cztery samoloty.

Jako pierwszy wszedł do akcji spieszony 2 szwadron – gdy wieś stała już w płomieniach. Pod jego osłoną zwiadowcy Waclawa wycofali się na pozycje wyjściowe. Tymczasem piechota i spieszni ułani rozwinęli tyralierę w pobliżu Sowiej Woli przechodząc w szyku bojowym przez tę wieś i zalegając w otwartym terenie. Biły w nich teraz nie tylko karabiny maszynowe nieprzyjaciela, ale i artyleria. Ruszyły też czołgi niemieckie, ale zostały zatrzymane pociskami z piatów i moździerzy.

Niemiecka piechota usiłowała odciąć drogę do Sowiej Woli idącym w sukurs wachmistrzowi Waclawowi zmierzając pod osłoną krzaków z prawa, ku drodze do Brzozówki. Została jednak przygwożdżona do ziemi seriami karabinów maszynowych plutonu porucznika Lawy. W swoim dzienniku porucznik Lawa – Tadeusz Jan Gaworski odnotował:

– Przyjmujemy postawę wyjściową na skraju lasu i o godz. 16.20 ruszamy do natarcia. Razi nas silny ogień broni maszynowej. Trafiony w czoło ginie Wańka – bezprzykładny w swej odwadze lejtnant sowiecki Stiepan Nahodin, który zbiegłszy z niemieckiej niewoli dołączył do oddziału, kiedy szedł on z Warszawy do Puszczy Kampinoskiej... Ale natarcie rozwija się bardzo pomyślnie, nasze moździerze biją bardzo celnie. Odzywają się również moździerze nieprzyjacielskie. Ukazują się cztery samoloty, które z lotu koszącego ostrzeliwują nas z działek pokładowych. Z lewego skrzydła, skąd zwiad konny wycofał się bez rozkazu, ostrzeliwują nas dwa samochody pancerne. Od bomb samolotowych zapala się wieś. Meldują mi, że nieprzyjaciel naciera na nasze prawe skrzydło. Sytuacja staje się poważna. Daję rozkaz do wycofania, co jednak ze względu na akcję samolotów jest niezwykle trudne. Przechodzę na prawe skrzydło bezpośrednio zagrożone przez nieprzyjaciela. Zostajemy otoczeni i wezwani do poddania się. Mój goniec Ryś rzuca broń i podnosi ręce do góry. Pozostaje nas trzech. Oddajemy długie serie z peemów i jednym, pięćdziesięciometrowym skokiem pod bardzo ostrym ogniem udaje się nam wycofać do płonącej chałupy. Mamy szczęście, jedynie strzelec Toni jest ranny w rękę. Jesteśmy uratowani, mijamy wieś i dołą-

czamy do oddziału. Cofamy się wraz z rannymi, aż do linii własnych placówek, które przejmują walkę. Nieprzyjaciel nie naciera dalej. Wracamy do Wiersz. Straty własne; 1 zabity, 1 w niewoli, 1 zaginiony, 8 rannych... Strat Niemców nie udało się ustalić, lecz mieszkańcy Małocic mówili o wielu poległych i rannych Niemcach. Wziętego do niewoli Rysia zastrzelono...

W nocy porucznik Lawa wyruszył na pole walki, by ściągnąć ciało zastrzelonego Wańki, sowieckiego lejtnanta Stiepana Nahadina, który po ucieczce z niemieckiej niewoli dołączył do oddziału porucznika Doliny. Odnaleziono również zaginionego kaprala Józefa Żuka, który nie zdołał wycofać się w porę. Zaległ płasko w trawie i dzięki temu niemal cudem ocalał.

W tym samym czasie, gdy toczyła się walka pod Małocicami, 1 szwadron ułanów pod dowództwem starszego wachmistrza Wołodyjowskiego – Jana Jakubowskiego z częścią szwadronu cekaemów wyruszył na akcję dywersyjną do majątku Kiełpin będącego pod zarządem niemieckim. Na widok polskiej kawalerii żołnierze Wehrmachtu strzegący majątku rozpiezchli się na wszystkie strony.

Zdobyto 43 krowy, 6 świń, 16 korni z uprzężą, 8 wozów, dwie tony żyta i kilka kwintali grochu.

POD POCIECHĄ GRZMIĄ DZIAŁA

Autor dzienniczka „Na koniu i pod koniem” w pierwszej fazie bitwy pod Pociechą utrzymywał łączność między dowódcą 3 szwadronu wachm. pchor. Sumem – Narcyzem Kulikowskim który znajdował się wraz z pierwszym spieszonym plutonem w odwodzie, a dowódcą placówki obsadzonej przez „Jerzyków” ppor. Zychem – Zdzisławem Pajewskim, wzmocnionej spieszoną sekcją elkaemu kpr. Osy – Stanisława Borysewicza z II plutonu. Placówka ta była wysunięta w kierunku wsi Pociecha, odległej o kilkadziesiąt metrów. Zapamiętał, że w odczuciu ułanów ów dzień, 28 sierpnia 1944 r. upłył spokojnie, nie zanosilo się bowiem na żadną akcję. Po obiedzie i napojeniu koni, chłopcy ucieli sobie popołudniową drzemkę. Nie dane – wspomina – im jednak było zaznanie spokoju:

– Było późne popołudnie, gdy od strony Wiersz na gościńcu wyrósł nagle mały obłok kurzu i niebawem wyłonił się z niego jeździec na

spienionym koniu. Z daleka poznałem konia Niedźwiedzia. Wkrótce można już rozróżnić i jego twarz, ledwie widoczną znad końskiej grzywy. Dowódca szwadronu leżał w namiocie, czytał książkę.

– Panie wachmistrzu! Niedźwiedź jedzie! – zawołałem.

Narcyz musiał go już oczekiwać. Zerwał się na nogi.

– Zawiadom Juchniewicza, Bronka i Wira. Niech plutony siodlają konie! – powiedział.

Zanim Miś przekazał wachmistrzowi rozkaz Doliny, postawiłem szwadron na nogi.

– Jedziemy na akcję – objaśnił Narcyz.

Wydawało się to nieco dziwne, gdyż puszcza była dziś spokojna jak nigdy i nawet od strony naszych ubezpieczeń nie dochodził ani jeden strzał.

Plutony wyprowadziły konie na ulicę. Chłopcy mają świetne humory. Nawet ci z trzeciego plutonu, dla których dzisiejsza akcja ma być chrztem bojowym, nie okazują podniecenia przed walką.

– Szwadron na koń! Kierunek Wiersze plutonami klusem marsz!

Zwarty szereg poruszył się, drgnął i rozciągając się w długą trójzwykową kolumnę ruszył drobnym klusem.

W Wierszach krótki postój. Narcyz rozmawiał chwilę z porucznikiem Doliną i szwadron ruszył dalej drogą wiodącą na Sierakowice. Nie dojeżdżając do Pociechy, zsiadamy z koni. Spieszony szwadron zajmuje stanowiska kilometr dalej na skraju lasu. Prawe skrzydło jest obsadzone przez powstańców w panterkach. To „Jerzyki”, chłopcy z oddziału porucznika Jerzego – Jerzego Strzałkowskiego.

– Ależ nas nabrali – śmieje się Kłos. – Zamiast walki mamy wzmocnić placówkę, do której pies z kulawą nogą nie zajrzy.

Z rozkazu Narcyza pozostałem wraz ze swym Apollem na cypelku wysuniętym na prawo od wsi Pociecha. Jest to znośnie zalesione wysokopiennym lasem wzgórze, z doskonałą widocznością i polem obstrzału na drogę Pociecha–Truskaw. Dowódcą tej pozycji jest porucznik Zych (Pajewski), z oddziału porucznika Jerzego. Jest tu dziesięciu „Jerzyków” i spieszona sekcja elkaemu kaprała Osy — Borysewicza. Miałem utrzymywać łączność między podporucznikiem Zychem a dowódcą naszego szwadronu. Apolla uwiązałem do drzewa nieco w tyle, w zagłębieniu wzgórze, naprzeciw gniazda elkaemu Osy. Podporucznik Zych objaśniał, że w Truskawiu ukazała się grupa własowców, która ich ostrzelała.

Na przedpolu nic się nie działo. W odległości czterdziestu metrów rozciągały się pierwsze zabudowania Pocięchy. Ludność opuściła z całym dobytkiem wioskę, zaszywając się w lasy. Dalej w prawo, w odległości niespełna kilometra osiadła długa wioska Truskaw. Dzieliła nas od niej otwarta równinna przestrzeń. „Jerzyki” to młodzi chłopcy. Kilku z nich jest w moim wieku. Leżą na kocach i dowcipkują. A ułani z sekcji Osy mają nadąsane miny. Byli przekonani, że jadą na akcję, a tu masz!

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wyciągnąłem spod siodła koc, zwinąłem się w kłębek, usiłując zasnąć. I wtedy jeden z „Jerzyków” powiedział:

– Idą!

Złożyłem koc i włożyłem czym prędzej z powrotem pod siodło. Koń musiał być gotowy do jazdy w każdej chwili. Z Truskawia wysypała się tyraliera. Około dwustu ludzi. Wybieramy najdogodniejsze miejsca. Tyraliera idzie wprost na nas. To nie są Niemcy. Przed nami batalion RONA. Porucznik Zych podał komendę:

– Ognia!

Osa pochylił się nad swoją maszynką. Kilka krótkich serii i koniec walki. Nieprzyjaciel, zostawiając na przedpolu kilku zabitych, wycofał się do Truskawia. Dopiero stamtąd odzywa się ich broń maszynowa.

Nastała noc, umilkły strzały. Zasypiam na wilgotnej od rosy ziemi. Leżymy pokotem jeden obok drugiego i tylko przy elkaemie czuwa alarmowy. Śpi również otulona kirem nocy, wyludniona Pocięcha.

Nad ranem trąbią nam pobudkę kaemy. Kule bzykają wśród drzew jak bąki. Wytykamy głowy. Przed Truskawiem w ciągu nocy wyrosły świeżo wykopane rowy.

– No, no! Gospoda Własowcy mają zamiar prowadzić z nami frontową walkę! – woła ktoś od „Jerzyków”.

– Baronie! – dowcipkuje chłopak w panterce. – A może byśmy też wykopali takie rowy?

– Zwariowałeś? Tego drzewa, za którym schowałeś swój nos, i poisk artyleryjski nie przebiję.

Kapral Osa–Stanisław Borysewicz, dowódca sekcji elkaemu posłał w stronę tych rowów jedną serię. Dał znać, że już nie śpi. Apollo, którego nie rozsiodlałem, by – jeśli zajdzie taka potrzeba w jednej chwili pocwałować z meldunkiem do dowódcy szwadronu, niecierpliwie wierzga nogami. Jest głodny.

— Panie ułan! – żartował jakiś dowcipniś od „Jerzyków”. – Mógłby pan przynieść dla konia nieco siana. Stodoła niedaleko!

— Pilnuj pan swego nosa, panie Zajączku! – odpaliłem.

Jednak „Jerzyk” miał rację. Trzeba było pomyśleć o obroku dla konia. Do stodoły istotnie niedaleko: 20–30 metrów. Dalej kryły już od strzałów zabudowania Pocięchy. Wyjąłem spod siodła derkę i zbiegłem po zboczach wzgórz w dół. Trzeba było udowodnić tym kpiarzom, że ułani nie należą do tchórzy. Podporucznik Zych – Zdzisław Pajewski dowódca placówki wołał za mną, udawałem jednak, że go nie słyszę. Okazało się zresztą, że nie tak łatwo trafić z odległości niemal pół kilometra, taka odległość dzieliła nasze pozycje od okopanych własowców w Truskawiu, do samotnego żołnierza, nawet z karabinów maszynowych. Najlepszy dowód, że nic mi się nie stało. Oglądałem później derkę, w której niosłem siano. Nie było ani jednej dziurki, więc nie miałem nawet czym się chwalić. Apollo zarżał radośnie gdy go rozkiełznałem, popuściłem przy siodle popręgi i podałem obrok. Było więc warto.

Ten, którego nazywali „Baronem”, zachował się dwornie, podszedł do naszego stanowiska, przedstawił się.

— Bardzo cię przepraszam kolego za tego dowcipnisia, ale on nie chciał cię urazić. Muszę przyznać, żeś nam zaimponował. Nie obraziłeś się chyba?

Ani mi w głowie było dąsać się na kolegów z piechoty, tym bardziej, że im „zaimponowałem”. Apollo nie mógł być przecież głodny. Zajadał teraz z apetytem siano, a ja leżałem już obok chłopców Osy.

Strzelanina narastała z każdą chwilą. Można odróżnić ciężkie du-du-du cekaemów, których pięć biło na nasze wgorze. I cieńsze ta-ta-ta dwunastu erkaemów. Własowcy musieli mieć amunicji w bród, skoro tak nią szafowali. Przecież nic nam nie mogli zrobić. A może chcieli nas sprowokować do kontrognia? Ale śmierć frajerom. Amunicję ładujemy tylko w pewny cel.

Przed południem karabiny maszynowe nieprzyjaciela nagle umilkły.

Podporucznik Zych wstał, otrzepał mundur z igliwia, lornetuje przedpole.

— Teraz zapewne ruszą do natarcia — powiedział.

Tymczasem, w tej nieoczekiwanej pustce ciszy rozległ się cieniutki, świdrujący uszy gwizd. Apollo szarpie pyskiem wodze, przysiadła na tylnych nogach. Nagle cały las zadrgał odgłosem ostrego wybuchu.

– Artyleria! – zawołał ktoś od „Jerzyków”.

– Tak. Wałą chyba z dział 75 — potwierdził podporucznik.

Znowu ten sam świst i huk. Apollo był wyraźnie wytrącony z równowagi, nie mógł ustać w miejscu. Podeszedłem do niego i poklepałem po karku.

– Spokojnie koniku. Spokojnie.

Sam jednak nie czułem się zbyt spokojnie. Do kul karabinowych przywykłem już dawno. Pod obstrzałem artyleryjskim tak samo jak i mój koń jestem po raz pierwszy. Sprowadziłem go niżej, w miejsce, gdzie przed chwilą wybuchł pocisk, ustawiłem go w leju i przywiązałem do drzewa. Podobno w to samo miejsce pocisk nie trafiał dwa razy. Teoretycznie jestem uświadomiony. Tymczasem kanonada artyleryjska rozpętała się na dobre. Następne pociski rozrywały się już bez gwizdu, tuż przed wzgórzem. Baterie odpalały po cztery pociski niemal jednocześnie. Widać wyraźnie, jak kanonierzy przeciwnika poprawiają swój cel, chcą zniszczyć gniazda naszych karabinów maszynowych. Ława wybuchów zbliżała się systematycznie do naszej pozycji, wreszcie wzgórze stało się piekłem. Pociski rycząc i wyjąc rwały ziemię, wrzynając się w pnie drzew. Gałęzie podcięte, jakby nożycami ogrodnika, z trzaskiem spadały nam na głowy. Podporucznik Zych coś mówił. Widziałem, że poruszał ustami, ale nie słyszałem ani jednego słowa. Wybuchy pocisków zlewały się w jeden wielki upiorny łoskot. W końcu pochwyciłem jego słowa:

– Zupełnie jak pod Verdun. Nieprawda?

Szukam w pamięci co oznaczało słowo „Verdun”. To chyba coś z pierwszej wojny. Podporucznik krzyczał wprost do ucha:

– Wkrótce należy oczekiwać natarcia.

Wzgórze pod obstrzałem artyleryjskim było już ponad godzinę. Wydawało się, że na tym małym cypelku nie powinien pozostać kamień na kamieniu, a ściślej – drzewo przy drzewie. Tymczasem nie mieliśmy dotąd nawet jednego rannego. Leżymy jak strusie, z głowami wciśniętymi w ziemię, co trzy kroki od siebie. Jesteśmy przygluszeni wstrząsającymi detonacjami wybuchów, oślepieni gęstą, żrącą zasłoną dymu, to znów olśniewającym blaskiem eksplodujących pocisków. Niektórzy z nas są przysypani warstwą piachu, korzeni, liści. Podporucznik Zych podniósł się ze swego legowiska, przyklęknął, przykładając lornetkę do oczu. Imponuje mi ten młody oficer. Jest spokojny i opanowany. Rozkazał, abym powiedział kapralowi Osie, że ma przesunąć stanowisko z elka-

emem kilkanaście metrów w lewo i wskazał na Truskaw. Patrzę w kierunku wyciągniętej ręki. Z rowów wyskoczyli Własowcy. Oddycham z ulgą. Za chwilę będą musieli przecież przerwać ten przeklęty, artyleryjski ogień. Zanim wykonałem rozkaz, coś chlusnęło mi w twarz, powaliło na ziemię. W ustach miałem pełno piasku, nie mogłem wypluć przekleństwa, w uszach drżał huk pocisku. Obejrzałem się, by sprawdzić, co się stało z porucznikiem. Podmuch wybuchu odrzucił Zycha o kilka metrów. Oficer pojękiwał. Ogień artyleryjski przesuwiał się w głąb lasu. Słysząc już było wyraźnie „U–rrr–a!” nacierających. Spróbowałem poruszyć nogami. Czuję końce placów, a więc nie byłem nawet ranny. Zerknąłem na Osę. Mrugnął porozumiewawczo. Nic mu się nie stało. Powinien za chwilę otworzyć ogień LKM–u. Podbiegłem do podporucznika. Dowódcy placówki krew uciekła z twarzy, mundur powalany mazią piachu i krwi. Otrzymał odłamkiem pocisku w ramię. Musiała go diabelnie boleć ta rana, bo pojękiwał nadal, chociaż zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć. Obok niego leżał jeden z „Jerzyków”. Wtulił głowę w ramiona, nawet nie drgnął.

– Kolego, masz opatrunek? – spytałem, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Szarpnąłem go za ramię i dopiero wówczas zauważyłem na skroni cieniutką strużkę krwi. To był podchorąży Baron. Nie żył. U–rrr–a! – narastało. Czemu Osa jeszcze nie strzela?

Wśród Jerzyków ktoś wrzasnął:

– Dowódca zabity!

Chłopców Zycha ogarnęła panika. Zerwali się ze swoich stanowisk zbiegając w tył wydmy.

– Porucznik Zych żyje! – wołałem. – Zawróćcie!

Nie zwracali uwagi na to wołanie. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie tu z nich żadnej korzyści, skoro się załamali, ale jeśli nie zawrócą, ranny skona z upływu krwi. Chłopcy Osy nie będą mieli czasu zająć się rannym! Za chwilę będą musieli otworzyć ogień do nacierających! Muszę zawrócić „Jerzyków” za wszelką cenę. Nie miałem innego wyjścia, skierowałem lufę karabinu w ich stronę. Nabój w lufie, a palec na spuście.

– Stać! Stać do stu piorunów! — wydzieram się na cały las.

Gdzie tam! Echo niesie mój głos, o oni wyrwywają przed siebie.

Mam strzelać do swoich? Żał mi chłopaków, których to piekło istotnie mogło załamać, ale innego wyjścia nie mam. Później, po walce, mogą mnie za to rozwalić. Teraz inaczej nie mogę. Wrzasnąłem jeszcze raz:

– Stać do kurzej nędzy, bo strzelam!

Komiczna sytuacja. Na wzgórzu naciera nieprzyjaciel, a ja zamiast tam, mierzę do swoich. Kilku z nich obejrzało się. Zrozumieli, że nie żartuję. Palec zaciskałem na drugim luzie spustu.

– No, wróćcie! – błagałem w duchu.

Ufff! Zawrócili. Dźwignęli rannego podporucznika i zniknęli z nim w gęstwinie drzew.

Własowcy wyją. Są już w odległości 300 metrów¹⁵.

– Osa! Nawaliło coś? — doskoczyłem do sekcyjnego.

Kapral ma twarz sfinksa: – Komu, mnie miałyby coś nawalić?

Odetchnąłem z ulgą. Osa chce sprawić nieproszonym gościom przykrą niespodziankę. Podziwiam jego spokój. Udawał, że nawet nie zauważył rejterady „Jerzyków”, że mu odsłonili lewe i prawe skrzydło. Czy nazbyt nie ufał we wszechmoc swojej maszynki? Jego chłopcom również nie udzieliła się panika tamtych. Napastnicy przenieśli ogień artyleryjski w głąb lasu na pozycje I plutonu, Ruszyli do ostatniego ataku. Urrra!

– Dam ja wam urra! – powiedział Osa i nagle wygarnął długą serię.

– Powstrzymamy ich – powiedział głośno, – A ty pędź Narcyza po posiłki. Do tego czasu wytrzymamy.

W okamgnieniu dosiadłem Apolla

– Trzymajcie się chłopcy! – Zawołałem – Lecę po odwody!

Przez całą drogę dźgałem boki pocziwego rumaka ostrogami, chociaż i tak cwałował jak strzała. Zdawałem sobie sprawę, że tamci na wzgórzu liczą na mnie. Jeśli odsiecz nie nadejdzie, będzie po nich, Artylerzyści zauważyli tuman kurzu, jaki wzbil się na drodze. Pociski

¹⁵ Autorowi „Na koniu i pod koniem” (i „Doliniaków”) nie było dane po wojnie spotkać się z ppor. Zychem – Zdzisławem Pajewskim – zastępcą dowódcy kompani kpt. Jerzego Strzałkowskiego w Kampinosie. Otrzymał natomiast od niego list z 26.8.1973, w którym ppor. Zdzisław Pajewski ps. „Zych” nawiązując do walk „Jerzyków” i 3 szwadronu pod Pocięchą. Napisał m.in.: „... Wielokrotnie wspominałem Pana, czemu zresztą dałem wyraz w relacji do książki pułk Szymona – „Konspiracja i Powstanie w Puszczy Kampinoskiej” – jako tego, który faktycznie uratował mi życie w momencie zalamania psychicznego moich chłopców. Nie potrafiłem sobie skojarzyć Pana osoby, o którym kilkakrotnie wspominał mi „Rif” z tym młodym ulanem, który był ze mną i moimi chłopcami w walkach pod Pocięchą i któremu zawdzięczam wg mego odczucia opanowanie krytycznej dla mnie i nie tylko dla mnie sytuacji podczas walk pod Pocięchą...”

rozrywały się to przede mną, to za mną i po bokach. Zatrzymałem Apolla dopiero przed stanowiskiem dowódcy szwadronu. Zameldowałem o sytuacji.

Wkrótce byliśmy z powrotem. Własowcy byli chyba pijani. Nie zrezygnowali z natarcia, dochodzili już do zbrocza wydmy.

– No jak tam chłopcy? Trzymacie się? – spytał Narcyz.

Osa uśmiechnął się:

Zdążyliście w porę.

Pozycję pod Pocięchą wzmocniła sekcja Bryczkowskiego i sekcja elkaemu Piszczka z I plutonu. Atakującym sprawiliśmy łaźnię, zmuszając ich do beładnej ucieczki.

– A teraz chłopcy trzeba się okopać! – rozkazał Narcyz.

Ledwie zabraliśmy się do roboty, dwa działa i dwa moździerze rozpoczęły od nowa swój koncert. I znowu na naszą pozycję. Własowcy ruszyli do ataku na prawo. Zaatakowali oddział Jerzyków. Ale i stamtąd musieli się wycofać jak niepyszni. Porucznik Jerzy dał im należytą odprawę.

W trzecim dniu walki pozycyjnej własowcy nie wznawiali ataku. Natomiast od samego świtu rozpoczęła się nawała artyleryjska. I znowu, tak jak wczoraj, drżał las wybuchami pocisków. W południe dowódca 3 szwadronu dokonał przeglądu stanowisk plutonów. Oczywiście zabrał mnie ze sobą. Przechodząc przez pozycje Jerzyków, wpadliśmy w samo centrum ognia artyleryjskiego.

Mijamy głęboki lej, w którym leżały trzy ciała Jerzyków. Żołnierz z tego oddziału wyjaśniał, że pocisk trafił w gniazdo karabinu maszynowego. Nie ma czasu na odciąganie zwłok do tyłu, gdyż własowcy ponawiają nieustanne ataki. Są to ciała podchorążych Kostka, Kitajczyka i Janosika. Nieco dalej ciało trzynastoletniego chłopca, amunicyjnego Wilczka. Partyzanci mają zmasakrowane twarze. Na zakrzepłych ranach osiadły roje much.

„Westerplatte” – tak nazwaliśmy tę placówkę – objął dzisiaj trzeci pluton Wira – Antoniego Burdzielowskiego. Chłopcy nadrabiają minami. To żółtodzioby. Tu pod Pocięchą jest ich dziewiczy bój. Nie dają spokoju dowódcy szwadronu: – Kiedy ruszymy do ataku?

Gdy wracaliśmy do odwodów, na niebie ukazała się eskadra Messerschmittów. Ostrzelała naszą pozycję pod Pocięchą z szybkostrzelnych działek i zniknęła za lasem. (...)

Po tej walce plutonowy Broniek – Brunon Dawidowski, który pochodził z Kaszub, z Linii pod Lęborkiem, nazwał tę pozycję pod Pociechą „Westerplatte”. Nazwa przyjęła się również wśród „Jerzyków”.

„Jerzyki” podporucznika Zycha przeszły na prawe skrzydło wzmocniając tamtą pozycję, na której było równie gorąco, jak na „Westerplatte”. Własowcy ponawiali tam ataki szukając łatwiejszego dostępu do puszczy, ale porucznik Jerzy obsadził ten odcinek rezerwowym oddziałem kapitana Wichra – Edwarda Kotłubieja. W efekcie parokrotnie ponawiane ataki własowców również udało się odeprzeć.

Po południu nadleciały samoloty niemieckie ostrzeliwując mylnie – jak się okazało – domniemane pozycje partyzantów. Oni zaś, zanosząc się od śmiechu, bili brawa niemieckim lotnikom. Ostrzelali oni bowiem, i to skutecznie nacierających po raz kolejny własowców. To był ostatni tego dnia ich atak. Nie wróciły także samoloty. Odezwały się natomiast nieprzyjacielskie działa ostrzeliwując partyzanckie pozycje aż do wieczora.

W tym samym dniu, kilkanaście kilometrów w prawo od Pociechy, w rejonie Ław, prowadzony przez kaprała Pawła Woropaja I pluton szwadronu ckm napotkał oddział nieprzyjacielski. Po otwarciu ognia z cekaemów przeciwnik pierzchnął w rozsypce uciekając w kierunku Zaborowa. Strat własnych nie było, strat nieprzyjaciela nie ustalono.

W dniach 30 i 31 sierpnia pod Pociechą od rana grzmiały działa, a pociski rozrywały się w lesie. Partyzanci zdążyli już się okopać i jakby przyzwyczaić do artyleryjskiej kanonady. Przed południem poszły do natarcia tyraliery RONA równocześnie na „Jerzyków” i na wydmy „Westerplatte” zajęte przez ułanów. Wszystkie natarcia w ciągu tych dwóch dni zostały odparte, a zmieniło się tylko tyle, że w nocy z 30 na 31 sierpnia stanowisko to obsadził III pluton 3 szwadronu pod dowództwem plutonowego z cenzusem Wira – Antoniego Burdziełowskiego, zwany „plutonem Orłąt”, jako że składał się w większości z bardzo młodych chłopców. Dowódcą trzeciej sekcji, obok dwóch nieco starszych kolegów; kaprała Czarnego – Kajetana Komorowskiego i szwoleżera plutonowego Rybki – Romana Rutkowskiego – był 17-letni zawadiaka Sęp – Zygfryd Bernard, który dopiero właśnie tam, pod Pociechą, zdobył szlify starszego ułana. Zaznaczyć wypada, że na awans, podobnie jak i na wyróżnienie czy pochwałę w oddziale Doliny wcale nie było łatwo zasłużyć. O odznaczeniach bojowych, takich jak Virtuti Militari, czy Krzyż Walecznych, można było tylko pomarzyć.

Ramię w ramię z Sępem walczyli równie młodzi: Artur Falkowski, Jerzy Pepliński, Jan Majewski, Edmund Łukasiewicz, Janusz Kózka, Mieczysław Lipiński, Henryk Kozłowski, Czesław Szewczyk, Mieczysław Truszczyński, Appel (nn)... Wszyscy oni dołączyli na ochotnika do oddziału niedawno, właśnie w Puszczy Kampinoskiej i dopiero na „Westerplatte” przechodzili bojowy chrzest. Dzielnością nie ustępowali „starym” stażem, choć niewiele od nich starszym wiekiem „wiarusom” z Puszczy Nalibockiej.

II pluton plutonowego Bronka – Brunona Dawidowskiego zajął pozycję w błotnistym terenie na lewym skrzydle szwadronu przy rozwidleniu drogi do Palmir i Sadowej, gdzie Niemcy skierowali ogień trzech dział i kilku moździerzy. I pluton pozostawał w rezerwie pod gajówką i był oszczędzany przez nieprzyjacielskie baterie, które prawie bez przerw w ciągu dwóch dni ostrzeliwały pozycje partyzanckie pod Pocięchą – namierzając ich pozycje z Truskawia i Sierakowa. Również stamtąd 31 sierpnia 1944 roku poszedł niemiecki ogień artyleryjski w kierunku Wiersz w głąbi puszczy.

W południe „Jerzyków” zlurowali partyzanci z sochaczewskiego batalionu majora Korwina. Obserwatorzy artyleryjscy zauważyli ruch na wydmie, przeniesiono więc tam ogień wszystkich baterii z Truskawia. Odezwały się też ze zdwojoną energią karabiny maszynowe. Nowi obrońcy, zwolnionego przez „Jerzyków” odcinka, nie wytrzymali ognia artylerii i piechoty – i opuścili pierwszą linię zostawiając na niej wielu zabitych i rannych.

Na rozkaz komendanta Jerzego, zlurowani powrócili na poprzednie pozycje. Nie było im dane zaznać tak potrzebnego odpoczynku. Po półgodzinie powrócili też sochaczewiaczy i odpierając wspólnie kolejny atak własowców – nadrobili z nawiązką swe poprzednie chwile słabości. Udało się też w porę zapobiec poważnemu zagrożeniu innych pozycji partyzanckich pod Pocięchą. W opanowaniu sytuacji wyróżnili się podchorążowie: Artur – Andrzej Przybyłowicz, Ryś – Ryszard Iwańczyk, Czarny – Jan Żuchowski, Żarski – Zbigniew Stekowiec, Kędzior – Zbigniew Gliński, Wir – Witold Chytrowski, Genek – Eugeniusz Rybotko i Neron – Kazimierz Stefański.

Przed wieczorem nadjechał 2 szwadron wachmistrza Lawiny – Józefa Niedźwieckiego – luzując trzeci szwadron. Szczęśliwym trafem obserwatorzy niemieccy nie wykryli miejsca postoju koni ukrytych

w zagajniku o pół kilometra od pozycji pierwszego plutonu. Ułani dosiedli koni, a gdy byli w bezpiecznej od pocisków artyleryjskich odległości, zaśpiewali z ulgą swą ulubioną piosenkę:

Niebieskie czako łśni, śmieją się oczy dziewcz.

Nadejdą dobre dni, w tętnicach zagra krew.

Szwadron na koń! Ułańska trąbka gra,

tra ta ta! Daj usta, ściśnij dłoń,

Na koń! Na koń!,

Na koń! Na koń!...

Na pozycjach partyzanckich pod Pocięgą przez całą noc był spokój. Stanowiska na „Westerplatte” trafiły w godne ręce. Obsadził je I pluton wachmistrza Łotysza – Jana Lewickiego, doświadczonego dowódcy, który jako szeregowy rozpoczął swój partyzancki szlak, zwycięską walką o Wieniec. Za zasługi w boju został mianowany najpierw dowódcą sekcji, by jeszcze w Puszczy Nalibockiej dostać pod swą komendę I pluton w 2 szwadronie. Pozycje wśród błot obstawiał III pluton plutonowego Świerka – Stanisława Wołosewicza, zaś II pluton plutonowego Konstantego Downara – zastępcy dowódcy szwadronu – pozostał pod gajówką w rezerwie.

1 WRZEŚNIA – KIŚCINNE

W piątą rocznicę wybuchu II wojny światowej na placu alarmowym w Krogulcu kapelan Zgrupowania Nalibockiego ksiądz Hilary Pracz–Praczyński odprawił uroczystą mszę. Po nabożeństwie adiutant pułku porucznik Wyrwa odczytał rozkaz porucznika Doliny:

Pułk „Palmiry – Młociny, mp. dn. 1.09.1944. rozkaz nr 5

Żołnierze! Dziś mija 5 lat od chwili, gdy germański najeźdźca począł niszczyć nasz kraj i mordować bestialsko nasze rodziny. Rabunek, wysiedlenia, męczenie po więzieniach i obozach – oto codzienne zestawienie akcji barbarzyńców niemieckich w naszym kraju. Do niedawna Polska Armia Podziemna walczyła bez ustanku z wrogami Narodu Polskiego w warunkach konspiracji. Dziś już mija cały miesiąc od chwili, gdy przystąpiliśmy do walki otwartej. Wściekłość wroga z tego powodu nie ma granic. Wyraża ją niszcząc doszczętnie naszą stolicę i mordując bezbronną ludność. Lecz dzień odwetu zbliża się – Niemcy są

bici na wszystkich frontach i stan ich posiadania zmniejsza się błyskawicznie. Dławiona bestia germańska jeszcze się pieni, ale są to jej ostatnie już chwile.

Żołnierze! Niech każdy w tym dniu uprzytomni sobie doznane krzywdy i przyrzeknie w głębi ducha odpłacić za nie jak należy. Żeby to osiągnąć – spełnijcie swój żołnierski obowiązek bez reszty. Karność, odwaga i waleczność były zawsze cechami polskich żołnierzy, niech będą nimi i dziś. Wzniescie, więc wysoko sztandar Armii Polskiej, jak przystało na spadkobierców chwały rycerzy spod Grunwaldu. Niech żyje Polska!”.

Słowa tego rozkazu przerywały, co chwila dalekie odgłosy pocisków artyleryjskich wybuchających pod Pocięchą.

Szwadrony wracały powoli na swoje kwatery. Po raz pierwszy od tyłu dnia ułani trzeciego szwadronu spożyli obiad. Zdawało się że tego dnia nic nie zmąci im spokoju... Niektórzy zamiast obiadu wybrali sen pod Pocięchą. Ledwo jednak odeszli od polowej kuchni nie zdążywszy nawet umyć menażek, kiedy ktoś nagle zawołał: mamy gości!

Istotnie, od strony Leszna, gdzie rozciągały się rżyska po ściętym zbożu, ułożonym w snopy, rozwijała się szeroka tyraliera. Narcyz ogłosił alarm. Koniowodni w mgnieniu oka odprowadzili konie w głąb olszynki za wioskę, a poszczególne plutony wychodziły nieproszonym gościom naprzeciw. Sekcje elkaemów Osy – Borysowicza i Piszczka już rozstawiały elkaemy gotowe w każdej chwili plunąć ogniem.

W tym samym czasie na prawym skrzydle do akcji wychodziły z Roztoki plutony 1 szwadronu pod dowództwem wachmistrza Wołodziejowskiego – Jana Jakubowskiego, a na lewym chorąży Nieczaj – Zdzisław Nurkiewicz wyprowadzał swój poczet i sekcję, na czele z popularną kapral Stenią – Stefanią Burakówną. 2 szwadron toczył pozycyjną walkę pod Pocięchą, a szwadron ckm ubezpieczał zgrupowanie na placówkach osłonowych „Grupy Kampinos”. Za opłotkami pędził, co koń wyskoczy czwarty szwadron. Porucznik Jawor otrzymał od chorążego Nieczaja rozkaz obejścia nieprzyjaciela od strony Roztoki. Od Wiersz oskrzydlał Niemców z lewej strony porucznik Dolina na czele kilkunastu ludzi. Niemcy maszerowali dziarsko na skrót, po rżysku, między snopkami skoszonego zboża, kierując się wprost na kwatery 3 szwadronu w Kiścinnej. Nie zorientowali się jeszcze, że już byli w potrzasku, nadal maszerowali przed siebie. Ułani dopuścili ich na odległość około

dwustu metrów. Na rozkaz Narcyza Kulikowskiego 3 szwadron otworzył ogień, przygważdżając zbliżającą się tyralierę do ziemi. Nie dając nieprzyjacielowi ochłonąć, dowódca szwadronu poderwał plutony do ataku. Zerwali się ułani z ziemi z gromkim „hurra!” Do przodu wyrwali: kapral Witold Bryczkowski, ułani – bracia Żybulowie, Waclaw i Leon Cywińscy, Witold Grzyb, Wojciech Zołotar, Mikołaj Szczyt, Ryś – Kazimierz Ostapej, Jan Boczkowski. Antoni Ćwirko, Michał Wolski, Stanisław Rajski, Michał Kondratowicz, Kazimierz Astachnowicz, Stanisław Dziemidowicz...

Dopiero po pewnym czasie od strony niemieckiej tu i ówdzie rozległy się strzały, zresztą niecelne. Ci spośród Niemców, którzy znaleźli się najbliżej gospodarstwa Pływaczewskich w Kiścinnem, spostrzegli gdzie mieściła się kwatera dowódcy szwadronu z jego poczem i zawrócili nagle rzucając się do ucieczki. Za nimi podążyli pozostali, nie bacząc na okrzyki swego dowódcy, który próbował opanować panikę.

Ułani w biegu strzelali do uciekających, jak na polowaniu. Czesław Kuś, Eugeniusz Polak, Ryszard Zygmanski, Józef Doływiatr, Stanisław Nowicki, Władysław Parafin, Zygmunt Pytkowski, Lech Dumała – ledwo mogli nadążyć za dowódcą szwadronu, który raz po raz uskakiwał za stogi żyta, ale tylko po to, by naładować opróżniony magazynek włoskiej „maszczety”.

Wokół plutonowego Bronka – Brunona Dawidowskiego rojem pędzili jego chłopcy – Zygmunt Kapuściński, Ryszard Burduk, Stanisław Puzimowski, Józef Nowicki, Wincenty Parachimowicz, Józef Tulejko. Usiłowali prześcignąć ich ułani Wiernego – Bolesława Mostowskiego – Krzysztof Komorowski, Roman Prończuk, Michał Kondratowicz, Mikołaj Nazarewicz, Józef Żuk, Władysław Szymański, Henryk Kozłowski, Tadeusz Nowicki, Józef Wróbel. Kapral Wicik – Witold Wieliczko, najstarszy wiekiem w szwadronie.

Sekcyjny z plutonu Wira, plutonowy Rybka – Roman Rutkowski przystanął na moment, by wymienić magazynek w swym Stenie. Nie zauważył, że za snopami zboża ukrył się Niemiec, który strzelił do niego raniąc plutonowego w głowę. Niemca zabił natychmiast podchorąży Kłos – Józef Mioduszewski. nowogródzianin, którego ojciec w rodzinnym mieście był wicewojewodą.

Przy rannym plutonowym od razu znalazł się sanitariusz, plutonowy, sanitariusz Antoni Rafalski, którego nazywano „Felczerem”. Ledwo

go opatrzył – musiał biec do następnego rannego ułana Mietka Lipińskiego z Leszna. Kula przebiła mu szyję. Szczęśliwie na szczęście rana nie okazała się groźna. Po założeniu rannemu opatrunku dogonił on prących wciąż naprzód ułanów, którzy w pogoni za uciekającymi Niemcami dotarli do podmokłych łąk. Dowódca szwadronu skreślił nagle za stóg siana razem z ułanem Czesławem Szewczykiem. Obaj dopiero wówczas dostrzegli ukrytych za nim trzech niemieckich żandarmów przy karabinie maszynowym. Żaden z Polaków nie miał naboju w lufie, więc Narcyz zawołał:

– Hände hoch!

Niemcy posłusznie unieśli ręce do góry. W tej samej chwili nadbiegli zastępca dowódcy trzeciego plutonu kapral Czarny – Kajetan Komorowski, sekcyjny Sep — Zygfryd Bernad i ułan Jan Majewski.

Czwarty szwadron dopadł skraj lasu na prawym skrzydle. Ułani z I plutonu: Jan Zwierno, Mieczysław Nowicki, Stanisław Lizaszkiwicz, Edward Szućko, Żubr – Józef Stomal, Mieczysław Tarajkiewicz, Bolesław Pietrucki i Stanisław Rećko – zajęli stanowiska usiłując otworzyć ogień z karabinów maszynowych, ale nie było to możliwe. Na polu walki zapanowała kotłowanina, jak po bombardowaniu i trudno było odróżnić gdzie Niemcy, gdzie swoi. Pojedynczy niemieccy żołnierze skokami próbowali wymijać ułanów z tego szwadronu i uciekać połami w kierunku Leszna – skąd zaatakowali. W popłochu ciskali na ziemię plecaki, hełmy, nawet broń. To już nie była walka, ale właśnie polowanie.

Do niewoli pojmano hauptmana żandarmów. Okazało się, to on wpadł na kapitalny pomysł „godnego” uczczenia piątej rocznicy wybuchu II wojny światowej. Z tej okazji zebrał w Lesznie żandarmów, esesmanów i żołnierzy Wehrmachtu, razem około 180 ludzi, i z nimi wyruszył na podbój puszczy. W boju zginęło około 100 Niemców. Do niewoli trafiło kilkunastu. Spośród polskich ułanów nie zginął nikt, a rany odnieśli jedynie szwoleżer plutonowy Rybka, Mietek Lipiński z trzeciego szwadronu i ułan Jan Wojtkiewicz z pierwszego.

W pościgu za Niemcami dopomogła ludność miejscowa, zabijając ich około 40. W wyniku tej walki zdobyto 4 erkaemy, 20 pistoletów maszynowych, kilkadziesiąt karabinów, amunicję i granaty oraz 2 wozy taborowe z końmi. Zdobyczą bronią można było wyposażać pół kompani ochotników.

Nazajutrz, 2 września 1944 roku, przed wieczorem ułani 3 szwadronu udali się z powrotem na stanowiska przed Pocieczą.

Po skończonej walce major Okoń wysłał do chorążego Nieczaja pismo gratulujące zwycięstwa. Na kopiecie zaadresował własnoręcznie:
„Dowódca 27 Pułku Ułanów chor. Nieczaj”

Od tego czasu puszczańska kawaleria formalnie przekształciła się w nową jednostkę wojskową „Pułk Ułanów”, którym w rzeczywistości, o pełnym składzie etatowym była już w Puszczy Nalibockiej. 27 Pułk Ułanów im. Króla Stefana Batorego nadal wchodził w skład Pułku Palmiry–Młociny, którego dowódcą był mianowany przez komendanta VIII Rejonu kapitana Szymona – Józefa Krzyczkowskiego cichociemny porucznik Adolf Pilch. W rzeczywistości Pułk Palmiry–Młociny stanowił więc brygadę, ale formalnie struktury tej nie zmieniono do końca walk na terenie Puszczy Kampinoskiej.

WALK POD POCIECHĄ CIĄG DALSZY

W czasie, gdy ułani 27 pułku ułanów rozbili ekspedycję hauptmanna żandarmerii z Leszna, w dniu 1 września 1944 roku partyzanci porucznika Jerzego i ułani z 2 szwadronu od rana bombardowani byli pociskami artyleryjskimi i moździerzowymi. O walce w tym dniu wspomina osiemnastoletni ułan z plutonu wachmistrza Łotysza z sekcji elkaemu dowodzonego przez kaprala Sępa – Kazimierza Jankowskiego ułan Sęk – Franciszek Rejowski:

– Szwadron nasz obsadził pod Pociechą lewe skrzydło obrony, moja sekcja zajęła pozycję przez naszych poprzedników nazwana Westerplatte. Przy erkaemie obok mnie byli ułani Wąs – Stanisław Utykański i Wiatr – Longin Chimorodo. Po prawej ręce mieliśmy „Jerzyków” pod dowództwem porucznika Jerzego, od których odgradzał nas kapral Mićka ze swą sekcją. Na lewo od nas ze swym erkaemem usadowił się ułan Maraton – Michał Mikucki. Piaszczysta wydma, na której ułani usadowili się w okopach, z rzadka porośnięta była karłowatymi sosnami. Dalej, w odległości około dwustu metrów, stała pierwsza chata z gospodarskimi zabudowaniami, za którą ciągnęła się wieś Pociecha. Ukosem, nieco w prawo od niej i około trzech kilometrów dalej, za niezalesionymi pagórkami położona była duża wieś Truskaw. Z niej właśnie Niemcy bili do nas z moździerzy i dział. Liczyliśmy błyski wybuchów, z reguły było ich dziewięć, po czym następowała krótka przerwa. Liczyliśmy, więc skuleni na

głos do dziewięciu, po czym szybko wychylaliśmy głowy z okopów, by sprawdzić, czy przeciwnik nie rusza do ataku. Tak było prawie przez cały dzień. W nocy mieliśmy spokój, więc pogłębialiśmy wykopy, by w ciągu dnia od wybuchów nasze rowy nie zostały zasypane piaskiem.

W ciągu dnia panował upał, bardzo chciało nam się pić, lecz woda była tylko do chłodnicy elkaemu i dysponujący nią ułan Wąs bronił jej jak największego skarbu. Sam jej nie ruszył i nikomu na to nie zezwolił. Byliśmy także solidnie głodni, gdyż pod ostrzałem z broni maszynowej i dział żaden z prowiantowych nie odważył się dojść do naszej linii.

W pewnej chwili rowem łącznikowym przyczołgał się do nas, na papierosa, kapral Mićka. Przezornie zabrał ze sobą erkaem. Po wypaleniu odliczył do dziewięciu i odczołgał się z powrotem na swoje miejsce. Po chwili usłyszeliśmy wybuch pocisku w miejscu, z którego odszedł. Wrócił natychmiast blady jednak udawał, że wcale nie jest zdenerwowany. Pocisk trafił wprost do jego wykopu, do którego wracał.

– I co by się stało – wyjąkał nieco drżącym głosem – gdybym nie zabrał ze sobą karabinu. Ów papieroszek uratował nie tylko karabin maszynowy, ale i jego życie....

Pięciu naszych zostało rannych:– starszy ułan Ryszard Lewin, ułani Mikołaj Gołąb, Edmund Olszewski, Aleksander Zawierucha i Bernard Sowa. Sanitariuszki nie zważając na rozrywające się wokół pociski były wszędzie udzielając pierwszej pomocy i kojąc ból. Siódmy pocisk z kolejnej serii trafił w pobliże naszego wykopu. Cała obsługa elkaemu przywarła do piasku. Spostrzegłem, że pod celowniczym Stasiem Żubrem – Janem Guzowskim, piach robi się mokry. Ale to nie on oberwał. Odlamek przebił chłodnicę Maxima. Zameldowaliśmy od razu Łotyszowi, że nasz elkaem nie będzie przydatny do dalszej walki. Staś dźwignął go na ramię i odskoczył do tyłu. W ten sposób nieużyteczna pozostała woda do chłodnic, którą – spragnieni wypiliśmy natychmiast.

W godzinach popołudniowych zauważyliśmy, że z głębi lasu czołgają się do nas ludzie z nowym elkaemem. Była to sekcja kaprala Stanisława Piszczka z 3 szwadronu, która nas zluzowała, wracając na swe poprzednie stanowisko.

Od ostrzału artyleryjskiego zginął nasz starszy ułan Piotr Tarajkiewicz. (...)

3 szwadron, po walce pod Kiścinnem w dniu 1 września 1944 roku, w czasie której wytlukiliśmy Niemców z Leszna, którzy nasze głowy za-

mierzali złożyć Hitlerowi w prezencie w piątą rocznicę napaści na Polskę, tym razem miał noc spokojną. Wydarzenia, jakie miały miejsce nazajutrz, w dniu 2 sierpnia 1944 roku, przedstawił autor dzienniczka „Na koniu i pod koniem”:

– Po obiedzie, na rozkaz Narcyza, który przekazałem dowódcom wszystkich trzech plutonów, ułani 3 szwadronu dosiedli koni. Udajemy się w kierunku Pociechy, by zluzować 2 szwadron. Pod Pocięchą walki pozycyjne z przeważającymi siłami przeciwnika trwają już siódmy dzień. Nie dojeżdżając do naszych pozycji sprzed kilku dni, przy rozwidleniu dróg wiodących do Pociechy i Palmir pada rozkaz:

– Z koni!

Plutony pozostawiają swoje rumaki przy koniowodnych. Jedyne dowódca szwadronu ze swoim poczem, w skład którego wchodzili Józek Kłos – Mioduszewski, luzak Stanisław Sadowski i ja nie zeskoczyliśmy z siodła. Spieszony szwadron wyrusza w kolumnie marszowej sformowanej w trójki. Na naszych pozycjach bajkowa cisza, żadnych odgłosów walki. Można odnieść wrażenie że atakujące nas od kilku dni oddziały RONA zabrały swoje armaty i odjechały tam, skąd przyszły. Apollo jest niespokojny, nerwowo przebiera nogami, szarpie wędzidłem, parska, zrywa się do galopu. Cyganka dowódcy szwadronu podobnie niecierpliwa, strzyże uszami, jakby zwęszyła wilka. Jeszcze kilkaset metrów i będziemy na miejscu.

– Nieopodal stąd, na lewo, są masowe groby – powiedział Narcyz. Tam w lasach palmirskich odbyła się pierwsza masowa egzekucja Polaków z Warszawy. Zamordowano tysiące ludzi.

Kłos zauważył, że po prawej stronie, w tej samej odległości znajduje się cmentarz powstańców z 1863 roku.

Przenikliwy, świdrujący świst przerwał naszą rozmowę. Coś głucho huknęło o ziemię.

– Ba bach... Ba bach... bach... Po obu stronach traktu wybuchły nad sosnami gejzery ognia. Z ostrym gwizdem posypały się metalowe odłamki. Apollo przysiadł na tylnych nogach i zerwał się do skoku. Z całej siły ściągnąłem wodze, zanim jednak zdołałem osadzić spłoszonego konia, ten wyminął Cyganek dowódcy szwadronu.

– Zaczyna się – powiedział, jakby do siebie dowódca szwadronu i zaraz huknął:

– Rozproszyć się w lesie.

Kolumna marszowa w oka mgnieniu zniknęła z traktu, rozwijając się w tyralierę wśród drzew.

Z ogniem artyleryjskim byliśmy już wprawdzie oswojeni, z trudem jednak udało mi się opanować niezależne od mej woli klekotanie zębów. Znowu gwizd, huk, ogień. – Ba – Bach – bach... Gwałtowny podmuch zdarł mnie z siodła, cisnął o ziemię. Byłem oślepiiony błyskiem pioruna, pod czaszkę wdarła się cała dzwonnica, bijących na alarm dzwonów. Zdawało się, że z tych pocisków, które pękały nadal w lesie, jeden wyrznął we mnie i rozrywa się na strzępy przeciągłym, bezkresnym skowyt. Czyżbym stracił przytomność?

Ktoś szarpał mnie z ramię: – Żbiku! Żbiku!

To Narcyz. Widziałem go jak przez mgłę. Ale widziałem, czułem, słyszałem. Dowódca szwadronu, który zaraz po tym wybuchu zeskoczył z konia, rozpinał mi kołnierz...

Pociski rozrywały się nadal, ale już nie w mojej głowie. W lesie. Z trudem gramolę się z ziemi.

– Nic mi się nie stało – silę się na uśmiech.

Wprawdzie nie byłem taki pewien. Bolało piekielnie prawe biodro. Cały byłem upaprany we krwi.

– Twój koń – powiedział Narcyz.

W poprzek drogi leżał Apollo. Z jego brzucha wypływała krwawa miazga. Żył jeszcze i patrzył na mnie, błagalnie, jakby oczekiwał ode mnie ratunku. Miał wielkie przerażone, niemal ludzkie oczy...

Namacalem karabin, który leżał obok, zarepetowałem.

– Tak – powiedział Narcyz – on się męczy.

Strzeliłem z bliska między oczy. Huk wystrzału stopił się z detonacją kolejnych wybuchów.

Pod artyleryjskim ogniem luzujemy 2 szwadron starszego wachmistrza Lawiny – Józefa Niedźwieckiego. Ułani odchodzą z linii z westchnieniem ulgi. Ciężką mieli walkę. Zabierają ze sobą ciała dwóch zabitych kolegów. Pozycje są zorane pociskami, sprawiają wrażenie wielkiego kretowiska. W lesie sterczą kikuty połamanych w jedyńki drzew, jakby tędy przeszedł huragan.

Czuje się fatalnie i najchętniej wtłoczyłbym się w dno rowu – ziemianki. Przy każdym wybuchu żołądek podchodził do gardła. Z trudem mogłem się opanować, czułem drzenie wszystkich mięśni...

Z dowódcą szwadronu idę na placówkę „Westerplatte” obsadzoną tym razem przez pluton Wira – Antoniego Burdzielowskiego, wzmocniony sekcją erkaemu Piszczka. Westerplatte” jest pokryte lejami po wybuchach, jakby tędy przeszło stado dzików. Gwizdy, wybuchy i błyski rozlegają się bez przerwy. Jeden z pocisków rozerwał się na szczycie wzgórza w chwili, gdy dochodziliśmy do naszej pozycji. Odłamek przeciął brodę Mietkowi Lipińskiemu z Leszna, okopanemu na prawym skrzydle. Od tego samego pocisku został ranny w krocze Zbyszek Sadowski, brat luzaka dowódcy. Jeżeli się z tego wylize, będzie kaleką na całe życie.

Przed wieczorem przyjechał na nasze pozycje dowódca naszej puszczańskiej „artylerii”, porucznik Leszczyc – Henryk Kędzierzawski, z batalionowymi moździerzami i granatnikami. Powitaliśmy go z entuzjazmem. Nareszcie weźmiemy odwet za naszą beczyność podczas nawałnicy ich ognia artyleryjskiego. Chłopcy szybko i sprawnie ustawili swoje „harmaty”, Leszczyc podał kierunek ognia. Nasza „artyleria” odpaliła wszystkie swoje pociski, z którymi tu przyjechała, a było ich 24, po czym zwinęła swój majdan i odjechała, zanim padł z ich strony pierwszy strzał. Ale swoją robotę zrobili na fest. Na pozycjach nieprzyjaciela widać było poruszenie. Jednak dosyć szybko przyszli do siebie. Wkrótce odezwała się ich artyleria by wziąć na nas odwet.

Z sąsiedniej ziemianki obsadzonej przez Antka Ćwirkę i Janka Łapo z I plutonu dochodził przeciągły jęk. Z dowódcą szwadronu doskoczyliśmy tam pierwsi, po chwili dopadł nas Kłos. Antek został zabity na miejscu. Jego ciało leżało na obrzeżu wykopu. Janek przysypany ziemią leżał na dnie rowu. W miejscu lewego oka miał jedną wielką, krwawiącą ranę. Usiłowałem ją przewiązać opatrunkiem osobistym. Tymczasem Janek wołał:

– Nie tu! Moje plecy, ja nie mam pleców...

Narcyz rozciął nożem mundur. W międzyczasie uporałem się z opatrunkiem osobistym, który nasiąkał krwią.

Kłos pognał na zaplecze po szwadronowego felczera. Wachmistrz próbował opatrzyć plecy Janka bandażem. Pod prawą łopatką miał krwawą miazgę.

Rafalski przyjechał swoim wozem–ambulansem. Ostrożnie włożyliśmy nań rannego.

Jesteśmy wyczerpani psychicznie nieustanną nawałą ognia artyleryjskiego i naszą beczynością. Żyjemy nadzieją, że Dolina wreszcie

poderwie nas do ataku. Nie jesteśmy nieprzyzwyczajeni do pozycyjnej walki. Jak długo można beczynn timer liczyć kolejne wybuchy pocisków i wróżyć: Trafi, nie trafi? Kiedy wreszcie dobierzemy się im do skóry?

OSIEMDZIESIĘCIU ZUCHWAŁYCH

Porucznik Dolina zdawał sobie sprawę z tego, że jego pododdziały „nie przywykły” do długotrwałych walk pozycyjnych z trudem utrzymywały pozycje pod Pociechą i Truskawiem pod długotrwałym i zmasowanym naporem nieprzyjaciela. Przełamanie na tym odcinku oporu leśnych stwarzało poważne zagrożenie dla całej „Grupy Kampinos”. Ponadto, oddziały RONA zagradzały drogę do Warszawy, a tam przecież walczyła część „chłopców z lasu” – oczekując z Puszczy Kampinoskiej nowych dostaw broni i amunicji. Tymczasem tu, pod Pociechą już od tygodnia toczył się frontowy bój o być albo nie być „Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej”.

Dolina postanowił rozstrzygnąć tę bitwę nagłym uderzeniem na Truskaw i Sieraków, z których to miejscowości prowadzono nękający ogień artyleryjski na pozycje „Jerzyków” i puszczańskiej kawalerii. Chodziło o rozbitcie głównych sił nieprzyjaciela. W tym celu polecił przeprowadzenie dokładnego rozpoznania stanowisk niemieckich. Do Truskawia udał się szeregowiec Sosna – Józef Zych, który ustalił dokładnie, w których punktach wioski znajdują się nieprzyjacielskie stanowiska ogniowe karabinów maszynowych, artylerii i moździerzy oraz gdzie wystawiono ubezpieczenia i czujki.

Wieś Truskaw ciągnie się na przestrzeni ponad dwóch kilometrów. Jej zabudowania rozpoczynały się w pobliżu zagajników otaczających Izabelin i ciągnęły się dalej na północ aż do podmokłych łąk odgradzających wieś od puszczy, na skraju której okopali się Polacy. Przez środek wsi prowadzi szeroki trakt miejscami prosty, miejscami skracający to w prawo, to w lewo. Na końcu wsi w pobliżu łąk stały zabudowania folwarczne, zaś nieco bliżej jej środka rozwidlały się drogi – jedna na Pociechę, druga na Mariew. Znajdował się tam plac, jakby rynek, na którym ulokowano nieprzyjacielski tabor. Stąd na północny wschód okopała się bateria artylerii. Od broniących lizjery lasu partyzantów własowcy oddzieleni byli podmokłymi łąkami. Z prawego i lewego skrzydła

rozciągały się pola ze skoszonym zbożem, będące pod zasięgiem broni maszynowej nieprzyjaciela. O niespełna trzy kilometry dalej znajdowała się wieś Sieraków, w której stacjonował inny batalion włosowców. W tej samej odległości, w Budach, stacjonowały pozostałe oddziały tego samego ich pułku. Również na tyłach, w Izabelinie, pełno było wojsk tej formacji.

Stan liczebny nieprzyjaciela w Truskawiu oszacowano na około pięćset ludzi, którzy kwaterowali we wsi.

W przygotowaniach do zamierzonej akcji sprawą najważniejszą i najtrudniejszą zarazem było przekonanie dowódcy „Grupy Kampinos” majora Okonia o celowości tej ryzykownej wyprawy. Porucznik Dolina w książce „Droga Cichociemnych” wydanej przez Koło Spadochroniarzy w Londynie wspomina:

– Akcja była ryzykowna, co nie ulegało wątpliwości. Na powodzenie można było liczyć tylko w wypadku całkowitego zaskoczenia. Niepowodzenie kosztowałoby nas nie tylko ofiary w ludziach, ale wpłynęłoby fatalnie na nastroje naszych chłopców. Sumując wszystkie „za i przeciw” utrwaliłem się jednak w przekonaniu, że akcja musi się udać. Niestety, major Okoń nie podzielał mojej wiary. Nie udało mi się go przekonać, że możemy liczyć na sukces. Nie zrezygnowałem jednak z projektu i tego samego dnia poszedłem do niego po raz drugi.

Czasu było niewiele, a akcję trzeba było wykonać jeszcze tej nocy. Dlaczego nie, kiedy indziej? W dość długim okresie życia w lesie człowiek wyrobił sobie nieomylny „węch partyzancki”, zmysł, intuicję, który prawie nigdy nie zawodził. Ten wewnętrzny głos mówił mi, że wypadu należy dokonać jeszcze dzisiaj.

Przygotowałem, więc oddział i poszedłem po „ostatnie słowo” do dowódcy. Udało mi się wreszcie go przekonać. Ustaliliśmy, że major Okoń pójdzie na podobną akcję do sąsiedniej wsi Sieraków. Uzgodniliśmy hasła („Sobota”) i czas rozpoczęcia akcji na godzinę 1.00 w nocy.

Miało się już pod zachód. Chłopcy siedzieli w długich cieniach olch i topól, gotowi do wymarszu. Twarze ich były skupione. Dla starszych była to jeszcze jedna walka, dla nowicjuszy zaś chrzest bojowy, który wywołuje dobrze każdemu znany dreszcz emocji. (...)

Proponując (po raz drugi) rozstrzygnięcie bitwy pod Pocięchą przez głęboki wypad na tyły Truskawia porucznik Dolina postawił majora Okonia właściwie przed faktem dokonanym. W podległych mu kompa-

niach i szwadronach już ochotnicy sformowani w pododdziały byli gotowi do wymarszu. Zgłosiło się sześćuset gotowych na wszystko chłopców. Spośród nich wybrał siedemdziesięciu z oddziałów liniowych i dziesięciu z oddziałów tyłowych. Do tych ostatnich należeli żołnierze i ułani z kwatermistrzostwa taborów, żandarmerii, łącznicy i kanceliści. W rzeczywistości te oddziały tyłowe stanowili zaprawieni w bojach żołnierze, którzy w krytycznych sytuacjach interweniowali, jako ostatni odwód i najczęściej z powodzeniem.

Wszyscy spośród wybranych mieli być uzbrojeni tylko w broń automatyczną, pistolety i karabiny maszynowe z odpowiednim zapasem amunicji i kilkoma granatami na osobę.

O werbunku ochotników wspomina dowódca II plutonu podchorąży Grom – Józef Bylewski ze szwadronu zwiadowców wachmistrza podchorążego Bazara – Stanisława Bazarewskiego:

– Szwadron zwiadowców konnych zakwaterowany był w Wierszach. Zajmował on dwie sąsiadujące ze sobą i nieprzedzielone żadnym płotem zagrody wiejskie położone naprzeciw drogi wiodącej do Brzozówki. Jedną z zagród zajmował mój pluton, a drugą pluton kaprała Wacława – Stanisława Barana. Dowództwo szwadronu kwaterowało przy moim plutonie. Za koszary służyła ułanom stodoła, budynek najbardziej nadający się do tego celu na wsi w porze letniej. Natomiast podchorąży Bazar, szef szwadronu Adam, dwie sanitariuszki i ja mieszkaliśmy w jednej chacie razem z właścicielem zagrody, jego małżonką i ich nieletnią córką. Najcenniejszym dla nas sprzętem w tej chacie był radioodbiornik wyszperany gdzieś i zainstalowany przez pomysłowego i zaradnego podporucznika Adama. Dzięki temu urządzeniu mieliśmy jaki taki kontakt ze światem.

2 września po południu, gdy Bazar, Adam i ja gwarzyliśmy o czymś w swojej kwaterze – ni stąd ni zowąd złożył nam wizytę dowódca pułku porucznik Dolina i dowódca batalionu porucznik Strzała. Takie wizyty u nas były bardzo rzadkie i zwiastowały zazwyczaj jakąś poważniejszą robotę. Tak też było i teraz. Poprosiliśmy, by usiadł, lecz on bez żadnych wstępów oznajmił:

– Dzisiaj organizuję wyprawę na tych drabów, co siedzą w Truskawiu. Nie wyznaczam do tej akcji żadnej kompanii, ani szwadronu. Chcę mieć samych ochotników. Sądzę, koledzy, że i w waszym szwadronie znajdą się chętni.

– Ja pierwszy! – zawołałem podnosząc rękę jak uczeń.

– Ja drugi! – powtórzył za mną jak echo szef szwadronu Olek Pawluczenko.

– Dobrze – odpowiedział Dolina. Po chwili zwrócił się bezpośrednio do mnie: – W takim razie niech pan powie ułanom, o co chodzi i zajmie się ich przygotowaniem do wyprawy. Przede wszystkim trzeba będzie dobrze się uzbroić. Nie brać karabinów, lecz erkaemy, pistolety maszynowe, no i granaty po kilka na głowę. Zbiórka o zachodzie słońca tutaj, na naszym placu.

Od nas Dolina udał się do sąsiadującej z nami kompanii podporucznika Olszy – Henryka Dobaka. Nazywaliśmy ją warszawską, gdyż składała się w większości z mieszkańców Warszawy. A ja z Olkiem skończyłem zaraz do naszych chłopaków. Gdy poinformowaliśmy ich o zamierzonej wyprawie ochotników pod dowództwem Doliny na własowców – oczy zabłyśły im radością i wszyscy wyrazili gorącą chęć wzięcia w niej udziału. Bo z Doliną poszliby bez wahania nawet do piekła.

Na wyprawę tę mogliśmy jednak wziąć tylko tyłu ułanów, ile było broni maszynowej. Toteż mieliśmy wiele kłopotu z doborem ochotników. Na szczęście niecały szwadron był na miejscu, inaczej mielibyśmy jeszcze większe larum. W tym samym czasie, bowiem sekcja z mego plutonu patrolowała okolice wsi Ławy, a dwie sekcje z pierwszego plutonu pod dowództwem Waclawa uwijały się gdzieś w innym miejscu.

Chłopców ze swego plutonu znalazłem na wylot. Wybierałem spośród nich w pierwszym rzędzie najbardziej bojowych, odważnych i bystrych – takich jak Staszek Czerniawski, Edek Janczewski, Janek Kosowicz, Longin Chimorodo ... To samo czynił Pawluczenko w pierwszym plutonie. On tamtych chłopców znał lepiej niż ja, gdyż wielu z nich pochodziło z jego stron rodzinnych i uczestniczyło z nim poprzednio w walkach na terenie Puszczy Nalibockiej.

Wybraliśmy dziewiętnastu chłopców. Obejrzelśmy uzbrojenie każdego i ilość posiadanej amunicji. Kogo było trzeba – dozbroiliśmy, tak jak życzył sobie tego porucznik Dolina.

Na jakieś pół godziny przed zachodem słońca zaczęły się zbierać na naszym placu, a raczej na dużym, otwartym z dwóch stron podwórku – grupki ochotników. Nieopodal zatrzymywały się nadjeżdżające wozy, każdy zaprzęgnięty w parę koni. Były to wozy taborowe z poszczegół-

nych kompanii, jak też i z kwatermistrzostwa. Na nich piechurzy mieli wyruszyć w kierunku podstaw wyjściowych do planowanej akcji.

Niebawem na miejsce zbiórki przybył porucznik Dolina. Ochotnicy ustawili się w dwuszeręgu, dokonano przeglądu ich uzbrojenia i wyposażenia w amunicję.

Na tę brawurową wyprawę zgłosiło się bardzo dużo ochotników, ale jej dowódca potrzebował nie więcej, niż 80 ludzi i tylko tylu zatrzymał na placu – pozostałym nakazując powrót na kwatery. „Nadliczbowi” z kwaśnymi minami i niezadowoleniem na twarzach musieli wykonać ten rozkaz – bez nadziei udziału w natarciu, które mogło okazać się decydujące o losach Rzeczypospolitej Kampinowskiej.

Oczekiwaliśmy już tylko na decyzję majora Okonia, który jakoś nie żywił zbytniego przekonania do naszej wyprawy i trzeba było wielu nalegań porucznika Doliny, by się zgodził.

Słońce już zaszło i coraz gęstszy mrok rozpościerał się wokół. Dopiero wtedy porucznik Dolina wydał rozkaz, by piechota załadowała się na wozy, a mnie polecił jechać konno ze zwiadowcami na czele oddziału, aż do Zaborowa Leśnego – lecz wolno, bez odrywania się od reszty oddziału.

Piechota obsiadła wozy, zwiadowcy wsiedli na koń. Dolina dosiadł swego gniadosza i ruszyliśmy z placu – podwórka, z którego prowadziła polna drożyna wiodąca wprost do lasu i dalej w kierunku Zaborowa ...

DOLINA ATAKUJE!

Uformowany ad hoc oddział szturmowy, „zmotoryzowany” na konnych furmankach wyruszył z Wiersz w dniu 2 września 1944 roku, około godziny dziewiętnastej.

Porucznik Dolina zamierzał osiągnąć cel wypadu przez obejście wsi Truskaw i uderzenie na nieprzyjaciela od tyłu. Upřednio dowódca pułku upředził o akcji porucznika Jerzego – Jerzego Strzałkowskiego i wachmistrza Suma – Narcyza Kulikowskiego nakazując im całonocne czuwanie, by w razie potrzeby mogli przyjść z odsieczą.

Cały oddział podzielił się na trzy pododdziały. Ich dowódcami zostali: „cichociemny” porucznik Lawa – Tadeusz Gaworski, do którego przydział otrzymał także podporucznik Zemsta – Mieczysław Rabiński;

porucznik Wulkan – Leszek Żabierak, któremu Góra przydzielił grupę podchorążego Groma–Józefa Bylewskiego i porucznik Jastrząb – Aleksander Wolski, z którym zabrał się Władysław Sobota, „Berlingowiec” – jak go nazywano – podporucznik z armii gen. Berlinga, który uciekł z niewoli niemieckiej i dołączył do zgrupowania, plutonowy podchorąży Sęp – Lucjan Wiśniewski.

Grupy boczne otrzymały dodatkowe zadanie, by z chwilą rozpoczęcia akcji nie wypuszczać żadnego z własowców ze wsi oraz ubezpieczyć boki. Natomiast grupa środkowa pod komendą Jastrzębia miała ochraniać tyły, niezależnie od swego głównego zadania – uderzania w środek wsi.

W Zaborowie Leśnym pozostawiono wszystkie konie i wozy. Oddział uformował się w zwarty dwurząd, na którego czele maszerował porucznik Dolina poprzedzany przewodnikami (mieszkańcami Truskawia), kapralem Wilgą i strzelcem Leonem, jako awangardą marszową. Za nim maszerowali z cicha pobrzkując ostrogami spieszeni ułani ze szwadronu zwiadowczego, dalej piechota, a na końcu sanitariuszki. Noc była pogodna, drogę oświetlał księżyc, tylko gdzieś nad łąkami wznosiły się opary białej mgły.

Do Truskawia od strony Izabelina oddział dochodził skrajem łąki, a następnie rowem, który miejscami przebiegał przez teren całkowicie odkryty. Partyzanci maszerowali w zwartym szyku równoległe do wymijanej wsi, w której stanowiska zajmowali własowcy – nie dalej, niż dwieście kroków od zabudowań.

Nagle od strony Łaż, wsi odległej o niespełna kilometr, rozległa się gwałtowna strzelanina karabinów maszynowych. Żołnierze mimowolnie zatrzymali się. Ale porucznik Dolina dał znak:

– Idziemy dalej, to nie do nas.

Istotnie, ubezpieczenie Niemców kwaterujących w Łazach strzelało na oślep, jak zwykle dla odstraszenia ewentualnych intruzów, nie zaś z powodu jakiegoś konkretnego, zagrożenia. Mimo tej przejściowej strzelaniny partyzanci porucznika Doliny przez nikogo niezauważeni doszli już prawie na drugi koniec wsi.

Dolina odnotował w swym dzienniku:

– Załedwie odsapnęliśmy chwilę. Wulkan – Leszek Żabierak pośzedł ze swoim oddziałem lewą stroną wsi, Olek Wolski drugą stroną, a Lawa – Tadeusz Gaworski od strony Sierakowa. Sam z dwoma gońca-

mi: Maciejką – Frankiem Kosowiczem i Niedźwiedziem–Staszkiem Myślickim, oraz kancelistą wachmistrzem Kulą – Kazimierzem Puchacewiczem, udałem się za nim zakładając, że to właśnie ta grupa jako pierwsza powinna dopaść stanowisk artylerii niemieckiej znajdującej się na przeciwnym skraju Truskawia. Plutony nasze posuwały się wolno, przeszukując za pomocą przednich patroli skrajne zabudowania wsi, by znaleźć kogoś mogącego udzielić dokładniejszych wskazówek, co do siły i rozlokowania pozycji nieprzyjaciela. Wieś wydawała się całkowicie wyludniona. Chałupy były opustoszałe. W stajniach i chlewach ani śladu żywego stworzenia. Tylko ciemne sylwetki naszych szperaczy wносиły w tę głuchą ciszę nieco życia. Trochę mnie to speszyło, spodziewaliśmy się bowiem, że wieś funkcjonuje normalnie.

Udało się nam wreszcie znaleźć jakiegoś starca. Ale był głuchy jak pień. Aby móc z nim rozmawiać, trzeba go było sprowadzić do piwnicy, gdzie jeden z naszych chłopaków musiał drzeć się do niego na całe gardło, by cokolwiek usłyszał. Siedząc przy samym okienku w piwnicy odniosłem wrażenie, że ten krzyk musiał być słyszany na setki metrów. Niemniej wiadomości, jakie zdołaliśmy od starca uzyskać, były bardzo cenne. Wiedział on, że w ciągu dnia i po południu przybył do wsi jeszcze jeden oddział artyleryjski, który przyprowadził kilkanaście dodatkowych dział i wiele wozów z amunicją.

Niemcy kwaterowali w domach od strony lasu, a na wieczór „zmobilizowali” do zabawy część płci pięknej ze wsi. Reszta ludności uciekła wraz z dobytkiem – takim, jaki kto mógł w pośpiechu zabrać.

– Ciarki mnie przechodziły, gdy obliczyłem siłę przeciwnika. Jak na naszą osiemdziesiątkę to nieco za dużo. Mieliśmy jednak w rękę pewien atut: znajdowaliśmy się na ich tyłach i liczyliśmy, że od tej strony ubezpieczenie nieprzyjaciela nie będzie zbyt silne.

Skradaliśmy się jak koty. Przeskakiwaliśmy ogrodzenia bez słowa, bez stuku, bez jednego szmeru. Tylko księżyc, jak na utrapienie, świecił coraz jaśniej potęgując niesamowitość tej ciszy, pełnej jednak utajonego życia. Dochodziła godzina pierwsza. Z każdą chwilą rosło podniecenie. Niepokój o los naszego „wypadu” nie dawał mi spokoju.

Nagle z głębi wsi wyrwały się dwie krótkie serie z pistoletu maszynowego. W tym momencie kończyła się moja rola jako dowódcy całości. Poszczególne grupy współdziałając w ramach podanego na początku planu, musiały już dalej polegać na sobie.

Gdy padły pierwsze strzały, błyskawicznie rzuciliśmy się do przodu. Zachowanie ostrożności było już teraz zbędne. Każdy rozumiał, że należało możliwie jak najszybciej znaleźć się wewnątrz ugrupowania przeciwnika, który wydawał się całkowicie zaskoczony. Od pierwszych strzałów erkaemu zapaliła się stodoła i stóg słomy na końcu wsi. Suchy materiał natychmiast chciwie objęły płomienie, oświetlając nam całe przedpole. Zrobiło się widno, jak w dzień. Z chat przed nami wybiegały przerażone kobiety kierując się w stronę lasu.

Na moment zaprzestaliśmy ognia, by wszystkie grupy mogły wykonać ostatni skok do przodu. Wystarczyło tej krótkiej przerwy, aby nieprzyjaciel ochłonął. Po przypadkowych seriach z broni maszynowej zaczęły rozrywać się pierwsze pociski z granatów i moździerzy. Ogień ten był na szczęście mało skuteczny, zmieszaliśmy się już, bowiem z przeciwnikiem i pociski gęściej raziły Niemców, którzy na całej przestrzeni byli bardziej skupieni, niż my. Strzelanina była bezładna. Częste wybuchy granatów wzmagaly zamieszanie i siały zniszczenie. Ogień objął większą część wsi, a wiatr roznosił płomienie coraz dalej. W blasku ognia widać było, że nasi chłopcy zwijają się szybko. Akcja rozkręciła się na dobre.

Najbardziej do przodu wdarł się ze swą grupą Olek Wolski, był już w rejonie artylerii. Porucznik Lawa likwidował w rowach grupki, które zdążyły uskokczyć ze wsi, by zająć stanowiska zapasowe. Wulkan polował na uciekających w kierunku wsi Łozy. Raz po raz rozlegał się błagalny okrzyk „hospodi pomiluj!” (załogę Truskawia stanowili w większości Kozacy).

Jako pierwszy do stanowisk artylerii dorwał się z grupą Wolskiego sierżant Zaremba. Wykończył obsługi, które zdążyły znaleźć się przy działach i zabrał się za zadanie główne – zniszczenie zdobytych dział. Wrzucano do luf granaty lub podciągano pod nie wiązki słomy z paroma pociskami artyleryjskimi, po czym słomę podpalano (...)

Od porucznika Doliny przez cały czas walki w Truskawiu nie odstępowali nawet o krok, jak w każdej walce, Maciejka – Franciszek Kosowicz, Niedźwiedz – Stanisław Myślicki i Kula – Kazimierz Puchaczewicz. Trójka ta wraz z komandosem Doliną uzbrojona w pistolety maszynowe stanowiła doborową grupę szturmową. Dolina zawsze, gdy prowadził oddział do ataku, po rozdzieleniu poszczególnym pododdziałom zadań, sam stawał do walki ramię w ramię z szeregowymi, jak prosty żoł-

niez, zjawiając się nieoczekiwanie na najbardziej zagrożonych odcinkach, siał spustoszenie w szeregach nieprzyjaciela, dodając otuchy walczącym. Był jednym z nich. Notatki porucznika Doliny – Adolfa Pilcha uzupełnia szef jego kancelarii, wachmistrz Kula – Kazimierz Puchacewicz:

– Dolina, Maciejka, Niedźwiedź i ja przemaszzerowaliśmy już niemal pół wsi od strony Izabelina, nie napotyając nikogo. Dolina powiedział:

– Cholera, śpią jak susły, to dobrze.

W jednej zagrodzie znaleźliśmy staruszkę. Bardzo się nas wystraszył i początkowo nie mógł wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Wreszcie, gdy się uspokoił, powiedział:

– Panowie uciekajta, tu ich tyła, z harmatami, co nawet i tysiacy was, nie da im rady.

Powiedział też, że „ruskie” pozabierali im żony i córki i trzymają je przy sobie, że przed wieczorem od strony Sierakowa przysły nowe oddziały z armatami. Wskazał też budynek, w którym mieściło się dowództwo nieprzyjacielskie. Dolina poradził mu, by skrył się w jakiś bezpieczny kąt i siedział cicho.

Przeskoczyliśmy na drugą stronę ulicy, do ogródków. W tym momencie po „kocich łbach” bruku ktoś puścił serię, rozpoczęła się strzelanina. Ze stodoł i mieszkań wybiegały kobiety kierując się w stronę lasu. Natomiast Ukraińcy i Niemcy byli całkowicie zaskoczeni. W głowie im się nie mieściło, że ktoś może ich zaatakować od strony Warszawy. Niektórzy w samych gaciach wyskakiwali z domów wiejąc na wszystkie strony. To była istna rzeź.

W trójkę przeskakiwaliśmy od chałupy, do chałupy. Przejechało się serią z automatu po drzwiach i oknach, potem wrzucało granat do środka i hajda dalej. Niebawem luna pożarów oświetliła całą wieś. W jej zasięgu widać było naszych jak moczają się z działem. Wyciągali je spod płonącej stodoły.

W jednym z budynków własowcy ostrzeliwali się z piwnicy, jak z bunkra. Zaatakowaliśmy ich od strony pola. Mieliśmy dogodną pozycję. Ja wpadłem do jakiegoś dołu, jakby do leju, po wybuchu pocisku. Naprzeciw siebie miałem okienko piwnicy, z której strzelano z erkaemu. Prowadziłem seriami ogień po tych okienkach, by tamci nie mogli się wychylić. W tym czasie Dolina i Niedźwiedź doskoczyli do ściany chałupy wrzucając granaty do wnętrza piwnicy. Z górnego okna wyskoczył

własowiec i uciekał do lasu. Oczywiście nie ubiegł daleko, bo dosięgnęła go seria z mojego automatu. Dopadł zaraz do niego Niedźwiedź wyrzucając mu pistolet maszynowy(...)

W boju o likwidację dwóch batalionów RONA w Truskawiu zdobyto, między innymi, działo. Wydarzenie to relacjonuje wachmistrz podchorąży Grom—Józef Bylewski, dowódca jednej z grup w pododdziale porucznika Jastrzębia – Aleksandra Wolskiego:

– W skład mojej grupy weszli zwiadowcy konni i chłopaki z kompanii warszawskiej oraz kilku z innych, nie pamiętam już, z jakich. Zaczęłam porządkować tę grupę i czynić ostatnie przygotowania do natarcia. Na swym prawym skrzydle ustawiłem ułanów, a na lewym, piechurów. Wśród chłopców z kompanii warszawskiej był młody, niedawno przybyły z Warszawy podporucznik Tur i jemu powierzyłem dowodzenie lewym skrzydłem.

Wyjaśniłem chłopcom, że rozpoczniemy posuwanie się do przodu tyralierą. Tylko linia tyraliery nie będzie biegła prostopadle do wsi, lecz pod kątem ostrym, to znaczy – licząc od prawego skrzydła – każdy będzie wyprzedzał swego poprzednika (sąsiada po prawej ręce) o jakieś dwa, trzy kroki. Szyk ten był konieczny ze względu na zadanie, jakie miała wykonać lewoskrzydłowa grupa. Chodziło, bowiem o pewne zaskoczenie przeciwnika, które w tych warunkach dawało bodaj jedyną rękojmię zwycięstwa. Prawoskrzydłowi, ocierając się o budynki i penetrując je w pewnym momencie muszą natknąć się na wroga – tak przewidywałem. Rozpocznie się strzelanina, zaalarmowani własowcy na pewno chwycą za broń. Wówczas nie wolno będzie dać im chwili do namysłu i do zorganizowania jakiegokolwiek obrony. Jednym skokiem cała grupa musi znaleźć się pod budynkami i ogarnąć swym uderzeniem jak największą ich ilość. No i grzać ogniem, żeby nikt żywy nie wyszedł.

Te wszystkie przygotowania końcowe trwały zaledwie kilka minut i odbywały się niemal w zupełnej ciszy. Porozumiewali się między sobą szeptem oraz za pomocą gestów rąk i palców.

Spojrzałem na zegarek była za siedem minut pierwsza. Przygarbione domy drzemały w poświacie księżyca. Cisza panowała absolutna, nawet pies nie zamącił jej szczekaniem. Jeszcze trzy minuty, jeszcze tylko trzy sekundy. Trzy okrążenia najmniejszej wskazówki. Patrzę na koniec sekundnika. Porusza się, tylko jakoś bardzo wolno. Prowadzę go oczami. Jedno okrążenie... drugie... trzecie... no, już!

Wysuwam się parę kroków do przodu i dwukrotnym podniesieniem rąk do góry daję chłopakom znak rozpoczęcia natarcia. Poderwali się z ziemi i ruszyli przed siebie formułując jednocześnie nakazany uprzednio szyk. Biegłem na prawym skrzydle razem z ułanami trzymając obok siebie najlepszego erkaemistę Edka Janczewskiego. Cała linia przesuwała się w milczeniu i ciszy. Chłopcy z bronią gotową do strzału biegli bezszelestnie na lekko ugiętych nogach. Za każdym w księżycowej poświacie ciągnęło się długa, ciemna smuga cienia.

Już prawoskrzydłowi myszkowali wśród budynków, pierwszego na skraju wsi gospodarstwa. Nie znaleźli w nim nikogo i nic. Penetrują drugie i trzecie, to samo. W kilku następnych budynkach też pusto, w dalszych również ani śladu wroga. Co u licha? – Dziwimy się. Czyżbyśmy tu przyszli na próżno?

W całej wsi nadal głęboka cisza, nie słycać żadnego wystrzału. Raptem ktoś woła do nas po rosyjsku:

– Stój, kto idiot?

Jeden skok – i już mieliśmy w swych rękach własowca. Chciał coś do nas mówić, lecz kapral Litwos – Janek Kosowicz zatkał mu usta dłonią pytając go w jego języku:

– Gdzie waszije? Wiedzi nas paskarieje k'nim! – Gdzie wasi, prowadź szybko do nich?

Zrobiliśmy kilka kroków do przodu, gdy nagle padła krótka seria z broni maszynowej. Kule przemknęły niedaleko nas, zupełnie nisko, kosząc trawę, co wyglądało tak, jak gdyby ktoś specjalnie chciał trafić kóregoś z nas w odcisk na małym palcu, u nogi.

Kolejny skok i mamy drugiego ptaszka. Leżał, gapa na murawie przy stodole z rosyjskim erkaemem talerzowym. Zginał, jak pierwszy jego kolega. Wiadomo było, że w tej akcji nie chodziło o jeńców i tak nie byłoby, komu odprowadzać ich na tyły.

Ta krótka seria maszynowa poderwała własowców. Wskakiwali z budynków kręcąc się dookoła bez sensu – wchodząc naszym wprost pod lufy automatów. Pogoniliśmy do następnych zagród. A tam całe mrowie własowców. Nawet się nie bronili. Albo nie otrzeźwieli jeszcze po wieczornej pijatyce, albo nie mogli się zorientować się, co niespodziewanie wokół nich dzieje. Chłopcy w okamgnieniu wykończyli ich i biegli dalej.

Nagle z przodu zaszczekał cekaem. Rzęsisty ogień przygwoździł nas do ziemi. Odstrzeliwując w jego stronę przygłusziliśmy go no chw-

łę. Część chłopaków biegła między budynkami, strzelając do własowców, którzy chyłkiem zdążali w kierunku tego cekaemu. Pomieszali się z nimi tak, że trudno było rozpoznać, kto jest swój, a kto wróg. Z pozostałymi uderzyłem na cekaem, by ułatwić walkę naszym, na skrzydłach. Ręką wskazałem Janczewskiemu stertę zboża, stojącą obok dużej stodoły, niedaleko nieprzyjacielskiego cekaemu.

– Pociągnij!

Janczewski sygnął krótką serię świecących kulek po stercie i wnet wąskie języki ognia zaczęły tańczyć po niej, a w kilkanaście sekund później cała stanęła w płomieniach. Ogień przesunął się na słomianą strzechę stodoły. Zrobiło się widno jak w dzień. Dopiero wówczas zorientowaliśmy się, że mieliśmy przed sobą nie jeden, lecz trzy ciężkie karabiny maszynowe, w dodatku wszystkie dobrze okopane. To był przełomowy dla całej wyprawy etap walki, którego wynik mógł zdecydować o wszystkim. Tymczasem znaczna część mojego lewego skrzydła, które powinno już być w przedzie i uderzać na kolejne zagrody, znajdowała się na jednej linii z prawym skrzydłem – i pozostawała niemal beczynna. Zawołałem głośno, by szli do przodu mijając bokiem cekaemy. Warszawiacy w mig pojęli, o co chodzi i ruszyli naprzód. Widać ich było w świetle pożarów, jak przygarbieni, biegiem mijają gniazdo cekaemów i znikają w ciemnej plamie terenu nie objętego jeszcze łuną.

Po chwili z przodu, w sporej odległości od nas zagrała broń maszynowa i huknęły granaty. To był znak, że lewe skrzydło przystąpiło do realizacji wyznaczonego zadania. Jednocześnie przy cekaemach trwała walka na śmierć i życie. Kotłowanina nie do opisania! Jedni bili z cekaemów i „rozpylaczy” po okopie, inni z granatami czołgali się w tamtą stronę. Trzy sanitariuszki w białych kitlach uwijały się wśród walczących, wyprowadzając rannych spod kuł. Na ziemię padł zabity starszy ułan Januszek – Jan Łukaszewicz.

Własowcy bronili się zaciekle. Bili z cekaemów i ciskali przed siebie granaty. W pewnej chwili wystrzelili w górę kilka czerwonych rakiet, znak wzywania pomocy. Tymczasem pożary rozprzestrzeniły się w całej wsi, ogień buszował po obu stronach ulicy.

Nadciągał drugi pododdział, który przedtem wyprzedziliśmy. Poznaliśmy go po odgłosach wystrzałów i zawołaniu hasła „Sobota, Sobota” (od nazwiska naszego Berlingowca).

Nagle z płonącego budynku wypadło czterech własowców pędząc prosto na nas z podniesionymi w górę rękami. Wszyscy bosy, jeden z nich trzymał w ręku jakąś książkę. Zawołał po rosyjsku:

– Nie ubiawajcie mienia. Pracztitie maju knigu!

Dobre sobie! Akurat mamy czas na lekturę jego „knigi”. Doskoczył do nich Jastrząb z Zarembą, pociągnęli z automatu. Tymczasem kilku chłopakom udało się podczołgać do cekaemów i obrzucić ich okopy granatami. Poskutkowało natychmiast. Gniazda ziejące ogniem zostało wreszcie zniszczone.

Rwiemy teraz na prawo, ukośnie do ulicy, by połączyć się z chłopcami Berlingowca – Soboty. Wieś stoi w ogniu. Miejscami z płonących budynków bucha taki żar, że z trudem przechodzimy pomiędzy nimi. Pot zalewa oczy, dym dławi i tamuje oddech w piersiach przygotowując o zawrót głowy.

Wszędzie napotykaliliśmy własowców, którzy teraz prawie się nie bronili. Sparaliżowani śmiertelnym lękiem, a może pijani kręcili się jak nieprzytomni i zamiast podjąć walkę lub uciekać w pole – usiłowali szukać schronienia w ciemnościach. Choć prawdę mówiąc uciekać nie mieli gdzie, gdyż z jednej strony znajdowała się puszcza, gdzie nasi tylko tam na nich czekali, zaś z trzech pozostałych stron zostali zaatakowani.

W pewnym miejscu ulica rozszerzała się tworząc niewielki placyk. W tym miejscu spostrzeżliśmy coś, co wywołało naszą radość. Oto w cieniu starych drzew stała armata, prawdziwa „polówka”, siedemdziesiątka piątka. Obstąpiliśmy ją wokół, oglądaliśmy ze wszystkich stron, macając jak rzeźnik krowę. Sprawdzaliśmy czy jest sprawna. Wszystko miała, co powinno mieć każde porządne działo. Brakowało tylko przodka i koni. Próbowaliśmy ciągnąć działo, jedni pchali, inni usiłowali je uruchomić stając na szprychy kół. Ale nic z tego nie wychodziło. Aż tu nagle jak na zawołanie zjawili się dwaj moi ułani prowadząc ze sobą dwa konie, które ciągnęły duży, mocny przodek na gumowych kołach. Jednym z nich był Longin Chimorodo, nazwiska drugiego nie pamiętam.

— Hurra! – zawołaliśmy gromko. (...)

Od żołnierzy podchorążego Groma działo przejął plutonowy Zaremba z ludźmi porucznika Jastrzębia, doprowadzając je do Zaborowa Leśnego, a potem do Wiersz.

Łącznik dowódcy pułku Palmiry – Młociny ułan Niedźwiedz – Stanisław Myślicki, po akcji z przejściem opowiadał o nocnym wypadzie:

– Podchodzimy na ich zaplecze, zgięci wpool, po cichutku, jak koty. Jesteśmy tuż tuż. Nagle trrrr... trrr! Kule karabinu maszynowego zagwizdały nad głowami. Pierwsza myśl: – Cholera wzięła całe zaskoczenie.

Okazało się jednak, że była to seria skierowana nie w nas, a w las. Ot, tak sobie, na wszelki wypadek. Co nocy tak strzelali, by dodać sobie animuszu. W dębince wyprostowaliśmy kości. Nikt nas dotąd nie zauważył, więc dobra nasza. Teraz naprzód do piaszczystych wydm przylegających do zabudowań na skraju wioski. Dolina wyznaczył kierunek uderzenia. Z nami są najlepsi dowódcy z piechoty. Idziemy trójzębem. Pierwszą grupę prowadzi por. Lawa, drugą por. Jastrząb, trzecią por. Wulkan. Dochodzimy zabudowań i nikt nas nie pyta, kto, po co? Idę z Doliną i z Zemstą. Jakiś starzec wyciągnięty z piwnicy mówi, że przed wieczorem przyszedł do ich wsi drugi batalion. O huncwoty. Przed nami tysiąc ludzi. W osiemdziesiątkę nie damy chyba rady? Dolina jednak nie zrezygnował. Idziemy naprzód. Pod dziką gruszą przed nami, ze dwadzieścia metrów gniazdo ich cekaemu. Nareszcie raczyli nas spytać: – Chto idiot?

Dolina cisnął granat. Z ubezpieczeniem załatwiliśmy się raz dwa, ale z chałup wybiegali już rozbudzeni hukiem własowcy. Od zapalających kul zajęło się kilka zabudowań. Widno jak w dzień. Ukraińcy nie zorientowali się jeszcze, co się stało. Niektórzy wybiegają w białych gatkach, bez broni. Nie od razu nas poznali. Pytają zdenerwowani: – Czto słucziłość? Co się stało? Inni w popłochu strzelali, nie wiedząc co się stało, jedni do drugich. Byli pijani. Trójklinem wbiliśmy się w rozbudzoną nagle wieś. Rozbiegamy się po całej wsi. „Sobota, Sobota!” – skandujemy hasło rozpoznawcze, by jeden do drugiego nie strzelał. Tamci wreszcie oprzytomnieli, próbują zorganizować obronę, jest już jednak za późno. Nie widząc ratunku, zaparli się w stodołach i piwnicach. Ostrzeliwują nas z góry i z dołu. Bez skutku. Zemsta miał doskonałą okazję, by pomścić śmierć zamordowanego przez nich syna.

Zaatakował samotnie własowców, którzy nie zdążyli zamknąć drzwi, wrzucając do środka wiązkę granatów. W innym miejscu ułan Bąk, popularnie zwany Leszkiem Białym, z podchorążym Gromem i grupką partyzantów dopadł piwnicy, w której był ich sztab. Bąk długimi seriami ognia z automatu zniszczył wpierw załogę erkaemu, osłaniającą swych dowódców, a wówczas wybicie sztabu do nogi było już fraszką. Przebiegaliśmy właśnie z Doliną i granatami wykończyliśmy pozostałych.

Droga wiodąca środkiem wsi Truskaw stała cała w ogniu, sprawiała wrażenie długiego tunelu, którego sklepienie tworzyły płomienie. Z sierżantem Zarembą dopadliśmy stanowiska dział połowych, przy których manipulowały załogi. Nowa wiązka granatów przesądziła o ich losie. Kilku ludzi już odciągało jedno ze zdobycznych dział. Starszy wachmistrz Czerwiński, którego od sumiastych wąsów zwaliśmy „Sumem”, z narażeniem życia wybierał z ogarniętych płomieniami wozów pociski do zdobycznego działa. Gdyby było czym podciągnąć, moglibyśmy zgarnąć kilkanaście dział. Ale nie mieliśmy zaprzęgu. Trzeba było całą tę zdobytą artylerię zniszczyć! Po paru godzinach, koniec walki. To był prawdziwy „Blitzkrieg”. We wsi nie pozostał ani jeden własowiec. (...)

Wydawało się, że bój o zlikwidowanie batalionu nieprzyjacielskiego w Truskawiu, który nieoczekiwanie przepoczwarzył się w dwa bataliony, miał się już ku końcowi, gdy nieoczekiwanie na przeciwległym krańcu wioski wybuchła gwałtowna strzelanina. Przez chwilę można było pomyśleć, że rozbitym nieprzyjacielskim batalionom przybyły na pomoc posiłki. Tak jednak nie było

– Na końcu wsi – wyjaśnia porucznik Dolina w książce pt. „Drogi Cichociemnych” – stało kilkadziesiąt wozów z amunicją. Były to tabory batalionu, który przybył do Sierakowa minionego popołudnia. Nie zdążono nawet powyprzęgać koni. Do tej chwili stały przy dyszlach. Ogień objął już sąsiednie zabudowania i zaczął przerzucać się na wozy. Konie rżąc przeraźliwie rzucały się płacząc uprząż. Gdy większość wozów amunicyjnych zaczęła płonąć – wybuchy stawały się tak częste, iż można było odnieść wrażenie, że oto gdzieś w pobliżu rozpoczęto przygotowania artyleryjskie przed wielką ofensywą. (...) Już cała wieś stała w ogniu. Hulał po krokwiach dachów, niszczył dobytek gospodarski. Droga biegnąca środkiem wsi wyglądała jak tunel, którego sklepienie tworzyły płomienie. Wybuchy pocisków na wozach stojących po obu stronach drogi robiły z daleka wrażenie sztucznych ogni. Nie mogłem odzalać stosów marnującej się amunicji. Nie można jej było jednak w żaden sposób wywakuować, gdyż dojście do wozów było zamknięte przez ścianę ognia. Dochodziła godzina czwarta — najwyższy czas do odskoku. I tak zabawiliśmy tu zbyt długo. W odległości niecałych dwóch kilometrów od Truskawia były inne niemieckie oddziały. Na nasze szczęście, w ciągu trzech godzin nie kwapiły się jakoś z odsieczą. Nie było też nic słyhać od strony Sierakowa, dokąd poszedł major Okoń. (...)

O wypadzie majora Okonia – Alfonsa Kotowskiego pod Sieraków w czasie, gdy Dolina atakował Truskaw, jakoś dyskretnie nie wspomina się w powstańczej literaturze.

W tym samym czasie, gdy Dolina wyruszał z Wiersz na wypad do Truskawia, major Okoń przybył na pozycje ułanów 3 szwadronu pod Pocięchą i rozkazał dowódcy szwadronu, by wydzielił z każdego plutonu po dwie spieszone grupy, na czele których miał uderzyć na pozycje nieprzyjaciela pod Sierakowem. – Porucznik Dolina – zwrócił się do dowódcy 3 szwadronu – zaatakuje po północy Truskaw, ja pójdę z pana szwadronem na Sieraków. Wymarsz dzisiaj o godzinie 23.00 w nocy. Szwadron uderzy wprost na pozycje nieprzyjaciela.

Dowódca szwadronu radził majorowi obejście określonym marszem Sierakowa i uderzenie na nieprzyjaciela od tyłu lub z flanki. jednak dowódca Grupy Kampinos decyzji swej nie zmienił.

Wachmistrz podchorąży Sum – Narcyz Kulikowski – wspomina autor „Na koniu i pod koniem” – kazał mi ściągnąć z „Westerplatte” cały I pluton, zostawiając tam tylko załogę elkaemu kaprala Piszczka.

Przed północą wychodzimy z lasu rozwiniętą tyralierą. Księżyc świecił prosto w oczy, jasno jak w dzień. Nie łatwo będzie w otwartej przestrzeni zaskoczyć przeciwnika.

Maszerujemy lekko pochyleni do przodu. Widzimy już wyraźnie piaszczyste pasmo usypiska ciągnące się zygzakiem przed wioską. Jeszcze sto metrów, osiemdziesiąt, pięćdziesiąt...

Czyżby ci przed nami spili się na umór?

Dowódca szwadronu dał znak ręką. Przystajemy – Coś mi się to nie podoba – mruknął do siebie. I głośno wydał rozkaz: – Za mną!

Na karabinach sterczą bagnety tych, którzy je mają. Biegniemy w milczeniu oszczędzając „hurra!” na pierwszą skierowaną w nas serię. Ale cisza trwa nadal. Jesteśmy już na nasypie, wskakujemy do okopów...

– Uważajcie na „żabki” – woła Narcyz. „Żabki” to małe miny przeciw piechocie.

– Jedna taka może oderwać całą nogę – wyjaśniał Bolek Mostowski, dowódca I plutonu.

– I to nawet z kawałkiem tyłka – dodał zastępca dowódcy szwadronu Płaz – Czesław Juchniewicz.

– Psiakrew! – zaklął Czarny Kajetan z III plutonu. – Aleśmy się dali nabrać!

Istotnie! Zdobyliśmy wprawdzie bez wystrzału pozycje nieprzyjaciela, ale... puste.

Własowcy są jednak na pewno we wsi. Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, dopadniemy ich. Dochodzimy do pierwszej zagrody. Cisza. Rozbudzony gospodarz wyjaśnia, że po południu tego dnia żołnierze RONA zdjęli z okopanych pozycji działa i odjechali w kierunku Truskawia.

Major Okoń nakazał powrót na stanowiska wyjściowe. Niemal w tej samej chwili doszła do nas gwałtowna kanonada od strony Truskawia. Odgłos wystrzałów tu, z odległości trzech kilometrów, sprawiał wrażenie przesypywania kartofli do wielkiej drewnianej skrzyni. Tam też na niebie wykwitła różowa plama łuny. (...)

Gdyby batalion RONA nie opuścił za dnia swych stanowisk pod Sierakowem, wyprawa majora Okonia na czele pół szwadronu trzeciego (część ułanów musiała pozostać przy koniach, część na pozycjach bojowych przed Pociechą) wprost na pozycje nieprzyjacielskie, zakończyła by się podobną masakrą, jaka miała miejsce podczas dwukrotnych ataków oddziałów piechoty, dowodzonych przez majora Okonia, na Dworzec Gdański w Warszawie. Trzeci szwadron przestałby istnieć.

Bez dobrego rozpoznania, a przede wszystkim nie wykorzystując manewru zaskoczenia, co było w warunkach partyzanckich najistotniejszym atutem, skąpo uzbrojeni ułani w broń maszynową, która w większości musiała pozostać pod Pociechą, nie mieli żadnych szans na osiągnięcie powodzenia, w walce z okopanym przeciwnikiem, dysponującym licznymi gniazdami broni maszynowej i ciężkiej broni piechoty.

Przed natarciem major Okoń zdecydowanie odrzucił propozycję dowódcy 3 szwadronu wachmistrza podchorążego Suma – Narcyza Kulkowskiego, aby ułanów pół szwadronu posadzić na koń, by okrężnym marszem zająć nieprzyjaciela od strony Warszawy, tam pozostawić konie i w spieszonym szyku uderzyć w miejscu, z którego ataku najmniej by się spodziewał.

Major Okoń nie pozwolił sobie na tego rodzaju uwagi, uciął dyskusję słowami:

– Rozkaz wykonać!

Dopiero w dniach następnych mieszkańcy Truskawia i sąsiednich wiosek poinformowali partyzantów, że własowcy wywieźli z pola walki i pogrzebali ciała około 250 swoich żołnierzy. Jeszcze więcej miało być rannych. Jednak i Doliniacy ponieśli straty: 10 poległo, i tylu zostało

ranych. Zginęli strzelcy: Brązowy – Jerzy Woźniak, Kri, Karol Piesewicz, Jerzy Zawadzki; starsi strzelcy: Serwer – Kazimierz Jan Jarkowski, Jan Łukasiewicz, Kazimierz Szczerbiński, kapral Jan Szostak oraz podporucznik Tur – Marcin Taszkan.

Do obozu warownego zgrupowania w Wierszach przetransportowano cenną zdobycz: 5 cekaemów, 13 erkaemów, 2 ciężkie moździerze, 16 pistoletów maszynowych, jedno działo 75 mm, 48 karabinów, 10 tysięcy sztuk amunicji, radiostację z akumulatorami, 11 koni, 6 wozów z żywnością i umundurowaniem. Pozostały sprzęt: kilka dział, wśród nich działo 105 mm i sześćdziesiąt nieprzyjacielskich karabinów zniszczono, wysadzono w powietrze około 30 wozów z amunicją. Pod Truskawiem żołnierze naliboccy zasileni ochotnikami z okolic podwarszawskich i z samej Warszawy powtórzyli swój sukces spod Iwieńca, gdzie równie brawurowym atakiem rozbili silnie uzbrojony niemiecki garnizon.

WYPAD UŁANÓW NA MARIANÓW

Przed wymarszem ochotników na zwycięską wyprawę na Truskaw porucznik Dolina polecił dowódcy 27 pułku ułanów chorążemu Nieczajowi – Zdzisławowi Nurkiewiczowi przygotowanie uderzenia na jedną z miejscowości obsadzonych przez Niemców na południowym skraju Puszczy Kampinoskiej w okolicach Leszna. Chodziło o to, by utwierdzić niemieckie dowództwo w przekonaniu, że na terenie puszczy działają wielotysięczne oddziały partyzanckie.

Major Okoń uzależnił wyrażenie zgody na tę akcję od pomyślnych wyników natarcia na Truskaw, których zresztą nie oczekiwał, z czym się wcale nie krył.

Dowódca puszczańskiej kawalerii polecił swemu zastępcy podporucznikowi Dąbrowie – Zygmuntovi Kocowi dokonanie rozpoznania, wytypowanie odpowiedniej wioski nadającej się do skutecznego uderzenia i taktyczne opracowanie planu natarcia.

Zygmunt Koc, ukończył średnią szkołę rolniczą, odbywając praktykę w różnych majątkach. W latach 1930–31 Koc zdobywał szlify wojskowe w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, otrzymując następnie – już jako podporucznik – przydział do 13 pułku ułanów wileńskich. Na rok przed wojną ukończył oficerski kurs przeciwpancerny.

W kampanii wrześniowej dowodził IV plutonem kawalerii dywizyjnej 20 Dywizji Piechoty. Wieczorem 3 września 1939 r. został ciężko ranny i uznany za zabitego. „Pośmiertnie” rozkazem generała Rommła z 29 września 1939 r. otrzymał Krzyż Walecznych. Tymczasem podporucznik Koc znalazł się w ambulansie kolejowym. W dniu 6 września 1939 roku pociąg, którym jechał, został zbombardowany na stacji kolejowej w Kutnie. Koc po raz drugi doznał poważnych ran. Obecny na miejscu ksiądz kapelan dał mu nawet ostatnie namaszczenie sądząc, że nie przeżyje.

Po kampanii wrześniowej Koc uniknął niewoli. Znalazł pracę w majątku Frąckiewiczów w Wilkowie, miejscowości leżącej na obrzeżu Puszczy Kampinoskiej i zaangażował się całym sercem w konspiracyjną działalność w Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. W krótkim czasie zorganizował konspiracyjny pluton kawalerii, na czele którego, po wybuchu Powstania Warszawskiego dołączył do 27 pułku ułanów AK.

Wykonując zadanie wyznaczone przez porucznika Dolinę, przekazane mu do wykonania przez dowódcę pułku chorążego Nieczaja, jego zastępcą podporucznik Dąbrowa wraz ze swym luzakiem ułanem Romanem Łojko i plutonowym Witoldem Rudnikiem po południu 31 sierpnia 1944 roku, dotarł do wsi Marianów. Za pierwszą z brzegu stodołą zostawił patrol z końmi, sam udając się do chaty. Na jego widok z domu wybiegły kobiety z dziećmi uciekając w pole. Zatrzymał jedną z nich, lecz z beładnej płataniny jej słów niewiele zrozumiał. W głębi chaty zastał mężczyznę, który poinformował, że Niemcy zajmują właśnie kwatery w tej wsi i przed chwilą wyszli z jego domu udając się do sąsiadów.

Niezauważony przez nieprzyjaciela patrol porucznika Dąbrowy wycofał się do pobliskiego lasu. Wniosek był prosty: jeśli Niemcy w ciągu dnia nie dostrzegli trzech uzbrojonych jeźdźców, to nocą będzie tu można przyprowadzić cały szwadron.

Po zapadnięciu nocy Dąbrowa w towarzystwie ułana z jego plutonu, leśnika Gajowego – Waclawa – Żebrowskiego, udał się do wsi, by dokładnie zbadać rozkwaterowanie i czujność nieprzyjaciela. Przypominało to niemal harcerskie podchody z lat chłopięcych. I tym razem dopisało im szczęście, gdyż trafili do gospodarstwa nie zajętego przez Niemców. Jak się dowiedzieli, w Marianowie rozlokował się silny oddział własowców. Udało się dokładnie rozpoznać miejsca zakwaterowania przeciwnika.

Po powrocie do Krogulca – siedziby dowództwa 27 pułku ułanów – Dąbrowa sporządził dokładny szkic sytuacyjny. Wynikało z niego, że w Marianowie stacjonują własowcy w sile dwóch kompanii. Ubezpieczone były one od strony północnej i wschodniej. Od południa nie wystawiono nawet straży zapewne dlatego, że o kilometr dalej, we wsi Grądy stacjonowała silna jednostka niemiecka. Również we wsi Powązki, położonej niewiele dalej na zachód od Marianowa – znajdowały się wojska nieprzyjacielskie. Na tym kierunku również nie wystawiono ubezpieczenia.

Zaraz po powrocie Doliniaków ze zwycięskiego boju w Truskawiu porucznik Dolina uzyskał zgodę majora Okonia i zaakceptował przedstawiony mu przez chorążego Nieczaja plan natarcia na Marianów. W tym czasie, żołnierze RONA zagospodarowywali się w tej wsi, okopując się rowami obronnymi. Podporucznik Dąbrowa przeprowadził dwa kolejne rozpoznania i stwierdził, że poza tym nic się nie zmieniło. Od strony Grąd i Powązek nadal nie wystawiano ubezpieczeń. Uderzenie powinno, więc pójść właśnie z tego kierunku.

3 września 1944 roku, o godzinie 20.00 osiemdziesięciu ułanów uzbrojonych głównie w broń maszynową, w większości dobranych z drugiego, a tylko częściowo z czwartego szwadronu (1 szwadron ubezpieczał zgrupowanie; 3 szwadron był jeszcze na pozycjach pod Pociechą), wyruszyło na akcję. Oddział zatrzymał się w lesie między Grabiną a folwarkiem Julinek, nieopodal Leszna. Tam ułani zsiadli z koni i okrężnym marszem, nadrabiając trzy – cztery kilometry, niepostrzeżenie przeszli między wioskami obsadzonymi przez nieprzyjaciela, by zatrzymać się bezpośrednio na tyłach Marianowa. dwudziestu koniowodnych pod dowództwem szefa szwadronu starszego wachmistrza Aleksandra Bohuna pozostało przy koniach, natomiast pozycje wyjściowe do ataku zajęło pozostałych 60 ułanów.

Już wcześniej podporucznik Dąbrowa, na rozkaz dowódcy pułku, podzielił pół szwadronu na siedem grup, to jest na tyle, ile domów w Marianowie zajęli własowcy. Dowódcami tych grup zostali wyznaczeni, zaprawieni w walkach podoficerowie: zastępca dowódcy drugiego szwadronu plutonowy Konstanty Downar, plutonowy Łotysz – Jan Lewicki, plutonowy Antoni Czarny, plutonowy Hipolit Żywicki, plutonowy Stanisław Krajewski, kapral Świerk – Stanisław Wołosewicz i kapral Michał Mikucki.

Z pierwszą grupą poszedł Dąbrowa, z ostatnią Nieczaj. Sygnałem do rozpoczęcia akcji miała być rakiet zielona, a do zakończenia biała.

Planowano rozpoczęcie akcji przed wschodem księżyca, tuż po północy. Tymczasem dochodziła już godzina trzecia, księżyc był bliski pełni i oświetlał całą okolicę. Cele ataku widać było jak na dłoni. Wokół panowała absolutna cisza, wieś spała mocnym snem, nawet żaden pies nie zaszczekał. Również placówki nieprzyjaciela nieopodal, których partyzanci z powodzeniem przekradali się w odległości niespełna dwustu metrów, wydawały się jak bez życia.

Nagle padł strzał i w niebo z sykiem poszybowała zielona rakiet. W tej samej chwili spieszeni ułani ruszyli do natarcia. Każda z sekcji uderzyła na uprzednio wyznaczone gospodarstwo otwierając gwałtownie ogień. Uwijali się: wachmistrz Maraton – Michał, Mikucki, kapral: Czarny – Józef Mikucki, starsi ułani: Klik – Jan Minciel, Rafał Dek, Albert Mikucki, Józef Traszczyn, Marian Owczarski, Władysław Wróbel, Jan Mucha, Zenon Dżem, Józef Stal, Jan Plewa, Stanisław Byczkiewicz, ułani: Józef Żywiczno, Sęk – Franciszek Rejowski, Emil Borysewicz, Marian Buraczyński, Franciszek Czyczynis, Edward Żabuchlicki, Antoni Chrupek, Antoni Downar, Aleksander Hołołup, Czesław Jankowski, Ryszard Ostapiej, Albin Draczyński, Józef Zawierko, Wiktor Krajadło, Stanisław Handorowicz...

Walka trwała około pół godziny, ułani przeszli przez wioskę jak huragan strzelając do wybiegających z chat, w kalesonach i koszulach, półprzytomnych nagłym zerwaniem ze snu włośców, zgarniając niby mimochodem cały ich pluton do niewoli.

Uderzenie zakończyło się pełnym sukcesem. Zabierając ze sobą zdobytą broń, partyzanci natychmiast po wystrzeleniu przez Dąbrowę białej rakiety – sygnału zakończenia akcji – zawrócili prosto na las, gdzie pozostawili konie. Tymczasem tam, skąd przyszli, strzelanina rozgorzała na dobre. To odezwały się, natychmiast po pierwszych strzałach, wzmocnione niemieckie placówki w Powązkach, Grabinie i innych miejscowościach, kierując ogień karabinów maszynowych na Marianów, skąd po wycofaniu się Polaków usiłowały wydostać się z pogromu niedobitki dwóch kompanii włośców.

Nad Marianowem stała się łuna pożaru. W walce zginęło około sześćdziesięciu włośców i Niemców, dwudziestu czterech wzięto do nie-

woli, zdobyło dwa erkaemy, siedem pistoletów maszynowych, kilka koni z siodłami i kilkadziesiąt karabinów. Spośród ułanów zginął starszy wachmistrz Bogusz – Aleksander Kraszewski z czwartego szwadronu, zaś rany odnieśli starszy wachmistrz Konstanty Downar, wachmistrz Świerk – Stanisław Wołosewicz, kapral Kazimierz Jankowski, Konstanty Skrzetuski i Marchewka – Józef Sosnowski.

Niebawem okazało się, że pogrom włośowców, którzy tak okrutnie dali się we znaki mieszkańcom okolic Warszawy, był całkowity. Po trzech dniach walki partyzanci mogli teraz odetchnąć z ulgą, po zadanych Niemcom ciosach.

W kilka dni później w ręce podporucznika Dąbrowy wpadł podoficer z oddziału Własowa i kilku Kazachów. Wzięto też do niewoli Kazacha w stopniu kapitana.

Dąbrowa zaproponował porucznikowi Dolinie wykorzystanie tego kapitana do pertraktacji z batalionem Kazachów stacjonujących w dużej i bogatej wsi Czarnowo. Major Okoń nie sprzeciwił się. W tym czasie sowieccy żołnierze, którzy zbiegli z niemieckiej niewoli i dołączyli do „Grupy Kampinos” pisali po rosyjsku ulotki wzywające żołnierzy RONA do przechodzenia na stronę polskich partyzantów, co jeszcze bardziej zwiększyło stan demoralizacji w szeregach przeciwnika. W ciągu tygodnia w małych partiach zgłosiło się do Wiersz kilkudziesięciu żołnierzy RONA, deklarując chęć walki z Niemcami.

Rozmowy z batalionem kazachskim okazały się pomyślne. Doszło do tego, że ustalono już dzień i godzinę, kiedy to Kazachowie zlikwidować mieli swoich niemieckich dowódców i przejść do kwater partyzantów polskich. Na ich spotkanie porucznik Dolina pojechał z trzecim szwadronem. Okazało się jednak, że Niemcy zbyt wcześnie zorientowali się w sytuacji, w wyniku czego batalion został rozbrojony, a Kazachów osadzono za drutami obozu w Ożarowie.

W dniu 4 września 1944 roku II szwadron, bez strat własnych, rozbił patrol niemiecki w sile trzydziestu żołnierzy koło wsi Łubiec, zabijając pięciu Niemców i czterech biorąc do niewoli. Zdobyło erkaem i cztery karabiny.

Dzięki takim akcjom i wskutek rozbrojenia przez samych Niemców części ich sojuszników, w pierścieniu wojsk niemieckich otaczających Puszcę Kampinoską powstała wielka wyrwa, przez którą Doliniacy uzyskali otwartą drogę na południe.

Nazajutrz, niemiecka artyleria ostrzelała z Leszna miejsce postoju kawalerii w Kiścinnem i Krogulcu. Jednak pociski przenosiły, rozrywając się kilkaset metrów dalej w zagajnikach i bagnach, nie wyrządzając ludziom ani koniom żadnych strat.

DOLINA ZNÓW ATAKUJE

Jeszcze przed uciążliwymi bojami pod Pociechą, komendantka zwiadu dalekiego zasięgu podporucznik Sowa – Zofia Skonieczna (Kozłowska) sygnalizowała, że w miejscowości Piaski, miejscowości leżącej nieopodal Wisły odległej trzydzieści kilometrów od Wiersz, Niemcy przygotowują się do budowy trzech „niskowodnych” mostów pod Wyszogrodem. Miały być one przerzucone przez Wisłę na lewy brzeg rzeki w wypadku odwrotu wojsk niemieckich z frontu na Bugo–Narwi. Major Okoń zgodził się na propozycję porucznika Doliny, by dokonać głębokiego wypadu na północny zachód od Wierszy, za drugie pasmo lasów kampsinoskich i pokrzyżować te niemieckie plany.

Ubezpieczając rozpoznanie II pluton 3 szwadronu pod dowództwem wachmistrza Bronka – Brunona Dawidowskiego dotarł do Wisły opanowując barkę rzeczną obsadzoną przez trzech Niemców. Nie spodziewając się nad samą Wisłą polskich żołnierzy dali się zaskoczyć wachmistrzowi Broniowi oraz kapralom Osie – Stanisławowi Borysewiczowi i Jarmułkiewiczowi.

Dowódca plutonu nawiązał kontakt z Polakami wcielonymi do organizacji Todta. Ustalono, że tartak w Piaskach był obsadzony przez trzydziestu esesmanów dozorujących tak zwany Baudinst, to jest służbę budowlaną, w której pracowali uzbrojeni ludzie z organizacji Todta, składający się obok Niemców z Francuzów, Belgów, Holendrów i dwóch Polaków. Wszyscy byli umundurowani. Polacy z Todta narysowali dokładne szkice budynków gospodarskich i ochronnych, opisali czas zmiany wart i wszystkie szczegóły dotyczące rozmieszczenia sił nieprzyjaciela. Później, bezpośrednio przed akcją, o oznaczonej godzinie obaj oni dołączyli do polskich partyzantów.

Na polecenie porucznika Doliny udali się do tartaku przebrani w cywilne ubrania porucznicy Lawa i Wulkan, by osobiście potwierdzić te dane. Wszystkie informacje zgadzały się, co do joty.

O zmroku, w dniu 6 września 1944 roku wyruszyła partyzancka wyprawa na Piaski. Do udziału w niej wyznaczono pierwszy szwadron wachmistrza Wołodujowskiego–Jana Jakubowskiego i czwarty szwadron porucznika Jawora – Aleksandra Pietruckiego – oba pod dowództwem chorążego Nieczaja, pluton zwiadowców podchorążego Groma – Józefa Bylewskiego, szwadron cekaemów pod dowództwem porucznika Jara–Jarosława Gąsiewskiego i pluton lotniczy pod dowództwem porucznika Lawy, który po włączeniu nowych ochotników rozrósł się do kompanii. Jak zwykle w podobnych wypadach, jako ochotnicy „zabrali się” również porucznik Dąbrowa, porucznik Jastrząb z plutonowym Zarembą, wachmistrz Kulikowski, z nieodłącznym Żbikiem, który po walkach pod Pocięchą i Kiścinnem awansowany został na starszego ułana oraz luza–kiem Stanisławem Sadowskim.

Całością wyprawy dowodził jadący na czele oddziału porucznik Dolina. Przed tartakiem zatrzymał kolumnę i jeszcze raz przypomniał poszczególnym dowódcom ich zadania, a następnie oddziały wyszły na wyznaczone pozycje wyjściowe.

Szwadron cekaemów miał zaatakować budynki ochronne i gospo–darcze oraz ostrzelać tartak. Pod osłoną karabinów maszynowych żoł–nierze porucznika Lawy mieli opanować wartownię i halę tartaku. Z prze–ciennej strony przygotować się mieli do uderzenia spieszeni ułani z zada–niem opanowania składu amunicyjnego i baraków mieszkalnych. Natar–cie ruszyło 6 września, kwadrans po północy. Uderzenie było gwałtowne i jednoczesne ze wszystkich kierunków. Czwarty szwadron nacierał od strony, gdzie budynki gospodarcze tworzyły ścianę z dwiema małymi wyrwami silnie bronionymi przez niemieckiego erkaemistę. Porucznik Dąbrowa, który znajdował się przy swoim plutonie, wraz z plutonowym Janem Paskiem podpalił jeden z budynków. Łuna oświetliła rozległy te–ren i ułatwiła dalszą akcję. W ciągu piętnastu minut wszystkie wyzna–czone punkty zostały zdobyte. Ujęto Niemca – dyrektora tartaku. Dopro–wadzony do porucznika Doliny wyjaśnił szczegółowo, co wytwarzano w tartaku, ilu było Niemców z osławionego oddziału Todt, gdzie byli oni rozlokowani. Właściwie potwierdził wszystko to, co wcześniej ustalili partyzancki wywiad.

Nagle z tartaku rozległy się strzały. Dolina polecił podpalić go. Sier–żant Kula – Kazimierz Puchacewicz, wziął głównię z palącej się sterty desek, podbiegł do szczytowej ściany tartaku, następnie doskoczył do

frontowych drzwi i oparł o nie płonąca żagiew – dosypując trochę suchej kory. Płomień natychmiast ogarnął drzwi, aż po dach. Wracając Kula usłyszał za stosem belek szmer. Sam będąc w cieniu – zauważył niemieckiego żołnierza skradającego się kocim krokiem do porucznika Doliny przesłuchującego nadal dyrektora tartaku. Nie namyślając się postąpił serię w jego stronę. Niemiec padł. Dolina błyskawicznie odskoczył zauważając przy tym drugiego skradającego się Niemca. Strzelił. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

W wyniku tej akcji w Piaskach zabito trzydziestu pięciu Niemców. Ludzie z organizacji Todt przeszli na stronę partyzantów. Zdobyto trzy cekaemy, kilka elkaemów i erkaemów, kilkadziesiąt karabinów i kompletne umundurowane dla 80 ludzi. Tartak ze wszystkimi zabudowaniami i materiałami, w tym również przygotowane już konstrukcje trzech niskowodnych mostów – spalono.

W walce tej, ze strony polskiej zginęli plutonowy Grzmot – Władysław Wilniewicz i Francuz strzelec Toni. Ciężko ranni zostali podporucznik Domek – Stefan Iwanowski, starszy wachmistrz Mik – Józef Samotyja – Lenczewski szef dowództwa 27 pułku ułanów, plutonowy Wicher – Wincenty Roman i sierżant Ireneusz Głowacki, któremu trzeba było amputować rękę.

ODDZIAŁY Z LEGIONOWA W KAMPINOSIE

W dniu 6 września 1944 roku przez Wisłę przeprawiły się dwa oddziały legionowskie pod dowództwem porucznika Znicza – Bolesława Szymkiewicza i podporucznika Soplicy – Stefana Ziemińskiego. Do pułku „Palmiry–Młociny” przyprowadziły je łączniczki Ziuta – Apolonia Muszyńska–Szerzysko i Skowronka – Jadwiga Guzowska–Szczerbowska. W jednym z tych oddziałów znajdował się strzelec Burza – Antoni Huczyński, który w dniu 2 sierpnia 1944 r. wraz z pięcioma ochotnikami zgłosił się do oddziału na wezwanie dowódcy plutonu 709 sierżanta Fali–Aleksandra Gierymskiego. W pobliżu szosy Jabłonna–Zegrze ochotnicy od swego dowódcy otrzymali zadanie wykopania dołów na tyle głębokich, by można się było w nich całkowicie schować. Ziemię po wykopach należało rozrzucić tak, by nie było śladu. Każdy z ochotników miał

otrzymać minę przeciwczołgową typu „plasticon” ze zrzutów angielskich. Po przekręceniu gałki w prawo do oporu miny te należało rzucić z wykopanych uprzednio dołów pod nadjeżdżającyczołg. Pozostała część plutonu zajęła stanowiska po drugiej stronie szosy – jako ubezpieczenie i w celu zlikwidowania ewentualnych uciekinierów z zaatakowanychczołgów.

– Kopałem, więc dół – wspomina strzelec Burza – zajadłe jak kret. Saperką rozrzucałem ziemię jak najdalej od siebie. Wreszcie jako pierwszy wykopałem. Zameldowałem zaraz, że ochotnik Burza jest gotów do dalszej akcji. Otrzymałem minę. Jakies to było ciastowate, dziwne, kopalaste, wagi około dwóch kilogramów, z gałką sterzącą prowokacyjnie. Pomyślałem czy w ogóle takim czymś można rozbićczołg, takiego kolosa ze stali. Powróciłem na swoje stanowisko, do mojego dołu, ciasnego, wilgotnego, lecz stwarzającego poczucie bezpieczeństwa. Minę położyłem przed sobą, i w ciemnościach oczekiwałem na „swój”czołg. Tuż przed świtem, gdy wokół zaczęło szarzeć, od czujki otrzymaliśmy sygnał, że na szosie z daleka widać światła. Byłem wysunięty jako pierwszy po prawej stronie. Miałem przepuścić dwaczołgi dla moich sąsiadów, zaś zniszczyć trzeci. Z daleka narastał huk ciężko pracujących silników. Powoli zbliżało się do nas 6czołgów z czarnymi krzyżami. Łoskot, zgrzyt, hałas, drżenie ziemi, swąd wydzielonych spalin to wszystko wypełniło powietrze wokół. Zgodnie z rozkazem przepuściłem dwa pancerne pojazdy i wychyliwszy się z rogu po pas, przekręcając gałkę w prawo, aż do oporu cisnąłem minę pod gąsienice trzeciegoczołgu. Usłyszałem potworny huk i uderzony podmuchem wybuchu upadłem bezwładnie na dno dołu. Nie wiem, kiedy oprzytomniałem. Wyjrzałem, wokół panowała cisza. Na szosie leżała pokrywa wjazdu doczołgu. Byłem oszołomiony, pokrzwawiony na twarzy. Zerwałem się i pobiegłem w kierunku zarośli, gdzie zastałem swój oddział. Opatrzono mnie. Miałem powbijane drobniutkie kamyczki i pył szosy w lewą stronę czoła i twarzy.

7 września 1944 roku wraz z dwuosobowym oddziałem legiionowskim, po przekroczeniu Wisły w rejonie Jabłonna, dotarłem do Puszczy Kampinoskiej. Po krótkim wypoczynku i zreorganizowaniu naszego batalionu otrzymał on nową numerację. Byłem teraz żołnierzem III batalionu, w 6 kompanii, w II plutonie. Całym batalionem dowodził porucznik Znicz. Weszliśmy w skład Pułku „Palmiry–Młociny”, którego dowódcą był porucznik Dolina.

Zostałem, więc i ja, Doliniakiem. (...)

W KWATERMISTRZOSTWIE I NA PIERWSZEJ LINII

W ciągu kilku tygodni od wysłania pomocy dla walczącej Warszawy „Grupa Kampinos” urosła do około trzech tysięcy żołnierzy. Ich wyżywienie, podobnie jak i zapewnienie furazu dla około siedmiuset pięćdziesięciu koni używanych w forsownych marszach wymagało wiele trudu w warunkach pokojowych, a cóż dopiero w partyzanckich. A jednak służba kwatermistrzowska w „Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej” zdawała egzamin. Niezwykłą pomysłowością odznaczał się porucznik Jastrzab – Aleksander Wolski, kwatermistrz Pułku „Palmiry–Młocimy” (jednocześnie zastępca kwatermistrza Grupy „Kampinos”, kapitana Wojtka – Wojciecha Dwornickiego), który wraz ze swym nieodłącznym towarzyszem, plutonowym Zarembą – Antonim Bobikiem nie pomijał też żadnej akcji bojowej.

W szwadronach i kompaniach strawę przygotowywały kuchnie polowe, częstokroć improwizowane, czynne były również prowizoryczne piekarnie. Przy dowództwie pułku ważną rolę spełniała kuchnia sztabowa. Podoficer prowiantowy dbał o dostarczanie produktów, a kierowniczka kuchni, w cywilu urzędniczka państwowa, układała jak najlepsze menu, by zadowolić stołowników. Stół był wspólny dla wszystkich zatrudnionych w sztabie dowództwa pułku. Zasiadali przy nim zgodnie oficerowie, podoficerowie, maszynistki, luzacy, gońcy – wszyscy bez żadnych wyjątków. Różnice w stopniach czy funkcjach ujawniały się tylko w czasie pełnienia służby i na polu walki. W chwilach wolnych wszyscy byli sobie sobie równi.

Oddział łączności dbał o to, by dowódca pułku mógł rozmawiać telefonicznie w każdej chwili z dowódcami pododdziałów. „Wanda” – taki był szyfr porucznika Doliny – miała więc poprzez „Barbarę” stałą łączność z „Haliną”. „Hanką”, „Krystyną”, „Martą”, „Zofią” i „Olgierdem”. Polowa łącznica w „Barbarze” czynna była bez przerwy, co chwila napływały meldunki z placówek ubezpieczeń będących uszami i oczami dowódcy.

W kancelarii sztabowej, której szefował wachmistrz Kula – Kazimierz Puchacewicz, jedna maszyna do pisania wystukiwała bez przerwy rozkazy, raporty, teksty depeš radiowych, zestawienia stanu ludzi, amunicji, koni. Tajne koperty z codziennie zmienionymi hasłami i odzewami

wypisywali zaraz po odprawie plutonowy podchorąży Stanisław Zew i plutonowy Jan Orlina. Obaj byli od dawna przyjaciółmi i żartowano nawet, że przyjaźń ta udzieliła się ich koniom, bo wałach Jasia nie odstępował na krok klaczy Stasia...

Warsztaty szewskie bez przerwy łątały sfatygowane obuwie, krawcy szyli bez przerwy mundury i koszule ze spadochronowego, zielonego jedwabiu. Szczególnie wzorowo służby te pracowały w batalionie porucznika Strzały, który był nie tylko dobrym i walecznym dowódcą, ale i świetnym organizatorem.

W kwatermistrzostwie pracowały ofiarnie Bogumiła Piasecka (jej majątek na kresach był bazą partyzancką, jeszcze w okresie działań w Puszczy Nalibockiej), która otrzymała przydział do 1szwadronu, pani Aleksandra Zujewska z córką Marysią, które otrzymały przydział do trzeciego szwadronu oraz Aleksandra Burdzielowska–Olbrycka i Janina Perlahówna.

Dużym uznaniem i szacunkiem cieszył się pułkowy warsztat rusznikarski, w którym przy pomocy raczej prymitywnych i ograniczonych środków pomysłowy komendant warsztatu plutonowy Józef Bujnowicz, zwany popularnie Józiem wykonywał ze swoją drużyną najtrudniejsze nawet naprawy i przeróbki uzbrojenia. Tam właśnie w ciągu kilku godzin naprawiono uszkodzoną odłamkiem pocisku w walkach pod Pocięchą chłodnicę „Maksima” kaprała Sęka – Franciszka Rejowskiego z I plutonu Łotysza w 2 szwadronie. Józio zajmował się nie tylko uzbrojeniem. W rusznikarni wycinano żołnierzom odznaczonym stopniami równorzędnymi i oficerskimi, gwiazdki z blaszek, robiono też dla ułanów błyszczące i dzwoniące ostrogi. Jeśli trzeba było na warsztat brano uszkodzone, zdobyczne samochody. Powiększający się wciąż park samochodowy, którym kierował porucznik Jan, mieścił się właśnie obok rusznikarni. Pomimo zupełnego braku części zamiennych i urządzeń – rusznikarzom udawało się reperować najbardziej poharatane – i to własnymi kulami – maszyny odbite przeciwnikowi.

Radiostacje nadawcze pracowały przez 24 godziny. Prąd wytworzono pracą własnych nóg kręcąc pedałami rowerowymi dynamo, co w pełni pozwalało przyjmować i wysyłać pilne radiogramy.

Radiodbiornik z głośnikiem w sztabie pułku przy każdej audycji miał wielu słuchaczy. Wolni od służby rezygnowali z wypoczynku, aby dowiedzieć się, co słytać w świecie, a przede wszystkim w Warszawie.

Codziennie po południu ukazywał się drukiem komunikat radiowy z wiadomościami z ostatniej doby – docierając do wszystkich pododdziałów (nakład sto egzemplarzy). Dzięki temu każdy Doliniak miał ogólną orientację o sytuacji w kraju i za granicą.

PARTYZANCKIE AMAZONKI

W Krogulcu, gdzie mieściła się kwatera dowódcy 27 pułku ułanów i szpital polowy Pułku „Palmiry – Młociny” – po każdej walce, sanitariusze i sanitariuszki dowozili lub donosili nowych rannych. Na prowizorycznych posłaniach codziennie leżało ich tam co najmniej ponad dwudziestu. W leczeniu rannych komendantowi szpitala plutonowemu dr Kleszczykowi – Antonieniu Banis, któremu sekundował dzielnie felczer zawodowej służby WP sierżant Aleksander Dembiński pomagały siostry. Im to właśnie wielu zawdzięczało życie. Oto niektóre z nich:

Janina Stefko, pielęgniarka ze szpitala miejskiego w Stołpcach, której mąż nie wrócił z kampanii wrześniowej. Dołączyła ona do oddziału porucznika Doliny (wówczas jeszcze Góry) 1 lipca 1944 r. w Harasimowszczyźnie pod Stołpcami. Wielce ofiarna, fachowo opiekowała się rannymi i chorymi podczas przemarszu Zgrupowania Nalibockiego nad Niemna przez Szczare, Bug i Wisłę aż do Kampinosu – tak samo i w Krogulcu. Śmiertelnie ranna 29 września 1944 r. pod Baranowem odwieziona została przez siostrę Bliznę – Jadwigę Bałabuszko do szpitala w Sochaczewie, gdzie zmarła.

Janina Kuźmińska – dyplomowana pielęgniarka o pogodnym usposobieniu, niezwykle kojąco oddziaływała na swych podopiecznych. Wraz ze swym synem Józefem, sanitariuszem, przebywała w oddziale od czasu rozbicia garnizonu niemieckiego w Iwieńcu. W rozkazie porucznika Doliny z dnia 8 sierpnia 1944 roku otrzymała pochwałę za ofiarną służbę.

W tym samym rozkazie pochwałę za wyróżnienie w walce o lotnisko bielańskie otrzymała również siostra Blizna – Jadwiga Bałabuszko (Sławińska). W Zgrupowaniu Nalibockim była najdłużej. W połowie sierpnia 1944 r. przeniesiona została ze szpitala w Krogulcu do dowództwa pułku w Wierszach.

Czarna Jadzia – Jadwiga Górską, przybyła wraz z koleżankami z Puszczy Nalibockiej. Pełna poświęcenia, w każdej chwili znajdowała

się na pierwszej linii wynosząc rannych pod ogniem karabinów maszynowych z narażeniem własnego życia.

W Puszczy Kampinoskiej do szpitala polowego w Krogulcu dołączyły też inne dziewczęta, które odwagą i ofiarnością nie ustępowały doświadczeniu starszych koleżanek, wśród nich: Sówka – Józefa Plety z domu Felczakówna, z Sochaczewa, łączniczka u majora Korwina, oddelegowana następnie do dowództwa pułku Kora – Anna Wilson, siostra komendanta służby zdrowia Grupy „Kampinos”, Mama – Stanisława Mejsnerowa, nauczycielka z zawodu, która kierowała w szpitalu sprawami gospodarczymi z pomocą córek Halszki – Haliny Mejsner i Danusi – Danuty Mejsner.

Inne dziewczęta walczyły na równi z partyzantami, wykazując się w boju odwagą równą partyzantom, jak ułan Helena Niedźwiecka z 2 szwadronu, czy popularna kapral Stenia – Stefania Burakówna, dowódca sekcji przy dowództwie 27 plutonu ułanów, energiczna, szczupła kobieta z włosami obciętymi po męsku, wręcz „zrośnięta” z koniem, uczestniczka wszystkich akcji bojowych.

Ciężej rannych odwożono do szpitala w Zakładzie dla Ociemniałych w Laskach, gdzie kapelanem był Radwan II ks. Stefan Wyszyński. Rannych eskortowała zwykle najmłodsza z dziewcząt Wera – Weronika Mozolówna. Jeszcze w Stołpcach gdzie mieszkała – była łączniczką komendanta Obwodu AK Świra – Aleksandra Warakomskiego. Przyprowadziła do oddziału porucznika Góry wielu ochotników. Do oddziału dołączyła razem z Janiną Stefko w Harasimowszczyźnie. W oddziale był już wcześniej jej brat Długi – Henryk Mozol, od którego otrzymała zdobytego konia. Natomiast porucznik Kula – Franciszek Rybka przekazał jej siodło. W Krogulcu Wera była łącznikiem – gońcem z zadaniem przekazywania bieżących meldunków od doktora kapitana Kleszczyka – Antoniego Banisa o stanie chorych do dowództwa pułku. Ponieważ skromny personel szpitala nie nadążał z opatrywaniem rannych – w wolnych chwilach wykonywała również funkcję pielęgniarki, ponadto przygotowywała rannym posiłki, prała zakrwawioną bieliznę. Swój pierwszy chrzest bojowy przeszła pod Bielanami w natarciu na lotnisko przenosząc rannych w bezpieczne miejsca na tyłach.

UŁANI – KOWBOJAMI?

W pierwszych dniach sierpnia 1944 rok Niemcy dla swoich potrzeb pędzili liczne stada bydła i trzody chlewnej, a także leśnymi drogami przez Puszcze Kampinoską transportowali inne towary – zboże, cukier, alkohol, papierosy. Obstawa tych transportów nie była wielka, dlatego stawały się one łatwym łupem partyzantów. Niebawem Niemcy wybrali inne drogi. Należało więc po żywność dokonywać wypraw zbrojnych do miejsc bardziej odległych. Ich celem były tzw. Liegenschafty, majątki pod administracją niemiecką znajdujące się poza obrębem puszczy.

Jeden z nich mieścił się w odległym o dwadzieścia kilometrów Pilaszkwowie. Tam właśnie w dniu 8 września 1944 roku zatrzymał się znaczny tabor niemiecki z dużym transportem bydła, osłanianym zaledwie przez kilkudziesięciu niemieckich żołnierzy.. Pierwszą informację o tym fakcie uzyskał porucznik Jastrząb – Aleksander Wolski. Natychmiast udał się do porucznika Doliny z prośbą o wysłanie tam oddziału, który odbiłby to bydło Niemcom. Jeszcze tego samego dnia Dolina wydzielił grupę uderzeniową do przeprowadzenia tej „gospodarczej” akcji w Pilaszkwowie. W jej skład wszedł 3 szwadron kawalerii pod dowództwem wachmistrza podchorążego Suma – Narcyza Kulikowskiego, kompania lotnicza pod dowództwem porucznika Lawy, I pluton z 2 szwadronu pod dowództwem wachmistrza Łotysza – Jana Lewickiego i I pluton plutonowego Antoniego Zołotara ze szwadronu ckm – pod dowództwem porucznika Toma – Tomasza Lisowskiego. Na dowódcę całości porucznik Dolina wyznaczył swego adiutanta porucznika Wyrwę – Bogdana Jaworskiego.

Pilaszków znajdował się obok ruchliwej szosy Sochaczew – Leszno–Warszawa, nieopodal Zaborowa. Kiedy kolumna dotarła w pobliże majątku – okazało się, że tego dnia wieczorem do pałacyku przybyli Niemcy znajdujący się poprzednio w Zaborowie. Mimo to porucznik Wyrwa nie zrezygnował z akcji. Ubezpieczył szosę sekcjami ciężkich karabinów maszynowych. Sekcja kaprała Józefa Kościukiewicza ustawiła ceckaem od strony Leszna, przy którym obok karabinowego zalegli starszy ułan Jan Awiukiewicz, ułani Delfin – Antoni Skurat, Junak – Michał Krzywicki, Pulchny – Stefan Fedorowicz, Góra – Wacław Skoczeń i Edwin Purowski. Zaś od strony Zaborowa przy elkaemach znalazły się sekcje kaprała Pogoń – Stanisława Piszczka i kaprała Osy – Stanisława Borysewicza z 3 szwadronu.

Spieszeni ułani otoczyli białe, murowane zabudowania pałacu. Wówczas na dziedzińcu majątku padł strzał. To wartownik niemiecki zorientowawszy się w sytuacji, ostrzegł w ten sposób swoich. Starszy ułan Władysław Parzuch z trzeciego szwadronu położył go jednym strzałem. W chwilę później z okien pałacu poleciała seria z karabinu maszynowego. Parzuch nie zdążył odskoczyć, zginął na miejscu. Erkaemy i automaty partyzantów skierowane w okna wyciszyły ogień nieprzyjaciela. Niemcy opuścili parter barykadując się na pierwszym piętrze. Wyrwa nie miał zamiaru ich atakować, rozkazał trzymać pałac przez cały czas akcji pod ogniem karabinów maszynowych. Tym razem nie chodziło przecież o Niemców, lecz o bydło. W tym czasie ułani wyprowadzali z obór krowy, ze stajni konie, z innych pomieszczeń gospodarczych wytaczali wozy załadowane różnym dobrem.

W całej akcji zabrano Niemcom 254 sztuk bydła, kilka wozów z ładunkiem żywności, papierosów i koniaku. Strat nieprzyjaciela nie ustalono. Ciało starszego ułana Władysława Parzucha ściągnięto z przedpola i nazajutrz urządzono mu pogrzeb.

W dwa dni później, 10 września 1944 roku 3 szwadron dokonał podobnego wypadu do majątku w Zaborowie. Zabrano stamtąd kilkadziesiąt krow, 16 koni i 8 wozów taborowych. Rozbrojono też hauptmana Wehrmachtu, który przebywał tam gościnnie. Niecodzienna przygoda spotkała w czasie tej akcji autora niniejszej pracy, starszego ułana Żbika, łącznika dowódcy 3 szwadronu. Przygodę tę opisał w swoich wspomnieniach opublikowanych w 1970 roku, w odcinkach na łamach „Dziennika Bałtyckiego” a następnie w książce pod tytułem p.t. „Na koniu i pod koniem”:

„... 3 szwadron przystanął na skraju lasu. Przed nami wstęga szosy Leszno–Babice Stare. Jest z nami dowódca pułku, chorąży Nieczaj – Zdzisław Nurkiewicz, ale tym razem akcją dowodzi kwatermistrz porucznik Jastrząb – Aleksander Wolski. To akcja gospodarcza, a więc dla nas nieciekawa. Mamy przeprowadzić rekwizycję w majątku Zaborów. Chodzi głównie o konie, krowy i świnię, które zamiast do niemieckich, miały trafić do naszych kotłów kuchni polowych.

– Akcja, jak to akcja – filozofował Kłos. Ale nawet podczas takiej akcji można zginąć. Pukasz do nieba, a święty Piotr pyta cię wzniósł: – Za Ojczyznę?

A ty odpowiesz, zaczerwieniwszy się po uszy: – Za świnię, proszę świętego Piotra – Za świnię!

W Zaborowie stoi silny posterunek żandarmerii, ale Niemców mamy zostawić w spokoju, chyba że zaczną pierwsi. Ważniejsze od nich tym razem są świny i krowy. Konie zostawiamy w lesie, okrążamy dwór. Dowódca szwadronu polecił mi przeprowadzić sekcję elkaemu kaprała Pogoń – Stanisława Piszczka i sekcję kaprała Rysia – Kazimierza Ostapiej z erkaemem, z zadaniem ubezpieczenia akcji od strony posterunku żandarmerii.

Noc jest cicha i parna. Przy posterunku żandarmerii, za drutami kolczastymi, niemiecki wartownik. Ułani Staszka obsadzają przydrożny rów wzdłuż szosy, lufę maksima wymierzają w drzwi posterunku. Ostapiej bierze na muszkę wartownika. Szczękają odwodzone zamki, ale wartownik zdaje się tego nie słyszeć. Zajęcie stanowisk odbyło się w spokoju, Niemcy nic podejrzanego nie zauważyli.

W majątku ujadają psy, spieszony szwadron wtargnął już na dziedziniec z przeciwległej strony. Życzę chłopcom powodzenia, odczołgałem się w mrok, a dalej, gdy dla wartownika stałem się niewidoczny, pędem do dworu gdzie miał przybyć dowódca szwadronu.

Przez szczeliny okiennic przedziera się na podwórze wąskie pasmo światła. Zza czworaków wybiegł ujadając pies, wpił się kłami w poły płaszcza, ale nie mogłem do niego strzelić, mieliśmy zachować ciszę. Kopnąłem go obcasem buta. Dostał końcem ostrogi, zaskowyczał, skulił ogon pod siebie i poszedł. Zaskrzyphiały drzwi czworaków, wyjrzał z nich człowiek w kurtce zarzuconej przez ramię:

– Kto, tam? – Spytał.

– Chłopcy z lasu! – odpowiedziałem wesoło.

– Rany Boskie! – krzyknął przerażony. – Dyc tu som Niemce!

Sądziłem, że ma na myśli posterunek żandarmerii. Sam nie wiem, czemu spytałem:

– Gdzie?

– Wczoraj wieczorem przyjechał tu hauptmann z Leszna, jest w pałacu, a siedmiu innych obok, w czworakach.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, na drugim końcu dziedzińca rozległo się kilka strzałów. Człowiek w kurtce na ramionach zniknął, czym prędzej w głębi domu. Machnąłem ręką na siedmiu Niemców, zagiąłem parol na hauptmanna. Wtargnąłem do pałacu od strony kuchni, Kucharka na mój widok krzyknęła przeraźliwie:

– Olaboga!

– Gdzie hauptmann? – spytałem.

Ze strachu, nie mogła wyrzucić ani słowa, ręką wskazała drzwi na wprost. Były zamknięte. Szarpnąłem raz i drugi, puściły. Minąłem długi korytarz, wbiegłem do jasno oświetlonego salonu z bronią gotową do strzału. Stół był zastawiony frykasami: wędliny boczek, szynka...

Chociaż szukałem hauptmanna, nie mogłem oderwać oczu od tych smakołyków.

A hauptmanna w salonie nie było, dopiero teraz dostrzegłem panią domu. Stała w cieniu lampy i wcale nie wyglądała na przerażoną. Musiałem idiotycznie wyglądać z karabinem wymierzonym w jej pierś, opuściłem, więc lufę do ziemi.

– Gdzie jest hauptmann? – spytałem grzecznie

– Pan jest z Puszczy Kampinoskiej, nieprawdaż? – spytała, zamiast odpowiedzieć.

– Może gorącej herbaty?

Wypiłbym, z największą przyjemnością, zjadłbym też chleb z masłem i szynką, a do kieszeni zgarnąłbym czekoladę. Nie mogłem jednak dopuścić do tego, by hauptmann zwinęli mi inni. Taka okazja nie szybko się powtórzy. Uprzejma pani już nalewała z samowara herbatę. Ktoś dobijał się natarczywie do frontowych drzwi, zapewne nasi chłopcy. Rozglądałem się bezradnie po salonie. Tu nie było go, gdyż przez uprzejmość tej pani, zdążyłby mnie już ukatrupić. Od kominka w prawo wiodły schody na piętro. Zapewne tam właśnie czmychnął. Czemu do diaska ta ładna i uprzejma pani zwlekała z odpowiedzią? Czyżby się obawiała, że może mnie kropnąć?

– Gdzie jest ten Fryc?! – spytałem stanowczo.

Frontowe drzwi puszczały i chłopcy lada chwila mogli tu wtargnąć. Kobieta wskazała ręką na górę. Pobiegnęłam po schodach. Na piętrze, po obu stronach korytarza drzwi. Te po prawej były otwarte, a pokój jasno oświetlony. Tam go zapewne nie było, miał czas by zgasić światło. Szarpnąłem klamkę drzwi, tych po lewej stronie. Klamka nie puściła, więc tu się schroniłam.

– Herr Hauptmann! – niemal błagałem:

– Poddaj się pan. – Machen sie Hände hoch! Verstanden?

Nie chciał zrozumieć.

Na dole rumor. Chłopcy wpadli już do salonu. Rozpoznałem głos Kłosa – Józka Mioduszeńskiego:

– Gdzie hauptmann?

Sam nie dam rady wyważyć masywnych drzwi. Hauptman zapewne zabarykadował je meblami. Nie podda się drań. Karabin przewiesiłem przez ramię, wyciągnąłem z kabury pistolet i wystrzeliłem ze dwa razy przez drzwi. Bez żadnego skutku. Zbiegam więc na dół po schodach po posiłki. Nie przeskoczyłem i pięciu stopni, gdy nagle zatrzeszczało mi w uszach, pociemniało w oczach. Potknąłem się, wypuściłem pistolet z rąk i runąłem jak długi, głową w dół. Spadając dostrzegłem Kłosa – Józka Mioduszewskiego i Osę – Staszka Borysewicza. Stali w rozkroku dwa – trzy kroki od schodów i grzali we mnie z dwóch pistoletów maszynowych. Nagle urwali, a Osa krzyknął:

– To nie hauptmann! – a Józek z przerażeniem jęknął:

– Rany Boskie, to Żbik! Zabiliśmy Żbika!

Byłem przekonany, że istotnie mnie zabili. No, bo cudów nie ma. Strzelać, z dwóch pistoletów maszynowych z takiej odległości i spudłować? Zapewne zrobili ze mnie sito! Psia krew! Zginać tak głupio? I to z rąk najlepszych przyjaciół! Wszystko mnie bolało: głowa, plecy, brzuch. Otworzyłem wpięrowe lewe oko, za chwilę prawe. Ujrzałem ich buty z ostrogami. Więc widzę! W uszach szum, ale rozróżniałem ich podniecone głosy, więc i słyszałem! Krew nigdzie nie bulgotała, więc nie byłem nawet ranny?! Zerwałem się nagle na równe nogi i zawołałem:

– Patałachy! – Jak wy strzelacie?

Chłopcy w pierwszej chwili zbaranieli i dopiero po chwili parsknęli śmiechem:

– On żyje! Dalibóg żyje!

Nie ulegało już wątpliwości, że istotnie żyję! Rzucili się więc wcale nieproszeni do stołu, nalali po lampce wina, nalali..

– Twoje zdrowie Żbiku!

Dostałem chleb z potrójnymi plastrami szynki i czekoladę. To jednak nie załatwiało sprawy, na górze hauptmann pokpiwał z takich jak my partyzantów. Poszliśmy na piętro teraz w trójkę. Kłos, Osa i ja. Hauptman tym razem wdał się w rozmowę. Musiała wytrącić go z równowagi seria skierowana do mnie. Szprechał coś po niemiecku. Osa znał niemiecki piąte, przez dziesiąte. Przetłumaczył, że chce on rozmawiać z naszym oficerem.

Wachmistrz formalnie oficerskiej nominacji wówczas jeszcze nie miał. Ale jak każdy dowódca, od dowódcy plutonu wwyż, nosił odznaki

oficerskie na lewym ramieniu (dwie białe gwiazdki porucznika na biało-czerwonym kwadraciku).¹⁶ *

– Czego chcesz szkopie? – spytał Narcyz po polsku.

Osa przetłumaczył:

– On twierdzi, że złoży broń, jeżeli otrzyma oficerskie słowo, że nie zostanie rozstrzelany.

– Powiedz mu, że rozstrzelujemy tylko gestapowców, żandar-mów i esesowców. Jeżeli zalicza się do nich, zostanie rozstrzelany. Jeżeli nie, zostanie przy życiu.

– Oficerskie słowo?

– Słowo dowódcy szwadronu.

W zamkniętym pokoju rozległ się rumor przesuwanych mebli, za-grzytał klucz i w drzwiach ukazał się wysoki, przystojny mężczyzna w koszuli, bez munduru. Automat, trzymał lufą ku ziemi. W drugiej ręce pas z magazynkami i pistoletem w kaburze. Broń wręczył dowód-cy szwadronu.

– Bierz to Żbiku, to twój łup wojenny – powiedział Narcyz. Osa podszedł do Niemca, kazał mu ściągnąć buty. Hauptmana spojrział na dowódcę szwadronu:

– W Wehrmachcie nie ma zwyczaju rabowania jeńców! – powie-dział butnie.

– Jest natomiast zwyczaj ich mordowania – odparł Narcyz. – Pan Hauptman wybaczy, ale nie mamy innego sposobu zaopatrywania nasze-go oddziału. Możemy jednak wystawić pokwitowanie. Czy to pana haupt-mana usatysfakcjonuje?

Spośród siedmiu żołnierzy pana hauptmanna, którzy próbowali się bronić, trzech zostało zabitych. Czterem pozostałym jeńcom również kazano ściągnąć obuwie, jednak bez żadnego protestu z ich strony.

Podporucznik Jastrząb przetrząsał obory, w których stały świnie i bydło, zarekwirowane przez Niemców od miejscowej ludności.

Wróciłem przed posterunek, by ściągnąć – na rozkaz Narcyza – ubezpieczenie. Wartownika już nie było za kolczastymi drutami. Na od-

¹⁶ Dowódcy Grupy Kampinos, nie będący oficerami, nosili na prawym ramieniu odznaki oficerskie: biało-czerwone kwadraciki z białymi gwiazdkami na czerwonym tle, poczynając od dowódców plutonu, wwyż.

I tak dowódca plutonu miał jedną gwiazdkę, dowódca szwadronu, kompanii – dwie gwiazdki, dowódca batalionu, dywizjonu – trzy gwiazdki.

głos pierwszych strzałów czmychnął do gmachu. Nikt z żandarmów nie kwapił się przyjść z pomocą hauptamannowi i jego żołnierzom.

Z majątku zabraliśmy kilka świń, kilkadziesiąt sztuk bydła, szesnaście koni, osiem wozów taborowych (...)

DZIEŃ POWSZEDNI W PUSZCZY

W dniu 9 września 1944 r. patrol z pierwszego plutonu w 2 szwadronie ostrzelał samochód osobowy nieprzyjaciela przed miejscowością Laski. Wspomina o tym zdarzeniu ułan Sęk – Franciszek Rejowski:

– Patrol prowadził plutonowy Antoni Wąż. W skład jego wchodził: Ryszard Ostapiej, Staś Guzowski, Maraton – Michał Mikucki, Wąs – Stanisław Biegański, kapral Mićka, starszy ułan Klik – Jan Minciel, Adolf Zmaczyński i ja. Jedziemy w upale polnymi drogami. Po trzech godzinach patrolowania zatrzymaliśmy się w jednej zagrodzie wystawiając czujki. W ogrodzie był duży wiśniowy sad, a wiśnie już dojrzałe. Nie schodząc z koni zajadaliśmy właśnie soczyste owoce, gdy podbiegł do nas 10-letni brzdąc wołając, że nadjeżdża samochód. Patrzymy we wskazanym kierunku. Istotnie, szosą jechał samochód osobowy. Był jednak daleko, poza zasięgiem naszego erkaemu. Udajemy się więc w drogę powrotną polnym traktem porośniętym po bokach krzakami, jadąc gęsiego jeden za drugim. Na przedzie jechał Ostapiej ze swym erkaemem Diegtiariewa. Droga była kręta, wiała się między bagnami. Nagle zza zakrętu wyskoczył samochód, ten sam, który obserwowaliśmy z wiśniowego sadu. W odległości około dziesięciu metrów jechał wprost na nas. W samochodzie siedziało dwóch Niemców. Nastąpiła konsternacja. Byliśmy zaskoczeni tak samo, jak i Niemcy. Ostapiej, który zawsze miał w pogotowiu erkaem, nie schodząc z konia puścił przed siebie serie. Samochód zahamował gwałtownie i na wstecznym biegu próbował wycofać się. Kierowca został zabity, zaś drugi Niemiec wypchnął martwego kolegę z auta, zajął jego miejsce przy kierownicy i dodając gazu nie zdołał wyrobić ostrego zakrętu, zza którego przed chwilą samochód wypadł. Wóz przechylił się na bok, ale kiedy dopadliśmy do niego, Niemiec zdążył uciec. W środku pozostała teczka z ważnymi dokumentami. Wynikało z nich, że ten, który uciekł, był wysokiej rangi oficerem żandarmerii. Przy pomocy koni udało się nam wyciągnąć samochód z rowu.

Miał tylko rozbite szyby, natomiast silnik nie został uszkodzony. Zdobyliśmy też tylko lekko zakrwawiony mundur esesmana kierowcy, jego pistolet maszynowy i parabellum. (...)

W drugiej połowie września wiele pracy miał pluton saperów i mimerzy, którzy na najbardziej zagrożonych odcinkach granic „Rzeczypospolitej Kampinoskiej” instalowali precyzyjną sieć min połączonych przewodem elektrycznym. Za udział w wykonywaniu trudnych zadań saperских i pełną poświęcenia odwagę w rozkazie nr 4 dowódca Grupy „Kampinos” major Okoń udzielił pochwały podporucznikowi Jurczykiewiczowi, starszemu sierżantowi Samsonowi, plutonowemu Janowiczowi i saperom Janickiemu oraz Jerzemu. Sierżant Walk i plutonowy Jastrząb otrzymali tę pochwałę pośmiertnie..

13 września 1944 r. na ubezpieczeniu między Roztoką i Aleksandrowem stała trzecia sekcja pierwszego plutonu w drugim szwadronie pod dowództwem kaprała Wawrzyńca Bójko. Przy erkaemie zajęli pozycję starszy ułan Wróbel – Władysław Pupko, ułani Adolf Zmaczyński, Ryszard Miciński, Stanisław Handrowicz i Żbik – Stanisław Litwinowicz. W pewnej chwili usłyszeli warkot silnika, na wprost nich nadjeżdżała ciężarówka z kilkunastoma Niemcami.

Ubezpieczenie otworzyło ogień trafiając kierowcę. Samochód skręcił w rów i przewrócił się na bok. Niemcy rzucili się do ucieczki w kierunku lasu. Żbik – Stanisław Litwinowicz dopadł do samochodu, z którego wysypały się bębny z kablami. Otworzył drzwiczki. Ranny kierowca strzelił do niego z peemu, Żbik – Stanisław Litwinowicz, postrzelony w brzuch, skonał na rękach Wróbla, który wcześniej dobił Niemca...

W tym samym dniu po obiedzie trzeci szwadron z dowódcą 27 pułku ułanów chorążym Nieczajem – Zdzisławem Nurkiewiczem na czele wyjechał w kierunku Rybitwy i innych okolicznych wiosek zamieszkałych przez volksdeutschów. Okazało się, że już ich ewakuowano stamtąd z całym dobytkiem. W drodze powrotnej szwadron zatrzymała przeżrana kobiecina wołając:

- Ołaboga panowie, nie jedźta dalej, tam som Niemce!
- Dużo ich tam? – spytał Niechaj.
- Będzie ich tam cała gromada, siedmiu, żandarmów może nawet żandarmów dziesięciu!

Ułanów żandarmów kolumnie marszowej było ponad stu! Wszyscy ryknęli gromkim śmiechem. Okazało się, że ośmiu żandarmów nie-

mieckich wyjechało z Leoncina w kierunku Rybitwy, w celu przeprowadzenia rekwizycji żywności wśród ludności polskiej. Urządzono zasadzkę. W wyniku kilkuminutowej akcji – bez strat własnych – zabito 6 Niemców, 2 wzięto do niewoli. Zdobyto 2 erkaemy z 8 dyskami, 1 peem, 6 pistoletów, 5 karabinów, 2 konie z wozem, oporządzenie żołnierskie i inwentarz żywy zrabowany w Rybitwie.

Z KRONIKI PORUCZNIKA WYRWY

Adiutant porucznika Doliny, porucznik Wyrwa – Bohdan Jaworski prowadził codzienną kronikę wydarzeń Pułku „Palmiry – Młociny” pod tytułem „Notatki historyczne dotyczące oddziałów powstańczych Wojska Polskiego w Puszczy Kampinoskiej – ze szczególnym uwzględnieniem Pułku „Palmiry – Młociny”. Oto, co zanotował w kolejnych dniach:

14.09.44. Patrol rozpoznawczo–ubezpieczający o godz. 12.00 we wsi Wólka Zaborowska napotkał 2 Niemców, którzy przyjechali po furaz. W czasie strzelaniny nieprzyjacielowi udało się wycofać, lecz pozostały 2 wozy z końmi. Zdobyło 1 konia, 2 pasy uprzęży. Wozy w stanie nie do użytku spalono na miejscu. Strat własnych nie było (...) Zbliża się jesień. Jeszcze dni są ciepłe, ale noce już zimne, nad ranem szron pokrywa okoliczne łąki. Kwaterujemy w stodołach i wielu szczeka zębami. Potrzeba nam dogodniejszych kwater, a nie jest łatwo rozlokować ok. 3 000 ludzi w domach mieszkalnych. W chwili obecnej najbardziej palące są dwie kwestie: broń i umundurowanie. Broni jest brak. Na pomoc Warszawie wysłaliśmy broń, w którą można było dobrze uzbroić 2 000 ludzi. Umundurowanie letnie, brak kompletny ciepłych mundurów i bielizny. Stale zdobywamy broń i mundury, ale to przecież kropla w morzu naszych potrzeb. Oczekujemy z dnia na dzień, że coś nam sypną z nieba i tęsknie zadzieramy głowy, ale jakoś doczekać się nie możemy. Zrzuty były zapowiedziane, ale ze względów atmosferycznych w godzinach popołudniowych odwołano je. Szkoda...

15.09.44. Jeden pluton piechoty wyjechał na szosę w rejon Zaborowa, na akcję dywersyjną. Nieprzyjaciela nie udało się napotkać, pluton powrócił w godzinach popołudniowych. Słyszymy w puszczy działania frontowe, artylerię i bombardowanie z samolotów. Z komunikatu radiowego wiemy o zajęciu Pragi przez wojska sowieckie. W Warszawie

w dalszym ciągu bardzo ciężkie walki. Warszawa się pali, serce naszej Polski krwawi. Niemcy wycofując się z Pragi na Modlin wysadzili dwa mosty: Średnicowy i Poniatowskiego...

16.09.44. Nieprzyjaciel zaatakował miasteczko Pociechę. Piechota była wspierana samochodami pancernymi i czołgami. Natarcie zostało zatrzymane na naszych polach minowych, gdzie jeden czołg wyleciał w powietrze. Straty nieprzyjaciela: 1 zabity i kilku rannych, których zdołał uprowadzić ze sobą. Zdobyło 3 samochody, motocykl i działko szybkostrzelne sprzężone z karabinem maszynowym. Straty własne; 1 zabity (kapitan Malinowski z drugiego batalionu).

17.09.44. Noce coraz chłodniejsze, ludzie marzną. Meldunek sytuacyjny dowódcy Grupy „Kampinos” do KG AK zawiera m.in. sformułowanie: „Zrzutów nie ma. Odczuwamy dotkliwy chłód, ludzie posiadają zaledwie wierzchnie, zniszczone ubrania. Dużo bosych. Dużo zachorowań na anginę i grypę” – tak co dzień. Dziś msza polowa, której słuchają wszyscy wolni od służby oficerowie i szeregowi. Po mszy św. podniosłe kazanie wygłosili ks. kapelan Baszkiewicz. Oddziały odśpiewały Boże coś Polskę i Hymn Puszczy, melodia tych pieśni napeliła wzruszeniem piersi każdego Polaka. Trudno lepiej oddać tęsknotę do wolnej ojczyzny. Na propozycję Turkiestańczyków będących w swym oddziale w służbie niemieckiej zostały rozpoczęte rozmowy odnośnie przejścia ich oddziału z bronią na naszą stronę. Zwiad naszej kancelarii natknął się dziś na patrol RONA kwaterujący w mieście Grądy. Jak się okazało później, byli to Ukraińcy, z których jeden poległ, 2 dostało się do niewoli. Spotkał ich potem los, na jaki sobie zasłużyli. Zdobyło 2 karabiny Mauzer i 1 karabin dziesięcioprowadkowy rosyjski. Nazajutrz ludność cywilna rozbroiła jeszcze 2 Ukraińców z bronią, przekazując ją w nasze ręce. Prawie codziennie nasze patrole chwytają najrozmaitszego rodzaju dezertów i zbiegów, z którymi jest potem dużo kłopotu, gdyż nie wiadomo, co z nimi zrobić. Są to ukrywający się po lasach dezertrzy niemieccy i Węgrzy oraz przedstawiciele najrozmaitszych narodów azjatyckich, z których jako jeńców Niemcy sformowali oddziały wojskowe i robocze. Poza tym zbiegowie, którzy dobrowolnie zgłaszają się do naszych oddziałów. Są między nimi — poza Rosjanami i Azjatami – Belgowie, Holendrzy, Francuzi, Czesi. Częściowo zostali wcieleni do naszych oddziałów jako żołnierze liniowi, z reszty zaś sformowano oddziały pomocnicze.

18.09.44. Przeżyliśmy wzruszający moment na widok przeszło 200 liberatorów i myśliwców amerykańskich, które przeleciały trochę na wschód od naszych kwater wioząc zaopatrzenie dla Warszawy. Przeciwlotnicza artyleria niemiecka z Modlina i Nowego Dworu oraz wzdłuż Wisły otworzyła gwałtowny ogień. Stracono dwa samoloty amerykańskie, jeden spadł płonąć. Oszalającym widok przedstawiał moment, kiedy liberatory otworzyły klapy i wysypały zasobniki. Setki spadochronów różnokolorowych wykwitło na niebie jak wspaniałe pióropusze. Kilka samolotów zrzuciło zasobniki bliżej nas, ale według naszej obserwacji spadły oba poza puszcza. Wielka szkoda, dostali je prawdopodobnie Niemcy.

19.09.44. Została urządzona zasadzka na szosie Warszawa – Modlin. Udział wziął jeden pluton 1 kompanii piechoty w sile 35 ludzi pod dowództwem porucznika Wulkana z dowództwa pułku. Zdobyło samochód ciężarowy nieuszkodzony, 1 erkaem, 1 karabin maszynowy z 3 pasowymi lufami, 1 karabin Mauser, 3 skrzynie amunicji, 1 parabellum. Strat własnych nie było.

20.09.44. O godzinie 6.00 został wystany adiutant pułku kawalerii, porucznik Roch z jedną sekcją konną do wsi Formułki Królewskie w celu rozpoznania terenu i przywiezienia żywności ofiarowanej przez mieszkańców tej wsi. We wsi został przedstawiony porucznikowi Rochowi oddział 20 zorganizowanych ochotników, w większości uzbrojonych. Patrol przywiózł 2 pistolety, taśmę z amunicją do erkaemu, konia, wóz i niewielką ilość żywności. Nieprzyjaciela w drodze nie spotkano. Tego samego dnia został wysłany patrol drugiego szwadronu do miasta Kampinos w celu zdobycia broni. Zdobyto 1 moździerz polski z dwoma pociskami, 1 erkaem browning z dwudziestoma magazynkami, 1 pistolet Mauzer, 2 pistolety parabellum i 1 pistolet kalibru 7,65. Powrót patrolu w tym samym dniu wieczorem.

W godzinach popołudniowych został wykonany wypad dywersyjny na szosę Zaborówek – Leszno; w akcji wzięli udział podporucznik Wulkan, porucznik Lawa i podporucznik Jan. Wszyscy trzej na motocyklu, w mundurach niemieckiej żandarmerii. Na ubezpieczeniu akcji – trzeci pluton z pierwszego szwadronu kawalerii. W akcji zdobyto 1 motocykli wojskowy, 2 pistolety, wzięto 2 jeńców niemieckich – specjalistów samochodowych, których zatrudniono później w parku samochodowym. Akcja bez strat własnych.

21.09.44. Patrol bojowy z drugiej kompanii pierwszego batalionu piechoty napotkał nieprzyjaciela w miasteczku Wygląd. W wyniku szczętej akcji zdobyto 1 wóz, 2 konie z uprzężą i 1 karabin Mauzer. Strat własnych nie było. Drugi patrol konny ze szwadronu kawalerii pod dowództwem podporucznika Dąbrowy będąc w mieście Kampinos zarekwirował 4 kwintale żyta przeznaczonego na kontyngent. Oprócz tego przyprowadził konie odebrane ukraińskim cywilom. W drodze nieprzyjaciela nie spotkano...

Dnia 22.09.44. Dzień spokojny, słabe ostrzeliwanie naszego miejsca postoju (dowództwo) przez artylerię nieprzyjaciela z miasta Leszno. W godzinach popołudniowych wypad dywersyjny na szosę Warszawa–Leszno. W akcji wzięli udział porucznik Wyrwa, podporucznik Wulkan, major Kurs, podporucznik Jan, podchorąży „Chomik”, starszy strzelec Szostak i ułan Niedźwiedź. Skład: 1 samochód z czterema żołnierzami i jeden motocykl z trzema żołnierzami w umundurowaniu armii niemieckiej. Na ubezpieczeniu akcji pluton zrzutowy porucznika Drewno. Powrót o godz. 21.00. W wyniku akcji zdobyto 1 samochód ciężarowy, 2 karabiny typu Mauser, 1 pistolet, aparat kinowy z wszelkimi przyborami oraz kilkadziesiąt tysięcy sztuk papierosów, dużą ilość mydła, szczotek, pasty, przyborów do golenia, czekolady, wina, koniaki i in., w tym 400 egzemplarzy „Mein Kampf”. Wszystko rozdzielono na pododdziały, makulaturę i „Mein Kampf” oddano żołnierzom do użytku „osobistego”, niech się Hitlerek cieszy... Na samochodzie był portret Hitlera i swastyka. Portret ozdobił latrynę, swastyka spoczęła w kloace jako wycieraczka do nóg w dowództwie pułku.

Dnia 23.09.44. W miejscu postoju spokój. Załatwianie spraw służbowych, których zawsze jest, co niemiara. W godzinach wieczornych wyświetlanie filmu produkcji niemieckiej, aparatura udźwiękowiona. Kilka tych godzin spędzili żołnierze w miłym nastroju, zapominając o trudach ciężkiego życia powstańca.

W nocy z dnia 23 na 24.09.44 patrol konny w sile jednego plutonu pod dowództwem porucznika Rocha wyruszył w celu skontrolowania terenu do wsi Formułki Królewskie. Nieprzyjaciela w drodze nie spotkano. Z wypadku przywieziono 3 krowy i kitka sztuk nierogacizny oraz 300 kg żyta. W czasie patrolowania terenu przeprowadzono rewizję w mieszkaniu žandarma–volksdeutscha, znaleziono motocykl „setkę” w stanie użytkowym, który przyprowadzono do dowództwa pułku.

Dnia 24.09.44. Niedziela, msza polowa o godz. 10.00, w czasie której podniosłe kazanie wygłosił ksiądz kapelan Jerzy Baszkiewicz. Po mszy świętej odśpiewano „Boże coś Polskę”, „Hymn Puszczy” i Rotę. Dzień przeszedł spokojnie. (...)

„STERNSCHNUPPE” – „SPADAJĄCA GWIAZDA”

W ostatniej dekadzie września 1944 r. Niemcy koncentrowali wokół Puszczy Kampinoskiej coraz więcej jednostek piechoty i broni pancernej. Dowódca 9 Armii niemieckiej zdecydował się uderzyć i rozbić oddziały partyzanckie działające na terenie puszczy. Operacji tej nadał kryptonim „Sternschnuppe – Spadająca Gwiazda”. W tym celu 26 września 1944 r. dowódca tej armii wydał rozkaz, wedle którego wykonanie tego zadania powierzono komendantowi obszaru etapowego 9 Armii (Korück 532), który wchodził w skład grupy generała von dem Bacha, kończącego w tym czasie tłumienie Powstania Warszawskiego. Rozkaz ten brzmiał:

„O B St. V 3 l g. Odpis telegramu – KR – tajne – Dn. 26.09.44. – godzina 23.45. Nadawca: D–two 9 A. la KTB. Odbiorca: Dowództwo Grupy Wojska „Środek” (natychmiast przedstawić la) Dot.: Sternschnuppe. Mapa 1:100 000).

1. Podział sił:

Celem wykonania „Sternschnuppe” zostaje podporządkowany Korück 532 jako sztab dowódcy korpusu von dem Bacha. Przy tym: sztab 10 proc. p. pion., do ewakuacji: 1 baon alarmowy Kwat. armii, 1 komp. żandarmerii polowej, do rozpoznania: jednostki kontrwywiadu „Wider” 308 i 525 oddziały rozpoznania bojowego.

Skład sił:

A. Grupa Północna:

Dowódca A.W.S. wzmocniony sztabem 391 dyw. bezp. 2; 1 baon alarmowy „H.G.”, 1 baon alarmowy SS–Totenkopf, 1 baon alarmowy SS–Wiking. 183 baon ubezpieczający, 1 komp. alarmowa A.W.S., 1 komp. alarmowa oddziałów zaopatrzenia 73 dyw. piech., baon szturmowy pion., 743 dyon strz. panc. (bez 1 komp.), 1 komp. obser. SS, 1 komp. cięż. miotaczy granatów, 1 bateria I.K.H, 6 lek. plutonów plot. (80 p. plot.).

Grupa Południowa:

Sztab i 2 baony 34 p. polic., 31 baon Szuma, 1 baon Kozaków, 737 baon pion bud., 4 dyżurny obserw. panc. 19 dyw. panc., 1 bateria I.K.M., 6 plutonów „H.G.” przejściowo: 1 komp. panc. 19 dyw. panc. za uprzednią zgodą Grupy Wojska do zadań odgradzających – 25 i 23 baony k.m.

II. Zamierzone wykonanie:

a. Początek: 27.09. Grupa Północna przeczesuje ze wschodu na zachód las na północ od linii Buraków M ł. – Janówek. W łączności z tym Grupa Południowa – obszar leśny na południe od linii rozgraniczenia. Cel do osiągnięcia w tym dniu: droga Palmiry–Budy. Przy braku większego oporu nieprzyjaciela – linia Adamówek–Janówek–Budy.

W razie silniejszego oporu nieprzyjaciela pod i na południowy wschód od Janówka – przewidziane natarcie silnej grupy uderzeniowej przez: Czosnów–Janówek. Równocześnie rozpoznanie Północy – do linii Helenówek–Wiersze, Południa – do linii Janówek–Wiersze–Zaborów.

b. Przeczesanie terenu do linii Helenówek–Wiersze–Zaborów, przy czym skupienie sił Grupy Południa w rejonie leśnym. Pogotowie silnej grupy uderzeniowej ze składu Północ celem oskrzydającego wsparcia Grupy Południe w jej walce leśnej.

c. Oczyszczenie rejonu Wiersze–Nowe Budy–Leszno–Zaborów w jego wschodniej części przez Grupę Południa, w części zachodniej, Pogotowie do wzajemnego wsparcia Helenówek Nowa Dąbrowa–Nowe Budy–Leszno z równoczesnym odgrodeniem szosy Leszno–Kampinos–Kratki i linii Bzury: Kratki–Wyszogród.

d. Wykonanie Sternschnuppe 2 części przypuszczalnie w kolejności:

1. Oczyszczanie pasm południowego lasu do linii Cisowe–Kampinos, 2. pasm lasu północnego i doliny Wisły do linii Niemiecki–Cisowe, 3. pasm lasu północnego do linii Duchowne – Fomułki, 4. pasm lasu południowego do linii Famułki–Wola Pasikowska, 5. Oczyszczenie reszty południowej części kotła do linii Famułki–Brochów, 6. Oczyszczenie reszty północnej części kotła.

Prawdopodobny okres dla Sternschnuppe – 1 część – przypuszczalnie 4–5 dni. Cel 1 części; uzyskanie swobody ruchu na wschód od linii Błonie–Modlin nowych niezależnych od Modlina połączeń tyłowych dla IV korpusu panc. Cały obszar Sternschnuppe, wyjąwszy być może rejon bandyckie, ma być ewakuowany we współpracy z administracją

cywilną, ludność zdolna do pracy będzie wywieziona celem użycia w Reichu.

D–two 9 A. I o Nr 5342/44 tajne

podp. Staedke – generał major

Dla przeprowadzenia operacji, dowództwo 9 Armii wyznaczyło, więc duże siły, rozdzielając je na dwie grupy – północną, posiadającą około 3000 żołnierzy i południową – z 2 800 żołnierzami. Grupy te były doskonale uzbrojone, dysponowały znaczną ilością czołgów, samolotów, artylerii oraz ciężkiej i lekkiej broni piechoty.

Nad miejscami postoju jednostek Grupy Kampinos coraz częściej pojawiały się dwukadłubowe samoloty nazywane „ramy”. Lecąc nisko ukazywały się nagle – zanim padła komenda „żołnierz, kryj się”, ostrze- liwując z broni pokładowej partyzantów.

Po południu 27 września 1944 roku eskadra samolotów JU–87 zbombardowała miejscowości Brzozówka, Truskawka i Wiersze. Jedna z bomb trafiła w dom, w którym mieściła się kwatery porucznika Doliny, druga w skład amunicji.

Zginęli wówczas łączniczka Myszka – Maria Swech, i kapral Jan Giewojno z żandarmerii, a rany odnieśli m.in. plutonowy podchorąży Drzymała i Zygmunt Mozol, który później ujęty został przez Niemców i zmarł w szpitalu w Skierniewicach.

Ówczesny dowódca II batalionu porucznik (płk) Strzała – Witold Lenczewski, tak wspomina bombardowanie kwater w Wierszach puszczańskich oddziałów:

– W dniu 27 września 1944 roku, w godzinach rannych, samoloty niemieckie tzw. „ramy”, przeprowadziły bardzo dokładne rozpoznanie Wiersz i okolic. Obserwując je upewniłem się, że poprzedza ono bombardowanie, które wkrótce ma nastąpić. Podjąłem decyzję, by jak naj- prędzej wyprowadzić batalion ze wsi do lasów na zachód od naszych kwater. Zarządziłem gotowość pododdziałów batalionu do wymarszu i zwróciłem się do dowództwa pułku o zezwolenie na natychmiastowy wymarsz, motywując to spodziewanym nalotem na Wiersze. Otrzyma- łem zgodę, choć dowództwo pułku wyraziło wątpliwość, czy nalot bom- bowy tak szybko nastąpi.

Wezwałem dowódców pododdziałów na odprawę i wydałem roz- kaz wyprowadzenia pododdziałów z Wiersz, na zachód od wsi, do lasu, ustalając godzinę, do której rozśrodkowanie miało być zakończone. Jed-

nocześnie uprzedziłem, że do Wiersz możemy już nie wrócić, a więc cały swój ekwipunek należało zabrać z sobą. Dowódcy kompanii i pozostałych pododdziałów batalionu bardzo sprawnie i w nakazanym czasie wyprowadzili swoje wojsko do wyznaczonych rejonów w lesie.

Decyzja i wyjście batalionu z Wiersz okazały się bardzo szczęśliwe, wkrótce bowiem nastąpił nalot bombowców i bardzo intensywne, jak również skuteczne, bombardowanie Wiersz, my jednak nie ponieśliśmy żadnych strat...

Istotnie, tak jak przewidywał porucznik Strzała, jego batalion do Wiersz już nie powrócił. Wieczorem tego samego dnia Grupa Kampinos rozpoczęła wymarsz z puszczy, jedynie placówki, które miały styczność z nieprzyjacielem, toczyły jeszcze rozpaczliwe walki.

W tym samym czasie ruszyło natarcie niemieckiej piechoty, wsparte bronią pancerną – na placówki w Brzozówce, Janówku, Pocięcie, Zaborowie Leśnym i Łubcu. Na najbardziej zagrożony odcinek na styku wsi Janówka–Truskawka, broniony przez żołnierzy kapitana Mścislawa z batalionu sochaczewskiego – porucznik Dolina wysłał swą artylerię z działem zdobytym pod Pocięcią pod dowództwem porucznika Ruszczyca. Kilka pocisków powstrzymało natarcie czołgów. Niemcy byli przekonani, że w puszczy znajdują się znacznie większe oddziały partyzantki, niż to było w rzeczywistości. W raportach niemieckich grupy bojowej generała Hainza Reinefartha czytamy;

„Coraz częściej powtarzają się twierdzenia uciekinierów z Żoliborza, że w lasach kampinoskich znajdują się silne rezerwy powstańców. (...) Nowe meldunki wskazują, że w lasach kampinoskich zbierają się większe grupy bandyckie, których siła ma składać się z 15 000 ludzi, aby następnie uderzyć w kierunku nieznanym. Są dobrze uzbrojeni, posiadają artylerię, nawet przeciwlotniczą. Samoloty rzucają im ciągle amunicję (...) Siłę tych bandytów w lasach kampinoskich określa się dzisiaj na około 15 000 ludzi. W pobliżu Wierszy ma się znajdować 4 000 wojsk konnych...”

W rzeczywistości w tym czasie w skład „Grupy Kampinos” wchodziły następujące jednostki:

Pułk „Palmiry–Młociny” (wedle przedwojennej struktury stanowiący – wraz z 27 pułkiem ułanów – brygadę) w sile 36 oficerów, 1 373 szeregowych, łącznie 1409 żołnierzy pod dowództwem porucznika Doliny – Adolfa Pilcha,

Batalion sochaczewski – 30 oficerów, 451 szeregowych, łącznie 481 żołnierzy pod dowództwem majora Korwina – Władysława Starzyka.

Batalion legionowski – 15 oficerów, 70 szeregowych, razem 85 żołnierzy pod dowództwem porucznika Znicza – Bolesława Szymkiewicza

Batalion porucznika Porawy – Stefana Matuszczyka – 6 oficerów, 115 szeregowych, razem 121 żołnierzy,

Batalion porucznika Jerzego – Jerzego Strzałkowskiego – 6 oficerów, 119 szeregowych, razem 125 żołnierzy,

Kompania lotnicza porucznika Lawy – Tadeusza Gaworskiego – 1 oficer, 42 szeregowych,

Drużyna saperów podporucznika Jurewicza – Bolesława Januliusa 1 oficer, 11 szeregowych.

Stan ogólny Grupy „Kampinos” wynosił, zatem 94 oficerów i 2 239 szeregowych plus pluton Armii Ludowej składający się z 2 oficerów i 20 szeregowych. Mimo to – sądząc, że partyzanci są znacznie liczniejsi i lepiej uzbrojeni – Niemcy atakowali Puszcę Kampinoską ostrożnie i z widowym respektem.

Pierwszy napór nieprzyjaciela odparty został na wszystkich odcinkach. Niemcy ponawiali jednak nękające ataki przy użyciu artylerii, broni pancernej i samolotów. Po godzinie 15 Niemcy zaatakowali wszystkie placówki „Grupy Kampinos”. W Janówku broniła się dzielnie kompania kapitana Mćcisława, została jednak wyparta. W Pocięcie zdecydowany opór stawiała I kompania z batalionu majora Korwina pod dowództwem kapitana Nawrota i III pluton trzeciego szwadronu pod dowództwem plutonowego Wira – Antoniego Burdziełowskiego. Stanowiska te utrzymano – jednakże kosztem wysokich strat. W Zaborowie bronił się jeszcze męźnie oddział porucznika Jerzego.

RZECZPOSPOLITA KAMPINOSKA PRZESTAJE ISTNIEĆ

Major Okoń zwołał odprawę dowódców batalionów. Podjęto decyzję o opuszczeniu Puszczy Kampinoskiej. Dowódca „Kampinosu” zbagatelizował jednak propozycję oficerów, by zlikwidować tabory, a sprzęt i amunicję załadować na juczne konie. Major Korwin zaproponował ponadto przejście swego batalionu do konspiracji.

Wieczorem Niemcy dokonali ponownego nalotu eskadry JU-87, tym razem tylko na Brzozówkę, zadając poważne straty kompanii legionowskiej porucznika Znicza. W tym samym czasie przy użyciu czołgów Niemcy zaatakowali pod Pociechą kompanie porucznika Nawrota i trzeci pluton trzeciego szwadronu plutonowego Wira, wypierając je z zajmowanych pozycji o dwa kilometry. Próba odbicia utraconych pozycji, pod nawałą ognia artyleryjskiego, nie dała rezultatów.

O godzinie 22 wszystkie placówki otrzymały rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i dołączenia do formującej się w Wierszach kolumny. Po dwóch miesiącach wolności nastał kres istnienia Rzeczypospolitej Kampinoskiej.

Zapadała noc, kiedy w Wierszach ustawiła się długa kolumna rozciągająca się na kilka kilometrów, gotowa do wymarszu. Major Okoń wezwał do siebie porucznika Dąbrowę, który powrócił z dalekiego rozpoznania na kierunku południowo-zachodnim, zapoznając go z trasą marszu i z zamiarem dotarcia przez noc do Puszczy Mariańskiej, na południe od Żyrardowa, trasą liczącą około czterdzieści kilometrów. Otrzymał on rozkaz poprowadzenia kolumny.

Olbrzymia kolumna z licznymi taborami wyszła na piaszczystą drogę, toteż marsz był nadzwyczaj uciążliwy, odbywał się bardzo powoli. Dąbrowa znał w prawdzie lepszą drogę, lecz już nie można było zawrócić. Poinformował majora Okonia, że rozlokowanie nieprzyjaciela zna tylko do rzeki Utrata. Wymarsz nastąpił około godziny dwudziestej trzeciej, było zatem zbyt późno, by przed świtem osiągnąć wyznaczony rejon. Zapadła decyzja, aby zawrócić, odejść w zachodnią część puszczy, w rejon Bielin, przeczekać dzień i ruszyć nazajutrz o wcześniejszej porze. Na szczęście w ciągu nocy nieprzyjaciel nie odważył się zagłębić w puszcze. Utracił więc styczność z partyzantami i nie odkrył gdzie przyczaiła się „Grupa Kampinos”. Dopiero w ciągu dnia, 28 września, Niemcy przystąpili do natarcia na opuszczone przez partyzantów miejsca postoju paląc domy, w których kwaterowali i rozstrzeliwując mieszkańców, którzy nie zdecydowali się schronić w lasach, lub wywożąc ich na roboty do Niemiec.

W dziennych raportach niemieckiego kontrwywiadu tego dnia meldowano:

„1. Wyciąg z I c (AO/Abw.) – Bandy – dzienny meldunek sytuacyjny z 28.9.44. Puszcza Kampinoska. W ramach akcji Sternschnuppe osią-

gnięto od wschodu linię Palmiry–Pociecha – występ leśny 1 km na zachód od linii Truskaw – folwark Zaborów Leśny, od północy zachodni skraj Czeczotek – południowy skraj Małocic – zachodni skraj Łosiej Wólki – południowo–zachodni skraj Janówka – wzgórze 83 – południowy skraj Janówka aż do północnego wyjścia z Janówka w kierunku drogi na Pocięgę 500 metrów na płn.– zach. – od wzgórza 82. Opanowano szturmem południowo–zachodnią część Janówka i umocniono wzgórze 83. Naliczono 13 zabitych nieprzyjaciół, ujęto 140 osób cywilnych. Straty własne 1 zabity, 3 rannych. 3 Kozaków zabitych.

Rozpoznanie naziemne stwierdziło, że wzgórze 95.2 położone 3 km na zach. – płd.–zach. od Czeczotek i Sowia Wola–Folwarczna są silniej obsadzone. Droga Cybulice Duże–Folwarczna jest zaminowana.

Rozpoznanie lotnicze stwierdziło punkt ciężkości w Wierszach. Na skraju wsi wnęki strzeleckie i gniazdo strzeleckie, we wsi rzucający się w oczy biały dom, przypuszczalnie stanowisko bojowe, obok radiostacja. W Sowiej Woli rozpoznano 200 bandytów w grupach. Kiścinnie i Krogulec obsadzone przez bandy. Skraj lasu Wiersze–Roztoka obsadzony przez bandy.

O godz. 15.45 JU 87 zbombardowały Wiersze. Bardzo dobra skuteczność. Miejscowość płonie w wielu punktach. Skład amunicji wyleciał w powietrze, radiostacja trafiona. Biały dom zapalony. O godz. 18.20 zbombardowano Brzozówkę, o godz. 17.20 JU 52 w niskim rozpoznaniu przeleciał nad Puszcza Kampinoską, nalot i odlot z kierunku na południe od Benjaminowa (6 km na płn.–zachód od Radzymina) na tyłach armii rosyjskiej.

2. Wyciąg z I c(AO/Abw) – Bandy – sytuacyjny meldunek dzienny z 28.09.44, Puszcza Kampinoska, w ramach akcji Sternschnuppe osiągnięto linię Grochale Stare – wzgórze 82 – 4, wzgórze 91 – wzgórze 95,2 – wzgórze 85 – rozwidlenie dróg na północny–zachód od Aleksandrowa – zachodni wylot Kiścinnie–Roztoka – skraj lasu, 1 km. na południe od Krogulca, 500 m. na wschód od wzgórza 86 – południowo–zachodni wylot od Ław.12 nieprzyjaciół zabitych, 36 osób cywilnych ujętych. Na minach zabitych 3 żołnierzy własnych, 4 rannych. Zdobycz – 1 zasobnik z amunicją, 1 kb, 28 krów, 13 schronów mieszkalnych zniszczonych. Nieprzyjaciel odmaszerował przypuszczalnie w ciągu ostatniej nocy w sile 1 000–2 000 ludzi na zachód i północny–zachód. Według meldunku agenta pewna grupa bandytów o niewiadomej sile przeniosła się z

Puszczy Kampinoskiej do przyległego od południowego zachodu lasu Kromanów. Agent widział pod Krubiczewem (10 km na północny-zachód od Kampinosu) 3 działa pod Teofilowem i 3 małe czołgi (14 km na północny-wschód od Kampinosu).

3. Wyciąg z I c (AO/Abw.) – Bandy – Dodatkowy meldunek sytuacyjny z 28.09.44, godz. 15.30: Agent, który powrócił z Puszczy Kampinoskiej melduje, że w godzinach rannych i przedpołudniowych 27.09 nie było wśród bandytów najmniejszych oznak zaniepokojenia. Dopiero, gdy koło południa samoloty niemieckie zbombardowały Wiersze i okolice, bandyci załadowali natychmiast ponad 200 wozów cekaemami, elkaemami, karabinami i amunicją, umundurowaniem i prowiantem – i wyruszyli z Wiersz do lasu. Słysząc było szum motorów samochodowych. W nocy na 28.09 bandyci opuścili z całym taborem las i wyruszyli przez Wiersze na Krogulec, stamtąd na południe aż do północnego skraju lasu pod Roztoką i dalej w kierunku południowo-zachodnim przez wzgórze 88 do zbiegu dróg na zachodnim skraju Grabiny, stąd zaś w kierunku północno-zachodnim przypuszczalnie na Nowe Budy, ewentualnie Górki. W drodze z Wiersz na Roztokę dołączyły do taboru dalsze grupy bandyckie z kierunków północnych. Składały się one z kawalerzystów, piechoty i taborów. Ogólna siła łącznie maszerujących band – wiele tysięcy ludzi. (...)

W południe 28 września 1944 r. na odprawie dowódców podporucznik Dąbrowa uzyskał zgodę majora Okonia na zmianę marszruty. W pierwotnym zamierzeniu dowódca Grupy Kampinos zamierzał przejść na wschodni skraj opuszczonego przez Niemców Czarnowa. Według propozycji Dąbrowy należało przejść między bunkrami i umocnieniami Niemców na zachodni skraj Czarnowa, a dalej obok Łuszczewka do mostu na rzece Utrata.

Ranny w nogę dowódca 27 pułku ułanów chorąży Nieczaj – Zdzisław Nurkiewicz polecił podporucznikowi Dąbrowie – Zygmuntowi Kocowi objęcie dowództwa pułku. Po przejęciu dowództwa Dąbrowa zażądał zmniejszenia taboru do minimum poprzez pozbycie się nadmiaru żywności, furażu i koni o słabej kondycji. Żądanie to nie znalazło zrozumienia u dowódcy „Grupy Kampinos”. Major Okoń głosem nieznośnym sprzeciwu stwierdził, że tabory nie są za wielkie ani przeladowane i rozkazał, aby kawaleria ubezpieczała czoło i tył kolumny.

CZOŁGI NAD UTRATĄ

Około godziny szesnastej, w dniu 28 września 1944 roku kolumna partyzantów wyruszyła w dalszą drogę. Na jej czele jako straż przednia, przy której znajdował się major Okoń z chorążym Nieczajem szły stępa szwadrony drugi i czwarty. Za nimi kompania lotnicza porucznika Lawy – Tadeusza Gaworskiego, dalej batalion piechoty porucznika Strzały, szwadron cekaemów, artyleria porucznika Ruszczyca, kompania legiońska i sochaczewska pod dowództwem porucznika Jurka oraz kompania Zemsta. Dopiero po nich ciągnęły tabory ze szpitalem polowym i stado zdobycznego bydła. Kolumnę zamykały kompania Jerzyków i trzeci szwadron Narcyza Kulikowskiego. Boki kolumny ubezpieczały dwa plutony batalionowego zwiadu porucznika Strzały Bazara – Stanisława Bazarewskiego. Łącznie szło i jechało około półtora tysiąca żołnierzy zdolnych do walki i kilkudziesięciu rannych ze szpitalem polowym.

Od Zamczyska kolumna skręciła w prawo kierując się w stronę Wróblewa, Powązek, Wilkowa – na Czarnków. Turkot około czterystu wozów, warkot silników, tętent koni i ryk bydła czyniły hałas, który słysząc było w promieniu kilku kilometrów.

Po zapadnięciu zmroku kolumna dotarła do traktu Leszno–Sochaczew, przekraczając go w kierunku na Czarnków, gdy nagle z odległości około kilometra z lewej i prawej strony rozległy się strzały. Porucznik Dąbrowa wysłał sekcje z erkaemami dla powstrzymania Niemców – gdyby próbowali zaatakować z obu skrzydeł. Mijając Czarnów maszerujący usłyszeli narastający warkot czołgów. Strzelała też artyleria nieprzyjaciela, jednak na ślepo i nieskutecznie.

Porucznik Dąbrowa dał znać majorowi Okoniowi, że z miejscowości Kampinos idą za nimi w pościgu czołgi. Okoń zbagatelizował jednak ten sygnał. Rozkazał Dąbrowie, by zawiadomił szpital w Łuszczewku, że pozostawi przy drodze kilkunastu rannych, aby ich zabrano i przejęto. Kolumna miała w tym czasie maszerować dalej bez zatrzymywania się. Ponadto major Okoń polecił wziąć miejscowego przewodnika.

Rozkazy zostały wykonane, jednakże przewodnik z jakichś powodów nie spodobał się dowódcy „Grupy Kampinos”, który kazał go wymienić. Kolumna oczekiwała na nowego przewodnika aż kilka godzin. Tymczasem partyzanci z czoła kolumny przeprawiali się już przez wąski, drewniany most na rzece Utrata. Wskutek zwolnienia tempa marszu

całej kolumny, czołgi niemieckie zaatakowały znajdujący się w tylnej straży pierwszy szwadron – bijąc weń na wprost ogniem z działek i karabinów maszynowych. Szwadron poszedł w rozsypkę. Atak czołgów wywołał poważne zamieszanie wśród tych, którzy nie przedostali się na drugi brzeg rzeki. Wszyscy pchali się do przodu, byle jak najprędzej przejść przez mostek, ale Utratę zdążyła pokonać tylko straż przednia i piechota wraz ze szwadronem cekaemów.

Czołgi weszły do akcji w chwili, gdy przez most przechodziły wozy taborowe. Pociski z dział wywołały panikę wśród taborytów, jeden z wozów zatarasował drogę. Zanim wyprzęgnięto konie i zwalono do rzeki uszkodzony wóz – utworzył się zator. Czołgi zbliżały się do rzeki wzmacniając wciąż ogień.

Obrony przeprawy podjęła się kompania porucznika Jerzego. Porucznik Dolina wysłał jej na pomoc ułanów z trzeciego szwadronu. Narcyz Kulikowski, na czele trzech plutonów sforsował rzekę wplaw, by w bezpiecznej odległości na drugim brzegu pozostawić konie. Zwiększyło to dezorganizację. Ktoś zawołał:

– Kawaleria ucieka!

Panikę częściowo zażegnała spokojna i stanowcza komenda opanowanego, jak zwykle w gorących sytuacjach, Narcyza Kulikowskiego:

– Z koni, do walki pieszej!

„Jerzyki” dzielnie przeciwstawiały się nacierającym czołgom. Wkrótce pozycję nad rzeką zajęli spieszeni ułani 3 szwadronu. W samą porę, gdyż akurat jeden z pocisków uderzył blisko miejsca, z którego porucznik Jerzy wydawał rozkazy. Rozległy się tam okrzyki: „komentant zabity!”

W rzeczywistości porucznik Jerzy – Jerzy Strzałkowski został ranny i nieprzytomny dostał się do niewoli.

„Jerzyki” przeszli wplaw przez Utratę, podążając w ślad za kolumną. Kilka pocisków z „piata” wysłanych przez ułanów Narcyza w kierunku czołgów niemieckich powstrzymało je. Niemcy nie zdecydowali się na pokonanie bagnistej rzeki ciężkimi pojazdami pancernymi – ani też na przeprowienie ich przez most, który mógł nie wytrzymać ciężaru pancernych kolosów.

W czasie, gdy kolumna „Grupy Kampinos” znajdowała się już w bezpiecznej odległości, ułani 3 szwadronu ściągając z rozbitych taborów rannych współtowarzyszy, powrócili do koni trzymanyh przez

koniowodnych, za mostkiem, po tamtej stronie rzeki dosiedli je i bez własnych strat dołączyli do okaleczonej kolumny. Tymczasem przednia straż, w której znajdował się dowódca 27 pułku ułanów, dochodząc do szosy Warszawa–Sochaczew, natrafiła na kilkanaście samochodów ciężarowych. Ułani 2 szwadronu pozostawili konie w bezpieczniejszej odległości, zaatakowali Niemców – oczyszczając drogę kolumnie. Dalsza trasa była wolna, po obu stronach szosy „dogorywało” kilkanaście uszkodzonych samochodów nieprzyjaciela.

Czoło kolumny osiągnęło tor kolejowy równoległy do szosy Warszawa–Sochaczew. Porucznik Dąbrowa wciąż musiał zmieniać przewodników, gdyż we wsiach położonych na trasie marszu znajdowali się Niemcy i trzeba było wiedzieć, które z nich omijać. Jeden z przewodników prowadzący straż przednią przez łąki nie mógł odnaleźć mostku na kolejnej niewielkiej rzeczce. Zdenerwowany major Okoń zawołał, że to zdrada i usiłował go zastrzelić. Porucznik Dąbrowa zdecydowanie uspokoił majora. Niebawem odnaleziono bezpieczne przejście przez rzeczkę.

O świcie przednia straż wraz z majorem Okoniem i porucznikiem Dąbrową dotarła do miejscowości Stanisławów. Kwaterowali tam Węgrzy pozostający w służbie niemieckiej. Przywitali Polaków serdecznie, jak prawdziwi bratankowie, zaopatrując partyzantów w żywność, a nawet w pewną ilość amunicji i granatów.

Mieszkańcy mijanych miejscowości na widok żołnierzy w polskich mundurach okazywali wielką radość – wynosząc na drogę świeże pieczywo, owoce, bańki z mlekiem.

Główne siły Grupy „Kampinos” maszerowały dalej w kierunku torów kolejowych łączących Warszawę z Żyrardowem – na szczęście niezauważone przez nieprzyjaciela. Dopiero kiedy nadeszła z porucznikiem Doliną straż tylna, zabudowania wioski Stanisławów zadrżały ciężkim warkotem i w kilka minut później zza zakrętu, gdzie krzyżowały się szosy, wyskoczył czołg otwierając ogień swych ciężkich karabinów maszynowych prosto w partyzancką konną kawalkadę. Wierzchowce stawały dęba zwalając się następnie na „kocie łby” drogi, przygniatając jeźdźców. Pozostali zawracali konie, przeskakiwali opłotki, wpadali do zagród. Na komendę porucznika Doliny zeskakiwali z koni szykując się do walki pieszej. Ale niemiecki „Tygrys” tej walki nie przyjął i zrejterował – z oddali plując wciąż ogniem. Kawalerzyści dosiedli koni i pogнали galopem przed siebie. Z kolei od strony miejscowości Wiskitki kilka

czołgów usiłowało przeciąć im drogę. Na szczęście ułanom udało się oderwać od nieprzyjaciela. Pech spotkał tylko ułana Janka – Jana Walczaka z pierwszej sekcji Kajetana Komorowskiego w plutonie Wira – Antoniego Burdziełowskiego. Zazwyczaj spokojny i posłuszny koń Janka nagle jakby oszalał i zbuntowany oderwał się od sekcji, cwałem szarżując wprost na niemieckie czołgi. Rzykując skręcenie karku Janek zwolnił strzemiona, odbił się od siodła i runął na ziemię. Jego koń przebiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów i padł przeszyty serią karabinu maszynowego. Natomiast jeździec dopadł do przydrożnego rowu i na klęczkach lub czołgając się dotarł do pobliskiej wsi Feliksów. Tam schronił się w pierwszej zagrodzie przy drodze, którą przejeżdżali akurat Niemcy na motocyklach. Okazało się, że gospodarzami byli niemieccy koloniści, którzy jednak okazali się ludźmi nader porządnymi. Ukryli Walczaka w drugim pokoju, a gdy Niemcy z kolumny motocyklowej weszli do domu – gospodarz pewnym siebie głosem oznajmił, że poza domownikami nikogo w obejściu nie ma.

Zaopatrzone przez kolonistów w stare ubranie robocze i wskazówki, co do dalszej drogi, ułan Janek przedarł się łąkami do Żyrardowa. Po drodze na jednym z cmentarzy ukrył broń i niezauważony przez Niemców przedostał się do miasta, w którym miał znajomych.

Było już widno, gdy w dniu 29 września 1944 r. I pluton 2 szwadronu, pod dowództwem wachmistrza Łotysza – Jana Łowickiego, stanowiący szpicę przedniej straży, dotarł do torów kolejowych w olszynie kilka kilometrów przed Żyrardowem. W pewnej odległości od budki kolejowej, którą zajmowali Niemcy, ułani zsiadli z koni zalegając na obrzeżu torów, zaś wachmistrz Łotysz wysłał do majora Okonia meldunek, że na dalszej trasie ich marszu znajduje się zaledwie kilku nieprzyjacielskich żołnierzy. Ale major nie wyraził zgody na ich zaatakowanie i polecił dowódcy plutonu, aby dołączył do swego szwadronu.

W tym czasie II pluton wachmistrza Świerka – Stanisława Wołoszewicza, zbliżając się do miejscowości Budy Zosine, spostrzegł przed sobą wóz taborowy, obok którego szło kilkunastu Niemców. Ułani dogonili ich kłusem – otaczając dokoła. Zaskoczeni Niemcy unieśli ręce do góry...

Na kilka kilometrów przed torami kolejowymi Warszawa–Żyrardów porucznik Strzała zauważył, że pluton porucznika Lawy odłącza się od kolumny i pozostaje w zabudowaniach mijanego gospodarstwa. Spy-

tał jednego z oficerów plutonu, dlaczego odchodzą od kolumny. Usłyszał w odpowiedzi:

– Nie widzi pan, że tu nikt nie dowodzi, całość idzie na zagładę?

Pluton porucznika Lawy nie podlegał dowódcy II batalionu, nie mógł więc on nakazać mu dalszego marszu w kolumnie.

Przed godziną siódmą czoło kolumny doszło do torów kolejowych Warszawa–Żyrardów i zostało zatrzymane w odległości trzystu, pięciuset metrów przed torami, w miejscu całkowicie nienadającym się do przyjęcia walki. Na pytania oficerów, dlaczego zatrzymali się w tak nieodpowiednim miejscu i nie przekraczają torów, major Okoń poinformował, że kolumna za bardzo się rozciągnęła i należy czekać na dołączenie straży tylnej, z porucznikiem Doliną. Major rozkazał wydać w oddziałach śniadanie i uporządkować je do dalszego marszu. Nie wydał natomiast żadnych rozkazów dla zajęcia odpowiednich pozycji do podjęcia walki w wypadkach zaatakowania przez nieprzyjaciela.

W ogóle podczas całego przemarszu z Puszczy Kampinoskiej nie odnosiło się wrażenia, by ktoś dowodził całością, a całość prowadzona była tak jakby nie istniało żadne zagrożenie. Szczególnie potwierdzało to miejsce, w którym major Okoń zatrzymał wojsko.

Około godziny 10.00 do zgrupowania dołączyła straż tylna z porucznikiem Doliną, która odpierała w międzyczasie ataki nieprzyjaciela na zapleczu zgrupowania.

Porucznik Strzała Witold Lenczewski wspomina:

– major Okoń wezwał dowódców oddziału na odprawę (na której byłem obecny) i postawił około godziny 11.00 następujące zadania:

– batalion porucznika Strzały i pozostałe oddziały piechoty, tabory i inne gospodarcze, jako pierwsza kolumna przekraczają tory przez przejazd w Budach Zosinych;

– pułk kawalerii, dowództwo zgrupowania Kampinos, jako druga kolumna, przekraczają tory na prawo w odległości około jednego kilometra.

Marsz wykonać natychmiast!

Na pytania oficerów, jakie siły i środki bojowe posiada nieprzyjaciel na trasie marszu kolumn, padła odpowiedź:

– Aktualnych danych nie mamy, sytuacja ulega ciągłym zmianom.

Nikt nie pojmował uporu, i jakim dowódca „Grupy Kampinos” trwał przy swoim zamiarze postoju przed torami. Każdy żołnierz, nawet intu-

icyjnie wyczuwał nagłą konieczność przejścia na tamtą stronę torów, gdyż w przeciwnym wypadku groziła zagłada. Kapelan ksiądz Rydwan II – Jerzy Baszkiewicz w swych wspomnieniach, nawiązując do tego tragicznego (jak się okaże) w skutkach rozkazu majora Okonia (Radwan II „Wspomnienia kapelana Kampinosu”, Warszawa 1956–1960) pisze tak:

– Oficerowie ogłosili wypoczynek do południa, bo nam nic nie grozi. Byłem zmęczony i głodny. Wjechałem na koniu do zagrody chłopskiej leżącej w niewielkiej odległości od torów kolejowych. Nie przypuszczałem, że niebezpieczeństwo jest tak blisko. Napotkałem grupę naszych oficerów z kapitanem Wojtkiem na czele. Zwraca się on do mnie z prośbą o wypowiedzianie bo – jak mówi – księżę kapelanie, tu już musimy zostać...

Oślupiały pytam o sytuację. Otrzymuję odpowiedź, że nad ranem toru kolejowego pilnowało zaledwie pięciu Niemców, a teraz nadjechał już pociąg pancerny. Niemcy obstawiają mocno nasyp kolejowy. Nie zapomnę słów kapitana Wojtka, który na moją propozycję, aby majora Okonia zmusić do natychmiastowego sforsowania torów kolejowych i ukrycia się w odległych o jakieś dwa kilometry lasach bolimowskich, odpowiedział:

– Księżę kapelanie, czy my jesteśmy bandą, czy wojskiem regularnym? Dowództwo dało rozkaz stać, to musimy stać. Każą ruszać, to ruszamy. W wojsku nie może być wielu dowódców. A że tu zginiemy, to fakt...

Miny naszych oficerów nie wróżyły nic dobrego. Czy byli załamani? Nie. Właśnie przechodził wtedy major Okoń. Podeszedłem do niego i referuję opinie oficerów, a równocześnie akcentuję konieczność natychmiastowego wymarszu z kotła, w który sami się wpakowaliśmy. W odpowiedzi otrzymałem stek ordynarnych słów, a równocześnie Okoń ręką sięgnął do kabury i usłyszałem:

– Zabiję cię, klecho!”...

Dochodziła godzina 10.00. Sytuacja „Grupy Kampinos” była dramatyczna. Na torach stał już pociąg pancerny. Od strony Baronowa terkotały karabiny maszynowe. (...)

STRACENĆÓW LOS

Przed południem, w dniu 29 września 1944 roku nad terenem zaję-
tym przez „Grupę Kampinos” kilkakrotnie przelatował rozpoznawczy,
dwukadłubowy samolot typu „Storch”, nazywany „ramą”, nie otwierając
jednak ognia.

Spod Baranowa do głównej kolumny dołączyła tylna straż. Ułani
trzeciego szwadronu zsiadli z koni przywiązując je do drzew i kładąc się
pokotem w zagajniku nad strumieniem wpadającym do rzeczki Pisi. Ale
nie dany był im wypoczynek. Przy kolejnym nawrocie „rama” otworzyła
ogień z broni pokładowej w locie koszącym. Samolot przelatował nisko,
tuż nad wierzchołkami drzew, wywołując popłoch. Żołnierze, zarówno pie-
si, jak i konni starali się ukryć w kępach olch. Oddziały przemieszały się.

Dowódca I plutonu w 3 szwadronie plutonowy Wierny – Bolesław
Mostowski, który przed wojną był zawodowym podoficerem w kompa-
nii cekaemów, dopadł do taczanki powożonej przez ułana Wincentego
Jarosza z sekcji lkm dowodzonej przez plutonowego Pogoń – Stanisła-
wa Piszczka. Przy pomocy tego ostatniego plutonowy zdjął elkaem
z taczanki, oparł go o płot, wprowadził taśmę i gdy tylko pojawiła się
nad nim złowroga „rama” plunął ogniem. Również podporucznik Chle-
bowicz – Andrzej Płoński wyrwał „Brena” jednemu z żołnierzy i po-
ciągnął za spust. W ślad za nimi nadlatujący samolot ostrzeliwali wszy-
scy, każdy z takiej broni, jaką posiadał. Zastępca Narcyza wachmistrz
Płaz – Czesław Juchniewicz tak się rozgorączkował, że do samolotu strze-
lał z tak zwanej „tетки” rosyjskiego pistoletu kalibru 7 mm.

Za trzecim, czy czwartym nawrotem z samolotu wydobyła się na-
gle czarna smuga gęstego dymu, a po chwili jego kadłub ogarnęły pło-
mienię. Jeszcze chwilę leciał w obranym kierunku, zataczając wielki łuk,
by nagle z łoskotem zwalić się na ziemię, kilka kilometrów od Budów
Zosinych. Wszyscy odetchnęli z ulgą, oddziały stopniowo uporządko-
wały się.

Każdy, kto strzelał, był święcie przekonany, że to właśnie on strącił
samolot nieprzyjacielski. Ułan Góral z 2 szwadronu w swoich wspo-
mnieniach z tamtych dni zanotował:

– Do tego samolotu wraz z kolegami strzelałem kulami zapalający-
mi, kto wie, czy i moja kula go nie trafiła...”

Żołnierze mieli wreszcie chwilę wytchnienia. Byli niemal u kresu sił.

Bezpośrednio po odprawie zwołanej przez majora Okonia porucznik Strzałą postawił zadania dowódcom kompanii. Batalion sprawnie przyjął szyki marszowe, w ubezpieczeniu przednim ruszyła 3 kompania pod dowództwem starszego sierżanta Opończy. Za batalionem zaczęły wchodzić na trasę marszu pozostałe pododdziały zgrupowania.

– Szybciej wyszła 2 kompania – wspomina porucznik Strzałą – słychać było strzelaninę na jej kierunku marszu. Trzecia kompania, zbliżając się do torów, w rejonie przejazdu, otrzymała bardzo silny ogień zza torów i z lewego skrzydła. Równolegle dwa plutony uchwyciły lewy nasyp toru. Z prawej strony od Żyrardowa nadjechał pociąg pancerny i zmasowanym ogniem broni maszynowej i dział czołgowych zatrzymał natarcie kompani powodując znaczne straty. Zza nasypu ruszyła do natarcia niemiecka piechota. Kompanie wycofały się zajmując stanowiska do obrony w rowach melioracyjnych. Z piatów i granatników oddano kilka strzałów.

Otrzymałem wiadomość, że również druga kolumna, kawaleria i dowództwo zgrupowania, nie przeszła przez tory i cofnęła się. Dowództwo pułku nie nawiązało łączności, pozostawiłem więc na stanowisku dowodzenia mego zastępcę porucznika Gniewa i sam z luzakiem, ruszyliśmy konno w poszukiwaniu dowództwa pułku i zgrupowania. Niemcy w tym czasie nie atakowali i nie prowadzili ognia na nasze stanowiska. Dochodziła godzina 15.00. W pół godziny później znalazłem dowództwo w mieszkaniu gospodarza, w odległości ponad kilometra, na północ od toru. Zameldowałem majorowi Okoniowi o aktualnej sytuacji i położeniu pododdziałów batalionu po nieudanym przejściu przez tory. W izbie byli również porucznik Dolina i kilku oficerów, wśród nich, o ile pamiętam, podporucznik Dąbrowa.

Na moje pytanie, jakie są rozkazy dowództwa do dalszych działań, major Okoń po krótkiej wymianie poglądów z oficerami i ze mną, o położeniu naszych oddziałów i aktualnie posiadanych wiadomości o nieprzyjacielu, jak pamiętam, powiedział:

„Sytuacja trudna. Możliwość wyjścia z kotła – obejść na północny zachód Żyrardów, ale musimy czekać do wieczora i pod osłoną nocy na tym kierunku wyrwać się z okrążenia i przejść przez tory na zachód od Żyrardowa. W nocy jest małe prawdopodobieństwo użycia przez nieprzyjaciela czołgów, może przeciwnik do wieczora nie zaatakuje.

– Czekać! Taka jest moja decyzja!”

Wyszliśmy z izby na zewnątrz i major Okoń wskazał w terenie kierunek i drogę wycofywania się. W tym momencie nastąpiła gwałtowna strzelanina, serie broni maszynowej, jedna za drugą ostrzeliwały chutor, w którym byliśmy. Major Okoń zmienił decyzję i wydał rozkaz do natychmiastowego rozpoczęcia wycofywania się w ustalonym poprzednio kierunku.

Rozkaz do wycofania się przekazałem przez luzaka Wacława Kosowicza do batalionu, ze wskazaniem kierunku i linii przejścia. Jednocześnie zorganizowałem pomoc sanitarną i założenie opatrunków dla kilkunastu rannych, którzy leżeli na wozach, w pobliżu tego chutoru.

Po kilkunastu minutach rozpoczął się ruch grup pieszych i konnych na kierunku wycofywania się. Po powrocie luzaka i potwierdzeniu przekazanych rozkazów wraz z nim konno przeskoczyliśmy trzysta metrów odkrytą przestrzeń w rejon poprzedniej linii przejścia na kierunku wycofania się. To wszystko miało miejsce pod silnym ogniem broni maszynowej nieprzyjaciela. Po drodze napotkałem kilkunastu żołnierzy z porucznikiem Doliną w szyku bojowym, posuwającą się na kierunku wycofania, ale i grupę konnych, na czele z chorążym Nieczajem.

Po celnej serii z cekaemu nieprzyjaciela, trafiony, przewrócił się mój koń, a mnie kula przeszła nogę w prawym kolanie. Zostałem wyłączony z walki. Nie mogłem iść, zaopiekował się mną i udzielił pomocy plutonowy podchorąży z mego batalionu, Czesław Kwieciński. Pomógł mi doczołgać się do pobliskiego zagłębienia i pozostał przy mnie. Założyliśmy opatrunek na przestrzeloną nogę, oczekując dalszego rozwoju wypadków. Z różnych kierunków słychać było strzelaninę, szczególnie natężoną od torów kolejowych. W oddali przesuwały się grupki naszej piechoty, obok przeszło dziesięć czołgów, w odległości około dwustu metrów, podążając za wycofującymi się naszymi oddziałami. Dookoła były liczne pożary, zapadał zmrok.

Po pewnym czasie zebrała się przy nas kilkuosobowa grupa, byli wśród nich żołnierze z mojej dawnej kompanii. Ta grupa zdecydowała się wracać do Puszczy Kampinoskiej. Postanowiliśmy wspólnie, że po drodze odtransportują mnie do szpitala w Łuszczewku, w którym mieliśmy naszych rannych. (...)

Zgodnie z tym postanowieniem, żołnierze porucznika Strzały usadowili swego dowódcę na schwytanego konia i nocą odstawili go do szpitala, sami udając się z powrotem do puszczy. Po miesięcznym lecze-

niu w szpitalu, porucznik Strzała został zaopatrzony przez miejscową placówkę AK w fałszywą kenkartę (dowodem tożsamości) i cywilne ubranie, po czym udał się „na melinę” do Brwinowa. Tam nawiązał kontakt z porucznikiem Wyrwą – Bogdanem Jaworskim, który z polecenia władz AK organizował pomoc dla rozbitków spod Jaktorowa wraz z podporucznikiem Nowiną – Mikołajem Steckim i z kilkoma innymi oficerami pułku.

Relacja dowódcy 3 kompanii st. sierżanta (por.) Opończy – Waleriana Żuchowicza o próbie przedarcia się przez tory kolejowe, jest nader skąpa:

– Rozkaz majora Okonia o przekroczeniu torów kolejowych nadszedł co najmniej o jedną godzinę za późno, Niemcy zdążyli już bowiem obsadzić, wolny dotąd, nasyp kolejowy, ściągając pociąg pancerny, który nadjechał od Żyrardowa (a następnie również i czołgi), by za chwilę otworzyć ogień, ze wszystkich dział pancernki.

Zgodnie z rozkazem porucznika Strzały ruszyły plutony mojej kompanii pod dowództwem plutonowego Lamparta – Stanisława Paszkucia i plutonowego Tumiłowicza; kompanii porucznika Zatora – Zygmunta Sokołowskiego oraz kompanii ckm porucznika Olszy – Henryka Dobaka i jego zastępcy podporucznika Zemsty – Mieczysława Rabińskiego.

Żołnierze przeskoczyli tory. Natomiast reszcie kompanii zagroził drogę pociąg pancerny, który nadjechał od Żyrardowa. (...)

Podobnie oszczędny w słowach jest dowódca drugiego plutonu plutonowy Tumiłowicz:

– Od swego dowódcy Opończy dostałem rozkaz obsadzenia torów. Na torze dostałem silny ogień karabinów maszynowych. Zginął strzelec Mazur. Przeszliśmy jednak przez tory.

Było nas trzydziestu dwóch. (...)

Nieco szerszy opis tego natarcia daje podkomendny plutonowego Tumiłowicza, siedemnastoletni wówczas strzelec Kazimierz Awdankiewicz:

– Masakry przed Jaktorowem udało mi się uniknąć dzięki bystrości umysłu i ocenie sytuacji dokonanej przez plutonowego Tumiłowicza. Po otrzymaniu rozkazu „do ataku” rozwinęliśmy tyralierę i w szyku bojowym ruszyliśmy na tory kolejowe. Po dotarciu do nasypu dostaliśmy silny ogień z broni maszynowej. Nasyp chronił nas przed pociskami, które gradem dzwoniły po szynach. Tego koncertu słuchaliśmy prawie pięć minut. W pewnej chwili kapral Wojciechowski zameldował:

– Panie plutonowy, pociąg pancerny z prawej strony!”

Tumiłowicz bez namysłu dał rozkaz: „Chłopaki, skok przez tory, tutaj nasza śmierć!” Poderwali się w jednej chwili i z okrzykiem „Hurra!” ruszyliśmy przez tory ostrzeliwując przedpole. Ogień niemiecki jakby przycichł, nasz nagły atak był dla nich zaskoczeniem. Podnosili się ze swoich stanowisk z rękoma do góry, ale my nie mogliśmy brać jeńców... Nasze serie kładły ich z powrotem na ziemię. Byliśmy już za torami, ze dwadzieścia metrów, kiedy pociąg pancerny odciął nas od reszty kompanii, która już nie zdążyła przeskoczyć kolejowego nasypu. Z pociągu tego dostaliśmy huraganowy ogień z działek i karabinów maszynowych. Kilku chłopaków padło, lecz nie było nawet czasu, by oglądać się za siebie. Teren był równy, niezalesiony, więc wyrwali się skokami, co tchu przed siebie, byle jak najdalej od tego przekłętego pociągu, któremu naszą bronią nic nie mogliśmy zrobić. Dotarliśmy wreszcie do krzaków porastających brzegi niewielkiego strumyka, było to już kilkaset metrów za torami. Ogień z pociągu w naszą stronę przycichł. Nad strumykiem zatrzymaliśmy się, by złapać trochę oddechu i pozbierać się do kupy. Tumiłowicz sprawdzał, kto żyje, a kto został... W odległości około dwóch kilometrów czekała nas Puszcza Mariańska, ku której niewątpliwie ruszyliśmy z nadzieją. (...)

Z kompanii porucznika Zatora przedarli się przez tory żołnierze z plutonu podchorążego Murzyna – Janusza Warmińskiego i drużyna kaprala Arta (nn).

Porucznik Strzała zwrócił się do porucznika Ruszczyca, by swoją partyzancką artylerią ostrzelał pociąg pancerny. Ruszczyca podciągnął bliżej torów zdobyte działko przeciwlotnicze, którym dysponował, kilka granatników i moździerz zdobytych w walkach pod Pociechą, maskując je w krzakach jak najbliżej zięjącego ogniem pociągu pancernego. Lufy wymierzono wprost w lokomotywę. Pierwsze pociski rozerwały się tuż przy jej kołach. Drugi trafił w cel. Obsłudze działka udało się wystrzelić jeszcze kilka pocisków, również celnie, lecz zaraz trzeba było opuścić to jedyne stanowisko artyleryjskie, gdyż wszystkie lufy pociągu pancernego skierowały się w tamtą stronę, niszcząc naszą „artylerię”. Załoga zdołała się wycofać w ostatniej chwili. (...)

Wobec wyraźnego spóźnienia rozkazu majora Okonia, „Grupa Kampinos” znalazła się w potrzasku. Od Puszczy Mariańskiej odgradzała ją nawałnica ognia z pociągu pancernego. Od strony Baranowa nato-

miast nadciągały czołgi niemieckie zamykając ewentualny odwrót do Puszczy Kampinoskiej.

I właśnie w tej sytuacji zdarzył się dość zagadkowy incydent. Otóż podporucznik Dąbrowa przypadkowo zauważył majora Okonia za jedną ze stodół w pobliskiej wsi – z rewolwerem w ręku, a przed nim kogoś z jego najbliższego otoczenia w bieliźnie, przebierającego się za cywila. Major Okoń stwierdził, że żołnierza tego przyłapał na tchórzostwie i zamierzał go rozstrzelać...

Pełniący obowiązki dowódcy 27 pułku ułanów podporucznik Dąbrowa poprosił majora Okonia, by ten dosiadł konia, pokazał się oddziałom i wydał rozkazy, co do dalszego położenia i działania. Widząc jednak, że major nie umie zdecydować się na ten krok – oświadczył mu, że sam wyda szwadronom rozkazy zajęcia pozycji obronnych, oczekuje jednak od majora następnych rozkazów.

Nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi, jednak Okoń odstąpił od zamiaru zastrzelenia żołnierza.

OBRONNY CZWOROBOK

Podporucznik Dąbrowa, z upoważnienia dowódcy 27 pułku ułanów, uzgodnił z porucznikiem Doliną, jakie pozycje ma zająć spieszona kawaleria, po czym zwołał odprawę dowódców szwadronów rozdzielając im zadania.

Po odparciu przez Niemców ataku batalionu porucznika Strzały na tory kanonada artyleryjska jakby przycichła. Było popołudnie. Pododdziały zajęły wyznaczone stanowiska. Żołnierze batalionu Strzały – Witolda Lenczewskiego oraz szwadronu cekaemów 23 pułku ułanów grodzieńskich porucznika Jara i 1 szwadronu wachmistrza Wołodyjowskiego – Jana Jakubowskiego obsadziły odcinek rowu biegnącego wschodnią stroną miejscowości Budy Zosine, naprzeciw Jaktorowa, skracającego dalej pod kątem prostym kilkaset metrów od toru, osłaniając zgrupowanie od nieprzyjaciela również od strony południowej. Od północy, od strony Baranowa i Holendrów Baranowskich umocnił się batalion porucznika Znicza. Pozostały odcinek niewielkiego czworoboku obsadzili ułani – pozostawiając konie wraz z koniowodnymi i resztą taborów w środku niewielkiego czworoboku, jaki powstał po rozmieszczeniu pod-

oddziałów. 4 szwadron zajął pozycję od południa, w rowach, po obu stronach drogi biegnącej równolegle do torów kolejowych – mając styczność na lewym skrzydle ze szwadronem cekaemów. 3 szwadron ulokował się w rowie melioracyjnym od strony Żyrardowa, utrzymując łączność z czwartym szwadronem. 2 szwadron stanowił przedłużenie pozycji szwadronu trzeciego, sięgając do stanowisk żołnierzy porucznika Znicza. Porucznik Dąbrowa ulokował się w pobliżu czwartego szwadronu, w zagięciu linii obronnych.

Wkrótce po zajęciu przez ułanów wyznaczonych stanowisk na miejsce postoju podporucznika Dąbrowy przybył major Okoń wraz z porucznikiem Doliną. Dowódca „Grupy Kampinos” zdecydował, że na tych pozycjach należy dotrwać do nastania zmroku.

Niemcy wykorzystali jednak natychmiast swą przewagę, szczerlnie zamknęli pierścień wokół całego zgrupowania i o godzinie czternastej przystąpili do generalnego natarcia. Pociski wszystkich dział pociągu pancernego i kilkudziesięciu czołgów skierowano na niewielką powierzchnię, obejmującą nie więcej niż sześć kilometrów kwadratowych, na której znalazło się około tysiąca trzystu żołnierzy – partyzantów. Nieprzyjaciel miał doskonały wgląd w otwarty teren, toteż jego ogień musiał być skuteczny (według jednych źródeł Niemcy użyli pod Jakotorowem trzydzieści czołgów, według innych 50 czołgów). Uszkodzenia lokomotywy pociągu pancernego w międzyczasie usunięto, gdyż pociąg ten przemieszczał się z miejsca na miejsce kierując ogień w najbardziej zacięte ogniska oporu. Potężne wybuchy pocisków zniszczyły po kilkunastu minutach wozy taborowe, na których znajdowała się amunicja. Oszalałe konie ponosiły łamiąc dyszle, wywracając płonące furmanki, dopełniając dzieła zniszczenia.

Następnie Niemcy przystąpili do systematycznego artyleryjskiego ostrzału rowów, w których zajęli stanowiska partyzanci. Po każdej eksplozji ktoś osuwał się na dno rowu, w powietrze wylatywały stanowiska karabinów maszynowych. To była prawdziwa masakra.

Po tej wstępnej kanonadzie, kiedy wydawało się, że już niewielu żywych partyzantów pozostało na polu bitwy, od strony torów ruszyły niemieckie natarcie. Pierwsze uderzenie poszło na czwarty szwadron. Ruszyły czołgi i wozy pancerne, obok nich i za nimi – tyraliera piechoty. Okazało się jednak, że przygotowawczy ogień artyleryjski nie wyrządził zbyt wielkich szkód, a przede wszystkim nie załamał ducha obrony i

woli walki. Ułani 4 szwadronu powitali napierających silnym ogniem. Porucznik Dolina podesłał Jaworowi ułana z piatem i kilkoma pociskami.

Strzały karabinowe nie szkodziły czołgom, ale pociski z piata zmusiły je do zmiany kierunku natarcia bardziej na wschód, gdzie czekali na nie żołnierze 3 kompanii sierżanta Opończy i ułani z batalionowego zwiadu porucznika Strzały. Na tym odcinku było kilka piatów. Dwa czołgi, które podeszły bliżej ich stanowisk, zostały uszkodzone. Jednego z nich trafił plutonowy Aleksander Pawluczenko, dwudziestoletni szef zwiadowców konnych. Wysunął się on wraz z trzema kolegami nieco do przodu i pierwszym strzałem trafił "Tygrysa". Niestety, odłamek pocisku artyleryjskiego ciężko ranił go w biodro. Wówczas pożegnał się z kolegami a do jednego z nich, Edwarda Janczewskiego, powiedział:

- Edek, weź mój pistolet na pamiątkę – a po chwili dodał po rosyjsku:
- Proszczaj moj Rakow ...

Janczewski sięgnął ręką po jego pistolet, lecz zanim go dotknął, Pawluczenko szybkim strzałem w głowę pozbawił się życia.

Podobną śmiercią zginie także tenże ułan Edward Janczewski, który w prawdzie wydostał się spod Jaktorowa, lecz w kilka dni później, w potyczce z Niemcami został ciężko ranny w brzuch. Wówczas tym samym pistoletem, strzałem pod brodę, odebrał sobie życie, nie chcąc być uciążliwym dla kolegów.

Major Okoń w czasie natarcia znajdował się na pozycjach 2 szwadronu. Około godziny siedemnastej, gdy zaczęło brakować amunicji, major udał się do pobliskich wozów, aby spowodować dostarczenie jej na pozycje. Poszedł i już nie wrócił...

Nazajutrz, wśród poległych znaleziono ciało dowódcy „Grupy Kampinos” majora Okonia – Alfonsa Kotowskiego. Po wojnie został pochowany na cmentarzu wojskowym w Budach Zosinych, we wspólnej mogile 132 żołnierzy AK poległych w tej bitwie.

PRZEZ KORDONY NIEPRZYJACIELA

Przed zmierzchem, tam gdzie było to możliwe, docierał rozkaz Doliny o kierunkach przedzierania się przez kordony nieprzyjaciela otaczające „Grupę Kampinos” małymi grupami przez tory w kierunku na Puszczę Mariańską.

W grupie, w której był Dolina, po odprawie u majora Okonia, znajdowało się trzydziestu, do czterdziestu żołnierzy. Szli na północny–zachód. Według relacji ułana Kota – Witolda Grzybowskiego z 2 szwadronu, który znalazł się w tej grupie, Dolina był bardzo przygnębiony, zmęczony fizycznie i psychicznie. Milczał w czasie przemarszu.

– Porucznik Dolina – opowiadał strzelec Józef Załucki – nakazał ruszać luźną tyralierą, w dużych odstępach od siebie. Niemcy nasilili ogień z boków i gdzieś z tyłu. Trzymałem się blisko Doliny, by było raźniej. On zawsze coś wymyśli. Kilku konnych, galopując, wyprzedziło nasz szereg. Nie przeszli. Trzech spadło z koni, pozostałych Niemcy ściągnęli z siodła, odprowadzili w bok. Biegliśmy, lub szliśmy na przemian. Nikt z nas się nie zatrzymywał. Kto padł lub został ciężiej ranny, zostawał. Ogień, wybuchy, świst kul i świetlnych pocisków, krzyki rannych, sprawiały niesamowite wrażenie. Minęliśmy wóz, przy którym lekarz, kapitan Kleszczyk rozkładał ręce. To był ambulans, a w nim ranni żołnierze, którymi się opiekował. Pocisk artyleryjski trafił prosto pod koła wozu. Zginęli wszyscy ranni, padł też koń. Wiatr roznosił pierze z postrzępionej poduszki.

Doktor Kleszczyk dołączył do naszej grupy.

Po kilkuset metrach marszu napotkaliśmy nową tyralierę niemieckiej piechoty. W ładownicy namacałem ostatnie pięć naboji. Zawołałem do Doliny:

– Panie poruczniku, Niemcy!

– To strzelaj! – odpowiedział dowódca. Zorientował się, że mam w ręce ostatnie naboje.

– Strzelaj celnie – dodał.

Wreszcie przed nami ogień ustał, ostrzeliwano nas jeszcze wprawdzie z boków i z tyłu, ale to nie było już groźne. Nastąpiła cisza, od której aż bolały uszy. Dotarliśmy do jakiegoś gospodarstwa. Daleko za nami rozlegał się przytłumiony odgłos toczącej się walki. Zarządzono zbiórke. Dolina rozdzielił ludzi ledwo trzymających się na nogach na trzy grupy. Kazał opatrzyć rannych.

Mnie polecił pozostać z jedną mniejszą grupą na ubezpieczeniu od strony, z której przyszlismy, do czasu aż wszyscy odmaszerują, by potem ściągnąć ubezpieczenie. Gdy oddział zniknął mi z oczu tak zrobiłem, dogoniłem kolumnę, meldując Dolinie o wykonaniu zadania. Przez tory przeszliśmy bez przeszkód w pobliżu Żyrardowa. Około północy stanęliśmy

w gajówce. To już była Puszcza Mariańska. Od Jaktorowa wciąż jeszcze dochodziły głuche wybuchy pocisków. Tam walka jeszcze trwała. (...)

Do żołnierzy, wśród których znajdował się podchorąży Kazik – Bronisław Piwowarczyk – rozkaz o wycofaniu się przyszedł w chwili, gdy czołgi zbliżyły się do nich na niebezpieczną odległość. Zajrzała im w oczy groza zmiżdżenia gaśienicami.

Przebiegający płytkim rowem porucznik Jastrząb zawołał: – Wycofujemy się!

– Poderwałem się wraz z innymi – wspomina podchorąży Kazik – i prosto, jednym skokiem, dopadłem kanału melioracyjnego. Tu natknąłem się na rannego porucznika Jastrzębia – Aleksandra Wolskiego, którego usiłował wyciągnąć na drugi brzeg plutonowy Zaremba. Schwyciłem rannego pod drugą rękę i tak w trójkę wydostaliśmy się z kanału.

Ranny prosił, aby go zostawić. Po chwili wyszeptał

– Dostałem w pierś – i znieruchomiał.

Biegliśmy z Zarembą dalej, mijając poległych. W pobliżu upadł plutonowy Kazimierz Szunejko z 2 szwadronu. Przed nami krzak, a z niego serie karabinu maszynowego, prosto w nas. Zaremba jęknął:

– Umieram – i padł martwy. Od tej samej serii zginął plutonowy Szunejko.

Zauważyłem grupy naradzających się, dokąd pójść dalej? Zaproponowałem marsz w kierunku Puszczy Mariańskiej. Zgłosiło się kilku z żandarmerii, a wśród nich plutonowy podchorąży Drzymała, starszy ułan Antoni Jankowski i ułan Jan Zybryk. Większość zdecydowała się na drogę powrotną do Kampinosu. Jak wiemy teraz, niewielu z nich ocalało.

O zmierzchu dotarliśmy na punkt zborny w Puszczy Mariańskiej i zameldowaliśmy się porucznikowi Dolinie. Przy nim byli też chorąży Nieczaj, porucznik Dąbrowa, podporucznik Jawor, podporucznik Stanisław Bazarewski, lekarz Kleszczyk i spory oddział żołnierzy, w większości kawalerzystów...

Z okrażenia przedzierano się drobnymi grupkami lub pojedynczo. W pobliżu koni znajdował się 1 szwadron i dwa plutony 2 szwadronu oraz jeden pluton 4 szwadronu..

Jeszcze przed zmierzchem, chorąży Nieczaj wysłał kaprała Robaczka do dowódcy 3 szwadronu wachmistrza Sum – Narcyza Kulikowskiego z rozkazem, by jego ułani pozostali na stanowiskach, co najmniej dwie godziny po ich szarzy. Chodziło o to, by oddziały pancerne nie

ruszyły natychmiast w pościg. Po wykonaniu zadania ułani trzeciego szwadronu mieli szarżować w drugim rzucie.

W tym czasie wachmistrz Wołodyjowski – Jan Jakubowski, Lawina – Józef Niedźwiecki i podporucznik Jawor – Aleksander Pietrucki ściągnęli z linii swoich chłopców do Bud Zosinych, gdzie przy zabudowaniach, u płotu przywiązane były konie. Był tam także dowódca plutonu zrutowego w Kampinosie, cichociemny major lotnictwa Kurs – Bronisław Lewkowicz. Chorąży podał komendę:

– Do koni. Na koń!

Dosiadło ich około dwustu ułanów. Kierunek natarcia był na zachód, na wieś Grądy. Ułani z miejsca ruszyli galopem rozwijając się w szeroką tyralierę i strzelając w pędzie. Niemcy tylko na chwilę przerywali ogień, zdziwieni, że partyzancka kawaleria nie przestała istnieć. Wnet jednak ochłonęli i już były gęstymi seriami ich karabiny maszynowe po koniach i jeźdźcach.

Nie załamało to jednak szarży. Ułani pochyleni nad karkami swych koni pędzili naprzód, nie oglądając się za siebie. Ten, kto spadł z konia lub padł razem z koniem, zabity czy ranny, pozostawał. Nie było możliwości zajęcia się nim, dla rannych nie było ratunku. Coraz więcej ułanów padało w rozproszonym szeregu koni, przygniatając w szarży jeźdźca. Coraz więcej pędziło naprzód koni bez jeźdźców. Szwadrony – pierwszy i drugi – trzymały się obok siebie, czwarty trafił na silnie obsadzone karabinami maszynowymi pozycje, musiał je ominąć w lewo, wprost na Żyrardów. Nie było wyjścia. Ułani przemknęli galopem, przez nikogo nawet nieostrzelani ulicami opustoszałego miasta.

Tam szarży ułańskiej nikt nie oczekiwał.

– Sami nie zorientowaliśmy się – powie później zastępca Jawora, wachmistrz Mucha – Stanisław Rećko – kiedy przed nami wyrosło miasto. Innej drogi już nie mieliśmy...

Ci, co przeżyli z czwartego szwadronu skierowali się później z powrotem na Kampinos. Było ich kilkunastu.

Pozostałe, 1 i 2 szwadrony, po przejściu dwóch linii niemieckich nadal ostrzeliwane, już z tyłu, nie przerywały galopu. Dopiero gdy kule nie były już groźne, za Grądami przeszły w kłus.

Przed Kozłowicami Starymi tyraliera sformowała się w plutony. Dowództwo nad całością objął major Kurs. Szwadrony sprawdzają, kto został, kto żyje.

Przez linie nieprzyjacielskie przeszło niespełna stu czterdziestu. Na polu pozostali między innymi: dowódca 2 szwadronu starszy wachmistrz Lawina – Józef Niedźwiecki, po którym dowództwo przejął wachmistrz Świerk – Stanisław Wołosewicz, dowódca 1 szwadronu starszy wachmistrz Wołodyjowski – Jan Jakubowski. Wszyscy trzej ciężko ranni, jednak przeżyją.

Major Kurs zarządził dalszy marsz w kierunku Puszczy Mariańskiej. Klucząc między osiedlami oddział kawalerii został nagle z bliskiej odległości ostrzelany z karabinu maszynowego i pistoletów maszynowych. Odruchowo, bez rozkazu kawaleria ruszyła galopem wprost na przeciwnika. W ciemnościach nocy oddział rozproszył się. Gdy policzono się w bezpiecznym miejscu, w oddziale pozostało sześćdziesięciu ułanów i tyleż koni. Nazajutrz oddział ten dotarł do Puszczy Mariańskiej, gdzie oczekiwał ich Dolina, któremu major Kurs złożył relację o wynikach szarży

OSTATNI BÓJ SUMA – NARCYZA KULIKOWSKIEGO

Ułani trzeciego szwadronu zdawali sobie sprawę, że z tego rowu wyjścia już dla nich nie było, skoro mieli, z rozkazu dowódcy 27 pułku ułanów chorążego Nieczaj – Zdzisława Nurkiewicza, osłaniać przebijające się inne pododdziały „Grupy Kampinos”. Postanowili drogo sprzedać swe życie. W swoim dzienniczku „Na koniu i pod koniem” autor „Doliniaków” odnotował.

– Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Aż nazbyt powoli. Niemcy nieustannie wznawiają ataki. Każdy myśli, aby wytrzymać jeszcze kilka godzin, już tylko kilka godzin.

Erkaemiści strzelają do nacierających od strony torów Niemców pospiesznie, nerwowo, jakby chcieli się pozbyć całego zapasu amunicji. Tylko dowódca sekcji, plutonowy Pogoń – Stanisław Piszczek zdążył już wymienić utracony nad Utratą elkaem na zdobyczny czeski szybkostrzelny ręczny karabin maszynowy. Oszczędza amunicję bijąc krótkimi seriami i mierząc starannie w pewien cel. I ten, kolejny atak został odparty.

Niemcy wycofali się tam, skąd przyszli. Ich upór, z jakim nacierali dotychczas, pękł jak mydlana bańka. Znowu nastaje cisza, ale już wdzie-

ra się w nią świst i huk artyleryjskich pocisków. Niemiecka piechota, cofając się, umożliwiła swoim działom sianie śmierci.

Ułani zsuwają się na dno rowu. Kapral Wicik – Witold Wieliczko kuca obok sanitariusza Felczera – Antoniego Rafalskiego nad samą wodą. Ociężałym ruchem wyciąga z kieszeni długą fajkę i woreczek z tytoniem, nabija, potem na krzemień nakłada kawałeczek huby i długo bije krzesiwem o kamień. Jakże drobnutkie są iskierki wylatujące spod krzesiwa przy oślepiających błyskach wybuchów pocisków artyleryjskich ciężkich dział pociągu pancernego.

Dowódca szwadronu leżąc ogląda mapę. Stanisław Kaczanowicz korzystając z chwili odpoczynku ładował do opróżnionych talerzy „Diegtiara” lśniące naboje. Na dnie rowu w stojącej wodzie wpół zanurzone ciało szefa szwadronu plutonowego Konstantego Pietruckiego...Kanonada artyleryjska ustała, co oznaczało, że za chwilę nastąpi nowy atak niemieckiej piechoty. Tym razem Niemcy nie atakują wprost, ale czołgają się, podchodzą na odległość około dwustu metrów, ich cekaemy biją po obrzeżach rowu. Raz po raz usuwa się trafiony ułan na jego dno. Lżej ranni, pozostawieni są sami sobie, zatykają krwawiące rany chusteczkami do nosa lub oderwanymi od koszuli strzępami płótna i strzelają dalej, Sanitariusz plutonowy Felczer – Antoni Rafalski nie interesuje się nimi, chociaż od dawna już nie strzela z karabinu, zajmując się ciężko rannymi.

Jedna z niemieckich kompanii zrywa się do ataku tam, gdzie stoją uwiązane konie. Przy nich zaledwie kilku koniowodnych.

– Całą siłę ognia skierować na lewe skrzydło! – mówi dowódca szwadronu wachmistrz podchorąży Sum – Narcyz Kulikowski, a ja ten rozkaz potykając się o martwych przekazuję dowódcom plutonów i mijanych, przylepionych do ziemi ułanów.

Chłopcy przesuwają gorące lufy karabinów w tym kierunku, przyniatając nieprzyjacielską tyralierę do ziemi. Zmrok gęstnieje, powoli, lecz nieustannie zbliża się upragniona noc.

Od Jaktorowa, Baranowa, Grąd i Henryszewa wzbijają się w niebo różnokolorowe rakiety: białe, czerwone, zielone. Cała gama barw. Łoskot strzałów dochodził już z trzech stron – tylko od Żyrardowa panowała niepokojąca cisza.

Niebawem, z powiewem lekkiego, zachodniego wiatru, doszedł stamtąd głuchy warkot silników. Ruszyły czołgi, sunąc wprost na stano-

wisko 3 szwadronu. Narcyz pochyla się nad celowniczym piata, który po chwili strzela. Pocisk nie doniósł, ale czołgi stają w pół drogi. Małe figurki ludzi podrywają się zza ich osłony, pędzą naprzód, zostają jednak skutecznie przyciśnięte do ziemi serami naszych karabinów maszynowych. Zalegają w kartoflisku. Aż tu nagle z lewego skrzydła krzyczy ktoś uradowany

– Pomoc! Idą nam na pomoc!

Istotnie, od strony gospodarstw gdzie stały nasze konie, zbliżała się do nas szeroko rozciągnięta tyraliera.

Narcyz zdjął polówkę z głowy, wytarł rękawem mokre od potu czoło, przyłożył do oczu lornetkę. Czyżby chciał sprawdzić, czy sam Dolina biegnie wśród zbliżającej się piechoty. Tyraliera był tuż–tuż. Ułanów ogarnęła radość. Śmiali się uradowani, krzyczeli, podrzucali w górę czapki. Byli ocaleni?

Nagle lornetka Narcyza opadła, zachybotła się na jego piersi. Wachmistrz zaklął soczyście i wrzasnął:

– To Niemcy! Granatami w nich! I ognia! – Niełatwo było rozpoznać w tym ochrypłym od nieustannego wołania, okrzyku dowódcy szwadronu. Niełatwo też było uspokoić oszalałych z radości ułanów. Umilkli jedynie ci, którzy stali najbliżej niego.

Figurki rosną w oczach, piechota niemiecka szeroką ławą podchodzi do rowu, są już na odległość rzutu granatem. W tej samej chwili padły stamtąd złowrogie wezwania:

– Hände hoch!

Narcyz pierwszy cisnął przed siebie obronne, angielskie jajo. W stronę rzekomej pomocy poszybowało kilkadziesiąt, zrzutowych granatów o dużej mocy rażenia. Atak został wstrzymany, ale w załamaniu rowu na prawym skrzydle Niemcy dotarli do jego krawędzi.

Pluton Bronka Dawidowskiego podjął się walki wręcz. On sam pierwszy wyskoczył z rowu, pozostali ułani, za nim z przejmującym wrzaskiem:

– Hurra!

Przed partyzantami zabłyśły ognie z automatów.

— Hurra!

Kapral Wieliczko nie miał bagnetu, prawdopodobnie i naboju w lufie. Przekręcił karabin, chwycił lufę otwartą garścią i zamachnął się karabinem, niczym maczugą waląc kolbą w łeb Niemca, który wyrósł

przed nim. Nikt nie podejrzewałby u tego starzejącego się już człowieka tyle siły. Dowódca plutonu wachmistrz Brunon Dawidowski położył z automatu, krótkimi seriami dwóch Niemców, ale po raz trzeci nie zdążył pociągnąć za spust. Zakręcił się na pięcie i padł ciężko ranny. Już doskoczyli do niego inni, odciągnęli do rowu.

Równie dzielnie spisali się w przeciwnatarciu, sąsiadujący z II plutonem ułani z I plutonu: Eugeniusz Marciniak (zwany Warszawakiem), Marian Miecznikowski, Witold Stanisław Dzuminowski, Zygmunt Ciechanowicz, Antoni Mazarczyk, Aleksander Downar, Józef Juchniewicz, Jan Kołodziński, Jan Wojtkiewicz, Franciszek Budnik ...

Już wiemy, że drugiego rzutu szarży, o której mówił dowódca pułku Nieczaj, nie będzie, zostaliśmy bowiem skutecznie odcięci od naszych koni.

Czy wszystkie inne oddziały „Grupy Kampinos” zdołały już wyrwać się z tego kotła i maszerują teraz zgodnie z marszrutą?

Czy chociaż nasz bój, przydał się tym, których osłaniamy? Czy zdążą odskoczyć na bezpieczną odległość? Czy w ogóle ktokolwiek z nich się kiedykolwiek dowie, że to właśnie ułani 3 szwadronu 27 Pułku Ułanów Armii Krajowej imieniem Króla Stefana Batorego zostali w tym przeklętym rowie, by osłaniać ich odwrót?

Długo oczekiwana noc, rozproszona łunami płonących zabudowań, nie przerwała walki. Dookoła pozycji straceńców nadal gejzery wybuchających pocisków artyleryjskich i ręcznych granatów, terkot broni maszynowej, świst kul, złowrogi warkot przesuwających się na dogodniejsze pozycje czołgów, dudnienie kół pociągu pancernego, wezwania to o pomoc, to o dobiecie, przejmujące jęki rannych, którym już nie ma kto udzielić pierwszej pomocy. Stamtąd, gdzie strzelamy, dochodzi przeraźliwe rżenie koni. Naszych wiernych pocziwych koni, które przyniosły nas na swoich grzbietach taki szmat drogi, z ziemi litewskiej, do polskiej. Teraz giną razem z atakującymi nas Niemcami, od naszych kul.

Ziemia kotłuje się gejerami ognia dymu i pyłu. Już nie rozróżniamy, czy są to pociski z dział pociągu pancernego, czy czołgów. Jaka to zresztą różnica? Nastrój w rowie paskudny, przygnębiający. Już nikt się nie zastanawiał, czy przeżyje! Tylko, w jaki sposób zginie? O poddaniu, w tym amoku walki, nikt nawet nie pomyślał. Jeśli już, to modlono się, choć to nie po chrześcijańsku, o gwałtowną śmierć, aby tylko nie wpaść w ich łapy żywcem. Wpadłem na pomysł, żeby zmienić ten

przygnębiający nastrój, więc wołam do Kłosa – Józka Mioduszewskiego, leżącego z pięć metrów na prawo ode mnie, usiłując przekrzyknąć jeden wielki huk.

– Józek, ty! jeszcze żyjesz?

Nie dosłyszał, pomyślał, że oberwałem czołga się, więc ku mnie.

– Ty żyjesz?! – powtórzyłem.

– Żyję – również drze się na cały rów.

– To powiedz – wołam – co będzie z nami za dwadzieścia pięć lat?

Pytanie było tak absurdalne, że ci, którzy je usłyszeli ryknęli gromkim śmiechem,

– A niech cię kule biją! – zaklął, choć wcale mi tego nie życzył.

Atakującym nas uprzednio SS–Mannom przyszedł od strony Henryszewa posiłki. Próbuja ponownie wdrzeć się do rowu. Na lewym skrzydle to im się udało. Z załamania rowu strzela teraz ich karabin maszynowy, siejąc spustoszenie. Odpowiada mu elkaem plutonowego Osy – Stanisława Borysewicza z II plutonu.

Dotychczas z naszego, trzeciego szwadronu zginęli: szef szwadronu plutonowy Nadzieja – Konstanty Pietrucki; kaprale: Zygmunt Boczkowski; Wicik – Witold Wieliczko; Józef Jarmułekiewicz; starsi ułani: Kucharski – Krzysztof Komorowski; Kuczer – Jan Krochmalski; Józef Tulejko; ułani: Olek – Olgierd Samotyja – Lenczewski; Stanisław Puziński; Alfred Kuraro, Solarz; Stanisław; Aleksy Selen, za chwilę padnie kapral Osa – Stanisław Borysewicza, w którego lekki karabin maszynowy trafi pocisk.

W tej, wydawałoby się beznadziejnej, sytuacji Kłos zawsze pełen wigoru i fantazji, zaintonował „Rotę”:

– Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...

Pieśń podchwycili inni. Śpiewano niebawem w całym rowie:

– Nie damy pogrześć mowy,

Polski my naród, polski ród,

Królewski szczep piastowy...

Niemieckie karabiny maszynowe przerwały nieoczekiwanie ogień i w tej ciszy jeszcze donośniej rozlegała się pieśń:

– Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz,

Ni dzieci nam germanił,

Oreżem stanie hufiec nasz,

Bóg będzie nam hetmanił...

Narcyz posłał mnie do dowódców plutonów z rozkazem, by przygotowali swoich chłopców do przebijania się w kierunku Żyrardowa. Plutonowi Wierny – Bolesław Mostowski, ranny Broniek – Brunon Dawidowski i Wir – Antoni Burdziłowski jakby tytko na to czekali. Zanim Niemcy wznowili ogień, na znak wachmistrza ułani zerwali się z rowu do pieszej „szarzy” ruszając we wskazanym kierunku – jedynym, skąd nie było słyhać nieprzyjacielskiego ostrzału.

– Naprzód, naprzód! – ponaglał Narcyz.

Przebiegliśmy ze dwieście metrów, gdy nagle przed nami rozpełtało się istne piekło. W odległości dwudziestu, piętnastu metrów przed nami zaterkotały na całej linii karabiny maszynowe. Po pierwszej serii, Narcyz całym ciężarem swego ciała zwałił się na ziemię. Dobiegliśmy do niego, Kłós i ja.

– Panie wachmistrzu! Panie wachmistrzu!

Gwałtowny ogień przygwoździł ułanów do ziemi i tak zalegliśmy, a po linii poszedł posepny pomruk: – Narcyz nie żyje...

Wracać na poprzednie pozycje nie było sensu. Leżeć tu nadal, też. Jako łącznik, zawsze przekazywałem rozkazy Narcyza dowódcom plutonów, więc i tym razem, bez namysłu podniosłem się z ziemi gardłując z całych sił, by prebić się głosem przez jeden wielki huk:

– Z rozkazu dowódcy szwadronu, naprzód! Hurraa!¹⁷

Ci, którzy nie zostali skoszeni pierwszymi seriami karabinów maszynowych zerwali się biegu, wprost na ziejące ogniem niemieckie lufy, rozbijając się na mniejsze grupki. Jak burza przedarli się przez pierwszą linię nieprzyjaciela, natrafili na drugą. I tę pokonali, choć na polu bitwy pozostało wielu zabitych i rannych, którzy o własnych siłach nie byli w stanie biec dalej.

¹⁷ Stanisław Podlewski w „Rapsodii Żoliborskiej” Instytut Wydawniczy PAX 1979, str. 377 stwierdza: „Wielu dowódców przepłaca śmiercią próbę przebicia się. Wachm. pchor. Sum (Narcyz Kulikowski), dowódca 3 szwadronu, zostaje śmiertelnie ranny. Zda-je dowództwo szwadronu st. ułanowi Żbikowi (Marian Podgóreczny) bardzo odważnemu siedemnastoletniemu chłopcu.” W rzeczywistości, dowódca 3 szwadronu zginął na miejscu, nie zdążył więc podać żadnej komendy. Pod naporem ognia ułani mogli zawrócić na opuszczone przed chwilą pozycje, gdzie czekałaby ich pewna śmierć. St. ul. Zbik, który, jako łącznik (goniec) dowódcy 3 szwadronu przekazywał jego rozkazy dowódcom plutonów, zdając sobie sprawę z tego, że jego dowódca w tej sytuacji nie wydałoby żadnego innego rozkazu, w jego imieniu poderwał na nogi ułanów, którzy nie zostali dotąd skoszeni seriami broni maszynowej.

PO BITWIE

Plutonowy Wir – Burdziłowski z kilkoma ułanami ze swego plutonu dotarł na przedmieścia Żyrardowa i tam spędził z nimi cały następnny dzień u ludzi, którzy odważyli się ich przechować. Za Pilicę ruszyli dopiero nazajutrz w nocy.

W czasie przerywania pierścienia okrążenia ciężko ranni zostali: zastępca dowódcy szwadronu wachmistrz Płaz – Czesław Juchniewicz, sekcyjny Sęp – Zygfryd Bernard i dowódca pierwszego plutonu, plutonowy Wierny – Bolesław Mostowski, którego Kłos i Żbik przenieśli w bezpieczne miejsce, ukrywając w stogu siana. Następnego dnia Niemcy podpalali co drugi stóg, ale Wierny miał szczęście, gdyż „jego” stóg był tym pierwszym. Przeżył¹⁸.

Ciężkie rany odniósł również Broniek – Brunon Dawidowski. Dzięki pomocy miejscowej ludności udało się umieścić go w szpitalu.

W jednej z grup 3 szwadronu znaleźli się ułani Kłos – Józef Mioduszewski, Żbik, Benek – Benedykt Juchniewicz, Witold Zaremba, Witold Grzyb, i Antoni Dziedziejko. Dołączyli potem do nich inni rozbitkowie z bitwy pod Jaktorowem. Zebrało się ich razem ze dwudziestu. Nie przechodząc torów dotarli do lasu pod Żyrardowem i tam odczekali cały dzień, by następnego nocy przedrzeć się przez tory, lasy i zagajniki do Puszczy Mariańskiej. Spotkali tam żołnierzy z kompanii Zemsty i od nich dowiedzieli się, że porucznik Dolina udał się w kierunku Pilicy. Oddział podzielił się na dwie grupy pod dowództwem Kłosa i Żbika, które udały się na południe tropem Doliny.

W tym samym czasie opuścił Żyrardów plutonowy Wir – Antoni Burdziłowski, który zgarniając po drodze napotkanych innych, pojedynczych żołnierzy, też wyruszył w stronę lasów na Kielecczyźnie.

¹⁸ O tym, że dowódca I plutonu, w 3 szwadronie plutonowy Wierny – Bolesław Mostowski przeżył bitwę pod Jaktorowem, autor Doliniaków dowiedział się z „Życia Żyrardowa” nr 34 z 1996 r., artykułu M. Twardowskiego pt. „Powstańcza epopea Puszczy Kampinoskiej (3) Do ostatniego naboju”, w którym autor opierając się na wspomnieniach plutonowego „Wiernego” z tej bitwy pisze: „Wkrótce potem B. Mostowski został ciężko poraniony odłamkami pocisku artyleryjskiego. Koledzy ze szwadronu: Marian Podgórczny i Józef Mioduszewski wynieśli go poza pierścień oblawy i ukryli w stogu siana. Po bitwie został umieszczony w zakonspirowanym szpitalu w Szymonowie, a następnie operowany w Żyrardowie.. Przeżył wojnę i założył rodzinę blisko miejsca swojej ostatniej walki. Mieszka w Międzyborowie, przy ulicy Partyzantów...”

Wielu ułanów zginęło przy koniach, pełniąc rolę koniowodnych. W ostatnim etapie walki te gospodarstwa, w których pozostawiono konie w Budach Zosinych, znalazły się w polu zmasowanego ostrzału, zarówno Niemców, jak i partyzantów. Cudem ocalał woźnica taczanki pierwszego plutonu ułan Jaworski – Wincenty Jarosz. Przebijając się przez pozycje nieprzyjaciela pozostał sam. Jego grupa trafiła pod grad kul z karabinów maszynowych. Większość poległa, pozostali – ranni – dostali się do niewoli.

Jarosz doczołgał się do zabudowań gospodarskich, wszedł i zaszył się w słomie. Ale w stodołę tę trafił pocisk z granatnika, wznecając pożar. Udało mu się go ugasić. Nazajutrz Niemcy przeszukiwali okolicę, przetrząsnęli też stodołę, w której się ukrywał, lecz go nie zauważyli. Przeleżał w niej dwa dni, później zaopiekowali się nim uciekinierzy z Warszawy. Otrzymał fałszywy ausweis – dowód tożsamości i dzięki temu przeżył.

Na pozycji trzeciego szwadronu znalazło się kilku ułanów ze szwadronu cekaemów – kapral Zołotar – Józef Harbuz, ułani Pulchny – Stefan Fedorowicz, Góra – Stanisław Skoczeń – których cekaemy zostały rozbite – oraz koniowodny Gienek. Po pokonaniu w przeciwnatarcia dwu linii niemieckich, natrafili w zaroślach na jeszcze jedno gniazdo z karabinem maszynowym, który oświetlił ich pociskami świetlnymi. Wcześniej ranny Zołotar posłał zdrową ręką w jego stronę granat, wskutek czego karabin umilkł. Przebiegli szybko przez drewniany mostek koło młyna, tam dołączyła do nich jeszcze jedna grupka, w której znajdował się Wieloryb – Artur Fałkowski – z przestrzeloną ręką. Dopiero tutaj wszyscy połapali się, że nie ma z nimi Pulchnego i Gienka, koniowodnego. Pozostali zapewne przy gnieździe unieszkodliwionego karabinu maszynowego. Uznano ich za zabitych...

Na przedmieściu Żyrardowa przemykali przez ogródki działkowe. Podczas pokonywania torów któryś nieostrożnie zahaczył o przeciągnięte wzdłuż szyn druty. Znowu trafili pod ostrzał kaemów od strony dworca, ale ogień ich nie był skuteczny. Następnego dnia po południu dołączyli do porucznika Doliny.

A ułan Pulchny uznany za zabitego znajdował się najbliżej plującego ogniem karabinu niemieckiego. Ogłuszył go huk granatu rzuconego przez Zołotara, a kiedy się po pewnym czasie ocknął, zauważył obok ciała zabitego Gienka. Uskoczył od razu w bok, biegł na oślep przed

siebie przez pola buraczane. Przeżył dzięki temu, że trafił na Węgrów, którym niejedynemu Doliniak zawdzięczał przeżycie.

Podczas przedzierania się przez drugą linię niemiecką ciężko ranny został dowódca trzeciej sekcji w trzecim plutonie, starszy ułan Sęp – Zygryd Bernard. Biegł on obok Wira w kierunku najbliższych zarośli, gdy niespodziewanie, już po przejściu pierwszej linii, zostali ostrzelani z broni maszynowej. Upadł, jakby przez kogoś podcięty, jednocześnie poczuł raptowne drętwienie nogi i ciepło rozlewające się pod kolanem. Oberwał pociskiem rozpryskowym, który roztrzaskał mu kość piszczelową. Obok niego leżało dwóch zabitych kolegów, którzy aż tutaj dotarli spod nowogródzkiej ziemi. Zginęli od tej samej serii, która dosięgnęła i jego.

Sęp próbował doczołgać się do stojącego nieopodal stogu siana. Ale po kilkunastu metrach znieruchomiał. Dalsze poruszanie się było niemożliwe. Odrzucił automat, gdyż nie miał sił by go utrzymać. I tak zresztą stał się on bezużyteczny, gdyż wystrzelał wszystkie naboje. Wyciągnął z kabury pistolet, ostatnią kulę postanawiając zachować dla siebie. Nagle z tyłu posłyszał kroki – pomyślał, że to może swoi. Usłyszał jednak okrzyk: „Hände hoch!”

Nie zdążył przyłożyć pistoletu do skroni, niemiecki but przygniótł mu rękę do ziemi. Jeden z dwu wermachowców zawołał po polsku: – wstawaj!

– Jestem ranny – wymamrotał.

Drugi żołnierz rzucił po niemiecku:

– Zostaw go, niech zdycha bandyta.

Ale ten, który mówił po polsku, wziął rannego na plecy i doniósł do najbliższej chłopskiej zagrody, gdzie przy stodole siedziało już kilku rozbrojonych ułanów. Tam wziął dwie drewniane szczapy, obwiązał nogę Sępa, zaś dwóm innym jeńcom rozkazał, aby zaprowadzili go do izby, wysłanej słomą, gdzie leżało kilkunastu jęczących rannych Niemców. Ten, mówiący po polsku (podał się za Ślązaka), przyniósł kubek z wodą, dał się napić rannemu i powiedział, że ich dowódca kazał rannych jeńców odstawić do szpitala w Skierniewicach.

W listopadzie wywieziono ich w głąb Niemiec do Stalagu VI B.

Do szpitala, a potem do obozu jenieckiego dostał się też ranny pod Jaktorowem ułan Nieśmiały – Czesław Żdanowicz z 2 szwadronu, a także Jan Pietraszkiewicz, którego ujęto dopiero nazajutrz. Wśród jeńców znalazł się ułan Tank – Józef Kuźmiński. Ze szpitala polowego przewie-

ziono go do Stalagu XI B w Föllinbassel. Dostał się do obozu również amunicyjny cekaem z I plutonu 2 kompanii porucznika Strzały, strzelec Broniek – Bronisław Smólski z Mołodeczna. Przedzierał się z kotła pod Jaktorowem wraz z pięcioma kolegami z jego drużyny. Trafili na czołg, czterech zginęło. Jego też Niemcy wzięli za zabitego. Później trafił na Węgrów, którzy wskazali mu właściwy kierunek ucieczki. Po trzech dniach schwytali go jednak Niemcy.

Wielu Doliniaków nie mogąc przebić się przez tory powróciło z powrotem do Puszczy Kampinoskiej małymi grupkami, lub pojedynczo. Wśród nich znaleźli zwadronu, ranny ułan Delfin – Antoni Skurat ze szwadronu cekaemów, kapral Władysław Pupko, ranny odłamkami w rękę, nogę i brzuch, zastępca dowódy 3 szwadronu wachmistrz Płaz – Czesław Juchniewicz, kapral Czarny Kajetan – Kajetan Komorowski, starszy ułan Żybul – Leon Cywiński – sekcyjni z 3 szwadronu, obaj ranni w czasie przedzierania się przez linie nieprzyjacielskie, podobnie jak i ranni w tym samym natarciu ulani Mieczysław Lipiński, Edmund Łukaszewicz, Waław Hołownia, Stanisław Majewski...

Po powrocie do Puszczy Kampinoskiej partyzanci z „Grupy Kampinos” utworzyli kilkunastoosobowe oddziały. W najgęstszym lesie lub na moczarach pobudowali bunkry i szałas i w nich udało im się przetrwać do ofensywy sowieckiej, chociaż wielu z nich zginęło podczas urządzanych przez Niemców nękających obław.

Wśród tych, którzy przedarli się z powrotem do Puszczy Kampinoskiej znalazł się jeden z łączników dowódcy pułku Palmiry–Młociny porucznika Doliny kapral Maciejka – Franciszek Kosowicz, który bardzo szczegółowo przedstawia te fragmenty bitwy w których brał bezpośredni udział, opisuje w jaki sposób rozstał się ze swoim dowódcą, którego opuszczał w czasie walk tylko wówczas, gdy miał przekazać jego rozkazy dowódcom pododdziałów. I właśnie w ostatniej fazie bitwy pod Jaktorowem, z takim rozkazem dotarł do dowódcy 1 szwadronu starszego wachmistrza Wołodyjowskiego – Jana Jakubowskiego:

– Od wielu godzin oczekiwaliśmy zachodu słońca i mroku jak zbawienia, licząc, że w ciemności przebijemy się. W nocy nie będzie samolotów, a i czołgi nie będą takie straszne. Nieprzyjaciel też zdawał sobie sprawę, że jeśli do nocy nas nie rozbije, to mu ujdziemy. Wiedzieliśmy, że nawet jeśli ziszczą się nasze nadzieje i doczekamy nocy, i tak bardzo dużo z nas stąd nie wyjdzie.

Oddziały Grupy Kampinos nie mogąc już przebić się przez tory, które przeskoczyło kilka małych grup, zanim nadjechał pociąg pancerny wspierany piechotą, czołgami i lotnictwem, musiały odstąpić od torów.

Po wycofaniu się poza zasięg broni maszynowej oddziały zajęły stanowiska obronne tworząc pierścień, spodziewając się ataków nieprzyjacielskich ze wszystkich stron, na które nie trzeba było długo czekać.

Nieprzyjaciel rozpoczął ataki, ale nie skoncentrowane, raczej pojedyncze; gdy go odrzucono w jednym miejscu, próbował w innym. Badał naszą obronę i siły, chyba chciał wiedzieć czym dysponujemy. Artylerii już nie mieliśmy, a więc przeciw czołgom mieliśmy trochę piatów, ale stosunkowo niedużo amunicji, gdyż otrzymaną ze zrzutów wysyłano do Warszawy.

Nieprzyjacielskie ataki wzrastały na sile. Nieprzyjaciel wprowadzał do walki wciąż przybywające mu posiłki. Obrona nasza zaczynała stopniowo słabnąć, gdyż kończyła się amunicja do piatów i moździerzy, a na wielu punktach obronnych amunicja do karabinów i broni maszynowej też się już kończyła. Tuż przed zachodem słońca nieprzyjaciel uderzył z kilku kierunków. Pod osłoną artylerii ruszyły czołgi i samochody pancerne, zamaskowane gałęziami, a za nimi piechota. W niektórych miejscach zdołano i te uderzenia zatrzymać, ale nie na długo. Nieprzyjaciel, który wdarł się do środka pierścienia, atakował teraz punkty oporu od tyłu.

W tym to czasie, do stojącej grupy oficerów, doszedł por. Dolina, który dotychczas przebywał na odcinkach obrony, udając się tam gdzie najbardziej wzmagaly się walki i zagrożenie było największe. Nie zważał na gwizdy kul, ani na rwące się pociski, tak jakby nie słyszał i nie widział. My, gońcy idący za nim, gięliśmy się jak najniżej, a gdzie się zatrzymali to człowiek rozglądał się, gdzie tu najgłębsza wnęka w ziemi żeby tam się skryć, bo wydawało się jak gdyby cała niemiecka armia tylko ciebie widziała i tylko do ciebie strzelała.

W chwili dojścia por. Doliny do grupy oficerów, major Okoń siedząc na koniu, kręcił się i rozglądał wokół. W tej też chwili przygalopował chorąży Nieczaj dowódca pułku 27 pułku ułanów. Zwrócił do dowódcy Grupy Kampinos pytając:

– Nieprzyjaciel niszczy resztę obrony, co robimy?

Major nie odpowiadał, nadal się rozglądał na wszystkie strony.

– W którym kierunku mamy się przebijać? – chorąży ponowił pytanie.

Gdy nadal nie było odpowiedzi, Dolina spokojnym, ale donośnym głosem powiedział:

– Przebijamy się w kierunku południowo zachodnim i wskazał kierunek ręką. Stałem z łącznikiem Stasiem Niedźwiedziem – Myślickim z boku, kilka metrów od dowództwa, bliżej olszynek, gdzie stały nasze konie. Porucznik Dolina rozkazał – gońcy, co koń wyskoczy pognali zaawiadomić swoje oddziały i wszystkie napotkane po drodze, że bezzwłocznie przebijamy się w kierunku południowo–zachodnim, a jeśli ktoś już nie może w tym kierunku, niech przebija się tam, gdzie może.

Chorąży „Nieczej” zwrócił się do mnie:

– Franek, zawiadom 1 szwadron, jest na lewym skrzydle szwadronu CKM.

W tej chwili też wzmogła się kanonada, pociski rozrywały się wokół, a między wybuchami słychać coraz głośniejszy warkot silników broni pancerniej.

Dopałem w lot konia, wyprowadziłem go z olszynek, zarzuciłem wodze przez głowę, nogę w strzemię, uniosłem się, drugą ledwie przerzuciłem, jeszcze nie złapałem prawego strzemienia, a koń już ruszył z miejsca, galopem. On też, jak i wszyscy inni chciał jak najszybciej wyrwać się z tego piekła. Szwadron CKM zajmował odcinek obronny na północny wschód od miejsca gdzie znajdowało się dowództwo. Konia nie trzeba było popędzać, gdy się pochyliłem w siodle tak, że całkiem prawie leżałem na końskim grzbiecie, pędził ile miał sił. Po przejechaniu 500–600 metrów zostałem ostrzelany. Gdy kule zagwizdały nad głową zauważyłem czołgi – auta pancerne i piechotę posuwające się z południowego wschodu jakieś 300–400 metrów ode mnie. Zauważyli mnie dość późno, bo byłem tuż przed zagajnikiem olchowym, jeszcze tylko kilka susów i wpadłem w krzaki. W pobliżu, z prawej strony jakiś pocisk rozerwał się uderzając w drzewo. Ja nie byłem jedynym celem. Po łąkach i polach pędzili partyzanci pieszo i konno. Niektórzy kierowali się na zachód, duża grupa, może około stu osób, biegli na północ do tych krzaków, do których ja też podążałem. Jeszcze kilkaset metrów i wpadłem na stanowiska naszych CKM–ów. Wszędzie wokół ślady ciężkich walk. Drzewa porąbane, posiekane pociskami, rozbite wozy, taczanki, zabici i ranni. Przekazałem rozkaz por. Doliny dowódcy szwadronu CKM por. Jarowi – Jarosławowi Gąsiewskiemu. Zapytałem gdzie jest 1 szwadron?

Wskazał ręką na olchowy zagajnik paręset metrów w lewo. Pogalopowałem tam. Sarszy wachmistrz Wołodyjowski – Jan Jakubowski dowódca 1 szwadronu, który tego dnia już kilkakrotnie wstrzymał i odrzucił ataki nieprzyjaciela, przygotowywał swoich ułanów do kontruderzenia lub do odskoczenia w tył. Gdy dojechałem, lżej rannych, którzy jeszcze mogli utrzymać się na koniu, sadzano na konie. Konie szwadronu dotychczas stały w dość bezpiecznym miejscu, w jakimś dużym obszernym wykopie gdzie kopano glinę. Gdy przekazałem rozkaz por. „Doliny”, dowódca szwadronu krzyknął: – Do koni! Chłopcy poderwali się żywo i biegiem tam, gdzie stały ich konie. Nieprzyjaciel zauważył nagły ruch, otworzył kanonadę na stanowiska szwadronu, które w tej chwili były już puste.

Ruszyliśmy z tego wykopu. Przed wyjazdem dowódca szwadronu powiedział, że gdy wyskoczymy w otwarty teren, mamy się rozsypać, nie tłoczyć. Nadjeżdżały grupy konnych ze szwadronu CKM i spora grupa ze zwiadu konnego pułku piechoty. Ruszyliśmy galopem w kierunku gdzie było dowództwo, a skąd niecałe chyba 10 minut temu wyjechałem. Powiedziałem wachmistrzowi Wołodyjowskiego, obok którego galopowałem, o dużej kolumnie pancernej, która gdy ją widziałem posuwała się właśnie w kierunku naszego dowództwa. Z chwilą, gdy ruszyliśmy, znaleźliśmy się pod ostrzałem z północy i z zachodu. Przed nami była kolonia i dość duża kępa drzew, zasłaniająca nam widok na teren, w kierunku, w którym jechaliśmy. Gdy wynurzyliśmy się spoza tej kępy zarośli, zobaczyliśmy przed nami, w odległości kilkuset metrów, a w miejscu gdzie nie tak dawno jeszcze było nasze dowództwo, pełno Niemców, czołgi, samochody pancerne, piechotę. Niemal jednocześnie i oni nas zobaczyli. Wachmistrz Jakubowski gwałtownie skręcił konia w prawo, ręką wskazując północny zachód. Dotychczas jechaliśmy średnim galopem, teraz każdy z ułanów ciął konia ostrogami, aby wydobyć maksimum szybkości, gdyż nieprzyjaciel już otworzył ogień z różnego rodzaju broni. Wokół nas ziemia zakotłowała; gwizdy kul, rozrywające się pociski, krzyki rannych. Padali ludzie i konie, reszta parła naprzód. Przed nami kilka gospodarstw, trochę drzew, jesteśmy już blisko domu, w który trafia pocisk i cała chata wybucha. Dopadamy do jakiejś rzeki. Większość koni ją przeskakuje, wielu jednak nie osiągnęło drugiego brzegu. Pędzimy dalej. Z lewej strony dołączają do nas grupy ułanów z innych szwadronów. Słońce już zaszło, chociaż niebo jeszcze czerwone na

zachodzie. Nieprzyjaciel z przodu ulokowany po koloniach zaczyna do nas strzelać, ale chyba ich zaskoczyliśmy, gdyż ogień nie był skoncentrowany. Strzelaliśmy do nich w pełnym biegu, niektórzy ułani rzucili granaty na stanowiska nieprzyjacielskie nie zważając, że sami mogą być nimi rażeni, ale to było mniej groźne niż broń maszynowa z krótkiej odległości. Niedługo potem nieduża falistość terenu dała nam osłonę. Chwilowo nikt do nas nie strzeliwał, za nami w wielu miejscach nadal toczyły się walki. Zwolniliśmy tempo, konie były u kresu sił. Z prawej strony, w odległości chyba kilometra, na wzgórzu stały 2 czołgi. Spodziewaliśmy się, że lada chwila otworzą do nas ogień. Stały na drodze, którą mieliśmy przekroczyć.

Jechaliśmy stępą, jadąc bardziej na zachód, aż dojechaliśmy do drogi gdzie krzaki a i zapadający zmrok uniemożliwiał widoczność. Przejechaliśmy drogę i skierowaliśmy bardziej na północ. Dojechaliśmy w okolice Grąd i zatrzymaliśmy się na jakiejś kolonii z dość dużym sadem. Zrobiło się już ciemno. Zarządzono postój. Dojeżdżały do nas grupy i grupki ułanów, a po jakimś czasie i pieszych, też zresztą ułanów, którym po drodze zabito konie. Przywiązałem swego do drzewa, popuściłem popręgę. Sam poczułem wielkie pragnienie. Więc poszedłem pod dom w poszukiwaniu wody. Chyba wszyscy, którzy znaleźli się na tej kolonii mieli to samo pragnienie. Nie można się było docisnąć do wodopaju. Ci, którzy dopadli do wiadra nie mogli wprost zaspokoić pragnienia. W końcu i ja się napiłem do syta. Wracając do swego konia usłyszałem głos: „Franek, to ty?” Po głosie poznałem Pawła Kosowicza, który był łącznikiem porucznika Jara, a którego znałem od najmłodszych lat. „Tak Paweł, to ja”. „Czy masz konia?” pyta, mówię, że tak, „To pilnuj go, żeby ktoś go sobie nie przywłaszczył”.

Na tej kolonii staliśmy około 2 godzin. Ilu nas tu dotarło trudno dokładnie powiedzieć, mnie się wydawało, że około dwustu.

Głównym dowódcą oddziałami przebijającymi się w kierunku północno zachodnim na Grądy był st. wachmistrz „Dąb”–„Wołodyjowski” Jan Jakubowski d-ca 1 szwadronu.

On dowodził swoim szwadronem, który jeszcze nie był rozbity, aczkolwiek już miał spore straty. Do niego dołączyły pododdziały: część konna szwadronu CKM i znaczne części ze szwadronu zwiadu konnego pułku „Palmiry–Młociny”. Tu należałoby wyjaśnić i skorygować błędne ujęcia w wielu publikacjach, przedstawiające jak gdyby dwie odrębne

grupy kawalerii, w sile około 300 ludzi każda, szarżowały mniej więcej w tym samym czasie i mniej więcej w tym samym kierunku. Publicyści podają, że jedną grupę około 300 ułanów skupili około siebie ppor. „Jawor” Aleksander Pietrucki d-ca 4 szwadronu i chor. „Warta”. W pewnej chwili, gdy nastąpiła nieco dłuższa przerwa ogniowa, grupa kawalerzystów, pochylonych nad karkami końskimi, wylatuje z zagajników i przeskakuje tory. (Stanisław Podlewski – Rapsodia Żoliborska str. 377). To moim zdaniem jest *licentia poetica*. Druga grupa, pod dowództwem st. wachmistrza „Dąb” – „Wołodyjowskiego” też licząca około 300 ułanów szarżujących wpierw w kierunku południowo zachodnim, a po napotkaniu niemożliwej do przebicia zapory w postaci dużej ilości czołgów i piechoty w całkowicie otwartym terenie, gwałtownie zmieniając kierunek szarży niemal o 90^o kierując się na północny-zachód, tu usiłując osiągnąć maksimum tempa, jak to się mówiło: „Co koń wyciągnie”.

Otóż, tuż w pobliżu rzeczki – nie wiem jak się ona nazywała – (Pisia – przyp. MP) i na zachód od niej, nad którą straciliśmy dużo naszych współtowarzyszy, dalszą drogę zagroziły nam duże kolumny pancerne. Tam też dołączały do nas inne oddziały, które połączyły się razem z grupą st. wachmistrza Wołodyjowskiego i pod jego dowództwem galopowaliśmy razem w kierunku Grądów. To musiała być ta druga grupa kawalerii opisywana przez Podlewskiego. Ale ona nie mogła być 300 osobowa, gdyż w najlepszych czasach liczebność ich nie przekraczała 500 osób. To jest 4 szwadrony dywizjonu 27 p. ułanów, 1 szwadron CKM 23 p.uł., w którym około 35 osób było na koniach, reszta na taczankach z CKM-ami i na wozach, no i szwadron zwiadu konnego pułku piechoty liczący kilkadziesiąt osób. Wszystkie te oddziały były już porządnie przetrzepane i poniosły duże straty w walkach trwających już prawie 24 godziny. Gdyby ppor. „Jawor” przeszedł przez tory kolejowe, to nie doszedłby do Grąd. A, jak pamiętam, w Grądach był z nami..

Twierdzenie że: „wyżej wspomniana grupa kawalerzystów pod dowództwem ppor. „Jawora” i chor. „Warty” przemknęła galopem przez ulice i rynek Żyrardowa” – mogło polegać na prawdzie, ale nie w opisanym czasie, a dopiero po drugiej próbie przebicia się koło północy.

W Grądach spośród dowódców byli: st.wachm. Wołodyjowski – Jan Jakubowski, ppor. Jawor – Aleksander Pietrucki, major Kurs – Bronisław Lewkowicz, dowódca odbioru rzutów, ppor. Sudan –

Edwin Czemko i ppor. Adam ze zwiadu konnego piechoty. Było też kilku dowódców plutonów: st. wachm. Konstanty Downar , wachm. Antoni Zołotar. Dotarły tu mniejsze lub większe grupy ze wszystkich oddziałów konnych, z wyjątkiem 3 szwadronu, który już wcześniej został odcięty od swoich koni i okrążony ze wszystkich stron odpierał ataki, aż do północy w korycie rzeki. Dołączyło też do nas trochę żołnierzy z piechoty.

W Grądach dowództwo objął major „Kurs”. Po około dwugodzinnym postoju i po pośpiesznym małym zreorganizowaniu oddziałów, kolumna ruszyła w kierunku zachodnim, czoło kolumny prowadził st. wachm. „Dąb” – „Wołodyjowski”. Ja zostałem przydzielony do grupy ubezpieczającej kolumnę od tyłu. A ze mną też byli między innymi Zygmunt Szydłowski, Felicjan Pałacki, Czesław Danilewicz „Sowiński”, Jan Kowalewski „Zakrystian”, Gienek Krasowski, Stanisław Rutkowski, Franciszek Łukaszewicz, Wacław Kosowicz. W usiłowaniu przekroczenia drogi Wiskitki – Oryszew kolumna wpadła w krzyżowy ogień nieprzyjacielski. Koń st. wachm. Wołodyjowskiego” wspiął się dęba i runął na ziemię. Trafieni zostali i koń, i jeździec oraz kilkunastu innych. Pozostali od czoła kolumny rzucili się jedni w prawo, drudzy w lewo. Inni znowu osłepieni chwilowo błyskami strzałów, nie słysząc rozkazów majora „Kursa”, aby uchodzić w prawo, rzucili się do tyłu, aby ująć z piekielnego ognia. Straż tylna nie była rażona ogniem, gdyż lekka falistość terenu osłaniała ją. Nie widzieliśmy też co się dzieje z przodu. Za chwilę jednak zaczęli nadciągać stamtąd ułani z wiadomością, że st. wachm. „Dąb” – „Wołodyjowski” zabity jak i wielu innych, że kolumna się podzieliła na części. Byliśmy w ciemnościach, widoczność na kilka kroków w takich okolicznościach nie sposób odтворzyć tego co się działo.

Znalazłem się w grupie ponad 60 osób, nie było między nami żadnego z naszych dowódców. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy, co przed nami, gdzie mamy iść. W terenie całkowicie obcym, nikt w tej grupie nie miał mapy ani kompasu. Naradzaliśmy się, co robić dalej, gdzie iść? Przeważała koncepcja, by się rozdrobnić na mniejsze grupy. Niektórzy radzili, by ulokować się w jakiejś kryjówce i przetrwać tam przez nadchodzący dzień, jeszcze inni wręcz przeciwnie – by ująć z tych terenów jak najdalej, gdyż tu znajduje się olbrzymie skupisko wojsk nieprzyjacielskich. Znaczna grupa była za tym, aby wrócić do Kampinosu.

Ja też byłem za tym. Aczkolwiek wiedzieliśmy, że do pierwszych lasów Kampinosu chyba jest co najmniej 25 kilometrów i to w prostej linii, a my musimy kluczyć bezdrożami, omijając większe osiedla gdyż tam na pewno stacjonują oddziały nieprzyjacielskie.

Gdy wyruszyliśmy było nas w grupie co najmniej 30 osób. Tych, co pamiętam to: Waclaw Kosowicz „Ciuta” łącznik–goniec por. d–cy batalionu por. „Strzały” – Witolda Lenczewskiego, Franciszek Łukasiewicz „Krułok”, Stanisław Rutkowski „Jerzynka”, Jan Majewski „Maj” i wielu innych, których twarze jeszcze pamiętam ale trudno przypomnieć nazwiska. Nikt nikomu nie narzucał decyzji, każdy musiał podjąć ją sam. Wobec tego grupa, w której ja byłem, a było tych grup więcej, zdecydowała, że będziemy unikać potyczek, nawet gdy zostaniemy ostrzelani. Strzelać można było jedynie w obronie życia. Gdy w nocy do nieprzyjaciela się nie strzela to i on nie będzie strzelał bo nie jest pewien co on widzi... Może sarnę?

Szliśmy szybkim krokiem. Ostrzelano nas w kilku miejscach. Ostrzeliwujących obeszlśmy bokiem. Nasza grupa, tak jak i inne idące w tym samym kierunku, stopniowo szczupłała. W ciemnościach ludzie gubili się, inni uważali, że może lepiej będzie odpocząć resztę nocy i dzień. Tak, że gdy doszliśmy w okolice rzeki Utraty, było nas chyba około 20 konnych. Noc była ciemna, a nad rzeką i łąkami wisiała gęsta mgła. Wiedzieliśmy, iż znaczną część wojsk nieprzyjacielskich stanowili Ukraińcy, Kozacy, Uzbegy i inne narodowości. Uzgodniliśmy więc, że jeśli natkniemy się w nocy na któryś z takich oddziałów, to będziemy udawać, że jesteśmy z Białoruskiej Narodowej Armii. Bo były też takie oddziały. Wszyscy prawie znaliśmy tą gwarę i mogliśmy swobodnie udawać. I to właśnie nam się bardzo przydało.

Będąc na wyższym gruncie nad rzeką Utratą nie widzieliśmy, że na łące pokrytej gęstą mgłą pasie się stado koni, aż wjechaliśmy w to stado. Zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy w środku stada koni nieprzyjacielskiej kawalerii, przypuszczalnie Kozaków... Jedziemy w kierunku rzeki. W pewnej chwili wyłania się przed nami dwóch jeźdźców. Ktoś głośno pyta: „Chto kakije”? A nasz ułan jadący na czole naszej kolumny odpowiada pewnie i z właściwym akcentem: – Biełaruskaja Narodnaja Armia. Tamci jeszcze o coś pytali ale odpowiedzi nie otrzymali, Przejechaliśmy obok nich rozmawiając gwarą białoruską. Przejechaliśmy przez rzekę, przez kilka dróg, tory i o świcie dojechaliśmy do pierwszych za-

gajników Puszczy Kampinoskiej. A o wschodzie słońca, po przejechaniu obok dwu wiosek, w których stacjonowały wojska nieprzyjacielskie, ujrzeliśmy tabory, konie poprzywiązane do płotów. Przejeżdżaliśmy w odległości 250–300 metrów od wart i ubezpieczeń nieprzyjacielskich. Jechaliśmy spokojnie gęsiego, a że byliśmy naprzeciw wschodzącego słońca, to ich trochę oślepiało. Chyba przyjęli nas za swoich. W tym czasie nasza grupa liczyła już tylko kilkanaście osób.

Byliśmy jedną z pierwszych grup, które dotarły do Kampinosu. Przez szereg dni dochodzili inni: grupy, grupki a wielu nawet w pojedynkę. Wszyscy byli wyczerpani, od kilku dni bowiem nic nie jedli, może jakiś wykopany w polu surowy kartofel, gdyż na niektórych trasach było dużo większe nasilenie nieprzyjaciela niż na tej, którą my szliśmy.

Życie w Kampinosie było bardzo trudne. Niemal wszystkie wioski w puszczy były wypalone, a ludność zbiegła albo została wywieziona na roboty. Na zewnątrz puszczy, tam gdzie zabudowań nie spalono i nie wywieziono ludzi, stacjonowały wojska nieprzyjacielskie. W bardzo krótkim czasie, my ułani, po zapoznaniu się z istniejącą sytuacją zdecydowaliśmy, że z końmi znacznie szybciej zdradzimy tu naszą obecność i ściągniemy na siebie wielkie oblawy na te lasy, a wobec konsekwencji wyniszczenie nas wszystkich. Wobec tego, ukryliśmy siodła, a koniom daliśmy wolność. Dla kawalerzysty ciężko jest rozstać się z koniem i przejść do piechoty. Rodzą się nieskrywane uczucia, człowieka do konia, ułan i koń stają się jedną całością. Czasami to uczucie rodzi się w bardzo krótkim czasie. Często uzależnione jest od wypadków i wydarzeń. Gdy 3 dni przed tym mego pięknego kasztana bomby rozerwały na strzępy, opuszczając Wiersze, przez kilka godzin niosłem siodło na własnym karku, prócz karabinu, amunicji, rewolweru, koca i płaszcza. Po pewnym czasie, z każdym krokiem stawało się coraz cięższe. Wtedy bardziej niż kiedykolwiek poczułem to współczucie i zrozumienie dla konia. Gdy kolega kpr. Józek Prudzienica przyprowadził mi tego konia, nie pytałem skąd i gdzie go wzięł. Przypuszczałem, że chyba zabrał pasącego się na łące. Nie był zbyt pokaźny, ale bardzo szybki, posłuszny i nie lękliwy. Jestem przekonany, że dzięki temu koniowi wyszedłem z tego piekła. Gdy dojeżdżaliśmy do Puszczy Kampinoskiej, on wciąż spoglądał i ciągnął w prawo. Widocznie znał ten teren i wiedział gdzie jest jego gospodarz. Zdjąłem siodło, uzdę, poklepałem po szyi i puściłem. Mam nadzieję, że doszedł do swej stajni.

Ci, którzy wrócili do lasów kampinoskich, w większości szli w kierunku Zamość–Zamczysko. I gdzieś w tych okolicach, w leśniczówce, do której trafiliśmy, zastaliśmy tam już około 80–100 osób. Gospodarzy leśniczówki nie było. Właściwie nic nie było, jedynie ule z pszczołami. Wszyscy byliśmy tak bardzo głodni, że rzuciliśmy się na te ule. Wyciągając ramki odłamywaliśmy po kawałku i jedliśmy w całości miód, wosk i pszczoły. Skupisko ludzi tu wciąż wzrastało. Zdawaliśmy sprawę, że w takich okolicznościach tu nas niedługo wykryją. Ponownie zaczęły się tworzyć grupy. Jedną grupę zorganizował Antoni Skurat ze szwadronu ckm, liczyła chyba około dwudziestu osób i gdzieś odmaszerowała. W grupie, z którą ja odszedłem, dowództwo objął plutonowy Franciszek Kosowicz „Suchy”. Było nas oprócz dowódcy w tej grupie chyba 8 osób, w tym 3 Kosowiczów: Waław Kosowicz „Ciuta” s. Bolesława i ja s. Macieja, Franciszek Brzeziński, Stanisław Rutkowski „Jerzynka”, Mężyński, dwóch braci Sabiłło i jeszcze jeden Rakowianin, nazwiska którego nie mogę sobie przypomnieć.

Udaliśmy się w kierunku naszych dawnych zakwaterowań: Krogulec, Wiersze, Truskawka, Brzozówka, Janówek, Ławy. Przez pewien czas przebywaliśmy w tych okolicach, bez stałego punktu. Jednak z nadejściem jesieni, deszczów i zimna nie mogliśmy dłużej trwać całkiem w otwartym terenie, gdyż niektórzy mieli na sobie tylko mundury. Postanowiliśmy wybrać bardziej stałe miejsce i zbudować tam ziemianki.

Wybraliśmy miejsce w pobliżu Janówka, zbudowaliśmy 3 ziemianki i dobrze je zamaskowaliśmy. Ulokowaliśmy się w dolince, w dość gęstym młodniku nieopodal strumyka. W polu były kartofle, kapusta, której nikt nie zbierał, bo właściciele zostali wywiezieni do Niemiec. W Janówku, w niespalonej części wioski stacjonowały wojska nieprzyjacielskie, zajmowały całą wieś z wyjątkiem 3 ostatnich domów. I do tych właśnie domów czasami chodziliśmy wieczorem, poprosić o trochę soli, której wszyscy odczuwali duży brak. Nieprzyjacielskie patrole też często zachodziły do tych domów. Wytwarzały się groźne sytuacje. Dwukrotnie było tak, że byliśmy w domu w kuchni, gospodyni coś tam nam gotowała. Patrol nieprzyjacielski stuka do frontowych drzwi. My cicho wychodzimy przez tylne drzwi, a oni wchodzi przez frontowe.

Miejscowi pomagali nam jak tylko mogli ale i oni sami już niewiele mieli. Co pewien czas wysyłaliśmy patrole od 2 do 4 osób w głąb puszczy, aby dowiedzieć się co tam się dzieje. W końcu października

dowiedzieliśmy się, że por. „Wyrwa” zastępca d-cy pułku organizuje pomoc w wyprowadzaniu chłopców z lasów. Że przyjechał fotograf, aby porobić zdjęcia do dokumentów. W tym czasie napadli na nas Kozacy i kilka osób zginęło. Dowiedzieliśmy się też, że już pewną część ludzi wyprowadzono z puszczy. Między innymi kolegów: Jana Majewskiego „Maj”, Franciszka Łukaszewicza „Kruloka”. Znaleźli oni schronienie i pracę u sióstr zakonnych w Błoniu. Chyba w drugiej połowie listopada dowiedzieliśmy się od napotkanego gajowego, czy leśniczego, że organizacja podziemna robi olbrzymi wysiłek aby jak najszybciej wyprowadzić z lasu wszystkich ludzi, przed spadnięciem śniegu. Bardzo dużo z naszych było już u kresu sił. Ciągłe oblawy zmuszały do szukania schronienia w najbardziej niedostępnych bagnach. Pootwieraly się stare rany, głąd, chłód, wszawica i świerzb, wrzody i choroby płucne bez jakiegokolwiek opieki lekarskiej. Leśniczy powiedział, że on odszukuje grupy, które ulokowały się zdala od zachodniej części puszczy i którzy nie mają łączności z organizacją. Powiedział gdzie mamy udać się po dalsze wiadomości. Uzgodniliśmy, że następnego wieczora pójdą Mężynski i ja. Mężynski był nazywany przez nas „Nawigatorem”. Miał jakiś wrodzony, wyjątkowo wysoki zmysł orientacyjny. On dla nas był zbawieniem. W ciemne noce, gdy widoczność była zaledwie na kilka kroków, w głębi lasów, każdy z nas pozostałych w grupie, gdy się obrócił raz w kółko czuł się zagubiony. A nasz „Nawigator” zawsze wiedział gdzie jesteśmy i dokąd idziemy.

Otóż w nocy najpierw zaczął padać deszcz, potem zamienił się w śnieg i padał prawie do południa następnego dnia. Powstała bardzo groźna sytuacja. Nie można się ruszyć bez zostawienia śladów. Nie więcej niż 800 metrów od nas, we wsi Janówek kwaterowały wojska nieprzyjacielskie często wysyłające patrole do lasu. Zastanawialiśmy się długi czas, czy ten nasz patrol ma iść aby odnaleźć ten punkt wskazany przez leśniczego, a który był ponad 20 km od nas. Jednak zdecydowano pójść.

O zmroku wyruszyliśmy. Przez jakieś około 10 km szliśmy bardzo szybko, gdyż ścieżki, co prawda przysypane śniegiem, były nam bardzo dobrze znane. Jednak stopniowo podróż stawała się trudniejsza. Wzrastał mróz. Wyszedł księżyc i gwiazdy. Noc zrobiła się jasna, a śnieg coraz bardziej skrzypiał pod nogami, a cicha noc roznosiła dźwięk daleko. Doszliśmy do skraj lasu, przed nami otwarty teren i mostek nad rzeczką,

którą musimy przejść. Zatrzymaliśmy się, rozważając czy mamy iść tędy, czy obchodzić bokiem. W pewnej chwili wydawało nam się jak gdyby ktoś gdzieś szedł. Wyteżyliśmy wzrok i słuch. Dźwięk narastał i niedługo zobaczyliśmy sylwetki ludzi. Z tej odległości trudno był powiedzieć ile, około 10 osób. Szli wzdłuż rzeczki, zatrzymali się przy mostku, postali trochę i poszli dalej. Patrol nieprzyjacielski. Nie mogliśmy iść dalej, gdyż nasze ślady skrzyżowałyby się z ich, a oni, gdyby wracali z powrotem, mogli pójść naszymi śladami do punktu, do którego podążaliśmy. Zdecydowaliśmy się wrócić. Do naszych ziemianek doszliśmy nad ranem. Zdecydowano się czekać aż roztopi się śnieg. I rzeczywiście w dzień pocieplało, potem rozpadał się deszcz i po dwóch dniach śnieg zginął. Gdy tylko zginął śnieg, poszedł drugi patrol. „Nawigator” i plut. „Suchy” – to był mój brat stryjeczny. Wrócili z powrotem następnej nocy, nad ranem. Odnaleźli umówiony punkt, dowiedzieli się, co i jak mamy zrobić. Musieliśmy zorganizować sobie cywilne ubrania. Ja miałem dobry płaszcz wojskowy i koc. Za to dostałem mizernutką marynarkę i jakąś kurteczkę. Większość jednak nie miała co wymienić. Mundury porządnie wytarte. Zdecydowaliśmy wymienić na broń, gdyż i tak jej z sobą nie mogliśmy zabrać. No i jako tako przebraliśmy się.

Gdy już byliśmy gotowi, ruszyliśmy na umówione miejsce. Przed świtem, po przejściu ponad 25 km, przez bagna, rozmiękłe łąki, wylane strumyki, brodząc niemal po pachy w lodowatej wodzie, doszliśmy na punkt zbiórki. Tam już było znacznie więcej ludzi. Poznawaliśmy kolegów, o których nie wiedzieliśmy czy jeszcze żyją. Byliśmy tak strasznie zmarnięci i wycieńczeni, że człowiek trząsał się na całym ciele. Tu dano nam gorącej mlecznej zupy. Następnie powiedziano, że mamy iść wskazaną dróżką, aż dojdziemy do wypalonego młodniaka, który był już wyrąbany i kupami złożony nad rowami. Tam mamy się ukryć i czekać do rana, aż przyjadą wozy po to drzewo. Wtenczas bez żadnego gadania mieliśmy do nich dołączyć i pomagać ładować wozy, a potem iść za tymi wozami. I w ten sposób wielu z nas zostało wyprowadzonych z lasu i czasowo umieszczono w majątku Gawartowa Wola. Było to już chyba w końcu listopada 1944. Po kilkudniowym pobycie w tym majątku powiadomiono nas, że jest praca na kolei. Nasza cała grupka zgłosiła się. Zgłosiło się też dużo innych kolegów. Większość chciała jak najszybciej stąd odejść, gdyż w majątku było w tym czasie chyba blisko 100 osób wyprowadzonych z lasów i obawiano się, że Niemcy to wywęszą. Zebra-

no grupę około 30 osób. Przewodnik z jakimiś papierami zabrał nas na stację kolejową. Ostrzeżono nas, żeby nikt w żadnym wypadku nie oddalał się od grupy, gdyż nikt nie miał jakichkolwiek dokumentów. Jedyne przewodnik miał listę i jeszcze jakiś świstek papieru, który chyba był legalny. Bo żandarmi z tarczami na piersi, na dworcu w Skierniewicach, sprawdzili te dokumenty, przeliczyli nas i odeszli. Dojechaliśmy do stacji kolejowej Rogów, tam nas wysadzono, zaprowadzono do jakiegoś budynku i tam nas zakwaterowano. Część została przydzielona do pracy na torach przy budowie odnogi i rampy. Druga część miała dochodzić do pracy przy budującym się lotnisku w okolicy wsi Dąbrowa. Przy budowie lotniska nadzorowała jednostka lotnicza. Tam też był lekarz czy felczer, podoficer, który rozmawiał po polsku. Dawał nam lekarstwa, które powyleczyły wrzody i świerzb i zaleczyły niektórym pootwierane rany. Chyba 19 stycznia Rogów został zajęty przez armię sowiecką.

Tu kończy się jedna gehenna, a zaczyna druga, dla wszystkich byłych żołnierzy Armii Krajowej, a w znacznie większym stopniu okrutniejsza dla Akowców z Kresów.

Ilu żołnierzy z „Grupy Kampinos” zdołało przebić się i przedrzeć z powrotem do Kampinosu? Mnie się wydaje, że przynajmniej 250 osób. Mogło być sporo więcej, gdyż żołnierze pochodzący z okolic podwarszawskich wrócili do domów.

Najstarszy stopniem w Kampinosie, którego spotkałem już po kilkutygodniowym pobycie, był chor. „Warta” Andrzejewski.

Co żołnierze kresowi Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego myśleli i jaka była ich opinia o dowódcach, którzy objęli nad nimi dowodzenie? Kpt. „Szymona” Józefa Krzyczkowskiego, znali go bardzo krótko, a w walce dowodził nami chyba niecałe 2 godziny na lotnisku Biełańskim. Ale jakoś żołnierzom przypadł do gustu i go polubili, darząc zaufaniem. Pomimo tego, że nie miał doświadczenia w sposobie działania i nie znał możliwości w większych działaniach bojowych oddz. partyzanckich przeciw umocnionym pozycjom regularnej armii wspieranej artylerią, bronią pancerną i lotnictwem. Nasze oddziały nie miały żadnej broni przeciwlotniczej ani przeciwpancernej. Butelki zapalające w otwartym terenie nie są żadną bronią. Tu trzeba było zastosować sposoby walk partyzanckich, uderzając w nocy, małymi grupami, z kierunków, od których nieprzyjaciel nie spodziewa się. A nie zdobywać lotnisko metodą znacznie przestarzałą.

Inni Doliniacy poukrywali się w okolicznych miejscowościach wokół Żyrardowa i Sochaczewa.

Inwalida wojenny z kompanii wrześniowej, żołnierz konspiracji Leon Karsznia, po zwolnieniu ze szpitala jenieckiego w Ostrzeszowie zamieszkiwał do końca okupacji w gminie Szymanów niedaleko Sochaczewa. Wspomina, że wielu Doliniaków po bitwie pod Jaktorowem znalazło schronienie u mieszkańców tej gminy, którzy ryzykując prześladowania udzielili im schronienia i opieki. Nie było wypadku, by Niemcy wpadli na trop ukrywających się tam partyzantów.

Pomocy lekarskiej udzielał rannym z dużym poświęceniem lekarz Zbigniew Poniatowski, rodem spod Wilna, po wojnie dyrektor Ośrodka Sanitarno Epidemiologicznego w Pucku. Komendant wywiadu i kontrwywiadu w rejonie Sochaczew–Błonie, Wyrwa – Józef Brzozowski wraz z Leonem Karsznią i Mazurem – Józefem Jodłowskim zaopatrywali Doliniaków w fałszywe kenkarty wystawiane na oryginalnych drukach.

Główny ciężar niesienia pomocy ukrywającym się Doliniakom przejął na siebie zastępca porucznika Doliny – porucznik Wyrwa – Bohdan Jaworski. Pomagały mu w tym dzielnie sanitariuszki i łączniczki Wera Mozolówna, Sówka – Józefa Felczakówna i Blizna – Jadwiga Bałabuszko–Sławińska. Z Żyrardowa, gdzie zatrzymał się porucznik Wyrwa, dowoziły dokumenty, pieniądze i cywilne ubrania, wciąż wyszukiwały w terenie rannych i ukrywających się partyzantów, przerzucając ich w miarę możliwości do szpitala w Laskach, Ale oni – jak wspomina Wera Mozolówna – najbardziej cieszyli się z wiadomości, że porucznik Dolina nie zginął pod Jaktorowem i że nadal bije się z Niemcami, teraz gdzieś w lasach kieleckich.

Z MELDUNKÓW ABWEHRY

Nazajutrz po bitwie pod Jaktorowem, 30 września 1944 roku, gdy Niemcy zbierali sprzęt z pobojowiska, wyławiali pojedynczych żołnierzy „Grupy Kampinos”, często ich rozstrzeliwując i dobijając rannych, mogli się przekonać, że wprawdzie rozproszyli zgrupowanie, lecz sukces był raczej nikły. Siły partyzanckie oceniano na kilkanaście tysięcy ludzi i koni, a tymczasem spośród zabitych Polaków znaleziono około stu pięćdziesięciu oficerów i żołnierzy, drugie tyle wzięto do niewoli.

Jeśli nawet przyjmie się faktyczną, a nie domniemaną liczebność „Grupy Kampinos”, to jest około 1 200 oficerów i żołnierzy, to zwycięstwo niemieckie w tym starciu nie wyglądało na oszałamiające.

Kolejne meldunki niemieckiego wywiadu donosiły o postępach akcji „Sternschnuppe”:

„Ic (AO/Abw) – Bandy – Dzienny meldunek sytuacyjny z 29.09.1944 roku Puszcza Kampinoska. W ramach akcji osiągnięto linię Grochale Stare–Wodziszew–most o 1,5 km na północny–wschód od Nowych Bud – rozwidlenie drogi na południowym skraju Górek–Narty–zachodni skraj Kampinosu. Na minach zabity 1 własny żołnierz, 1 obcy z ochrony. Zdobyto 24 krowy, 4 cielaki, 1 konia. Własne oddziały – słaba styczność z nieprzyjacielem na zachód od Wodziszewa.

Rozpoznanie grupy „Willer” z Kampinosu na północ w kierunku na Cisowe – bez styczności z nieprzyjacielem, 2 schrony zniszczone. Godz. 0.50 utarczka pod Lisicami (9 km na zachód od Błonia) z bandytami, którzy przebili się w sile około 300 ludzi, 2 nieprzyjaciół zabitych. Godz. 13.20 wielu konnych w Grądach (4 km na północny wschód od Żyrardowa), odłączono grupę bandycką złożoną z 3 zaprzężonych pojazdów i 25–30 bandytów. O 7 km na zachód od Grodziska własny samolot zestrzelony przez bandytów. Godz. 18.20 wiele oddziałów konnych w Grądach (4 km na północny wschód od Żyrardowa), w kierunku zachodnim i północno–zachodnim 80–100 bandytów – w Baranowie, 100 bandytów w Kopiskach Małych (7 km na północny wschód od Żyrardowa). Stwierdzono z pancernego wozu obserwacyjnego 400 jeźdźców w Poboryszewie w kierunku zachodnim (8 km na północ od Żyrardowa). Dalszy pościg i zwalczanie bandytów, którzy się przebili – w toku”.

„Bandy – Meldunek dodatkowy z 29.09.1944, godz. 14.00. Godz. 10.55 według meldunków policyjnych – 600 bandytów 800 m na południe od Henryszewa (3 km na północny wschód od Żyrardowa). Ok. godz. 9.00 w Kopiskach Dużych (na północny wschód od Żyrardowa) 300 konnych bandytów. Według zeznań wziętego do niewoli oficera AK naczelny dowódca bandy w Puszczy Kampinoskiej major Okoń postanowił na ok. 3–4 dni przed rozpoczęciem operacji »Sternschuppe« wycofać się z żołnierzami AK nastawionymi wrogo w stosunku do bolszewików, ze wschodniej części Puszczy Kampinoskiej. Natomiast po natarciu na Wiersze rozpoczął marsz ze swoimi ludźmi. Wymaszerował z ok. 6 000 ludzi, z których jedna część poszła na zachód, druga na połu-

dnie. Cel grupy zachodniej nie był oficerowi znany. Grupa maszerująca na południe jako pierwszy cel miała Guzów (10 km na północny-zachód od Żyrardowa). We wschodniej części Puszczy Kampinoskiej miało pozostać ok. 6 000–8 000 ludzi, którzy gotowi są pójść z komunistami. O miejscu stacjonowania tych band nie może on podać żadnych danych...”

I jeszcze jedna z niemieckich depeesz po bitwie pod Jaktorowem:

„Ic AC Abw – Bandy – Dzienny meldunek sytuacyjny z 1.10.1944 r. Puszcza Kampinoska. W ramach akcji „Sternschuppe” osiągnięto przy sporadycznym oporze nieprzyjaciela linie: ujście Bzury – Bzurę aż na wschód od Witkowic – zachodni występ lasu 1 km na południowy wschód od Hilarowa–Sianno. Przy przebijaniu się bandytów w dniu 29.09 na wschód od Kampinosu – 39 zabitych nieprzyjaciół, 14 jeńców, zdobyło 5 cekaemów, 1 elkaem, 5 granatników, 1 pistolet maszynowy, 90 kb, pistolety, wiele amunicji piechoty i materiałów wybuchowych, 66 koni, 1 działo 7,5 cm rozsadzone, 95 koni zastrzelonych, 91 wozów całych i rozbitych.

W walkach pod Żyrardowem wzięto 150 jeńców, straty nieprzyjaciela w zabitych i rannych są bardzo wysokie.

Dnia 30.09.1944 r. godz. 3.45 utarczka z bandytami, którzy przekraczali z południa na północ tor kolejowy 18 km na zachód od Błonia...”

Tam, pod Jaktorowem, Budami Zosinymi i Żyrardowem zamknął się trzeci okres walk Zgrupowania Nalibockiego, które poprzez swą niespodziewaną obecność pod Warszawą stworzyło warunki do powstania Grupy „Kampinos”, do wyzwolenia podległych terenów puszczy i utrzymania ich niepodległości przez cały okres trwania Powstania Warszawskiego. Tereny te miejscowa ludność nazwała „Niepodległą Rzecząpospolitą Kampinoską”

Bez Doliniaków, którzy przedarli się z dalekich Kresów, zza Niemna nad Wisłę, nie byłoby możliwe nie tylko utworzenie tak zwanej Rzeczypospolitej Kampinoskiej, ale nawet prowadzenie jakichkolwiek skutecznych walk przeciw Niemcom – tak, jak to okazało się niemożliwe w innych rejonach kraju, leżących na zachód, południe i północ od Warszawy. Nawet w tak zasobnych w lasy rejonach, jak w pruszkowskim czy ożarowskim, lub w liczącym 12 000 żołnierzy konspiracji podokręgu „Hallerowo”, zorganizowanie liczącego się militarnie ugrupowania partyzanckiego nie powiodło się. Pod nieobecność Doliniaków najprawdopodobniej działalność partyzancka w Puszczy Kampinoskiej

ograniczyłyby się do akcji na lotnisku bielańskim, w której przecież i z ich udziałem nastąpiła porażka. Po doznanej tam klęsce jakże łatwo Niemcom byłoby rozprawić się ze słabo uzbrojonymi i niezaprawionymi w bojach żołnierzami konspiracji. Dopiero mając solidne zaplecze i oparcie w otrząskanych z walką towarzyszach broni znad Niemna – miejscowi żołnierze mogli w pełni wykazać swą ofiarność w służbie ojczyzny.

Komendant VIII Rejonu podpułkownik Szymon – Józef Krzyczkowski oceniając dokonania „Grupy Kampinos” w cytowanej już książce „Konspiracja i powstanie w Kampinosie” tak stwierdza:

– „Grupa Kampinos” zadała wrogom więcej ciosów, niż sama otrzymała. Przybliżona, rzecz prosta, ilość zabitych nieprzyjaciół wyniosła około 1 000 żołnierzy, podczas gdy Polaków poległo 764. Rannych wróg liczył około 460, my zaś 390 i to z uwzględnieniem znacznych strat na Dworcu Gdańskim i pod Jaktorowem.

Gdy zestawia się wyniki poszczególnych walk – widać jak na dłoni, że mieliśmy dużą przewagę, kiedy z własnej woli podejmowaliśmy typowe partyzanckie działania – gwałtowne wypadki z szybkim wycofywaniem się do lasów, zasadzkę na maszerującego w pobliżu wroga, a nawet upartą, skuteczną obronę w wybranych przez siebie punktach. Inaczej zupełnie rzecz przebiegała, kiedy trzeba było frontalnie atakować przygotowanego nieprzyjaciela, mającego olbrzymią przewagę w uzbrojeniu, lub też bronić się, jeśli już nie było innego wyjścia, w sytuacji narzuconej przez wroga.

Tam jednak, gdzie obie strony zmagaly się wykorzystując w pełni siłę posiadanego ognia, np. na Dworcu Gdańskim, musieliśmy ponosić krwawe straty. Niemal nic nie mogło w takich momentach znaczyć największe nawet bohaterstwo i zdecydowanie. Chyba, że wróg był tak załamany, iż gotów był rzucać broń bez jej użycia. Tylko fantaści mogą sądzić, że niewiele znaczy siła ognia i roić, że to właśnie bohaterstwo wszystko przełamie...”

Również sami Niemcy przyznawali, że działający na terenie Puszczy Kampinoskiej partyzanci przysporzyli im wiele kłopotów. Sam generał Vorman oceniając sytuację w okresie 12–15 września 1944 roku stwierdzał:

„Należy teraz oczekiwać, że nieprzyjaciel, tj. wojsko radzieckie po uzupełnieniu amunicji i stanu swoich pododdziałów będzie próbował równoczesnym natarciem z przedmościa na południe Pułtuska i osiągnąć

brzeg Wisły na północny zachód od Warszawy. Także w tym miejscu będzie zamierzał nawiązać łączność z powstańcami w lasach kampinoskich. Leży jak na dłoni wynikające stąd niebezpieczeństwo odcięcia oddziałów SS stojących w trójkącie rzeczonym na wschód od Modlina — i operacyjne rozwiązanie na dalsze obszary. Przy obecnym braku widoków na szybkie opanowanie ruchu powstańczego w Warszawie i przy wzmagającym się stale zagrożeniu tyłów frontu bojowego przez oddziały powstańcze w lasach kampinoskich — armia jest po prostu tylko w możliwości prowizorycznego podpierania frontu w dotychczasowych punktach zapalnych. (...)

Niestety, wskutek działań partyzanckich w tym rejonie mocno ucierpiała ludność miejscowa.

— Powstańcze działania — jak ocenia w swej książce pułkownik Szymon — Józef Krzyczkowski — bardziej niż jakiegokolwiek inne, pociągnęły nieuniknione straty wśród ludności cywilnej. Nie było sposobu uchronienia się od tego, trzeba więc było brać to pod uwagę, kiedy podjęto zamiar walki powstańczej, partyzanckiej.

Jeśli chodzi o straty wśród ludności, to były one mniejsze, niż należało przewidywać. Wskutek działań przypadkowych lub też świadomie przez Niemców dokonywanych — zginęło lub zamordowanych zostało około stu czterdziestu mieszkańców tych okolic. Kiedy „Grupa Kampinos” wychodziła z puszczy — wraz z nią opuściła wsie stanowiące powstańczy obóz warowny okoliczna ludność. Niemcy wyładowywali swój gniew na wsiach opustoszałych. Paliły się jak pochodnie, bo nie było nikogo, kto mógłby je ratować. (...)

Długa była lista tego rodzaju strat. Nie tylko Wiersze pochłonął ogień. W innych osiedlach podobnie ogień strawił wiele gospodarstw. W ośmiu pobliskich wsiach płomienie zniszczyły i zamieniły w popiół prawie wszystko. W 18 wsiach spalono większość zabudowań. Straty powstawały też w inwentarzu gospodarskim.

Na szczęście ludność zdołała wywieźć ze sobą sporo dobra, a wsie były drewniane, więc łatwe do odbudowy. Dlatego też szybciej doprowadzono te tereny do normalnego stanu, niż na przyczółkach wiślanych, gdzie ogromne zniszczenia wyrządził huraganowy ogień artyleryjski. A jednak, pomimo tych cierpień, miejscowa, kampinowska ludność, podobnie jak wcześniej ludność stołpecko–nalibocka, okazywała partyzantom wiele serdeczności, udzielając wszechstronnej pomocy, bez której

walka nieregularnych oddziałów wojskowych o charakterze partyzancim z regularną armią przeciwnika nie byłaby w ogóle możliwa.

Wobec ustania walk powstańczych w Warszawie i skierowania na Puszczę Kampinoską potężnych sił niemieckich, dalsza obrona rozległych terenów Puszczy Kampinoskiej nie była możliwa, ani celowa. Z tych względów, decyzja majora Okonia o przedzieraniu się Grupy Kampinos na południe była uzasadniona i konieczna. Błędem natomiast było zarządzenie wymarszu z puszczy w jednej kolumnie wraz z taborami (około 300 wozów) a nie jak proponowali oficerowie w mniejszych grupach i bez taborów. 27 września 1944 roku, po zbombardowaniu przez lotnictwo niemieckie Wierszy, Brzozówki i Truskawki oraz zaatakowaniu przez broń pancerną wysuniętych placówek zgrupowania, mjr „Okon” zarządził wymarsz oddziałów w lasy świętokrzyskie. Długa kolumna, licząca ok. 2 tys. partyzantów pieszych i konnych oraz ok. 300 wozów taborowych wiozących również rannych, wyruszyła w nocy przez błota „Pożary” wąską drogą, na Korfowo i pomiędzy Wiejczą a Kampinosem wyszła z puszczy. „Niepodległa Rzeczpospolita Kampinoska” przestała istnieć. Jednak Doliniacy nie zaprzestaną walki. Ocalałe z pogromu oddziały i grupki a nawet pojedynczy partyzanci samodzielnie przedzierali się na południe. Po przeprawieniu się w pław, na drugi brzeg Pilicy, Dolina ze swym oddziałem dołączy do operującego na tym terenie 25 Pułku Piechoty AK Ziemi Piotrkowsko–Opoczyńskiej, tworząc tam III batalion, zwany potocznie „Kampinos”, a po jego rozformowaniu, szwadron kawalerii, który w ostatnich dniach niemieckiej okupacji skurczy się do siedemnastu konnych wojowników.

Temu rozdziałowi historii Zgrupowania Stołpecko–Nalibockiego Armii Krajowej poświęcony jest trzeci tom „Doliniaków” pod tytułem „Śladami majora Hubala”.